

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 52542



BC KSK / 52542

JÓZEF TRETIAK

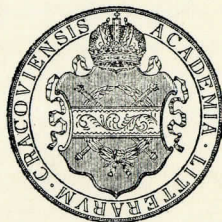
JULIUSZ SŁOWACKI

HISTORIA DUCHA POETY I JEJ ODBICIE W POEZYZI

CZĘŚĆ I i II.

1809—1842

×KSIĘGARNIA×
ANTYKWARIAT



183594 F
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

W KRAKOWIE

NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

1903



889(09)192

Osobne odbicie z T. XXXVIII. Rozpraw Wydziału filologicznego
Akademii Umiejętności w Krakowie.



Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem J. Filipowskiego.

MACIERZY JAGIELLOŃSKIEJ

TEJ PRACĘ W JEJ ROKU JUBILEUSZOWYM OBMYŚLANĄ

POŚWIĘCA

AUTOR.

Juliusz Słowacki.

Historia ducha poety i jej odbicie w poezji.

Napisał

Józef Tretiak.

SŁOWO WSTĘPNE.

Praca niniejsza miała mieć w pierwotnym zamiarze szerszy zakres. Uderzał mnie zawsze i domagał się wyjaśnienia ów antagonizm, który tak rażąco występuje we wzajemnym stosunku dwu największych poetów polskich, w szczególności ze strony Słowackiego. On też, ów antagonizm, jego przyczyny, jego koleje, jego różne objawy tak w życiu, jak w poezji Słowackiego, miały być przedmiotem niniejszej pracy. Ale studiując ów antagonizm, przekonałem się, że on do tego stopnia przenika całą istotność duchową Słowackiego, iż bez podania pełnej historii ducha poety nie da się przedstawić należycie. I stąd poszło rozszerzenie pierwotnego planu, i to, co pierwotnie miało być przedmiotem wyłącznym, według nowego planu stało się tylko głównym.

Nie sama ciekawość naukowa wiodła mnie do zbadania i objaśnienia tej jedynej w swoim rodzaju walki między dwoma geniuszami poetyckimi. Miałem i mam to przekonanie, że należyte zrozumienie tego antagonizmu może mieć doniosłe znaczenie społeczne. Mickiewicz i Słowacki to nie byli tylko przedstawiciele dwóch przeciwnych natur artystycznych, jak ich przedstawiał niegdyś trzeci poeta z wielkiej trójcy, Krasiński, ale zarazem i przewodnicy i cho-

rażowie na drogach społecznych, rozbiegających się w dyamentralnie przeciwnym kierunku. Wprawdzie chorągiew Słowackiego była za życia poety niemal zupełnie osamotnioną, ale za to po śmierci, począwszy mniej więcej od r. 1863, kult dla niej ciągle wzrastał i nie przestaje wzrastać do chwili obecnej. Niekiedy góruje on bardzo widocznie nad kultem dla drugiej chorągwi, przeważnie jednak kojarzy się na równych prawach z tamtym i taka harmonia mogłaby być uważana za szczęśliwe rozwiązanie walki, którą dwaj wielcy chorążowie toczyli z sobą za życia, gdyby nie polegała na nieporozumieniu, na niezrozumieniu tej walki, na niejasnem pojmowaniu wzajemnego stosunku dwu tych przeciwników i znaczenia ich twórczości dla narodu. To wszystko objaśnić, o ile mi przyniósł ten stosunek pozwoliły dłuższe nad nim studia, jest głównem zadaniem niniejszej pracy.

Każdy historyk zabierający się do przedstawienia, a przez to już i osądzenia jakiegoś sporu, jakiejś walki, której motywy poruszają wiele strun w sercach żywych, współczesnych, narażony jest na niebezpieczeństwo stronnictwa. Pamiętałem o tem niebezpieczeństwie w ciągu pisania całej pracy i starałem się od niego odgradzać. Czy zupełnie udało mi się ustrzedz wszelkiego wpływu uprzedzeń na przedstawienie duchowego wizerunku Słowackiego i jego stosunku do Mickiewicza, to rzecz inna: w tym względzie pewności mieć nie mogę. Wiem tylko, że jeśli jest, to po za granicami mojej świadomości.

W części biograficznej niniejszej pracy zwracam uwagę na wydarzenia z zewnętrznego życia poety o tyle tylko, o ile one stanowią konieczne ramy dla historii wewnętrznej jego ducha, o ile rzucają światło na jego charakter, wyobrażenia, poglądy i uczucia. W części krytycznej poddaję szczegółowej analizie tylko te utwory, w których się pierwiastek indywidualny, to jest historia ducha poety silnie odzwierciedliła.

CZEŚĆ I.

W drodze do sławy.

ROZDZIAŁ I.

Dzieciństwo i pierwsze lata młodości. 1809—1831.

Rodzina poety i miasto rodzinne. — Charakterystyka ojca i matki. — Charakterystyka samego poety: stosunek jego do ludzi, stosunek do przyrody. — Wpływy wychowania. — Ewolucja marzeń dziecinnych. — Początek anhellizmu Słowackiego. — Stosunek poety do filaretizmu i romantyzmu. — Pierwsze próby poetyckie Słowackiego. — Wpływ *Konrada Wallenroda* na jego młodzieńczą poezję. — Szukanie kariery cywilnej w Warszawie. — *Hugo i Mindowe*. — Stanowisko poety w listopadowym powstaniu. — Podróż do Londynu.

Ojciec poety, Euzebiusz Słowacki, pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej, oddawna osiadłej na Wołyniu. Wyższego wykształcenia szkolnego nie otrzymał nad to, jakie mogła dać dawniejsza szkoła krzemieniecka, ale mając zamiłowanie w literaturze, sam się dalej kształcił i swojemi pracami literackimi, w szczególności przekładem *Henryady* Woltera, tyle sobie zdobył rozgłosu, że Czacki, organizując liceum krzemienieckie, powołał go na profesora poezji i wymowy. Był to jako literat czystej wody klasyk, albo raczej pseudo-klasyk, po za łacińską poezją i francuską tyle tylko widzący świata, ile go przez szkła literatury francuskiej osiemnastego wieku można było zobaczyć, jako profesor pilny i wymowny.

W rok po zajęciu profesorskiej posady Euzebiusz Słowacki ożenił się z szesnastoletnią panną Salomeą Januszewską, córką rządcy dóbr, które uposażone było liceum krzemienieckie, a w rok potem w Krzemieńcu 23 sierpnia st. st. 1809 roku przyszedł na świat jedyny syn jego, Juliusz Słowacki.

Ale Euzebiusz Słowacki niedługo był profesorem krzemienieckiego liceum. Niebawem ogłoszony został konkurs na wakującą od dawna posadę profesora poezji i wymowy w uniwersytecie wileńskim, Euzebiusz Słowacki stanął sam jeden do konkursu, dzięki

poparciu Śniadeckiego otrzymał wileńską profesurę i w roku 1811 przeniósł się z Krzemieńca do Wilna. Ale i ta nowa jego karyera profesorska niedługo trwała: tym razem śmierć ją zamknęła w roku 1814. Po śmierci męża wdowa z pięcioletnim synem wróciła do rodziców, do Krzemieńca i tu mieszkała przez cztery lata, póki po wtórnie nie wyszła za prof. Bécu i nie przeniosła się po wtórnie do Wilna.

Te cztery lata spędzone w Krzemieńcu przypadły na wiek, w którym dusza dziecka zaczyna uważniej przypatrywać się otoczeniu. Wtedyto dziecinna dusza Słowackiego nagromadziła najbogatszy zapas wrażeń, które tęczowymi kolorami rozbłysnąć miały potem w jego poezji. Stąd Krzemieniec był mu drogim nietylko jako miejsce urodzenia, ale i jako miejsce, w którym budząca się dusza z podziwem przypatruje się światu. Obraz Krzemieńca taki, jaki przechował się na zawsze w wyobraźni poety, tylko przesłonięty późniejszą tęsknotą wygnańczą, odzwierciedlił się w pięknym urywku pisanym pod koniec życia:

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały pod chaty i sady,

Jeśli tam będziesz duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona;
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak Archanioł złoty,
A czasem miasto, jak orzeł, obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Juliusz Słowacki odziedziczył po ojcu wątki organizm i skłonność do suchot, które go też zabrały ze świata mniej więcej w tym samym wieku, co i ojca. Wraz z tą smutną spuścizną odziedziczył także pewne cechy temperamentu. Ojciec według twierdzenia matki miał naturę „zgryźliwą“, to jest pesymistyczne usposobienie, do którego i sam się przyznawał w poetyckim *Liście do Erazma*, pisząc:

czyli to skład ciała czyli nędze życia,
Smutek jest towarzyszem moim od powicia.

Gdy patrzył na ludzi, uwaga jego zwracała się przedewszystkiem na ich słabe strony i widział w nich wady i błędy dla innych niewidzialne¹⁾.

Otóż matka sądziła, że i syn ma ojca swego „zgryźliwą naturę“, a choć się syn do takiej natury nie przyznawał, to jednak nietowarzyskie usposobienie Juliusza, ten brak uczucia społecznego, który stanowił tak wybitną a ujemną cechę jego charakteru, widocznie dostał mu się był w spadku po ojcu. Matka przeciwnie była bardzo towarzyską i przez wszystkich, którzy ją bliżej znali, serdecznie lubioną. Dotychczas znaliśmy ją po trosze ze wspomnień jej przyjaciela Odyńca, po trosze z Listów syna do niej; była to więc znajomość pośrednia, patrzyliśmy przez cudze, a przytem przyjacielskie i synowskie szkła na nią. Ogłoszone niedawno przez p. Meyeta jej Listy do Odyńca (*Przewodnik nauk. i lit.* styczeń — grudzień 1898) pozwalają nam zaznajomić się z matką sławnego poety bezpośrednio.

Była to istota niezmiernie czuła, wrażliwa, poetyczna, rozmarzona. Jej uczucia dla młodszego o lat kilkanaście Odyńca miały koloryt o wiele gorętszy od przyjacielskich; tała się tam jakby niezaspokojona życiem potrzeba miłości romantycznej. Wielka żywiość temperamentu pozwalała jej łatwo przechodzić od łez do śmiechu i odwrotnie. Sama pisze o sobie, że gotowa była skakać z radości na widok ładnej wstążki i zanosić się od płaczu bez żadnej wyraźnej przyczyny. „Czytam teraz głośno mamie *Władysława Łokietka Węzyka* — pisze z Krzemieńca w lutym 1828 — zadziwi się Pan niemało, kiedy mu powiem, że ciągle płaczę przy tej lekturze; szczególnie mi się nie udało w pierwszym tomie, od początku łyzy mię dławily, ale nie mogłam ich przytłumić i rozszlochałam się w miejscu... niech Pan zgadnie... oto, kiedy Bolesław, książę kałiski z Władysławem wybrali się na wyprawę pod Gdańsk i w dro-

¹⁾ W tym samym *Liście do Erazma* (Dzieła Euzebiusza Słowackiego, Wilno. 1826. T. IV) znajdujemy takie zwierzenia:

Dar prawdziwy czy zwodny dalszego widzenia
Stawiał w mych oczach ludzi nie bardzo przyjemnych,
Fałszywych, próżnych, srogich, zuchwałych, nieczemnych,
Nieszczęściami moimi sprawdziłem te wnioski:
Tak cierpienia i klęski, zamiary i troski
Były i są przyczyną, że nigdy wesół
Myśl zoranego smutkiem nie wyjaśni czoła.

dze ich deszcz napadł. Wszyscy słuchający mnie czytającą rozumieli, że ten deszcz mnie tak rozczulił¹⁾.

W tej żywości i naglej zmianie uczuć był jakiś wdzięk dziecinny; sama pani Salomea spostrzegała podobieństwo swoje do dziecka, gdy już jako matka dorastającego Julka, pisała o swoich rodzicach i otoczeniu krzemienieckim: „Śmieją się ze mnie, bo widzą co robię i mówię, co piszę, uważają mnie tu za dziecko dobre, ale popsute, zdziwaczale, litują się i kochają“²⁾.

Poeta nie odziedziczył po matce ani towarzyskości, ani jej dobrego, wylanego dla innych serca. Czułości mu nie brakło; i owszem skłonny był do rozrzewnienia; ale to rozrzewnienie, ta czułość zwracała się niemal wyłącznie do jego własnej osoby i tego, co się bezpośrednio z nią wiązało. Nie przeszkadzało mu to łudzić się, że kocha ludzi, że „jeżeli gryzie co, to sercem gryzie“ i z tego powodu wiele mówić o swoim sercu, dopóki sam wreszcie w chwili głębszej skruchy nie poznał, „jaki to był kawałek szkła błyszczącego“, to serce jego. I wtedy, w ostatnich latach życia, gorąco pragnął nastroić serce swoje na ton miłości i walczył z naturą swoją, a choć zdawało mu się, że tę naturę zwyciężył, to jednak i to było tylko złudzeniem: brała ona górę przy najlżejszym draśnięciu jego prze-czulonego indywidualizmu. Dlatego przez całe życie uczuwał Słowacki swoje osamotnienie wśród ludzi i brak przyjaźni ludzkiej. „Ty mi, droga mamó — pisał jako 25-letni młodzieniec ze Szwajcaryi — zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję z ludźmi. Czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić: zaczynam wizyty i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie“³⁾. Jest w tych wyrazach trochę bajronizowania, trochę manfredowskiego: „lew żyje samotny, jestem jak lew“, ale i stwierdzenie zarazem niewątpliwego faktu nietowarzyskości Słowackiego. Mickiewicz nie był także łatwym do robienia znajomości, zawierania przyjaźni, otwierania swojej duszy

¹⁾ Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1273.

²⁾ Tamże, str. 1247.

³⁾ Listy Jul. Słowackiego z autografów poety wydał poraz pierwszy Leopold Meyet. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. 1899. T. I, str. 263. Ponieważ dwa dotąd wydane tomy zawierają tylko listy do matki, pod tą więc nazwą (Listy do matki) lub jeszcze krócej (Listy) będę cytował nadal wydanie p. Meyeta.

na oścież przed pierwszym lepszym, jak n. p. Odyniec, ale że „miał serce i patrzył w serce“, czuł więc przez całe życie, od ławy szkolnej aż do grobowej deski, bijące przy sobie serca przyjaciół, między innymi nawet takich, od których dzieliły go różnice wiary, narodowości i tradycji. Słowacki, który wszędzie i zawsze mierzył się z Mickiewiczem, spostrzegał i w tym względzie różnicę między nim a sobą. Donosząc matce o wrażeniu, jakie wywarł na nim *Pan Tadeusz*, pisał też i o nowym pożyciu małżeńskim Mickiewicza. „Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia“¹⁾. A kiedy zastanawiał się nad przyczyną tej smutnej dla siebie różnicy, odkryć jej nie mógł. „Mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego i znaleźć nie mogę“²⁾.

Z podobnymi skargami spotykamy się nieraz w listach poety, spotykamy się nawet w listach z tych czasów, kiedy już w duszy jego zaszło wielkie przeobrażenie, kiedy chwilami zdawało mu się, że „odzyskał ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec“. I tak pisał matce (w maju 1845): „choć powierzchownie nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem“, a na kilka miesięcy przed śmiercią (11 września 1848) tak się skarżył: „Omdlenia i zniechęcone duchy ludzi, którzy mnie otaczają, są mi nieraz zabójczą treścią; duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie“³⁾.

Jak nie zaznał przez całe życie prawdziwej przyjaźni, tak nie zaznał i prawdziwej miłości. W przyjaciółach kochał przede wszystkim siebie, to jest kochał ich za to, że wielbili jego talent, uznawali jego potęgę duchową; z kochankami było podobnie: miłość kobiety była dla niego potrzebą raczej ambicji, niż serca, miała służyć przede wszystkim za aureolę dla geniuszu. Naprawdę nie kochał żadnej, poczynając od Ludki Śniadeckiej, a kończąc na pani Bobrowej. I w czasach towianizmu, kiedy dbał przede wszystkim o piękność duchową, nie mógł pokochać nikogo, bo w nikim nie mógł znaleźć siebie samego. Nadzwyczaj charakterystyczne są słowa

¹⁾ Przewodnik nauk. i lit. I, 275.

²⁾ Tamże. I, 282.

³⁾ Listy do matki, II, 231, 323.

jego listu do matki ze stycznia 1845: „Czekam, czekam, jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle przedemną i zawoła zupełnie moim językiem... Czy ty wystawisz sobie torturę takiego oczekiwania. Często już prawie zgodziłbym się pójść jak Jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem, aby mieć coś podobnego zupełnie do siebie, choćby ta dusza była tylko artyficalną i pomalowaną po wierzchu piękności złotem i kolorami, ale ta myśl bezbożna trwa krótko, wolę nie mieć, niż fantazmo i widmo“.

Było to więc serce dziwnie zbudowane, niezdolne pokochać nikogo prócz siebie, daremnie szukające poza sobą jakiegoś sobowtóra, i w tym względzie poeta wcale niepodobny był do matki. P. Bobrowa, która miała sposobność dobrze poznać ją i jego, spostrzegała wyraźnie tę różnicę i nie kryła się z tem odkryciem nawet przed Słowackim. „W domu Zosieńki — pisze syn do matki — ukochano ciebie i kilka słowy odmalowano mi ciebie doskonale, z poniżeniem nawet dla mnie; oto jest frazes: „J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincérité d'esprit et de sentiments!“¹⁾ Nie mogąc zaprzeczyć temu, poeta pocieszał się myślą, że tak być powinno, że to „właśnie różnica między kwiatem a drzewem“.

Z czegoż był podobny syn do matki, na czem polegało owo podobieństwo, które spostrzegano „w domu Zosieńki“, które widziała także Hersylia Januszevska, gdy po wielu latach niewidzenia, przeżyła ze Słowackim dłuższy czas razem we Włoszech? Myślę, że podobieństwo tkwiło w nadzwyczajnej wrażliwości, którąbym nazwał estetyczną, wreszcie w wygórowanej skłonności do marzycielstwa²⁾. Prof. Małeckie w swym znakomitem dziele o Słowackim bardzo pięknie określił „tę najistotniejszą cechę oryginalności jego talentu“ jako „melancholijny urok poetyckiego na świat spojrzenia“. „Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezji rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteście!“³⁾. Otóż źródłem tego „poetyckiego na świat spojrzenia“

¹⁾ Listy do matki. II, 219.

²⁾ Odyniec powiada, że w usposobieniu matki nie było nawet cienia ironii i pychy, właściwych poecie, a które, jak mówiono, miały być spuścizną po charakterze ojca, „tak jak niezawodnie po matce wziął on nerwową wrażliwość, bujną imaginację i w ogólności usposobienie poetyczne — z wyjątkiem wszakże kochającego jej serca i zapominania o sobie. Wspomnienia z przeszłości. 176.

³⁾ Juliusz Słowacki. Lwów. 1881. T. I. 114.

był mojem zdaniem szczególny stosunek Słowackiego do przyrody nadzwyczajna wrażliwość jego na wszystkie jej kształty i barwy, odcienia i tony i nadzwyczajna żywość tych wrażeń, która pozwalała mu obrazy dzieciństwa i młodości przechowywać przez całe życie z niezem nieprzycmioną świeżością i wyrazistością. „Dziesięć lat temu — pisał do matki z Florencyi w sierpniu 1838 — w tej właśnie porze czułem woń sosnowych lasów koło Oszmiany; jak to prędko przebiegło! Chciałbym kiedy o słońca zachodzie wjeżdżać z tobą, droga moja, przed dom ten żółty, drewniany, przed którym rośnie jarzębina, koralowemi gronami okryta, choćby tam już nikogo z dawnych nie było, to ja wszystko sobie wskrzeszę pamięcią“¹⁾. Czytając ten ustęp czujemy, z jaką żywością barw przypominany obraz występował w jego pamięci. Najdrobniejsze szczegóły otoczenia z czasów dzieciństwa przechowywały się tam najdokładniej. „Przychodzą mi na myśl te kamienie pod domem babuni, na które ja często patrzałem w dnie słotne, widząc jak krople wody dachowej wyjadają w nich żłobki i dziury; żłobki te jeszcze dziś widzę przed sobą, moje dziecinne oczy wmyślały się w nie głęboko“ (w styczniu 1845 II 220). Obok obrazu rodzinnego Krzemieńca najżywiej, z największą świeżością poetyckiego uroku przechowywały się w pamięci Słowackiego obrazy podolskiej przyrody, którą miał sposobność poznać z bliska, gdy jako kilkunastoletni chłopak jeździł z matką nieraz latem do przyjacielskiego domu Michalskich w Wierchowce. Tam to był ogród na cześć pięknej Julki Michalskiej, nazwany Julinkami, o którym nieraz poeta wspomina w swojej korespondencji i który pod nazwą Anielinek wprowadził do *Beniowskiego*. Tam to brzozy podolskie „szeptały mu dziwne rzeczy“, usposabiając do marzeń „o wielkich podolskich rycerzach“, tam to w szczególności roztańczająca pogodne błękity nad złotemi łąkami przyroda wydawała mu się harfą grającą:

cała natura oddycha

I gra jak harfa — choć zdaje się cicha.

Uczucie, którego przyszedł poeta doznawał na widok błękitno-okiej, słońcem ozłoconej, falistej i gajami ozdobionej przyrody było dziwnego rodzaju: zdawało mu się, że to jakaś żywa, swawolna

¹⁾ Listy do matki II 111. Dom, o którym tu Słowacki pisze, był to dom Jana Śniadeckiego w Jaszunach, dokąd poeta jadąc z Wilna do Krzemieńca nieraz zajeżdżał i gdzie się spotykał z Ludwiką Śniadecką.

czarodziejka, która go bawi swoimi czarami, ale sama ukrywa się przed nim i tylko z ukrycia woła na niego po imieniu:

Często, gdy stanął zamyślony w chłodzie,
Myślałem, że mię kto za ramię trąca,
Woła... ucieka... kryje się za drzewa,
Za kaskadami chowa się i śpiewa¹⁾.

Mickiewicz miał także głębokie poczucie przyrody i w niekniętej świeżości przechował wrażenia dzieciństwa, które się tak cudownie przełaziły w obrazy *Pana Tadeusza*, ale stosunek jego do przyrody był inny, niż Słowackiego. Jego heroiczny temperament nie pozwalał mu na lubowanie się w kontemplacji, na czysto estetyczne nasycanie się wdziękami przyrody. Dusza jego, napojona w dzieciństwie obrazami ojczyznej przyrody, raz tylko potem, w podróży krymskiej, otwarła się na nowe widoki, tak że zdołały one zapłodnić jego fantazję, ale i w Sonetach krymskich nie ma całkowitego oddania się przyrodzie, obrazy jej są tylko jakby akkordami do idei i uczuć, głucho tętniących w duszy poety. W późniejszych latach ani brzegi Renu, ani Szwajcarya, ani Włochy nie rozgrzały jego fantazji, nie wywołały natchnienia. Słowacki wszędzie i zawsze miał otwarte ramiona dla przyrody i o ile stronił od ludzi, o tyle dobrze mu było w obcowaniu z naturą. Jego chorobliwie wygórowany indywidualizm, nie znoszący innego indywidualizmu, nie mógł znaleźć klucza do serc ludzkich; były też dla niego przez całe życie zamkniętą księgą. Słowacki doskonale malował zewnętrzne poruszenia ludzi, ale do dna serca ludzkiego nie umiał sięgnąć. Przeciwnie natura otwierała przed nim wszystkie swoje skarby, śpiewała mu najpiękniejsze swoje pieśni. Te wiersze w pamiętniku Zofii Bobrowskiej:

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać,
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać,

nie były czczym frazesem, ale szczerą prawdą. Słowacki miał dla natury tę miłość, jakiej nie mógł w sobie znaleźć dla ludzi, a to, jak sądzę dla tego, że natura była bezosobową, że mógł w nią za-

¹⁾ Nieznane fragmenta i warianty *Beniowskiego*. — „Gazeta Lwowska“ 1902 Nr. 222. W swojej książce notatkowej Rkp. Bibl. Oss. liczba inw. 1792 Nr. 2 k. 128 Słowacki zapisał taką uwagę: „Wołanie po imieniu często przez dzieci słyszane w dzień pogodny“.

tem wkładać siebie samego, z nią zlewać się w jedno, na jej tle swobodnie snuć swoje marzenia. Ona go upajała jak wino. Z powodu pewnej wycieczki w okolice Florencji pisał w liście z 3 października 1837. „Piękne niebo błękitne, kryształowe powietrze jesienne, lasy sosnowe ogromne koło klasztoru, błękitne góry w odległości, zachwycenie oddechem spokojności mniszej, wszystko to upoiło mnie i w spokojne pogrążyło dumania“ (II 73). Przyroda nie ograniczała, nie krępowała w niczem jego indywidualizmu, niczem nie drażniła jego ambicji, stawała się jego własnością, państwem dla jego królującej myśli i kornie przynosiła mu w dani niewyczerpane bogactwo obrazów, które też w poezji jego stanowiły główny kapitał obrotowy. „Bardzo kontent jestem — pisał z Genewy we wrześniu 1834 po odbyciu podróży, której wrażenia miały się uwiecznić w poemacie *W Szwajcaryi* — że odbyłem podróż po górach tego roku. Obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; imaginacja moja, jak salon pałacowy, ustrojona jest nowymi malowidłami“ (I 260).

Była też przyroda dla Słowackiego czemś więcej, niż hołdowniczka, niosącą złoto i karmin barw swoich wielkiemu kolorysty; stawała się niekiedy, jak to sam uznawał, i mistrzynią jego i wierną pociesicielką po ciągłych drażniących i bolesnych starciach z ludźmi. „Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia — pisze po powrocie z Veytoux do Genewy w 1835 — były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnymi dźwiękami natury, widziałem ją z bliska błękitną albo chmurną“ (I 314). A kiedy w r. 1843, po całorocznej już gorączce transfiguracji, która nadwerżyła jego siły fizyczne a myśli jego oderwała od przyrody i rzuciła w kierunku mistycznych teorii towianizmu, znalazł się w bezpośrednim z nią zetknięciu nad brzegami oceanu w Pornie, jakże mu się miła, drogą i kochającą wydała ta zaniedbana przez jakiś czas od niego hołdownica, mistrzyni i kochanka. O żadnej kobiecie nie pisał nigdy z tak bezwzględem uwielbieniem, jak o niej. „A ta cała natura, gdybyś ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna, otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia; jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niej zapomniał! jak w płotach ćwierkaniem makolągiew,

wonią malin orzeźwiała mnie, zabraniała myśleć o trudzie, o ciąganiu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy! Jaka ona dobra i litosna dla strudzonych ludzi! Podziękowałabyś jej, że cię wyręczyła na miesiąc przy twoim synu“ (II 186).

Taki był stosunek Słowackiego do przyrody i do ludzi. Ludzie drażnili go, psuli mu jego marzenia, przyroda uspokajała i kładła się jego marzeniom pod stopy, widział w niej siebie, symbole własnych stanów duszy. Co się tyczy marzeń, przeobrażały się one w ciągu życia, zależnie od rozmaitych wpływów zewnętrznych, ale wypływały zawsze z jednego źródła, z zapatrzenia się w siebie, z zamknięcia się w najwygórowańszym indywidualizmie, a dokładniej mówiąc, z najczystszej egoizmu. Żywość wrażeń, bogactwo wyobraźni dawało mu od dzieciństwa poczucie swej genialności, wyższości nad otoczeniem, a najwyższym celem pragnień i marzeń tej genialności było przejrzenie się w szerokim jak morze, jak świat zwierciadła sławy. W tem, jak zobaczymy, tkwił tragizm życia Słowackiego. Przyroda, ku której się nachylał, której najlżejsze szmery i westchnienia rozumiał, nie mogła mu bić okłasków, otaczać wrzawą i blaskiem sławy, a serca ludzi, którzy mu jedynie dać mogli to, czego z takim wytężeniem pragnął, były dlań obojętne, bo nie umiał trafić do nich, bo ich nie rozumiał, bo im współczuć nie umiał.

Wychowanie Słowackiego w wysokim stopniu sprzyjało rozwojowi ambitnych marzeń i tej dążności do samoubóstwienia, która się stała głównym charakterystycznym rysem jego ducha. Jako na jedynaku, skupiały się na nim wszystkie promienie miłości i troskliwości obojga rodziców, póki żył ojciec, potem matki, która przez całe życie poety była jego opiekuńczym duchem. Już w czwartym czy piątym roku jego życia rodzice zapragnęli mieć portret swego ukochanego jedynaka, a zadania tego podjął się najznakomitszy wówczas malarz wileński, Rustem. Był też ten portret poniekąd symbolem przyszłych marzeń poety o apoteozie, przedstawiał Julka nie w naturalnej postaci dziecka, ale w postaci Amorka ze skrzydłkami u bioder i z łukiem w rączkach.

Gdy ojciec umarł, a matka wróciła do Krzemieńca, czuł jedynak nad sobą oprócz miłości macierzyńskiej, troskliwość i czułość dziadka i babki. Gdy matka wyszła drugi raz za dr. Bécu, i Julek znów przeniesiony do Wilna znalazł się wśród rozszerzonej rodziny, jako najmłodszy i jedyny reprezentant męski młodego pokolenia, nie przestawał być głównym przedmiotem pieczy i starań,

zwłaszcza, że odznaczająca się powierzchowność jego, wyraz inteligencji w twarzy i ogień w oczach i wcześniej objawiające się zdolności poetyckie wcześniej zwracały na niego uwagę wszystkich. Troskliwość starszych od siebie, a zupełnie obcych krwią córek ojczyma, Aleksandry i Hersylii, uwypatnił poeta w *Godzinie myśli*, pisząc, że jego włos czarny gęstym sypiący się pierścieniem

co dnia dziewic ręką gładką
Utreiony brał blaski dziewiczych warkoczy.

Jak był przyzwyczajony do tego, że się wszyscy nim zajmowali, jak drażliwy był, kiedy wyjątkowo spotykał się z obojętnością i jak obojętność taką uważał za naruszenie praw swoich, świadczy o tem wybornie ustęp z jego listu do Stattlera (z r. 1845), przypominający chwilę z czasów dalekiego dzieciństwa, kiedy jako małe dziecko bawił się w przytomności Jana Śniadeckiego i oburzał się w duchu na brak względów, brak szczególnej uwagi dla siebie ze strony tego potentata wileńskiego. „Przy tym człowieku, ja, dziecko igrałem jak przy wielkim posagu, ale ten lew brązowy zdawał się nie zważać na mnie, nie wiedzieć, nie czuć, że ja egzystuję na świecie; to też przekonany byłem, że jego oczy siwe nie widzą mnie, że jego ucho wyrazów moich nie słyszy i nieraz wrzał we mnie gniew“¹⁾.

Nie dziwnego, że takie dziecko roilo o wielkiej i sławnej przyszłości: „Pamiętam — czytamy w liście do matki z 1834 r. — że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli“ (I, 246). I w ośm lat potem skarżąc się, że go nuda ogarnia, że już marzenia mu nie wystarczają do zapełnienia samotności, z rozkoszą wspominał owe wieczory w dzieciństwie, kiedy to w świeczce jego „paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...“ „Gdybyś ty, droga, wiedziała, co ja tam śnił niegdyś w pokoiku moim naprzeciwko wież St. Michalskich, jakie kochanki, jakie korony i wieńce, jakie tysiączno-nocne wydarzenia i awantury na świecie“ (II, 156).

Jaką była ewolucja marzeń dziecięcych Słowackiego, sam poeta nam daje w tym względzie wskazówkę. W czasach głębokiego zanurzenia się w mistycyzmie pisał on wykład nauki w formie dyalogu pomiędzy mistrzem a uczniem i temu uczniowi, Helionowi, włożył w usta takie własne wspomnienia z dzieciństwa. „U do-

¹⁾ Listy J. Słowackiego, wyd. drugie, Lwów. 1883, T. II, str. 233.

statnich rodziców urodzony, cheiwy łakotek i cukierków, lubilem wystawę, księży, procesye, resurekcyę odbywające się przy ogniu wystrzałów, zwłaszcza gdy w księżycową noc widziałem księży wychodzących z krzyżem srebrnym na plac licealnego kościoła z pochodniami, z celebrantem, nad którym niesiono namiot złoty i jedwabny drogiemi perłami wyszywany... Gdy to wszystko przy blasku miesiąca, przy biciu dzwonów północnych, przy błyskawicowych ogniach moździerzy szło i śpiewało po placu, duch mój niby wylatywał ze mnie, klaskałem w ręce, a oczy moje dziecinne otwierały się szeroko pełne łez i skier radosnych... Ś. p. ksiądz Sobkiewicz, oprowadzający zwykle te procesye, widząc we mnie zapal do rzeczy religijnych, już przepowiadał, że księdzem zostanę, gdy oto nagle, z książeczką Tassa weszły we mnie nowe rycerskie zapęły i imaginacye. Odtąd więc już nie procesye, lecz wojny z różniennikami, jakieś koła hetmańskie, buńczuki, księżyce, szable sadzone turkusami snuły się po główce dziecinnej... Marzyłem o półrozbójniczym rycerskim żywocie, o ścinaniu chorągwi, o tryumfalnych wjazdach na rumaku tureckim do mego rodzinnego miasteczka... Potem ja... wziąłem się do malarstwa samym nazwiskiem kolorów, już jakoby elektrycznie wstrząsany¹⁾.

W tych samych mniej więcej czasach w liście do matki (10 września 1845) wspominał Słowacki o jednym z dawnych znajomych (Pawle Jarkowskim, świeżo wtedy zmarłym), który jak z listu widać, musiał w rozmowach z matką przypominać różne szczegóły z dzieciństwa poety. „Dla czegoż on nie wiedział o tem matematycznie, że ja przyszedłszy na świat, a mając lat sześć, koniecznie musiałem się ubierać w ornaty i mszę odprawiać?... dla czego nie wiedział, że po takim śnie w duchu moim koniecznie potem drugi sen Achillesowy i bicie się na tarczy blaszanej nastąpi? Dla czego nie wiedział, że potem ja muszę koniecznie rzucić zbroję tak, jakem był ornaty porzucił a wziąć się do malarstwa... Gdyby te trzy rzeczy i następstwo onych po sobie był zgłębił, byłby wiedział, co ja za jeden i skąd przyszedłem, i co uczynię... a tak dziwił się tylko fenomenowi i uważał go, ten jednak wniosek uczyniwszy, że jestem dzieckiem nad dzieci mego wieku więcej wiedzące i pełniejsze niespodziewanych błyskawic...” (II 241).

¹⁾ Wykład nauki w wydaniu H. Biegeleisena. J. Słowacki. Warszawa, bez roku wydania, str. 197—198.

Nie chodzi mi tym razem o mistyczne znaczenie następstwa trzech rzeczy wymienionych w tym ustępie, ale tylko o stwierdzenie przez samego poetę tego następstwa. Więc naprzód wyobraźnia jego była olśniona i pociągnięta blaskiem obrzędów kościelnych i dzięki temu, jak zarówno zapewne dzięki sferze rodzinnej w Krzemieńcu, był on w pierwszych latach dzieciństwa, jak sam w pamiętniku powiada, „zapalenie nabożnym“ (I 18) i chciał się blaskiem pobożności, naturalnie zewnętrznej, odznaczyć. Potem trafiła do jego wyobraźni Iliada w przekładzie Dmóchowskiego i Jerozolima wywołana w przekładzie Piotra Kochanowskiego i zapaliły go żądzą bohaterskiej sławy i chciał on naśladować Achillesa w zapasach z nieznanymi nam rówieśnikami¹⁾. Potem „wziął się do malarstwa“, to jest zaczął roić o sławie malarskiej. Brat jego matki, Teofil Januszewski, młodzieniec jeszcze w czasach dziecinnych Słowackiego, uczył się wtedy przez czas jakiś w Wilnie malarstwa i miał swoją pracownię i poeta w jednym z listów do matki (19 lipca 1845) przypomina, że to on „w ciemnej malarni swojej wileńskiej“ wiele mu „snów o Rafaelu nastęrczył“ i że w jego małym pokoiku czuł „jakiś zapach niewymówiony dawnego artystycznego włoskiego żywota“. Dopiero po tych trzech „snach w duchu swoim“, mówiąc mistycznym językiem Słowackiego, po tych trzech różnych próbach dążenia do blasku sławy, stanął przyszły poeta na stopniu, z którego odkrył się przed nim ostateczny cel jego dążeń: sława poeticka, wielka, niezmierzona, wszystkim jak słońce nad światem widzialna i wszystkich olśniewająca.

Kiedy nastąpiła ta ostatnia ewolucja, dokładnie oznaczyć trudno, można się domyślać tylko, że już „po snach o Rafaelu“, ale samo dążenie do sławy takiej czy innej, sam pęd w górę do wyniesienia się nad światem sięgał zapewne pierwszych czasów budzenia się inteligencji i świadomości w dziecku. Co zaś najwięcej zadziwia w tem wczesnem dążeniu, to fakt parokrotnie przez poetę przytaczany i którego prawdziwości nie mamy powodu podejrzewać, że poecie, gdy był dzieckiem, chodziło przedewszystkiem o sławę pośmiertną, a więc o sławę wieczną, nieśmiertelną, i że dla niej

¹⁾ P. Hösick nie zrozumiał przytoczonego ustępu z listu Słowackiego, gdy pisał (I 55): „Iliada go zachwycała tak, iż spać nie mógł, tylko marzył o Achillesie i Hektorze, którzy mu się śnili, gdy usnął“. Wyrażenie „sen Achillesowy“ w liście Słowackiego użyte jest w znaczeniu symbolicznem, oznacza obraz symboliczny, mistyczną przepowiednię, nie zaś sen rzeczywisty.

gotów był wszystkie blaski i tryumfy tego świata poświęcić, nie przeczuwając zapewne, jak trudno mu będzie wytrwać w tej roli. „Pamiętam — pisał w pamiętniku drukowanym przy listach do matki (I 18) — że będąc małym dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz: O Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w moim życiu. Tak się modliłem, przekonany jestem, że zły duch pochwycił moje przymierze; to, co ma być w życiu, już się spełnia... to, co ma być po śmierci... być musi“. Tak pisał w roku 1832, a w trzynaście lat potem jeszcze dokładniej ten fakt przypominał w liście do matki: „Droga moja! ja ośm lat mając, przysięgałem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, a za to za grobem o wszystko się upomnę“ (II, 218). Z tych wynurzeń wynika, że „zapalona pobożność“ dziecka za cel najwyższy miała nie zbawienie duszy, nie dostanie się do raju, ale raj wiekistej sławy ziemskiej, i że już przed ośmioletnim chłopcem płonęła pełnym blaskiem ta gwiazda, przewodniczka całego jego życia. Tak wczesną tedy była w nim ta tak zwana przezeń „anielskość“ jego, którą wcielił potem w Anhellego, która, w miarę rozwoju pojęć albo raczej marzeń jego, nabierała rozmaitego znaczenia, ale która początkiem swoim sięgała owego wzgardzenia wszystkich dóbr ziemi dla sławy¹⁾.

¹⁾ Zachodzi tu pewna chronologiczna wątpliwość na razie trudna do rozwiązania. Ze wzmianki o katedrze i o ośmiu latach trzeba wnosić, że żądza sławy w całej swej potęgze zbudziła się w chłopaku za powtórnym jego przybyciem do Wilna, kiedy matka jego wyszedłszy powtórnie zamąż za dr. Bécu, opuściła powtórnie Krzemieniec. Kiedyż to się stało? Poeta w czwartym rozdziale swego pamiętnika, pisanym jeszcze w r. 1831, a więc w kilkanaście lat tylko po owym wypadku, podał datę ślubu matki i wyjazdu do Wilna na sierpień 1817 (I, 1). Ponieważ się urodził w sierpniu 1809 roku, miał więc w czasie wyjazdu powtórnego do Wilna równo lat ośm, ze wszystkich więc świadectw jego wypadłoby, że owa chwila układu z Bogiem o sławę pośmiertną przypada na pierwsze czasy jego powtórnego przyjazdu do Wilna, na koniec roku 1817. Można by myśleć nawet, że wspaniałe obchody żałobne na cześć Kościuszki, które się w grudniu 1817 roku odbyły w Wilnie, a takim blaskiem otoczyły pamięć zapomnianego przez wiele lat bohatera, że te obchody odegrały pewną rolę w sprawie przymierza przyszłego poety z Bogiem. Ale te kombinacje psuje wiadomość, podana przez p. Meyeta w przypisku do pamiętnika Słowackiego, że według wypisu urzędowego aktu ślubnego ślub dr. Bécu z matką poety odbył się w sierpniu nie 1817 ale 1818 r., że zatem i powtórny przyjazd do Wilna Słowackiego nastąpił dopiero w sierpniu 1818 roku. W tym czasie miał już Słowacki lat 9, więc jeżeli naprawdę jako

Jakkolwiek nie można zupełnie szczegółowo oznaczyć daty, kiedy w sercu przyszłego poety zbudziła się żądza sławy z potęgą namiętności, tyle przecież napewno można twierdzić, że chwila ta przypadła na czasy, kiedy wśród wileńskiej młodzieży uniwersyteckiej, a więc w sferze, mającej zbliżać otoczyć dom matki poety, zaczęły się objawiać dwa prądy wielkiego znaczenia dla przyszłości: filaretizm i romantyzm. Okres rozwoju i największego wybudzenia obu prądów w Wilnie aż do katastrofy, która rozmiotła po świecie najznakomitszych filaretów i romantyków, obejmował lat pięć do sześciu (od 1818 do 1824). Na początku tego okresu Julek Słowacki miał lat dziewięć, więc jakkolwiek udział jego w początkach filaretyzmu był niemożliwy, ale przy końcu liczył lat piętnaście, a więc już wtedy prąd filarecki łatwo mógł dotrzeć do niego i poruszyć go¹⁾. Czy go poruszył? Pamiętnik jego doszedł do nas w urywkach i brak w nim rozdziałów, odnoszących się do owego okresu, więc nie dziwnego, że w urywkach pamiętnika niema o tem żadnej wzmianki, ale to zastanawia, że ani z obfitej poezji jego, ani z obfitych wspomnień listownych nie pada ani jeden promień na stosunek jego do ruchu filareckiego.

Po roku 1832, po ukazaniu się trzeciej części *Dziadów*, gdzie jego ojczymowi haniebna dostała się rola, wspomnianie tego ruchu i związanych z nim wypadków mogło być zapewne dla poety przykrem, ale że do ukazania się tego poematu nigdzie u Słowackiego niema śladu wrażenia temi wypadkami wywołanego, zdaje się to wyraźnie świadczyć, że był obojętnym dla tego ruchu. Potwierdzają to ubocznie późniejsze okoliczności, n. p. ta, że kiedy w roku 1827 miał się odbyć spóźniony chrzest jego wraz ze chrztem idącej wówczas zamąż Hersylii Bécu, poeta zgodził się na to, aby jego ojcem chrzestnym był Pelikan, prawa ręka Nowosilcowa w Wilnie. Słowacki miał wtedy lat 18 i niepodobna przypuścić, ażeby matka,

ośmioletni przysięgał nie prosić Boga o nie przed grobem, to stało się to jeszcze w Krzemieńcu. Ale w Krzemieńcu nie było kościoła katedralnego, trudno zaś przypuścić, aby Słowacki, który tak żywo miał w pamięci obrazy swego dzieciństwa, pomylił się w tym względzie. Prędzejby można przypuścić, że pomylił się w liczbie lat, choć i to byłoby rzeczą dziwną w człowieku, który od lat najmłodszych tak był sobą zajęty, taki miał kult dla samego siebie. Sądzę, że należałoby sprawdzić datę wypisu urzędowego, bo i daty takich wypisów nie zawsze, jak wiadomo, bywają prawdziwe.

¹⁾ Trzeba dodać, że nauczycielem Julka przez jakiś czas był jeden z filaretów, Józef Massalski.



która tak we wszystkim starała mu się dogodzić, bez jego zgody narzucała mu jakiegokolwiek ojca chrzestnego. Brał też w owym czasie udział w wielkim balu, wydanym dla Nowosilcowa, a nawet z łaski Pelikana mieszkał jakiś czas wraz z matką w mieszkaniu pana senatora¹⁾. Prawda, że ani Nowosilcow, ani Pelikan nie nosili jeszcze na sobie tego piętna, jakie na nich wycisnęła potem trzecia część *Dziadów*, ale że młodzieńca nie odstręczało od tych ludzi, świadczy to, że filaretyzm nie znalazł echa w jego sercu.

I w istocie rzecz to zupełnie zrozumiała, że hasło filareckie „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“ nie mogło trafić do nawskroś egoistycznej natury młodzieńca, który sobą tylko był zajęty, którego serca żadna „złota nić“ nie wiązała z sercami innemi. Stosunek z Ludwikiem Szpicnaglem, towarzyszem szkolnym, choć nie z jednej klasy, nie stanowi przeciwnego dowodu. Nie było tu „nici złotej“; główną rolę i tutaj grała ambicja, zadowolona ze ścisłego stosunku z towarzyszem „większym nauką i laty“, przy którego pomocy Julek mógł wspinać się myślą wysoko ponad zwykły dziecinny zakres wyobrażeń. Obraz tego stosunku i wogóle czasów szkolnych, podany przez samego poetę w *Godzinie myśli*, potwierdza brak owej złotej nici w przyszłym poecie. On i jego starszy towarzysz przedstawieni tu są, jako „niezmieszani w tłumie“ i „oba we współzawodnej wykarmieni dumie“. Stosunek ze starszym, excytrycznym, o marzyielskim, wertherowskim nastroju młodzieńcem, jakim był Szpicnagiel, mógł się przyczyniać tylko do zaniku uczuć koleżeńskich w Słowackim. On, którego starszy „nauką i laty“ towarzysz wtajemniczał w mistyczne teorie Swedenborga i w swoje zamiary wędrówki po „wschodnich krainach“, który idąc za przykładem tego towarzysza, lubował się w różnych ekscentrycznościach, tem wyższym czuł się od swoich kolegów-rówieśników, tem mniej lgnął do koleżeńskiej fali.

Co się tyczy romantyzmu, który zakwitnął w Wilnie w czasach szkolnych Słowackiego, dla tego kierunku młodzieńca, rojący o sławie a bujną obdarzony wyobraźnią, nie mógł być obojętnym, i jeżeli wahał się jeszcze w wyborze drogi do sławy, to niewątpliwie blask nowej poezji musiał go stanowczo pociągnąć na tę drogę, którą sobie obrał na całe życie. W r. 1822 wychodzą w Wilnie *Ballady* Mickiewicza, w r. 1823 *Grażyna* i *Dziady*; trzynastoletni

¹⁾ Listy p. Bécu do Odyńca. Przewodnik nauk. i lit. str. 1159 i 1240.

chłopak jest świadkiem niebywałego tryumfu nowej poezji wśród młodego pokolenia, a sam czując w sobie bogactwo wyobraźni, czuje też, że na tej właśnie nowej drodze najłatwiej potrafi swem bogactwem świat olśnić i zadziwić. I tu — rzecz naturalna — uwaga jego zwrócić się musiała naprzód na Mickiewicza; jego namiętna żądza sławy miała wytknięty najbliższy cel przed sobą: ażeby się stać najsławniejszym na całym świecie poetą, trzeba było naprzód prześcignąć tego, który się stawał najsławniejszym z młodych poetów w Polsce. Wiadomo, że w kilka lat potem, na wiadomość o śmierci Goethego, przyznawał się Słowacki w liście do matki¹⁾ do myśli, że Bóg zabrał największego z poetów europejskich, ażeby zrobić miejsce dla niego.

Że marzący o wielkiej sławie chłopak już zaraz w pierwszych latach po ukazaniu się poezji Mickiewiczowskiej próbował sił swoich poetyckich, mamy o tem wyraźną wiadomość nie tylko z wątpliwych nieraz wspomnień Odyńca, zawartych w Listach z podróży, ale i z własnych ust Słowackiego. W liście do matki z 10 listopada 1842²⁾ mówi poeta, że Mickiewicz w swojej sławnej improwizacji na uczcie, którą dlań urządzono w dzień imienin 1840, przypomniał, jak mu matka Słowackiego „dawno, dawno“ pokazywała małe próbki poetyckie swego syna i jak on już wtenczas przepowiedział matce, „że jego (Słowackiego) wielka i świetna czeka przyszłość“. Z tych próbek nic nie znamy. Że musiały nosić na sobie piętno niepospolitego talentu, świadczą o tem przytoczone słowa Mickiewicza; można się też domyslać, że były w balladowym duchu i kierunku pisane. Jeżeli się zaś nie przechowały, jeżeli kilkunastoletniego chłopaka chętka rozgłosu nie pociągnęła do umieszczenia ich w jednym z pism wileńskich, gdzie je łatwo można było umieścić, gdzie już towarzysz jego marzeń Spitznagel drukował swoje utwory, to objaśnia się to nadzwyczajną drażliwością młodego poety na ujemne sądy ludzkie. Nie śpieszył się on z drukiem swoich utworów, póki nie miał pewności, że blaskiem zaimponują, i jeżeli nie zaćmią innych, to przynajmniej same zaćmić się nie dadzą. Trzeba tak wnosić z różnych uwag matki jego w Listach do Odyńca, a w szczególności z tej obawy jej, aby Julka „na śmieszność nie wystawić, bo to pierwszy krok zrobić na świat a źle, to boleśnie i uraża młodego chłopca“³⁾.

¹⁾ Listy I, 96.

²⁾ II, 148.

³⁾ Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 825.

Najdawniejszym ze znanych utworów Słowackiego jest *Duma Ukraińska*; pisał ją Słowacki w Wierchówce na Podolu podczas wakacji letnich 1826, mając lat 17. Był to pierwszy utwór, który odważał się puścić w świat dalszy, do Warszawy, i to nie dając jeszcze pozwolenia na druk, ale zapewne dla wybadania, jakie wrażenie zrobi na Odyńcu i kole jego znajomych literatów warszawskich. Była to rzecz charakterystyczna, że młody poeta występował, a przynajmniej gotów był wystąpić poraz pierwszy przed światem z utworem na temat ukraiński. Utwór jego, wysnuty z przędzy wrażeń i reminiscencji, których mu dostarczyła *Marya* Malczewskiego i dumki Bohd. Zaleskiego, nie stawał jeszcze do zmierzenia się z poezją Mickiewicza, tylko z poezją tych, których łatwiej można było prześcignąć. Było w tem także świadome czy nieświadome zajęcie stanowiska prowincjonalnego, odmienne od tego, jakie zajął Mickiewicz. Pomimo, iż znacznie większą część swego życia dotychczas spędził w Wilnie, nie stawał Słowacki w szeregu litewskich poetów, ale na ukraińskim skrzydle poezji. Do tego skrzydła, prócz wyżej wskazanych względów, mogły go ciągnąć inne jeszcze rzeczy: wpływy sfery krzemienieckiej, która obok szkoły humańskiej, była kolebką polsko-ukraińskiej poezji, która wydała Malczewskiego, Zaborowskiego, Padurrę, Gosławskiego a później Olizarowskiego; a także znajomość z ludową pieśnią ruską i zamilowanie matki w tej pieśni¹⁾.

Niebawem ukazują się *Sonety* Mickiewicza i dostają się do Wilna. „Nie bardzo się tu ogólnie podobają“, pisze pani Bécu do Odyńca²⁾, nie przeszkadza to jednak, że Julek, korzystając z tego, że lekarze radzą o wzmocnieniu jego wątłego zdrowia, marzy o podróży do Krymu i zachwycony jest jej projektem, a następnie pisze sam sonety, które układem i tonem tak zbliżają się do Mickiewiczowskich, że matka coraz śmielej wychwala poezję syna, powtarzając, iż jest „niepospolitym człowieczkiem“. Ani poezja filarecka, ani poezja *Dziadów*, o ile wiemy, nie wywołała echa z młodzieńczej duszy Słowackiego, bo nie znajdowała tam nic pokrewnego;

¹⁾ Z Paryża 20 paźdz. 1831 pisał do matki: „Sowiński niejaki wydaje pieśni ukraińskie i polskie ludu, z tłumaczeniem francuskim, w którym się na sentymentalną muzykę zamieniają. Kobiety tutejszym niezmiernie się „Hryć“ podoba, także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że Mama ją lepiej ułożyła...“.

²⁾ Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 825.

dokazała tego poezja *Sonetów*, dzięki swoim tonom bajronicznym i obrazom przyrody.

Poezja Bajrona załatywała Słowackiego już dawniej, ale nie znał jej jeszcze zbliska, ze źródła. Na dobre zaczął się uczyć po angielsku dopiero po ukończeniu uniwersytetu 1828, podczas półrocznego pobytu w Krzemieńcu, bo w całym Wilnie — jak utrzymywał — nie było nikogo, od kogo by się można było po angielsku nauczyć¹⁾. Ale że już przedtem czuł pociąg do jego poezji i do samej postaci Bajrona, to rzecz pewna. Wiemy, że miał sposobność jeszcze w Wilnie zaznaczyć się z życiem poety i musiało mu to sprawiać wielką przyjemność, gdy matka „czytając o pierwszych latach Bajrona, znajdowała wiele podobieństwa do Julka“²⁾. Można przypuszczać, że i Ludwika Śniadecka, starsza o kilka lat od poety synowica wielkiego Jana, w której się Słowacki kochał, odegrała pewną rolę w skierowaniu młodzieńca ku poezji bajronskiej, wiemy bowiem ze Wspomnień Odyńca, że była „na ton bajroniczny nastrojona“³⁾. Miłość ku niej zostawała w ścisłym związku z nastrojem bajronicznym młodego poety. Dla swego horyzontu poetycznego potrzebował on takiej właśnie postaci, jak Ludka, a jej obojętność dla niego była tylko ostrogą dla jego ambicyi. Jak wielką rolę próżność grała w tej młodzieńczej miłości, świadczy o tem najlepiej jego późniejsza korespondencja z matką⁴⁾.

Jeszcze przed opuszczeniem na zawsze Wilna i rozstaniem się na zawsze z Ludką, poznał Słowacki nowy poemat Mickiewicza: *Konrada Wallenroda*. „Julek i ja ciekawi jesteśmy poematu Mickiewicza — pisze p. Bécu do Odyńca 23 lutego 1828 — Julek prenumerował, a ja się cieszę, że będzie z portretem Mickiewicza“⁵⁾. Już w połowie następnego miesiąca był egzemplarz *Wallenroda* w rękach matki Słowackiego w Krzemieńcu. Rzucono się tu na niego cheiwie, wynajdowano „między tysiącem piękności tyleż niepiękności“, zarzucano „brak delikatności czy smaku“. Zarzuty pochodziły głównie od Hersylii Bécu, która była już wtedy wujenką poety, żoną Teofila Januszewskiego. Pani Bécu nie wiedziała dobrze, co

¹⁾ Listy I, 20. „Profesor, dający ten język w uniwersytecie, tak dawał, że sami Anglicy nie poznaliby, jakim on mówił językiem“.

²⁾ Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1156.

³⁾ Wspomnienia z przeszłości 171.

⁴⁾ Listy do matki. T. I, str. 112 i 144.

⁵⁾ Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1273.

sądzić o nowym poemacie i rada była wiedzieć, co publiczność warszawska sądzi o nim, a w parę tygodni potem już wstydziła się tego, co przedtem napisała o *Wallenrodzie* i prosiła Odyńca o spalanie kartki, gdzie były sądy o tym poemacie¹⁾. Łatwo sobie wyobrazić, że z większą jeszcze chciwością rzucił się na poemat Słowacki, jako na utwór poety, którego uważał za głównego swego współzawodnika. Uwagi, które nakreślił ołówkiem na swoim egzemplarzu, są późniejszego o trzy lata pochodzenia, pozwalają jednak, przynajmniej po części, odtworzyć wrażenie, jakie powieść krzyżacka wywarła na nim przy pierwszym jej poznaniu. Wskazują one, jak szczegółowo analizował styl utworu, jak brał na wagę estetyczną każde niemal wyrażenie, jak wyszukiwał błędy gramatyczne; z drugiej strony świadczą, że poemat wielu ustępami, a w szczególności Powieścią Wajdeloty wielce mu zaimponował.

Jednym z godniejszych uwagi szczegółów tej krytyki ołówkowej jest to, co zanotował o charakterystyce *Wallenroda* w poemacie: „całe opisanie charakteru nie nowe“. Słowacki, który wkrótce po ukazaniu się *Wallenroda* zaczął się uczyć po angielsku i już „we trzy miesiące dosyć rozumiał Byrona“, bystro dostrzegł pewnego pokrewieństwa Konrada z bohaterami Bajrona, a więc pewnego naśladownictwa i ta słaba strona utworu współzawodnika mogła go ośmielać i zachęcać do zmierzenia się z nim w jakiejś podobnej romantycznej powieści. Z tej zachęty i z tego pragnienia: prześcignąć *Wallenroda* w duchu bajronicznym — wypłynął cały szereg postaci poetycznych Słowackiego: *Hugo, Mnich, Jan Bielecki, Arab* i *Żmija*, pisanych w ciągu dwóch lat, od 1829 do 1831.

Po ukończeniu uniwersytetu i półrocznym pobycie w Krzemieńcu, Słowacki, stosując się do życzeń matki pojechał do Warszawy, aby tam w jednym z biur (w komisji skarbu) „robić karierę cywilną“. Pierwotnie zamiary matki były inne: „Matka moja exaltowana — pisał Słowacki w Pamiętniku — roila sobie ciągle, że skoro ja ukończę nauki, to ze mną na wojaż pojedzie“. Ale ta myśl nie uśmiechała się młodzieńcowi nastroszonemu bajronicznie, który pragnął jakiegoś wojażu podobnego do wędrówek Childe-Harolda, a nie spokojnej i powolnej podróży od miasta do miasta. „Myślałem o nim (wojażu) zawsze, jako o poetycznej pustyni, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzuconym będę... Wszystka zaś

¹⁾ Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1275—76.

poetyczność znikła, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką — byłbym wtenczas jak dobrodusza osoba, odpowiadająca świętej pielgrzymce, nie nadspodziewanego, nie dzikiego w moim życiu“...¹⁾. Naturalnie młodzieniec, pozujący na Harolda lub Korsarza, wydawałby się śmiesznym sam sobie, podróżując pod opieką matki. Jej czułość i troskliwość, przy tym bajronicznym nastroju, były mu natrętne. „Matka wymagała odemnie ciągłej otwartości i zwierzenia się... to być nie mogło... Wymagała tego odemnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i lzy pożerać w milczeniu, stąd ciągle jej skargi i nudzący mnie płacz, i wychowany między kobietami pragnąłem jak najprędzej z rąk ich się wyrwać i być samotnym“.

Szukanie kariery cywilnej w Warszawie dało mu sposobność wyrwania się z rąk matki i rozpoczęcia samodzielnego życia. Wabiła go przytem Warszawa, jako główne naówczas ognisko życia literackiego polskiego, główna arena ścierania się nowych prądów literackich z dawnymi. Ale te początki samodzielnego życia były ciężkie i przykre. Towarzyska Warszawa nie rozochociła nietowarzyskiego i zamkniętego w sobie z marzeniami o sławie młodzieńca, a praca biurowa, do której łatwo znalazł przystęp (była to bezpłatna aplikacja, która dopiero po paru latach miała go doprowadzić do stałej, płatnej posady), ciążyła kajdanami na jego marzycielskiej duszy. „Przy zielonym stoliku komisji skarbu większą część dnia przepędzałem. Pamiętam, że mnie wtenczas jakaś rozpacz ogarnęła... zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tem biurze pracować“. Co za kontrast był między świetnymi obrazami szczęścia, bogactwa i sławy, które snuł pod niskim sufitem studenckiego pokoiku w Wilnie, a tą szarą, powszednią, wśród martwych cyfr obracającą się pracą biuralisty.

Melancholiczne usposobienie wzmogła jeszcze uporeczywa febra, która trapiła poetę przez całe lato 1829 r. i wyniszczała i bez tego wątłe jego siły fizyczne. „Okropne gorączki paliły mnie po każdym paroksyzmie, a wtenczas, leżąc twarzą na sofie, marzyłem o różnych poematach — i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić i wracały zawsze, a krew bijąca w skronie coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy“. Miało to silny wpływ na gorączkowy koloryt jego poezji ówczesnej, i sam poeta powiada, że jego powieść

¹⁾ Listy I, 21.

Mnich była utworem jednej z takich gorączek, choć napisana dopiero w kilka miesięcy później. Można też powiedzieć, że ta gorączka witająca poetę u progu samodzielnego życia, była jakby symbolem, wróżbą tej gorączkowości, która cechowała całe niemal życie Słowackiego i poezję.

Pierwszym poematem jego, który poeta uważał za godny puśczenia w świat, był *Hugo*, drukowany w *Meliteli* warszawskiej na r. 1830. *Hugo* był kombinacją rozmaitych reminiscencji z *Grażyny*, *Konrada Wallenroda* i poezji bajrońskiej. Poza tą kombinacją niema tu jeszcze nic własnego poety. To co Słowacki pisał o matce swojej w Pamiętniku: „Tworzyła sobie nieznacznie z tysiąca myśli przeczytanych i zapomnianych nową myśl“¹⁾ daje się dobrze zastosować do bardzo wielu jego utworów, a najbardziej zapewne do *Hugona*. Co jest jednak charakterystyczne, że do tej kombinacji Słowacki wciągnął z Mickiewicza tylko szczegóły, któreby można nazwać dekoracyjnymi, ani trochę zaś pierwiastku patryotycznego, który tak żywo tętni w *Grażynie* i *Wallenrodzie*. Na licytację patryotyczną jeszcze był czas nie nadszedł. Jego bohaterka w *Hugonie* przebiera się w strój męski, jak Grażyna, i ginie, jak tamta, ale nie z pobudek patryotycznych; Hugo ściaga na siebie wyrok trybunału tajemnego, jak Wallenrod, ale dlatego tylko, że wykradł zakonnicę. Osia pomysłu *Hugona* jest sytuacja wzięta z Bajrońskiego *Lary*, którą szczególnie upodobała fantazja Słowackiego: kochanka w przebraniu pазia towarzysząca bohaterowi. Można by myśleć, że Słowacki w swoim poemacie chciał rozwiązać zagadkę *Lary*, przez Bajrona nierozjaśnioną. Ta sytuacja tak opanowała wyobraźnię Słowackiego, że wprowadził ją znów potem do *Lambra*, a co ważniejsza, że w kilka lat potem przychodziła mu chętka wprowadzić ją w życie. „W podróży mojej wschodniej — pisał do matki 3 października 1837, żałowałem trochę, że nie jestem dobrze złotem nadziany, bo mi przychodziła myśl romansowa: kupić na rynku kairskim ładną Abisynkę, przebrać ją za pазia i być nowym Larą, z nową Gulnarą, ale nie mogłem tego uczynić i dobrze się stało dla zbawienia duszy mojej... Wyznam ci jednak, że to było jedyne i istotne zachcenie na Wschodzie. Zdawało mi się nawet, żebym kochał szalenie tak nieszczęśliwą dziewczynkę, któraby nikogo oprócz mnie na ziemi nie miała“²⁾.

¹⁾ Listy. T. I, 21.

²⁾ Listy II, 75.

Słowacki tak był wrażliwy na krytykę, że swój poemat puścił bezimiennie. *Hugo* wywołał parę głosów krytycznych, z których jeden był ogólnikowo zachęcający, drugi z lekceważeniem odzywał się o bezimiennym utworze. „Jakiś bezimienny umieścił w *Meliteli* powieść krzyżacką, wiernie przypominającą *Wallenroda* i nieoddzielną cechą naśladownictwa — niedołężność“¹⁾. A więc spychano go ze szczebla, na którym chciał stanąć obok Mickiewicza.

Ogłaszając *Hugona*, Słowacki był już autorem tragedii *Mindowe*, otwierającej długi szereg jego utworów dramatycznych. Wydając tę tragedię w parę lat potem, w zbiorze swoich poezji, traktował ją jako utwór dziecinny i tylko „dziecinne“ przywiązaniem swoim do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego tłómaczył jej ogłoszenie. Ale w r. 1830 innemi na ten utwór spoglądał oczyma i roіл niewątpliwie, że postawienie jej na scenie mogłoby mu odrazu zdobyć blask sławy. Chodziło o aprobatę jakiejś wielkiej powagi, któraby tej tragedii wstęp na deski teatralne ułatwiła lub przynajmniej dała zachętę do ogłoszenia drukiem. Taką powagą był Niemcewicz, do niego więc, do jego wiejskiej siedziby w Ursynowie, wybrał się pewnego razu Słowacki w towarzystwie jednego z młodych znajomych sędziwego poety, aby mu odczytać to, co uważał za najlepszy ustęp swojej tragedii, t. j. akt trzeci. Ale i tu spotykał go zawód, jakkolwiek osłodzony pochwałami ze strony starego Niemcewicza. Weteran poeta przyznał Słowackiemu — według sprawozdania tego ostatniego — „wielki talent“, ale uważał, że tragedia nie może być grana i powinna czekać w rękopisie szczęśliwszych czasów.

Niebawem Słowackiego, który dzielił swój czas pomiędzy nudną pracę biurową a tworzenie ultra-bajronicznych poematów, zaskoczyło listopadowe powstanie. Ze wszystkiego można wnosić, że wybuch powstania był dla niego niespodzianką; przedewszystkiem tak sądzić należy z nastroju jego utworów poetycznych, które ten wybuch poprzedziły: nie było w nich nic patryotycznego. Ale zawrotny zapal, który w pierwszych dniach powstania ogarnął Warszawę i towarzyszące mu nadzieje złudne, rozgrzały fantazję Słowackiego i zwróciły ją w kierunku patryotycznym. Odkrywała się przytem sposobność pozyskania wśród rozgorączkowanych tłumów wielkiego rozgłosu i niejako zastąpienia Mickiewicza, który był

¹⁾ Hörsick: Życie Jul. Słowackiego. I, 338—339.

daleko i nie mógł pieśnią swoją przewodniczyć powstaniu. I oto zaraz w pierwszych dniach po wybuchu Słowacki pisze *Odę do wolności*, *Hymn do Bogarodzicy*, *Kulig* potem *Pieśń legionu litewskiego*. *Kulig* ma formę pożyczoną od Malczewskiego ze śpiewu masek w *Maryi*; w trzech innych pełno reminiscencyi Mickiewiczowskiej poezyi, mianowicie *Ody do młodości*, wiersza *Do Lelewela*, a potroszę i *Hymnu na Zwiastowanie*.

Te cztery grzmiące pobudki powstańcze, z których najbardziej efektowny *Hymn do Bogarodzicy* sprawiał najsilniejsze wrażenie, wyniosły Słowackiego nagle na szczyt jego marzeń, zrobiły go sławnym poetą. Ale wyżyna, na której się znalazł tak nagle i niespodziewanie, miała swoje niebezpieczeństwa, które bardzo prędko spostrzegł poeta. Temu, który tak mocno uderzał w dzwon wolności i tak głośno wołał: do broni! nie było do twarzy siedzieć z założonemi rękami, gdy wszystka młodzież śpieszyła na pole bitwy. Jego chwilowy zapal, w który go wprawiała gorączka pierwszych dni powstania, wystrzelił jak rakietą i zagasł, nie znajdując w duszy poety nie, co by go podsycać mogło. Zostały niczem niestłumione marzenia o sławie, został instynkt samozachowawczy i ten mu nakazał wyjechać z Warszawy za granicę, pomimo iż sam poeta czuł, że taki wyjazd, w takiej chwili, był niczem innem, jak ucieczką ze stanowiska.

Chcąc należycie ocenić szczerłość późniejszych patryotycznych utworów Słowackiego, nie można zapominać o tej próbie jego patryotycznego zapalu. Sytuacja jego była zupełnie inna, niż Mickiewicz. Mickiewicz był zdaleka od kraju, kiedy powstanie wybuchło, Mickiewicz nie rzucał pieśni wzywających do broni. Nie może też i to usprawiedliwiać Słowackiego, że matka trwożna o jego życie, pragnęła, aby syn trzymał się zdaleka od widowni wojennych wypadków. Sam poeta nie był pewny, czy skwapliwe spełnienie jej życzenia nie wywoła w głębi duszy tej romantycznie nastrojonej niewiasty jakiegoś niemiłego wrażenia. „Dopełniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się — pisał z Wrocławia, pierwszego etapu swej podróży — wyjechałem za granicę i teraz z wielkim strachem oczekuję listu od kochanej Mamy, nie wiedząc, czy mój wyjazd podoba się Mamie, czy nie“¹⁾. Przyznawał się tu i naiwnie i szczerze, że nie miał

¹⁾ Listy. I, 34.

wcale ochoty brać udziału w ruchu powstańczym, do którego innych tak gromko powoływał; ale już z Drezn, gdzie się spotkał z Odyńcem, przed którym musiał swój wyjazd z Warszawy tłómaczyć inaczej, wszystko zapewne zwalając na matkę — już z Drezn pisał: „Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci“¹⁾. Tych to słów nieszczerłość musiała wywołać jakieś ironiczne uwagi ze strony wuja, które mocno ubodły Słowackiego. „Kochany Teofilu — odpowiadał na nie — jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebiega taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem, nie mogłem być użytecznym“...²⁾.

Zanim nadeszły listy z domu, uspokajające jego sumienie narodowe, znalazł się inny sposób uspokojenia w tym względzie poety. Poruczono mu w Dreźnie misję kurierską; pojechał z ważnemi depeszami do Londynu. Misja była mu bardzo na rękę; tym sposobem uprawniał niejako swój pobyt za granicą, pełnił niejako służbę narodową, a przytem mógł poznać największą stolicę europejską — bez kosztu. Doznał też w tej podróży rzadkiej przyjemności, która jego bajronicznemu nastrojowi szczególnie schlebiała. Oto ponieważ spóźnił się na parostatek pocztowy, który go miał z Calais zawieść do Dover, a sądził, że nie może czekać do dnia następnego, więc najął osobny statek dla swego przejazdu. Wiele to kosztowało, „ale za to — pisał — byłem panem okrętu i wszyscy byli na moje rozkazy“. Był więc jakby cieniem bajronńskiego korsarza i myślę, że to z tego cienia urodził się *Lambro*, do pisania którego zabrał się niebawem po spełnieniu misji kurierskiej, gdy na stałe osiadł w Paryżu.

¹⁾ Listy. I, 41.

²⁾ Tamże, 45. Małecki (I, 206—207) za przyczynę nagłego wyjazdu z Warszawy podaje broszurę *Lelewela Nowosilcow w Wilnie*, która się ukazała w Warszawie na początku 1831 roku, a przedstawiała ojczyzna poety, dr. Bécu — według wszelkiego prawdopodobieństwa niezasłużenie — jako donosiciela i zausznika Nowosilcowa. Że ta broszura mogła odegrać pewną rolę w sprawie wyjazdu, na to zgodzić się łatwo, ale żeby to miała być okoliczność, „która raczej zaszczyt sercu poety przynosi, aniżeli żeby miała ujść czynić jego charakterowi“ (Małecki I, 43), tego uznać niepodobna. Obszerniej o tem mówię w *Szkicach literackich* (Serya I, 170—172).

ROZDZIAŁ II.

Początek zatargu z Mickiewiczem.

1832.

Wydanie dwu pierwszych tomów poezyi i przyjaźń z Michałem Skibickim. — Przelotna chwila powodzenia. — Oczekiwanie przyjazdu Mickiewicza. — Krytyka *Wallenroda*. — Przyjazd Mickiewicza. — Jego sąd o poezyi Słowackiego — Przedmowa Słowackiego do tragedyi *Mindowe*. — Jak Słowacki zrozumiał sąd Mickiewicza. — Ukazanie się trzeciej części *Dziadów*. — Co sądzić o wprowadzeniu doktora Bécu do *Dziadów*. — Część winy Odyńca. — Zaostrzenie się antagonizmu. — Poemat *Lambro* i jego stosunek do *Wallenroda*. — Zatknięcie bandery patriotycznej. — Przedmowa do *Lambra*. — *Godzina myśli*; prawda i zmyślenie w tym poemacie. — Odpowiedź Mickiewicza na wyzwanie.

Zbliżała się ważna chwila w życiu poety. Miał wydać dwa tomy swoich poezyi pisanych w ciągu trzech ostatnich lat, miał poraz pierwszy ukazać w całej pełni przed światem skarby swojej poezyi, o których wielkiej wartości był głęboko przekonany. Na optymistyczne usposobienie poety wiele się składało, najwięcej przyczynił się do tego przyjaciel, którego znalazł w osobie Michała Skibickiego. Ten blagier na wielką skalę, który potem jako oszust wsadzony został do więzienia, schlebując próżności poety, równając go z Bajronem, umiał pozyskać przyjaźń Słowackiego, tak mało skłonnego wogóle do społecznych uczuć. Słowacki, póki się z nim nie zetknął, przez kilka pierwszych miesięcy w Paryżu, czuł się osamotnionym; potem było inaczej. „Życie moje teraz — pisał do matki — jest daleko rozmaitsze, a przyczyną tego jest Skibicki, który tu przyjechał z Ameryki, i z którym wzajemnie tak pokochaliśmy się, iż teraz wszędzie razem chodzimy“¹⁾. Jemu poświęcił swoje powieści wschodnie, *Mnicha* i *Araba*, do niego napisał wiersz osobny, echo Mickiewiczowskiego wiersza *Do doktora S.* Skibicki miał się czem odwdzińczyć za te poetyckie zaszczyty: wprowadził nietowarzystwisko poety do wyższego towarzystwa polskiego w Paryżu i robił mu wszędzie sławę wielkiego poety. W domu książąt Czartoryskich zaraz na pierwszej wizycie przy prezentacji oświadczył, że „Polska, mając Słowackiego, nie będzie Anglii Bajrona zazdrościć“²⁾. Wśród emigracyi przytem znany był Słowacki jako autor pieśni rewolucyjnych, a o tem, jaki charakter miał jego wyjazd z Warszawy, bodaj czy kto wiedział. „200 Polaków publicznie uradziło —

¹⁾ Listy I, 81.²⁾ Tamże 84.

pisał w marcu 1832 — aby mi dać pierścień, jako poezie przesłoroczych wypadków. Dotychczas nie dali mi go jeszcze, ale to jest bardzo korzystnem dla mnie, bo z niecierpliwością dzieł moich czekają“¹⁾. Zdaje się, że ten pomysł, który zresztą nie doczekał się urzeczywistnienia, pochodził z głowy Skibickiego, jak również i starania o to, aby robić Słowackiemu rozgłos i wśród Francuzów. Do tych starań należało umieszczenie nazwiska poety, jeszcze przed wydaniem jego poezyi, w Słowniku biograficznym pisarzy współczesnych. „Dziś zobaczyłem u Pinnard regiestr ludzi sławnych, zawarty w biografii *Contemporins* (sic), z pod S litery taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej, etc. Widzicie, że w dobrem jestem towarzystwie. Ucieszyło to mnie bardzo. Jest to najślawniejsza biografia; ciekawy jestem, co o mnie piszą, będę się starać dostać jej. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd nie wiem, z czego mnie tam sławnym zrobili“²⁾. Do tych starań należało i staranie o to, ażeby Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął się do tłómaczenia *Mnicha* i *Araba*, właśnie tych utworów, które były poświęcone Skibickiemu. Były one potrzebne temu ostatniemu do artykułu o poezjach Słowackiego, który miał umieścić w *Revue Encyclopédique*.

Jednocześnie spodziewał się Słowacki być tłómaczonym i na język angielski. Przynajmniej tak pisał w pamiętniku, z którego wyjątki posyłał matce: „Sienkiewicz dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Błotnickiego z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał, bo je chce na język angielski tłómaczyć. Widzisz, kochana Matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiej wyjdą niż ja“³⁾.

Wielkim tryumfem dla Słowackiego, przynajmniej o ile o tem z jego własnych słów wnosić można, był obchód rocznicy wybuchu powstania na Litwie, urządzony w Paryżu przez Polaków i Francuzów 25 marca 1832. „Zrana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego, list, zaklina-

¹⁾ Listy I, 82.²⁾ Tamże, 99.³⁾ Tamże, 97.

jący mnie, abym na posiedzeniu literackim czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem ody, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie, mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette przyzwał, wszyscy czytali po francusku... potem na końcu vice-prezes (Cezary Plater), obracając się do zgromadzenia, rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich, aby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana S., aby zasiadł miejsce. Pan S. nie zasiadł, lecz stojąc mówił... Cóż?... trudno opisać; rzucałem całem zgromadzeniem; potem rozlałem wiersz ody i powiedziałem jedną śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, znów wróciłem do ody i zakończyłem myślą z *Lambra* wyjętą...

Ja będę śpiewał i dążył do kresu,

Ożywię ogień, jeśli jest w iskiecie...

„Po skończeniu prezes ścisnął mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę. Starzec interesujący. Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko zrozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić, i znów spojrzałem i jeszcze to samo spojrzenie; żeby tak długo, tobym zwaryował“¹⁾.

Ten samochwalczy ton, jeżeli z jednej strony nosi na sobie piętno bratania się z tak lichą figurą, jaką był Skibicki, z drugiej strony dowodzi, że poeta w najwyższym stopniu zadowolony był z początków swojej poetyckiej kariery i najświetniejszą widział przed sobą perspektywę. Czuł się też prawdziwie szczęśliwym, czuł, że mu teraz „lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było“, a donosząc o swoich tryumfach rodzinie, pragnął do reszty zatrzeć to, co nie miłego mogło być dla niej w jego ukradkowym wyjeździe z Warszawy. „Matko kochana, widząc jak tu wiele teraz ludzi lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się twego syna. Czuję to i to dumne uczucie sprawia mi przyjemność...“²⁾. Nie omieszkał też donieść matce, że nazajutrz po wyjściu dzieł Oleszczyński, „sławny sztycharz“, prosił go, aby mu portret swój zrobić pozwolił, a o powodzeniu *Żmii*, jednego z wydanych świeżo

¹⁾ Listy I, 93--94.

²⁾ Tamże, 91.

poematów, którego układ wydawał się matce niedość dobrym, tak pisał: „Jeden z najsławniejszych naszych krytyków powiedział o mnie, przeczytawszy *Żmiję*, że cały naród ożył w pieśni, że tam, gdzie inni z murów cegielki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że *Żmiję* wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat. Widać więc, że postępuję i kształcę się... Kniazievich chory ozdrowiał, przeczytawszy pieśń pierwszą i skoczył z łóżka do czytającego; a generał Umiński pytał się raz na wieczorze Skibickiego, jak po francusku sumak, bo chciał jechać do Jardin des Plantes, aby to zwierzę widzieć...“¹⁾.

Jeżeli nie tylko ostatnia wiadomość, ale i dwie pierwsze dotyczące *Żmii*, co rzecz prawdopodobna, pochodziły od Skibickiego, to wiarygodność wszystkich trzech jest bardzo podejrzana, bo że Skibicki lubił zmyślać i nawet przyjaciela zaprawiał do tego, możemy tak wnioskować z następującego naiwnego wyznania poety. „Chodząc na spacer ze Skibickim, wymyślaliśmy różne bajki czyli kłamstwa wojażerskie, któremi będziemy bawić kiedyś naszych rodaków za przyjazdem do kraju“²⁾.

Ale już wtedy, gdy Słowacki pisał tak o swoim powodzeniu, na horyzoncie jego świetnych nadziei i przyjemnych złudzeń zaczęły się, jak się zdaje, ukazywać ciemne punkty. Nie umiem sobie inaczej wytłómaczyć jego niezadowolenia z „ziomków“, których coraz więcej przybywało do Paryża, jak tylko tem, że nie dawali się olśniewać jego świeżo objawioną światu poezją. „Często wierszami robię (w listach do Zienkowicza) gryzące obrazy naszych tu ziomków... Nie uwierzycie, jakie zebranie głupców; zwłaszcza litewskie posły są nieporównani... i to mnie trochę zaczyna zrażać od Litwy, którą dotąd bardzo kochałem“³⁾. Skibicki namawiał go nawet, aby „napisał poemat drwiący o luminarzach naszych“, ale Słowacki nie chciał sobie robić nieprzyjaciół⁴⁾.

Mickiewicz jeszcze nie był wtedy w Paryżu, ale już dochodziły wieści, że ma przyjechać. „Mickiewicz przyjeżdża — zapisał Słowacki w swoim pamiętniku pod datą 22 lipca 1832 — już jest w Chalons... mówił mi Podczaszyński, że Bohdan Zaleski przyjeżdża także... Więc Parnas Polski będzie w Paryżu, jeżeli nazbyt

¹⁾ Listy I, 112.

²⁾ Tamże 115.

³⁾ Tamże 115.

⁴⁾ Tamże 117.

huczny, to ja z niego ucieknę¹⁾. Łatwo zrozumieć, dlaczego z niepokojem oczekiwał tego przyjazdu Słowacki. Nazwany na publicznym zgromadzeniu największym z poetów polskich, przez Skibińskiego utrzymywany w tem przekonaniu, że poezya jego dorównywa bajronskiej, miał teraz stanąć obok człowieka, któremu dotychczas głos powszechny przyznawał pierwszeństwo na Parnasie polskim, ba, któremu i on sam nie mógł tego pierwszeństwa odmówić. Tak było dotychczas, dopóki on, Słowacki, nie wydał dwóch tomów swej poezyi. Ale teraz jak będzie? Czy głos Cezarego Platerra i Michała Skibińskiego stanie się głosem powszechnym? Czy też sława przybywającego Mickiewicza zaćmi jego tryumfy? I co też sam Mickiewicz powie o jego poezyi?

Wtedy to zapewne, wśród tych niepokojących myśli, pokreślił Słowacki swój egzemplarz *Wallenroda* rozmaitemi uwagami i znakami, śladami niezmiernie szczegółowej analizy²⁾. Cóż go do tej analizy w kilka lat po ukazaniu się *Wallenroda* ciągnęło? Oto chęć dokładnego zdania sobie sprawy, jaką jest wartość poetycka największego i najgłośniejszego utworu przeciwnika, którego miał prześcignąć. Wielu ustępom nie mógł zaprzeczyć piękności, n. p. całej „Uczcie“ z pieśnią i powieścią *Wajdeloty*, ale gdzie tylko najdrobniejszą skazę spostrzegał, tam kreślił odpowiednią uwagę³⁾. Najwięcej słabych stron odkrywał w charakterystyce *Wallenroda*; w jednym miejscu dopisał przy niej: „całe opisanie charakteru nie nowe“, w innem, gdzie już Konrad występuje jako mistrz wielki, zrobił uwagę: „Niema poezyi, dlatego *Wallenrod* przetłumaczony po

¹⁾ Listy I, 117.

²⁾ Że te uwagi mogą pochodzić najwcześniej z roku 1831, zauważył to już Chmielowski w *Tygodniku Ilustr.* 1893. Nr. 27 w artykule: „Co sądził Słowacki o *Konradzie Wallenrodzie*“. Przypuszczenie opiera się na tem, że w uwagach jest mowa o przekładzie francuskim *Wallenroda*, z którym Słowacki mógł zaznajomić się dopiero po przyjeździe do Paryża z Londynu.

³⁾ Nie wszystko to, co uważał za skazę, było nią wistocie; nie wszystko nawet to, w czem mu słuszność przyznali niektórzy krytycy. N. p. przy wierszach „Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie — Chcące z głębin ziemnej coś wydostać“ napisał Słowacki uwagę: „Jeżeli brwi podniesione, to nie z głębin ziemnej będzie dostawał“. Chmielowski w cytowanym artykule nazywa to „słusznym zarzutem“, zanim Hössick (I 224), a przecież niesłuszność tej uwagi jest widoczna. „Brwi podniesione“, wyraz natężenia myśli, mogą się doskonale pogodzić z „pochyłym wejrzeniem“, nie do brwi zaś, tylko do wejrzenia odnosi się wiersz następny: „Chcące z głębin ziemnej coś wydostać“.

francusku stał się nudną powieścią“. Musiał się wtedy cieszyć myślą, że jego powieści *Mnich* i *Arab*, które miano tłumaczyć na język francuski, nie stracą na przekładzie. Z tych uwag widać także, że Słowacki dostrzegał bajroniczności w charakterze *Wallenroda*, ale ta bajroniczność nie czyniła zadość jego silnie i jednostronnie napiętemu bajronizmowi, nie imponowała mu, wydawała mu się za „pospolitą“; i oto na czem mogły polegać jego nadzieje przewyższenia groźnego współzawodnika.

Z pomiędzy innych uwag Słowackiego, nakreślonych przy tekście *Wallenroda*, niepodobna pominąć jeszcze jednej, niezmiernie charakterystycznej dla ówczesnej sytuacji Słowackiego i dla jego antyspołecznego usposobienia w przeciwstawieniu do nastroju Mickiewicza. Mianowicie przy dobrze znanym dwuwierszu *Wallenroda*: „Szczęśliwa przyjaźń, świętym jest na ziemi — kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi“, Słowacki dopisał uwagę: „dziwna myśl“. Uderzyła go, nie wydała mu się jak wiele innych, pospolitą, ale stał przed nią, jak przed sfinksem, nie rozumiał jej znaczenia, a przedewszystkiem nie domyślał się, ile w niej mógł znaleźć nauki dla siebie. Nie wątpię, że Mickiewicz, stawiając ten dwuwiersz, miał na myśli Zana, swój stosunek do niego¹⁾, że Zanowi przypisywał wpływ na rozniecenie tego, co było „świętem“ w jego poezyi: promienistego idealizmu i patriotycznego ognia, ale gdyby nawet nie miał przy pisaniu dwuwiersza tej świadomości, to i w takim razie dwuwiersz byłby odzwierciedleniem ich stosunku. Otóż czem był Zan dla Mickiewicza w pewnym okresie jego życia, (On był i duszy jego kierownikiem — on był i serca jego spowiednikiem), tem był, niestety! dla Słowackiego w czasie wydawania pierwszych dwóch tomów poezyi i pisania *Lambra* — Michał Skibiński. Wpływ takiego przyjaciela podsycać mógł tylko w Słowackim ujemne strony jego charakteru: egoizm, próżność, chęćpliwość i wysokie rozumienie o sobie.

Nareszcie Mickiewicz przyjechał do Paryża, co zaraz pod dniem 31 lipca zanotował Słowacki w dzienniczku, matee przesłanym w liście, dodając: „nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze...“²⁾. Słowacki był o dziesięć lat młodszy od Mickiewicza, jeszcze na ławie szkolnej siedział, gdy

¹⁾ Porówn. to, co podałem w uwagach do *Dudarza*. Dzieła Adama Mickiewicza wyd. Tow. im. Ad. Mick. Lwów, 1896. T. I, str. 268—269.

²⁾ Listy I, 125.

Mickiewicz miał sławę poety, a mimo to sądził, że ubliżałoby to jego godności, nadawałoby mu cechę wasalstwa, gdyby pierwszy złożył wizytę Mickiewiczowi. Niebawem jednak spotkali się w Paryżu, a spotkanie to tak opisał Słowacki: „Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku, a było kilka osób, którym mówił (Mickiewicz), że mnie chciałby widzieć; starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać... Dziś zeszlśmy się na wielkim obiedzie... Mickiewicz improwizował, ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypominał mi ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnia, potem przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków, stojący za mną, podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: „nadto jesteś skromny“ i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę“¹⁾).

Czy Słowacki, podając głos owego „podchmielonego zapewne“ Polaka, chciał rodzinie pokazać, że nie sam Cezary Plater uważał go za największego z poetów polskich? Może, ale to pewna, że ów głos wygląda bardzo ironicznie, i daje do myślenia, że już wówczas Słowacki wydawał się emigracyi zarozumiałym i że już wówczas nie podobały się jej pretensje jego do pierwszeństwa.

Ze wszystkich sądów, jakie mógł usłyszeć Słowacki o swoich poezjach, najważniejszym był dla niego — rzecz naturalna — sąd Mickiewicza. Za sąd istotny nie mógł uważać grzecznych słów, które Mickiewicz wymieniał przy pierwszym z nim spotkaniu za „komplementa“, otrzymane od niego. Wiedział, że takie grzeczności nie odzwierciedlają prawdziwego sądu; wszak i jego przyznanie pierwszeństwa Mickiewiczowi nie było szczerem, przynajmniej nie było szczerem w tem znaczeniu, że Mickiewicz przewyższa go geniuszem poetyckim. Otóż o ten sąd istotny Mickiewicza o jego poezjach bardzo mu chodziło i niebawem miał możność dowiedzieć się coś o tem. „Jeden z Polaków — czytamy w pamiętniku Słowackiego, przesyłanym matce, pod datą 12 sierpnia — mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach: powiedział, że moja

¹⁾ Listy I, 129.

poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema... Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem *Rezygnacya*...“

Ten sąd Mickiewicza jest nadzwyczaj ważnym momentem w tragedji życia Słowackiego i jego monomachii z Mickiewiczem. Zarysowywał on wyraźnie stanowisko obu poetów, obdarzonych geniuszem poetyckim i stojących na czele poezji polskiej. Ale naprzód co znaczył? a powtóre, jak go Słowacki zrozumiał?

Mickiewicz do przyjazdu swego do Paryża nie z poezji Słowackiego nie znał, oprócz tych wierszy, które mu Malewski za granicę przysłał. Najpewniej był to *Hugo*, umieszczony bezimiennie w *Meliteli*. W Dreźnie, spotkawszy się z Odyńcem już w r. 1832, mógł wiele od niego słyszeć o późniejszych poezjach Słowackiego, o ile te były Odyńcowi znane, ale własnego jeszcze sądu o nich mieć nie mógł. Przyjechawszy do Paryża, zastał dwa tomy tych poezji, jako nowosć księgarską, bardzo dla siebie interesującą i zaraz też zabrał się do ich poznania. W tych tomach, oprócz już dawniej ogłoszonego *Hugona*, znajdował cały szereg nowych, nieznanых sobie utworów: kilka powieści poetyckich, *Mnicha*, *Araba*, *Jana Bieleckiego* i *Żmiję* i dwie tragedye: *Mindowę* i *Maryę Stuart*. Przedewszystkiem musiał zauważyć nadzwyczajną świetność i wykwintność stylu, płynność i łatwość wiersza, wogóle bogactwo i wdzięk draperji poetyckiej. Następnie musiał go uderzyć we wszystkich tych utworach, od pierwszego do ostatniego, ultra-bajroniczny kierunek, mianowicie chęć przelicytowania Bajrona w pesymizmie, chęć, która szczególnie rażąco występowała w *Mnichu* i w *Arabie*. Dalej musiał spostrzedz wiele naśladowania swojej własnej poezji, a także Zaleskiego, Malezewskiego, Goszczyńskiego. Gdyby mu to spostrzeżenie samo się nie nawinęło, to musiała mu je nasunąć przedmowa Słowackiego, poprzedzająca tragedję *Mindowę* i *Maryę Stuart*.

Przedmowa ta jest bardzo godną uwagi ze względu na światło, jakie rzuca na ówczesny stosunek Słowackiego do Mickiewicza i ze względu na wrażenie, jakie mogła wywrzeć na Mickiewiczu. Zadaniem przedmowy było uprzedzić rozmaite zarzuty krytyków, w szczególności zaś zarzut naśladowania Mickiewicza, a przy tej sposobności chciał Słowacki ubocznie obniżyć znaczenie *Wallenroda*. Oto co w niej czytamy:

„Jeden z literatów, który dawniej przebiegał sceny *Mindowy*,

uczynił mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora w ślicznej *Grażynie* Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem przed oczyma kilka miejsc z historii Karamzina, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawnym ubóstwie królów i kniaziów... Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych podało mi myśl wzmiankowanej sceny i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz: „Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję“, i ten drugi: „A tu patrz Lutuwerze, jak posępne gmachy“. Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam“.

W ustępie tym *Grażyna* nazwana jest „śliczną“, Mickiewicz „największym z naszych poetów“, Słowacki szedł więc za głosem ogółu i zdawałoby się, że stawał w szeregu wielbicieli Mickiewicza. Ale byłóż to wyznanie i uznanie szczere? Dlaczego z uwagi prywatnej „jednego z literatów“ robił sprawę publiczną? Czy naprawdę sądził, że tylko w tym jednym, bez większego znaczenia, ustępie zapożyczał się z poezji Mickiewicza, nie mówiąc o innych poetach? Otóż to, co dalej następuje w przedmowie zdaje się świadczyć, że całe przyznanie się do jednego, może wyraźniejszego, ale niewątpliwie mniej ważnego od wielu innych długu, służyło tylko za sposobność do obniżenia oryginalności najslawniejszego, najznakomitszego z dotychczasowych utworów Mickiewicza, *Wallenroda*, który przedewszystkiem chciał w swojej poezji prześcignąć. Tak bowiem pisał dalej:

„Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach spotykać się, a nawet częściej, bo malują wiernie naturę i serce człowieka, ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowo naśladowają, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło geniuszu rozbiierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Wallenrod sam jest szpiegiem Coopera, że opisanie charakteru Wallenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że Korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał; że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającej w *Wallenrodzie*, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Pariziny, a jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł i takie przy-

stosowania, również jak błędy przez drukarzów popełniane, prędzej w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą“.

Nie chcę zastanawiać się nad tem, o ile trafniemi lub nietrafniemi były wskazówki naśladownictwa w *Wallenrodzie*, podane przez Słowackiego, chodzi mi tylko o to, ażeby pokazać, jak Słowacki, ciągle zajęty przymierzaniem swojej poezji do poezji Mickiewicza, przy pozornem ustępowaniu pierwszeństwa tej ostatniej starał się obniżyć jej znaczenie, i jak Mickiewicz, gdyby nawet nie był skłonny do zwracania uwagi na naśladowniczość Słowackiego, musiał na nią zwrócić uwagę, po przeczytaniu tej wyzywającej przedmowy.

Cóż więc mogło znaczyć w ustach Mickiewicza porównanie poezji Słowackiego z pięknym kościołem, w którym Boga nie ma. Znaczyło niewątpliwie z jednej strony uznanie dla strony zewnętrznej poematu, dla dźwięczności wiersza i języka, dla malowniczości słowa, z drugiej — brak wszelkich ideałów religijnych i społecznych, a natomiast gonienie za efektem i stąd strojenie się w najjaskrawsze szaty bajronizmu. Pamiętajmy, że Mickiewicz wypowiadał to zdanie o Słowackim już jako twórca trzeciej części *Dziadów*, jako ten, który duchowi pokory chrześcijańskiej dał stanowcze zwycięstwo nad duchem pychy bajrońskiej. W poezji Słowackiego znajdował apoteozę tej pychy, a ta apoteoza tem więcej go mogła razić, im mniej szczerości uczucia i oryginalności w pomysłach znajdował u Słowackiego.

Czy Słowacki odrazu zrozumiał sąd Mickiewicza o jego poezji, skryształizowany w jednym porównaniu? Nie, nie zrozumiał odrazu, bo nie znał jeszcze nowego zwrotu, który zaszedł w duszy Mickiewicza, nie znał jeszcze ani *Ksiąg pielgrzymstwa*, ani trzeciej części *Dziadów*. Był mocno uderzony tem porównaniem, ale szukając komentarza do niego w dotychczasowej, bajronicznie nastrojonej poezji Mickiewicza, wytłómaczył je jak najkorzystniej dla siebie. Wiemy już, że nazwał je „ślicznem i poetycznem zdaniem, podobnem do sonetu p. t. *Rezygnacya*“. W tym sonecie, pisanym jeszcze w czasach nastroju bajronicznego, Mickiewicz porównywał serce swoje do dawnej świątyni „Spustoszałej niepogód i czasów koleją — Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją“. Otóż podobną świątynią — rozumiał Słowacki — miała być i poezja jego według nowego porównania Mickiewicza. Brak bóstwa w niej w tem rozumieniu nie był czemś ujemnem, ale tylko znakiem ducha czasu, cechą bajronicznego jej nastroju. Wszakże i Wallenrod mówi o sobie:

Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie,
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.

Jakkolwiek Słowacki nie zdawał sobie jeszcze sprawy z dokładnego znaczenia słów Mickiewicza o kościele bez Boga, to jednak niechętnie był dla niego usposobiony, a spotykając się z nim w towarzystwie emigracyjnym, w jego słowach, w jego obejściu, w jego stroju nawet znajdował coś, co go odpychało od niego. „Nie możecie sobie wyobrazić — pisał do rodziny w październ. 1832 — jak po liderlichowsku (Mickiewicz) wygląda z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym“; a w miesiąc potem (9 list.), mówiąc, że jeszcze nie zna trzeciej części *Dziadów*, która wychodziła wtedy właśnie na świat, tak pisał o nim: „Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bulę, słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba“¹⁾.

Niebawem dostał Słowacki do rąk trzecią część *Dziadów* i z niej dopiero mógł wyrozumieć, co znaczyło porównanie jego poezyi do kościoła bez Boga. Znalazł on tam coś gorszego, coś bardziej przynębiającego dla siebie, znalazł swego ojczyma, dr. Bécu, w roli prześladowcy i denuncyanta Filaretów. Łatwo sobie wyobrazić jego zdziwienie, przerażenie i oburzenie, łatwo zrozumieć, jak dotychczasowa niechęć jego dla Mickiewicza zamieniła się w głęboką nienawiść. Wprawdzie ojczym nie był nazwany imiennie, ale scharakteryzowany tak wyjątkowymi rysami, że nikt nie mógł wątpić, kogo Mickiewicz pod nazwą doktora przedstawiał. Położenie Słowackiego w Paryżu, niedawno jeszcze, przed przybyciem Mickiewicza, tak świetne i tyle rokujące, stawało się teraz, po ukazaniu się trzeciej części *Dziadów*, nieznośnem. Nowy poemat nie tylko przyćmiewał jego świeżo ogłoszoną poezję a nowym blaskiem zdobył skroń przeciwnika, ale najboleśniej dotykał Słowackiego, wy-ciskając piętno hańby na jego ojczymie. Słowacki pod pierwszem wrażeniem chciał podobno wyzwać Mickiewicza na pojedynek — tak przynajmniej donosił matce w rok potem — ale odradził mu tego kroku Skibiński. Ale zostawać dłużej w Paryżu i mieć na sobie zwrócone oczy wszystkich, nie mógł i to była główna przyczyna, dla której wyjechał z Paryża do Genewy²⁾.

¹⁾ Listy I, 140 i 148.

²⁾ W rok potem, kiedy poraz pierwszy pisał otwarcie o tej sprawie do matki, przyznawał się do tego. Listy I, 214.

Co mamy sądzić o wprowadzeniu doktora Bécu do *Dziadów* w tak haniebną rolę, jaką on tam odgrywa? Że pomysł jest rażący, że Mickiewicz w najboleśniejszy sposób obrażał uczucia rodzinne ludzi, z którymi go wiązały stosunki towarzyskie, przedewszystkiem panią Bécu, dla której jeszcze przed odjazdem w imionniku wiersz napisał — na to powszechna zgoda. Do tego należałoby jeszcze dodać, że scena, w której występuje doktor w rozmowie z senatorem, Pelikanem i księdzem, razi nas pewną przesadą, pewną karykaturalnością realizmu. Nasuwa się pytanie, czy ta scena była konieczna, czy poemat nie mógł się obejść bez niej bardzo dobrze a jeśli tak, to co pobudziło Mickiewicza do jej wprowadzenia? Byłaż w tem jakakolwiek chęć dokuczenia Słowackiemu, jako swemu współzawodnikowi, albo zemśczenia się na nieboszczyku doktorze za jego stanowisko nieprzychylnie dla młodzieży filareckiej?

Do podobnych podejrzeń, tak ubliżających Mickiewiczowi, nie nas nie upoważnia, zwłaszcza że trzecia część *Dziadów* pisana była jeszcze przed wyjściem na świat poezyi Słowackiego. Jeśli zaś rozpatrzmy się uważnie w poemacie, to przekonamy się, że postać doktora, podobnie jak i Bajkowa, wiąże się ściśle z głównym pomysłem poematu, że stanowią one jakby pomost, jakby ogniwo pomiędzy historycznem, realnem tłem wypadków a mistycznym światem, który się nad tem tłem unosi. Wprawdzie, gdyby chodziło tylko o historię uczuć Konrada, to poemat mógłby się być już na trzeciej scenie zakończyć, na słowach chórów anielskich, które głoszą „pokój grzesznemu sierocie“, i wszystkie dalsze sceny, a między niemi i ta, gdzie doktor występuje, byłyby zbytecznymi. Ale Mickiewiczowi chodziło o coś więcej, jak o sam przełom w duszy Konrada, chodziło mu o szerokie przedstawienie prześladowania Filaretów i to w świetle mistycznym i w ramach przypominających dawniejsze części *Dziadów*.

Że taki był zamiar poety, świadczy o tem przedmowa do poematu, w której Mickiewicz kładzie nacisk na to, że „w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego“. „Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów, kara boża sięgająca widomie prześladowców, zostały głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów“. Otóż nie tak nie nadawało

eudowności przedstawianym przez poetę wypadkom, jak nagła śmierć od pioruna profesora Bécu, oskarżonego wśród młodzieży o konspiracyjność z Nowosilcowem, i Mickiewicz, nastrojony mistycznie i pragnący wykazać mistyczny charakter wileńskich wypadków, gdyby odrzucił tę śmierć i jej mistyczne powody, byłby się pozbawił najbardziej mistycznego motywu, jaki mu ówczesne wypadki nastręczały.

Taką była niewątpliwie pobudka, której ulegał Mickiewicz, wprowadzając postać doktora do *Dziadów*. Czy mu nie przychodziło na myśl, że mógł się mylić w sądzie o profesorze Bécu? Czy nie zastanawiał się nad tem, jak boleśnie zrani serce pani Bécu i jej syna? Co się dotyczy pierwszego pytania, to nie można wątpić, że poeta głęboko wierzył, iż profesor Bécu był takim, jakim on go przedstawił w *Dziadach*; najlepiej świadczy o tem ton głębokiego przekonania, z jakim powiada w przedmowie, że „kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nie nie dodając i nigdzie nie przesadzając“. Co się dotyczy drugiej kwestyi, to można przypuszczać, że brak wszelkiej względności w Mickiewiczu dla pani Bécu i jej syna był następstwem tej ścisłej zażyłości i przyjaźni, jaka wiązała matkę Słowackiego z Pelikanem, prawą ręką i głównym narzędziem Nowosilcowa i to już w czasach poślareckich. O tych stosunkach, o opiece, jaką roztaczał Pelikan nad panią Bécu, która nie była w takim położeniu, aby tej opieki potrzebowała koniecznie, o tem, że Pelikana obrano na ojca chrzestnego dla Julka, który nawet za jedno z imion chrzestnych wziął imię Wacław, jakby na cześć swego ojca chrzestnego, o tem wszystkim musiał dobrze wiedzieć Mickiewicz od Odyńca, przed którym naiwna pani Bécu ze wszystkim się zwierzała w listach.

Ze sam Słowacki w nadaniu wiadomej roli doktorowi Bécu w *Dziadach* upatrywał znaczną część winy Odyńca, można tak wnioskować z pewnego ustępu jego listu do matki (z kwietnia 1833 r.). Rzuciwszy na Odyńca, pod wpływem silnego rozgoryczenia, podejrzenie, że zatrzymuje przy sobie pieniądze, ze sprzedaży jego, Słowackiego, poezyi i że „zapewne wesele Odyńca opędziło się niemi“, pisał dalej: „Mniejsza o to... ma on na sumieniu bardziej ciężką winę... i dziwię się, że do ciebie, Matko, śmie pisać... Brakowałoby Ci jeszcze listu Mickiewicza“¹⁾. Łącząc w ten sposób Odyńca z Mi-

¹⁾ Listy I, 184.

ckiewiczem, miał widocznie na myśli ustępy trzeciej części *Dziadów*, obrażające uczucia rodzinne pani Bécu. Dlaczego zaś czynił Odyńca współwinnym? Możliwe, że w obrazie balu senatorskiego znajdował coś takiego, co według jego przekonania tylko za pośrednictwem Odyńca mogło się dostać pod pióro Mickiewicza.

Bądź co bądź antagonizm Słowackiego do Mickiewicza, który dotychczas polegał przedewszystkiem na chęci prześcignięcia najsławniejszego ze współzawodników, zaostrzał się teraz do najgłębszej nienawiści, do której też Słowacki otwarcie przyznawał się przed matką, kiedy już dowiedział się, że i matka wie o wszystkim¹⁾. Powodów do nienawiści było teraz tem więcej, że teraz dopiero, jak już wspominałem, zrozumiał Słowacki, co znaczyło wyrażenie Mickiewicza „wniosły kościół, ale w kościele Boga niema“, określające poezję Słowackiego. Teraz dopiero po odczytaniu *Ksiąg pielgrzymstwa*, a jeszcze więcej trzeciej części *Dziadów*, otworzyły mu się oczy na różnicę, jaka dzieliła jego stanowisko poetyckie od nowego stanowiska, które zajął Mickiewicz w tych utworach. On, Słowacki, cały zanurzony był w bajronizmie, cała jego poezya nasiąkała była bajronskim pesymizmem, bajronską dumą i pogardą dla ludzi, kiedy Mickiewicz otrząsał się z bajronizmu, i ponad dumę, ironię i wątpienie, wynosił wiarę i pokorę. A więc określenie Mickiewicza nie mogło się teraz wydawać Słowackiemu tylko „ślicznem i poetycznem zdaniem“, przeciwnie ujrzał w tem zarzut dla siebie, godzący w kierunek swej poezyi, i wskazówkę nowej drogi dla niej.

W chwili gdy sąd Mickiewicza wskutek przeczytania nowej części *Dziadów* stawał się przezroczystym dla Słowackiego, ten ostatni był już autorem *Lambra*. Do żadnego z poprzednich ani późniejszych poematów Słowackiego ten sąd nie stosował się tak dobrze, jak właśnie do *Lambra*, bo nigdzie dotąd, trochę pożyczany, trochę własny pesymizm Słowackiego nie oblekał się w tak piękną formę, jak w tym poemacie. Do *Lambra* domieszał poeta trochę własnych wrażeń, odniesionych w krótkiej podróży morskiej, w której był panem najętego wyłącznie dla siebie statku,²⁾ ale jeśli *Lambro* był

¹⁾ Listy I, 214.

²⁾ Ślady tych wrażeń można znaleźć szczególnie na początku pieśni drugiej *Lambra*:

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje i t. d.

poniekąd owocem podróży morskiej Słowackiego, to jednak więcej jeszcze był owocem trawiającej chęci prześcignięcia Mickiewicza i stworzenia postaci w duchu bajronicznym, któraby przyćmiła *Wallenroda*. Wiemy już, że ta chęć prześwieca z jego dawniejszych utworów, że Hugo, Bielecki, Żmija byli *sui generis* Wallenrodami na tle pełnej efektownych świecideł dekoracji. Ale w miarę dojrzewania Słowacki zapewne coraz wyraźniej dostrzegał, że żaden z tych dawniejszych bohaterów, pomimo nagromadzenia efektów, nie może się mierzyć siłą wrażenia z *Wallenrodem*, i oto *Lambro* teraz miał spełnić zadanie, którego nie zdołali spełnić jego poprzednicy, miał stanąć do walki z *Wallenrodem* i przewyższyć go blaskiem swojej poezji, przelicytować nastrojem bajronicznym.

Ani Hugo, ani Bielecki, ani Żmija nie mieli nic wspólnego z ideą patryotyzmu, która stanowi duszę *Wallenroda*; ich podobieństwo z tym bohaterem było przeważnie zewnętrzne i dekoracyjne; *Lambro* był bliższym *Wallenrodowi* z tego względu, że występował jako obrońca sprawy greckiej. *Lambro*, jak wiadomo, jest postacią historyczną. Słowacki w przypisach Bajrona do *Narzeczonej z Abydos* znalazł wiadomość, że *Lambro* i *Riga* byli najsławniejszymi rewolucjonistami w greckiej walce z Turkami o niepodległość, znalazł też w poezjach Bajrona przekład śpiewu wojennego Rigi: „Powstańcie dzieci Greków“ i to zapewne zwróciło jego uwagę na te dwie postaci, gdy potrzebował nowego tematu dla swej poezji. Z *Rigą* mógł się sam porównywać, jako także twórca hymnów powstańczych; w *Lambra* chciał włożyć duszę nowożytnego człowieka, t. j. kwintesencję bajronizmu, jak ją sam pojmował.

Moralną wartość *Lambra* dostatecznie oświecił Małeckie w swym studium; tu chodzi o stosunek *Lambra* do *Wallenroda*. Zapewne Słowacki nie zdawał sobie sprawy z tego, ile jest analogii pomiędzy jednym a drugim poematem, ale analogia jest widoczna, a źródłem jej, jak można przypuszczać, było to, że jego wyobraźnia ciągle była zajęta poematem, który chciała prześcignąć. A więc *Lambro* jest mścicielem krzywd swego narodu, podobnie jak *Wallenrod*, i podobnie jak on szuka pociechy w napoju; w jego rozmowach z *Idą* odzywają się echa rozmów *Konrada* z *Aldoną*, *Ida*, jak *Aldona*, ma „zamknąć się w cichej celi“ i *Lambro* sądzi, że „klasztorna krata już go na wieki rozdzieliła z *Idą*“; a co najwięcej zbliża utwór Słowackiego do utworu Mickiewicza, to wstawienie *Powieści Greka* w środek pierwszej pieśni *Lambra*. Ta powieść od-

grywa tu rolę bardzo podobną do tej, jaką spełnia *Pieśń Wajdeloty* w obrazie uczty, wydanej przez W. Mistrza. Obie są wstawianymi powieściami, jak jedna tak i druga służy do odsłonięcia przeszłości głównego bohatera, jak jedna tak i druga ma swoją treścią pobudzić do patryotycznego działania; wreszcie pierwszy ustęp *Powieści Greka*, na którą później jeszcze z osobna wypadnie mi zwrócić uwagę, zawiera w sobie pewne ukryte, ale niemniej przeto istotne analogie z pieśnią poprzedzającą *Powieść Wajdeloty*.

Ale jeżeli niepodobna zaprzeczyć wpływu *Wallenroda* na *Lambra* t. j. zachodzących między temi dwoma poematami analogii, to znowu bardzo łatwo dostrzedz ogromnej różnicy, dzielącej ideały dwu poetów w bohaterach tych poematów wcielone. To, co stanowi potęgę *Wallenroda*, głębokie uczucie patryotyczne, u *Lambra* wyrodnieje, schodzi na plan dalszy, niemal znika. Jego czyn bohaterski, spalenie okrętu z trupem *Rygi*, wygląda na wyskok kapryśnej fantazji. Jego kochanka, patrząc na jego czoło, widzi na niem z przerażeniem „ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę“. Możliwe w nim widzieć jakby wcielenie tego westchnienia, którem się raczyli wzajem — mniej więcej w czasie pisania *Lambra* — Słowacki i jego przyjaciel *Skibicki*: „cette vie c'est une farce un peu trop lourde“. Gdybyż przynajmniej ta nuda, ta pogarda dla życia była szczerą w Słowackim! Ale nie, to był tylko grymas modny i nie więcej. Kto tak był głodny sławy, jak Słowacki, ten nie mógł uczuwać przesytu i znudzenia życiem.

O ile patryotyzm *Wallenroda* w *Lambrze* zwyrodniał i, rzecz można, znikczemniał, o tyle zaznaczony silnie ale krótko przez Mickiewicza nałóg *Wallenroda* rozwinął się i wybujał pod piórem Słowackiego do nadzwyczajnych rozmiarów i z podrzędnej stał się główną cechą bohatera. A nie tylko pod względem rozmiarów, ale i pod względem charakteru nałóg *Lambra* odbiega od nałogu *Wallenroda*. Ten upijał się czasami winem, aby choć na chwilę przenieść się w szczęśliwą „krajną pamięć“, i po torturach ciągłej obłądki choć na chwilę wypocząć we wspomnieniach szczęścia, które poświęcił dla ojczyzny; *Lambro* upija się stale, systematycznie i nie winem, ale trucizną, „napojem makowym“, a czyni to dla czegoż? Oto, aby życie, rzeczywistość, zamieniać

na sen gorączkowy,
Sen tak jasnemi grający barwami,

Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.

To poszukiwanie gorączkowych marzeń i sennych wizji jest najbardziej oryginalnym rysem charakteru Lambra, rysem, którego ani bohaterowie Bajrona ani Mickiewicza nie mają, a który Słowacki dobył z siebie, ze swej natury, ze swej niesłychanej przewagi wyobraźni nad innymi władzami duszy. W gorączkowych marzeniach Lambra była jakby przepowiednia tego stanu duszy, w jaki popadł Słowacki w ostatnich latach życia, kiedy tworzył *Srebrny sen Salomei*, *Króla-Ducha* i dalsze pieśni Beniowskiego. I jak poecie wtedy wydawało się, że w swoich apokaliptycznych wizjach daje narodowi swemu zbawcze idee, tak i Lambro teraz woła:

dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką... potem tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,
W czarze z kryształu i dam czarę ludom...

Ta myśl zmartwychwstania, ta perła Kleopatry w czarze krwi roztopiona nie może oznaczać nic innego, jak zerwanie się do krwawej walki z ciemnizycielami narodu, nie było też w niej nic nowego, ale poecie chodziło o to, aby tę ideę otoczyć urokiem nowości i tajemniczości i dlatego Lambro nazywa ją „tak bezcenną i drogą“

Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.

Ta sama myśl i taka sama chęć otoczenia jej tajemniczością dla przydania jej większego znaczenia występuje na początku *Powieści Greka*:

Więc będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień jeśli jest w iskiecie,
Tak Egipcjanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie¹⁾,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu na dnie.

Już Spasowicz zauważył, że Słowacki przywiązywał szczególną wagę do tego ustępu i położył go za *motto* do *Kordyana*; a obraz serca owiniętego w liście aloesu tak mu się podobał, że jeszcze w *Testamencie* swoim, pisanym pod koniec życia, nie zapomniał

¹⁾ W tym wierszu należy domyślać się opuszczonego wyrazu: serce. „Kiedy serce myśl słowa tajemną odgadnie“.

o nim, polecając przyjaciółom, aby serce jego spalili w aloesie. Wiemy też, że ten ustęp właśnie wybrał do deklamacji na uroczystym obchodzie pierwszej rocznicy wybuchu powstania na Litwie. Dlaczegoż tak go upodobał sobie i dlaczego tak go akcentował. Z pewnością dlatego, że w tym obrazie chciał usymbolizować znaczenie swojej poezji dla narodu i jej stosunek względem niego. Młody Ipsaryota śpiewający *Powieść Greka* jest przedstawicielem samego poety, i to, co on mówi o umarłym sercu i liściach aloesu, to ma zastosowanie do narodu polskiego i poezji Słowackiego. Można przypuszczać, że ustęp ten pisany był w czasach, kiedy Słowacki podniecony był wiadomością, iż „200 Polaków publicznie uradziło, aby mu dać pierścień jako poecie przeszłorocznych wypadków“, i że autorowi *Lambra* chodziło o tajemne nawiązanie nowej swojej poezji do rewolucyjnego *Hymnu*, święcącego „ludu zmartwychwstanie“.

Ale i o co innego jeszcze chodziło mu zapewne, o dorównanie *Pieśni Wajdeloty*, która dyamentowym blaskiem idei rozbłyskując na wszystkie strony, wyzywała niejako Słowackiego do stworzenia czegoś równie świetnego i głębokiego. Że to, co stworzył, pomimo całej śpiewności wiersza i innych zalet zewnętrznych, dalekie było od dorównania *Pieśni Wajdeloty*, tego nie potrzeba dowodzić, ale winieniem tylko wskazać, na czym głównie polega analogiczność, o której przedtem wspominałem, pomiędzy tą pieśnią a wstępem do *Powieści Greka*. I tu i tam tematem jest potęga pieśni, i tu i tam piewca zapowiada swój zamiar rozgrzania, zapalenia serc. Wajdelota litewski chciałby „własne ognie przelać w piersi słuchaczów“, wajdelota grecki będzie śpiewał, aby „ożywić ogień, jeśli jest w iskiecie“.

Powiedziałem już, że *Lambro* był już napisany, kiedy się ukazała trzecia część *Dziadów*. Przed jej ukazaniem się, a po napisaniu nowego poematu, Słowackiemu mogło zdawać się, że tym razem dopędzi, a może prześcignie, swego wielkiego poprzednika, zaćmi go barwami swej poezji, że w nowym turnieju poetyckim ultrabajroniczny Lambro pokona bajronicznego Konrada i pozwoli Słowackiemu zająć miejsce obok lub wyżej Mickiewicza. Ukazanie się trzeciej części *Dziadów* musiało rozwiać te nadzieje. Mickiewicz w nowym poemacie czynił zwrot niespodziewany, rzucił tor bajroniczny, otwierał nowe horyzonty i jak Farys swego obłocznego współzawodnika, tak on galopującego z tyłu z nadzieją zwycięstwa autora *Lambra*, „o całe niebo zostawiał za sobą“.

Bądź co bądź, jakkolwiek *Lambro* po ukazaniu się *Konrada*

i *Dziadów* był poniekąd spóźnionym współzawodnikiem *Konrada Wallenroda*, niemniej przeto Słowacki nie myślał go trzymać w tece. Natychmiast po przybyciu do Genewy i rozlokowaniu się w pensjonacie pani Pattey, pisał do matki, że wydrukuje *Lambra*, „bo czuje konieczną potrzebę nowego ukazania się na literackim świecie“¹⁾. I w kilka miesięcy potem pojawił się trzeci tom poezyj Słowackiego, który przyniósł *Lambra* i prócz tego kilka innych mniejszych utworów. Między nimi były pieśni rewolucyjne: *Hymn Bogarodzica*, *Kulig*, *Pieśń legionu litewskiego*, czyli jak się o nich Słowacki w liście wyrażał: „różne wiersze, znane w nieszczęściu naszej kuzynki“²⁾ i *Duma o Wacławie Rzewuskim*.

Umieszczenie tych wierszy w trzecim tomie świadczyło, że przed wydaniem jego musiało zapasć w duszy Słowackiego ważne postanowienie. Dopóki te wiersze nie były drukowane w zbiorze jego poezji, dopóki sam nie przypominał się światu i cenzurze rosyjskiej, jako ich autor, mógł jeszcze myśleć o powrocie do kraju. W pierwszych dwóch tomikach nie było nic takiego, co by go czyniło w Rosji politycznie podejrzanym; ale trzeci tomik zagradzał mu drogę powrotu. Wiedział o tem Słowacki, a przecież go wydawał, widocznie zatem postanawiał rzec się na zawsze powrotu do kraju i zostać poetą emigracyjnym.

Jakie pobudki skłoniły go do takiego postanowienia? Znając jego dążenie do sławy i stosunek do Mickiewicza, nie można wątpić, że najważniejszą tu rolę odegrał przykład tego ostatniego. Mickiewicz także do chwili wydania trzeciej części *Dziadów* miał otwartą drogę powrotu do kraju, bo *Księgi pielgrzymstwa* były jeszcze wydane bezimiennie. Teraz, wydając tę część *Dziadów* wraz z *Ustępem* i wierszem *Do przyjaciół Moskali*, jako czwarty tom swych poezji, wypisując na nim otwarcie swoje nazwisko, zamykał przed sobą tę drogę na zawsze. skazywał się dobrowolnie na wygnanie i zatykał na obcym gruncie swoją chorągiew poetycką, ażeby pod nią walczyć piórem, gdy walka orężna była skończona. Był to naturalny wynik pocucia swego posłannictwa; mógłże Konrad wracać tam, gdzie tylko jako Gustaw mógłby być głos podnosić. Ten krok Mickiewicza miał doniosłe następstwa; dokoła chorągwi przez niego zatkniętej zaczęła się gromadzić tak obfita i bujna literatura emigracyjna.

¹⁾ Listy I, 167.

²⁾ Tamże, 174.

Słowacki zrozumiał, że wracając do kraju, i tam dalej uprawiając poezję w granicach, jakie cenzura jej stawiała, schodziłby na stanowisko znacznie niższe od tego, jakie w ostatnim swoim poemacie zajął Mickiewicz i walki swojej o pierwszeństwo z Mickiewiczem musiałby zaniechać. Wprawdzie mógł być pewnym, że zająłby pierwsze pomiędzy poetami w kraju miejsce, ale takie ograniczone pierwszeństwo nie nęciło jego dumy. I to jest rys, który lepiej niż co innego wskazuje, że Słowacki miał pierś skrojoną nie na miarę krawca, szkoda tylko, że w piersi tej rozdymająca ją żądza sławy tak mało zostawiała miejsca dla innych uczuć. Mickiewicz skazywał się na wygnanie, bo widział w tem swój obowiązek, jako wieszcz narodu; Słowacki skazywał się na wygnanie, bo tak mu dyktowała żądza sławy¹⁾.

Wprowadzając do III tomu swych poezji pieśni rewolucyjne, które niewinnemu pod względem politycznym *Lambrowi* zagradzały drogę do kraju, Słowacki zatykał także banderę patryotyczną na swojej fregacie poetyckiej, chciał przypomnieć światu, t. j. emigracyi, swoją rolę Tyrtęusza polskiego, swoje podobieństwo do Rigi jednego z bohaterów *Lambra*. Tym sposobem zbliżał się już niejako do nowego stanowiska, jakie zajął Mickiewicz, jako wieszcz narodu. Ale zanimby się w nowym jakimś utworze zmierzył z jego nowym Konradem, pragnął wydając *Lambra*, obronić go od tego przygniatającego sąsiedztwa, jakim dlań była współczesność wielkiej postaci nowego Konrada, chciał uwydatnić to, co w jego mniemaniu stanowiło wyższość *Lambra* i stąd poszła przedmowa, w której pisał takie rzeczy:

„Świat myśli jest tak obszerny, że można w nim wyciągnąć nieodparte granicami ramiona. Szanuję szkołę religijną, ową wieczną pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiej religii

¹⁾ Że jeszcze na bardzo niedługo przed poznaniem III części *Dziadów* Słowacki myślał o powrocie do kraju, świadczą o tem słowa jego listu z października 1832, zwrócone do wuja Teofila: „Teofilu! Zdaje mi się, że Tobie dobrze było w Kijowie; miasto tanie i przyjemne; ja kiedyś także bym tam rad z Mamą mieszkał, tylko żeby mi to nie kępowało mojego zawodu, bo *Lambro* straszny...“ (Listy I, 142). Wyobrażenie Słowackiego o niecenzuralności *Lambra* było przesadne, i dlatego chciał z początku drukować ten poemat osobno, nie jako tom III, ażeby dwu pierwszym tomom nie przeszkadzał. (Tamże).

źródło jedyne poezji upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezja była obrazem wieku. Dant pisał o piekle, kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem materyalizmu, Byron, rozpaczający o wątpliwą przyszłość poety, zaczął wiek dziewiętnasty; ci trzej ludzie wyobrażają epoki, w których żyli, oblicza wieków odbite są na ich umysłowej twarzy, gdyby z myśli większej liczby ludzi, w owych czasach żyjących, można utworzyć było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżej nad nich wzniosł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie niezależne od epoki przesądów malował i stwarzał władzę do boskiej podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowemi zamknięci obrębami, jak Goethe, Calderon, Walter-Scott, stoją jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnemi drogami treściwej myśli żywotnej naszego kraju; szczęśliwy, kto w ogniu duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którym trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata¹.

Co znaczyły te uwagi, tak dziwnie wyglądające w przedmowie, zwłaszcza po oświadczeniu, że autor postanowił zamknąć się „w jak najściślejszych obrębach potrzeby“, i co znaczyło to ustawianie poetów podług rang wielkości? Wszystko to staje się zrozumiałem przy świetle, jakie rzuca na tę przedmowę współzawodnictwo Słowackiego z Mickiewiczem, a w szczególności chęć wykazania, że Lambro jest wyższy w swoim pomyśle od Konrada z *Dziadów*, bo jest obrazem naszego wieku, czego o Konradzie powiedzieć nie można. Niedosć tego, Słowacki chce utorować czytelnikowi drogę do przekonania, że Lambro odbijając w sobie „duszę świata“, odzwierciedla i „duszę narodową“ pomimo greckiej swojej szaty, bo narodowość poezji nie zależy na opisywaniu narodowych wypadków. Co się zaś tyczy insynuacji, że katolicki charakter nowej poezji Mickiewicza¹) ma źródło w poglądach Fryderyka Schlegla i jest „sztucznie natchnięty“.

¹) Słowacki w przedmowie nie wymienia ani razu Mickiewicza, ale rzecz widoczna, że to, co mówi o szkole religijnej poetów polskich, odnosi się głównie a nawet wyłącznie do Mickiewicza, bo wtedy jeszcze żaden z tych poetów, prócz niego, nie uderzał w ton religijny.

to była ona jakby odpowiedzią na prywatny sąd Mickiewicza o poezji Słowackiego, że jest ona pięknym kościołem bez Boga.

W końcu przedmowy autor zwracał się do narodu, do „Polaków“, i prosił ich o przebaczenie, że się dobija o jedno z niższych miejsc we wspomnieniach szczęśliwej niegdyś przyszłości²). Było to jakby wezwanie do krytyki, ażeby zaprzeczyła tej przesadnej skromności poety i wyznaczyła mu to miejsce, jakie mu się w głębi jego przekonania należało — jedno z najwyższych, albo jeszcze lepiej: najwyższe ze wszystkich.

Z *Lambrem* ukazała się także i *Godzina myśli*, poemat daleko przewyższający *Lambra* szczerością uczucia, jeden z piękniejszych, rzetelniejszych poematów Słowackiego. Wprawdzie i tutaj Słowacki miał wzór bajronski przed sobą, mianowicie *Sen* Byrona, ale oryginalność poematu polegała na tem, że poeta czerpał treść wyłącznie z rzeczywistych, przeżytych wrażeń i uczuć swoich, a nie z książkowych reminiscencyi. Słowacki czuł dobrze tę siłę prawdy, jaką miała *Godzina* i jej wyższość nad *Lambrem*, gdy wyrażał w liście do matki nadzieję, że za ten poemat dadzą mu kiedyś miejsce w polskim Westminsterze³). Pobudką do napisania *Godziny* był niewątpliwie list Ludwiki Śniadeckiej, otrzymany przez poetę jeszcze 4 października 1832. Tego listu chciwie musiał oczekiwać Słowacki, bo w nim miał znaleźć wrażenie, jakie na jego bajronicznie nastroszoną Laurę wywarły pierwsze dwa tomy jego poezji. „W tych twórach — pisała Ludwika — chował się człowiek, nieraz się jednak zdradził, a jam go poznała“. Z tych słów Słowacki wnioskował, że jego Laura „gniewa się za mało pamięci o niej w książkach“ i dodawał: „Spodziewam się, że jak wydrukuję *Lambra*, to mnie nie będzie obwiniać, abym się krył z moimi uczuciami“²). Otóż *Lambro* zamało jeszcze odkrywał uczucia Słowackiego i tak jak poprzednie poematy nie zawierał wyraźnych dowodów pamięci poety o oddalonej kochance; zadanie to spełniła napisana wkrótce potem *Godzina myśli*³).

¹) „Dla tego jednego poematu chciałbym, abyście tom III czytali kiedy. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki!“ Listy I, 174.

²) Listy I, 156—157.

³) Należałoby sądzić, że *Godzina myśli* napisana była w grudniu 1832, a to z powodu, że w liście poety z d. 8 grudnia jeszcze nie ma mowy o *Godzinie*, pod wierszem zaś postawił poety, jako datę, r. 1832. Wszelako spokojny ton *Godziny*

Pisząc ten piękny utwór, znał już Słowacki trzecią część *Dziadów*. Można też znaleźć pewną jej reminiscencję w tym dwuwierszu:

I co dnia z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina,

który bardzo żywo przypomina słowa archanioła pierwszego z *Dziadów*:

Runęły z niebios, jak deszcz gwiazdzisty, aniołów tłumy,
I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozumu.

Ale *Godzina* urodziła się w jakiejś szczęśliwej chwili, kiedy już minęło wzburzenie wywołane odczytaniem *Dziadów*, bo panuje w niej spokój i skupienie, na jakie Słowacki rzadko się zdobywał. Był to jakby wypoczynek przed dalszą walką o pierwszeństwo. A jednak walka ta i tutaj odbiła się dalekim echem. Sąd wypowiedziany przez Mickiewicza, że jego, Słowackiego, poezya jest pięknym kościołem bez Boga, brzmiał mu ciągle w duszy, po części jako wyzwanie, po części jak zagadka. Po odczytaniu trzeciej części *Dziadów* zagadka rozjaśniała się i niemal przestawała być zagadką, wyzwanie zostawało i zaostrzało się. W *Godzinie myśli* jest już odpowiedź na to wyzwanie, jakkolwiek bardzo jeszcze ciemna i niewyraźna. Poeta nie wypierał się, że w kościele jego poezyi nie było Boga, t. j. przyznawał, że ten kościół był „niedowiarstwem ciemny“, ale nie uważał jeszcze sobie tego za ujmę, bo wszakże takim samym był i kościół poezyi Bajrona. Chciał tylko wyjaśnić, uzasadnić taki stan swego kościoła i tu mu się nastreczyła dobra sposobność złożenia winy na swoją bajroniczną Ludkę. Nie było w tem prawdy, ale była wykwinna bajroniczność; sądził, że było mu z tem do twarzy, a i Ludka nie powinna się gniewać za tę rolę, jaką jej wyznaczał, fatalną wprawdzie, ale górującą, rozstrzygającą o kierunku jego uczuć i poezyi. Więc przy końcu *Godziny* znajdujemy obłokiem poezyi przesłonięte wyznanie, jak „dziecko z czarnymi oczyma, Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki“. Aniołem snów dziecinnych była Ludwika Śniadecka, a żegnaniu miało towarzyszyć wyznanie miłości. Tę miłość odrzuciła starsza wiekiem kochanka, a to odrzucenie poryło serce poety „w setne skazy“; tracąc wiarę w szczęście, tracił wiarę i w Boga, nie tracił tylko wiary w swoją potęgę twórczą i przez zemstę „gmach budował niedowiarstwem ciemny“. Ale

lepiej odpowiada pierwszym miesiącom pobytu w Szwajcaryi; trzeba też dodać, że pierwsza wzmianka o *Godzinie* w listach poety znajduje się pod datą 15 marca 1833.

warto posłuchać własnych słów poety, których nie zastąpi streszczenie, choć służy do ich objaśnienia.

Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące,
Bo dziecko miało duszę, wielkiego człowieka
Przeczuć nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stała daleka,
Świetna okrzykiem ludzi, a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;
Serce, jak kryształ, w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało. Wszystkie uczucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga,
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.

Jest w tym pięknym obrazie prawda i zmyślenie. Prawdą była wiara młodzieńca w świetną przyszłość i duma jej towarzysząca, prawdą było, że Ludwikę Śniadecką obierał za cel swoich nawpół dziecinnych marzeń, i że ona z góry traktowała te marzenia (bo i traktować inaczej nie mogła). Wszystko poza tem było zmyśleniem: i scena pożegnania, która, jak wiemy z pamiętnika poety¹⁾, inaczej się odbyła i przy innej dekoracyi, i to, że odrzucenie miłości miało tak fatalne następstwa i sprawiło, że gmach jego poezyi stał się „niedowiarstwem ciemny“. Jeżeli był on takim, to przede wszystkim dlatego, że u Bajrona w tym rodzaju ciemność panowała. Ale do tego się przecież nie mógł przyznać Słowacki, a chciał jakoś poetycznie uzasadnić to, z czego mu zarzut robiono. Więc zwałił wszystko na Ludkę i jej obojętność. Ale nie zapomniał przytem ugodzić krytym sztychem w swego wielkiego przeciwnika, a to w następujących wierszach:

Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miliona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

¹⁾ Listy I, 15—16.

Była to mglista alluzja do katolickiego stanowiska, jakie zajął Mickiewicz w *Dziadach* drezdeńskich, pokrewna insynuacji zawartej w przedmowie do *Lambra*, że „wieczera pańska polskich poetów“ w Paryżu jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla¹⁾.

Że te i inne alluzye, insynuacje i zwroty Słowackiego do Mickiewicza tak w przedmowie do *Lambra*, jak i w dawniejszej przedmowie do tragedij, nie mogły podobać się Mickiewiczowi i źle go uprzedzały do młodego współzawodnika, to rzecz naturalna. To też zamiast wdać się w obszerną polemikę ze Słowackim, której ten widocznie pragnął i do której wzywał, Mickiewicz dość lekceważąco potraktował młodego przeciwnika w emigracyjnym piśmie *Pielgrzym polski*, w którym wówczas brał udział: podał suchą wiadomość o pojawieniu się trzeciego tomu poezyj Słowackiego, a jakby dla charakterystyki poety przytoczył parę ustępów z przedmowy do *Lambra*, w których się dostatecznie malowała pretensjonalność Słowackiego. Było tam powtórzone i wyzwanie jego, ale tylko powtórzone i zostawione bez odpowiedzi²⁾.

O tej recenzji z przekąsem odzywał się Słowacki w liście do matki z 6 czerwca 1833. „Przemowa (do *Lambra*) krótka i gryząca, trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednym z małych pismek, ale dosyć niezgrabnie“³⁾. A w kilka miesięcy potem (w listopadzie 1833), kiedy już nie krył się przed rodziną z nienawiścią ku Mickiewiczowi za piętno hańby rzucone na doktora Bécu w *Dziadach*, jeszcze raz zwracał się do owej recenzji, ale zapomniawszy widocznie o tem, co dawniej pisał, o tem, że sam swoją przedmowę nazwał gryzącą, przedstawiał teraz tę rzecz w innym świetle. „Wyjątek z mojej przedmowy on obiecał i umieścił w piśmie, ale tak obiecał, że mu dał inne zupełnie znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości, a przemowa moja jest raczej moim usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił“⁴⁾.

¹⁾ Pokrewni są także uwagi o Mickiewiczu w liście do matki z 9 listopada 1832: „... Mickiewicz bardzo już ostygł w poezji. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bullę, słowem, że mi się, jako obecnie żyjący człowiek nie podoba. (Listy I, 1848—1849).

²⁾ Porówn. autograf recenzji przedrukowany przez dr Br. Gubrynowicza w artykule „Współpracownictwo Mickiewicza w *Pielgrzymie polskim*“. Pamiętnik Tow. imienia Adama Mickiewicza. Rocznik szósty. 1898. Str. 364—365.

³⁾ Listy I, 186.

⁴⁾ Listy I, 214.

Oskarżenie niesłuszne. Sam Słowacki nazywał swoją przemowę „gryzącą“, a potem gniewał się, gdy tę jego chęć gryzienia Mickiewicza uwydatniał. Więc źlej woli ze strony Mickiewicza nie było, ale było, jak to już powiedziałem, lekceważenie, na które sobie Słowacki zarobił wyzywającą pretensjonalnością swoich przedmów. Zewnętrzną piękność poezji Słowackiego Mickiewicz niewątpliwie i teraz, jak przedtem, uznawał, ale ten piękny kościół odstręczał go pustką; nie widział on tam żadnego innego ołtarza prócz tego, który poeta dla własnego *ja* wystawił.

ROZDZIAŁ III.

W Szwajcaryi.

1833—1836.

Chęć zmierzenia się z nowym utworem Mickiewicza. — Stosunek *Kordyana* do *Dziadów* trzeciej części i do *Wacława* Garczyńskiego. — Co znaczy prolog w tym dramacie. — Słowacki nastraja się patryotycznie. — Recenzja *Kordyana* w dzienniku *Le Polonais*; jak ją przyjął Słowacki. — Wrażenie, jakie sprawił na nim *Pan Tadeusz*. — *Balladyna*. — Znaczenie epilogu. — Myśli matrymonialne Słowackiego; stosunek z Maryą Wodzińską. — Pragnienie większej doskonałości poetyckiej.

Wydawszy trzeci tom swych poezyj, Słowacki zaraz zaczął myśleć o tem, jakby się zmierzyć z nowym utworem Mickiewicza, który luzując *Wallenroda*, stawał u szczytu poezji polskiej. Dotychczas zdołał on tylko — w przedmowie do *Lambra*, w *Godzinie myśli* — rzucić parę pocisków przeciwko kierunkowi trzeciej części *Dziadów*; teraz chodziło o coś ważniejszego dla poety i trudniejszego: o stworzenie poematu w rodzaju drezdeńskich *Dziadów*, o pokazanie, że autor *Lambra* i w tym nowym rodzaju dorówna Mickiewiczowi, a może go i przewyższy. Już w połowie lipca 1833 pisał do matki: „Czekam z niecierpliwością dzieł Kochanowskiego: zastąpią mi one w pewnym względzie obcowanie Polaków i pomogą wielce w pisaniu nowego poematu, którego pierwszą część pod zmyślonem imieniem wydać sobie zamierzam“¹⁾. Chciał więc naostrzyć klingę poetycką do nowego boju i już z góry postanawiał sobie wystąpić z zamkniętą przyłbicą, co jużć oznaczało mniejszą pewność zwycięstwa.

¹⁾ Listy I, 194.

Zanim zamiar nowego utworu został wykonany, dostał Słowacki do ręki świeżo wydany poemat Garczyńskiego: *Wacława Dzieje*, który nosił na sobie wyraźne ślady wpływu trzeciej części *Dziadów*; był tak samo jak tamten fantastycznym, z mocno napiętą struną patryotyczną, tak samo przedstawiał wewnętrzne przeobrażenie bohatera-poety, tak samo wreszcie urwanym. Dla Słowackiego ukazanie się *Wacława* było nowym i silnym bodźcem, aby zabrać się do napisania poematu w stylu przez Mickiewicza w *Dziadach* obranym. I było zarazem ułatwieniem. Muza Słowackiego o ile miała wielką łatwość naśladowania, kojarzenia, kombinowania, strojenia i ozdabiania cudzych motywów, o tyle mało zdolną była do ich oryginalnego tworzenia, co było przedewszystkiem skutkiem braku społecznych uczuć w Słowackim. Stawać do zapasów z Konradem z *Dziadów* i od niego tylko pożyczać motywów do współzawodniczego poematu, chociażby inaczej obróconych i rozwiniętych, przedstawiało wiele niedogodności; ale z motywów, zawartych w dwu pokrewnych poematach, skombinować coś trzeciego, było zadaniem o wiele łatwiejszem, przy którym daleko łatwiej można było ukryć brak własnej oryginalności. To też potem, po zaznajomieniu się z *Wacławem* Garczyńskiego, robota poszła żwawo i poeta w ciągu dni 20 napisał 2200 wierszy ¹⁾.

Donosząc o tem matce, dodawał: „Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie stracona dla dobra ojczyzny mojej, przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko“. Czuł więc dobrze Słowacki, że jego poezya obiera nowy tor — patryotyczny, idąc w tem w ślad za *Dziadami* drezdeńskimi i *Wacławem* Garczyńskiego. Ale czy zdawał sobie poeta sprawę z pobudek, które go na ten tor wepchnęły. Zapewne nie, jak sobie z tego nie zdają sprawy liczni wielbicieli Słowackiego, stawiający go, jako patryotę, na równi z Mickiewiczem i Krasińskim. Niestety, jego patryotyzm pochodził z głowy nie z serca; obierał on ten kierunek nie wskutek wzruszeń, wywołanych powstaniem listopadowem, bo w najgorętszych i najfatalniejszych jego chwilach mógł się akademicznie oddawać poezyi, pisząc *Żmiję*, a po upadku powstania bajronizował tak samo, jak przedtem, w swoim *Lambrze*. Na nową drogę wciągnęła go przedewszystkiem żądza sławy, której się na innej drodze poetyckiej wówczas dobić trudno było, chęć prześcignięcia wielkiego przeci-

¹⁾ Listy I, 217.

wnika, który tedy poszedł i nowemi się ozdobił laurami. Sam on prawie przyznawał się do tego w liście do matki, gdy nazywając swój nowy utwór „wielkiem dziełem“ i zapewniając, że się nie zaślepią, że to dzieło osądził „obcego człowieka rozsługą“, dodawał: „drukuję bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem“ ¹⁾. O walkę więc głównie chodziło; nie idea patryotyczna, ale nadzieja zwalczenia, prześcignięcia Mickiewicza była gwiazdą przewodnią poety przy pisaniu *Kordyana*. Zapewne, można wierzyć poecie, że i uczucia synowskie odegrały tu pewną rolę i dużo akcentu prawdy mają te słowa poety w liście (już cytowanym) do matki: „Nie mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, Matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dojść nie mogły...“. Ale i w tych słowach uczucie dla matki występuje jakby nierozdzielnie związane z żądzą sławy, jakby jakąś przynależność tej żądzy stanowiące.

Jakiż jest stosunek *Kordyana* do *Dziadów*? Miała to być tak samo historia wewnętrzna ducha poety, osadzona na tle wypadków politycznych i tak samo miała mieć formę napół fantastycznego dramatu. Historia ta u Słowackiego była dotychczas bardzo uboga: prócz żądzy sławy, która go od dzieciństwa trawiła, nie było w niej silniejszych uczuć, bo jego dziecinna miłość dla Ludwiki, była także tylko jakby attynencyą tej żądzy, z głowy nie z serca brała początek. To, co było ciekawego w tej historii, zawarł w *Godzinie myśli*, a choćby się powtórzył, to przecież nie było z czego stworzyć poematu, któryby mógł się mierzyć z III częścią *Dziadów*. Trzeba więc było dokończyć historię swego ducha, wymyśleć jakieś przeobrażenie się, któreby odpowiadało przeobrażeniu się Gustawa w Konrada; Słowacki to zrobił i w tem zapewne tkwił jeden z powodów bezimiennego wydania *Kordyana*, bo jeśli poeta utożsamiał się ze swoim bohaterem, co było rzeczą z wielu ustępów widoczną, to w ten sposób wystawiał się na porównanie swego stanowiska patryotycznego ze stanowiskiem swego bohatera, co musiało prowadzić do niepochlebnych dla poety wniosków. Kordyan rwący się do poświęcenia i poeta, uchodzący z Warszawy w czasie najgorętszego ruchu, to była niezgodność zbyt rażąca. Bezimiennosc poematu naturalnie miała być chwilową, miała ułatwić powodzenie jego, a potem blask sławy wyrównałby wszystko.

Pierwsze dwa akty przedstawiają Kordyana przed jego przeo-

¹⁾ Listy I, 215.

brażeniem się wewnętrznym. Poeta włożył tu z siebie co mógł: więc swój bajroniczny sceptycyzm, swoją miłość dziecinna dla starszej wiekiem Ludwika, swoje myśli, a raczej fantazyje samobójcze, swoje wrażenia z podróży po świecie; do tego dokomponował trzy sceny, albo raczej trzy stosunki: z Grzegorzem, Violetta i papieżem. Grzegorz jest postacią sztuczną, pożyczoną z *Dziadów*, o ile przypomina Kaprala, to znów w piosence o Janku, co psom szyl buty, jest echem *Wacława*, to jest piosenki Nieznajomego o pchle, którą zresztą Garczyński wziął z *Fausta* Goethego¹⁾. Scena z Violetta nie ma w sobie nic analogicznego ani z *Dziadami*, ani z *Wacławem*; wymyślił ją poeta, albo wreszcie może wziął ją z bardzo poziemych wspomnień, ale podniósł w sferę wyższej fantazyi, ułożył bardzo szczęśliwie, oblał czarem i blaskiem swego słowa. To też scenę tę, oddzielnie wziętą, można nazwać koncertowym kawalkiem; jest ona jakby *pendant* do rozmowy Kordyana z Laurą, która także jest koncertową, to jest z samych efektownych zwrotów ułożoną i która, jak to zobaczymy, w inny się jeszcze sposób wiąże z poprzednią. Myślę nawet, że scena z Violetta lepiej się udała poecie, i że mimo awanturniczego pomysłu o złotych podkowach, przypominającego śmiałość fantazyi Szekspirowskiej, jest więcej szczerości w tej scenie, niż w tamtej; szerszym jest wzgardliwy ton słów Kordyana zwróconych do Violetty, niż Hamletowskie rozmyślenia i bajroniczne pozy, które on przybiera w rozmowie z Laurą.

Scena u papieża była zapewne echem wrażenia, jakie w wielu kołach emigracyjnych w Paryżu wywarła encyklika Grzegorza XVI do biskupów polskich, powstrzymująca ich od mieszania się do spraw politycznych. Jako pamflet polityczny ułożona zręcznie, dowcipnie i złośliwie, w ogólnym planie poematu jest zupełnie zbyteczną. Słowacki ją tu przypłatał dlatego, że chciał uwydatnić różnicę pomiędzy swoim stanowiskiem względem Kościoła, a stanowiskiem Mickiewicza, który, według cytowanych już dawniej słów Słowackiego, uniewinniał w prywatnych rozmowach papieża a nawet bullę²⁾.

¹⁾ Można by myśleć, że Słowacki tworząc postać Grzegorza miał i żywy model w pamięci, to jest pewnego starego sługę, który mu usługiwał w Warszawie w czasach, gdy poeta był trawiony gorączką; powiada bowiem w swoim Pamiętniku, że w chorobie bawił się czasem oryginalnem opowiadaniem tego sługi. Ale na to przypuszczenie nie pozwala charakterystyka sługi, podana w tymże Pamiętniku (Listy I, 24) a wcale niezgodna z charakterystyką Grzegorza.

²⁾ Listy I, 148.

Scena na szczycie Mont-Blanc, zamykająca akt drugi, w po-myśle swoim jest spletanem echem wielkiej improwizacji *Dziadów*, przeobrażenia Gustawa w Konrada, a także tej sceny z *Wacławem*, kiedy Wacław pod wpływem melodyi narodowej postanawia cały oddać się ojczyźnie. W porównaniu z Improwizacją Mickiewicza wygląda poniekąd na parodję, taki tu w niektórych ustępach brak szczerości poetyckiej, taka teatralność wyrażen. Poeta chciał przedstawić i uzasadnić przeobrażenie się wewnętrzne bohatera, zbudzenie się w nim zapału patriotycznego, a do wyrażenia tego nie znajdował nic w historii własnego ducha i stąd to taka sztuczność i teatralność Kordyana w tej scenie¹⁾. Jest on śmieszny nawet, gdy ze szczytu Mont-Blanc szuka wielkiej idei, jak gdyby idea była jakimś zjawiskiem fizycznym i gdy lody szwajcarskie niewiadomo dla czego stawia mu przed oczy poświęcenie się Winkelrieda i budzą w nim miłość dla Polski, a zarazem myśl o posłannictwie Polski, jako Winkelrieda narodów. Wszystko to sztuczne i nagłe, prawdziwe salto mortale, które Kordyan wykonywa skacząc z góry Mont-Blanc do szkoły podchorążych w Warszawie.

A jednak poeta usiłował ten skok swojego bohatera uzasadnić. Oto co Kordyan powiada o sobie:

Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem...
Wiara dziecinna padła na papieskich progach...
Nie, nie, nie, aż w powietrza błękitie
Skapałem się i ożyłem,
I czuję życie!

Jest tu jakby streszczenie i powiązanie jedną myślą rzuconych przedtem luźnie obrazów, ale poeta nie dostrzega braku konsekwencji w tem powiązaniu. Gorzkie, kupione pocałowania kobiety dobrze wyrażają skargę poety na brak wzajemnej miłości, ale cóż znaczy wiara dziecinna padająca na papieskich progach? Słowacki do szczytu zapomniął, że jego Kordyan oddawna już nie miał tej wiary dziecinnej, jeszcze kiedy parafrazował monolog Hamleta, wybierał się rąbać nadpróchniałe krzyże i przykładął lufę pistoletu do czoła. W tę niekonsekwencję popadł Słowacki przez chęć położenia nacisku na

¹⁾ Przyznaję, że kiedy miałem lat dwadzieścia, a nawet trochę więcej, nie było dla mnie nic piękniejszego od tej sceny, bo jest to wiek, w którym teatralność nie razi, owszem przypada do smaku, a do ocenienia szczerości i prostoty nie ma jeszcze odpowiedniego doświadczenia.

scenę, która miała uwydatniać różnicę w poglądach między nim a Mickiewiczem. Co się tyczy „skapania się w błękie powietrza“ i odświeżenia ducha, to jakkolwiek ono nie jest dostatecznym do uzasadnienia Kordyanowego *salto mortale*, przecież znajduje pewien grunt w historii ducha poety.

Skapanie się w powietrzu szwajcarskiem, to jest pobyt w Genewie, mogło nietylko na stan fizyczny Słowackiego pomyślnie oddziaływać, ale i na moralny. Po drażniącym życiu paryskim znalazł się on tu w warunkach, które jak najlepiej sprzyjały uspokojeniu się i skupieniu ducha. Miał piękne widoki przyrody szwajcarskiej przed oczyma, z taflą jeziora genewskiego u dołu, ze szczytem Mont-Blanc u góry; miał życie wygodne i swobodne i mógł z wielką łatwością przechodzić od pracy i ciszy do rozrywki; otoczony był najtroskliwszą, najczulszą opieką gospodyni domu i jej córki, Eglantyny Pattey, która nietylko w nim była zakochaną, ale umiała to nawet bardzo poetycznie wyrażać (gdyby on umarł, toby ona jego serce w urnie srebrnej piechotą do kraju zaniosła)¹⁾; używał w różnorodnym towarzystwie, które go otaczało, sławy poetyckiej, „małej sławy“, jak się wyrażał, która nadawała urok jego postaci. Sam poeta spostrzegał dodatni wpływ genewskiego otoczenia, gdy pisał do matki: „Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu, zupełnie inne obrazy i bardzo wydatne odcieniami zostawiły w mojej pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy“²⁾.

Nawet żywa tradycja o Kościuszcze, ze czcią powtarzana przez Szwajcarów, uszlachetniająco działała na egoistyczne usposobienie Słowackiego i budziła w nim nowe pragnienia. Powtarzając matce w jednym z listów historię o koniu Kościuszki, który się sam zatrzymywał przed każdym żebrakiem, autor *Lambra*, który dotychczas wżgardę dla ludzi uważał za szczyt poetycznego nastroju, dodaje z westchnieniem: „O matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem...“³⁾. Ale od tych uspokajających i uszlachetniających wrażeń do jakiegoś przełomu wewnętrznego, któryby odpowiadał Kordyanowemu *salto mortale*, droga była bardzo daleka. Nie było go też w duszy Słowackiego w owych czasach i w tym względzie

¹⁾ Listy I, 184.

²⁾ Tamże 172.

³⁾ Tamże 177.

jego Kordyan nie był wyrazem własnego ducha poety, ale tylko echem — pośrednim lub bezpośrednim — Konrada.

Akt III rozacza tło polityczne, na którym występuje postać przeobrażonego Kordyana — w mundurze podchorążych. Szukając tła, odpowiadającego obrazowi prześladowania Filaretów w *Dziadach*, Słowacki nie mógł znaleźć nic lepszego od chwili spisku koronacyjnego, którą mu podsuwał poemat Garczyńskiego. Sam wprawdzie nie należał do spisku, nie znał go z wnętrza, ale znał atmosferę Warszawy w owych czasach, stosunek ludności do Wielkiego Księcia, zapal nurtujący w młodzieży. Więc wyobraźnia jego miała obfity materiał do układania efektownych obrazów. Dzięki temu akt III ma wiele ruchu i życia. Co się tyczy Kordyana, to jego patryotyczne uniesienia są retoryką, nie zawsze zrozumiałą, i pozą, która szczytu osiąga w owym *excusez du peu*: „Narodowi zapisuję, co mogę... Krew moją i życie i tron do rozrządzenia próżny“. I nie mogło być inaczej: akcentu prawdy i szczerości nie mógł dać Słowacki patryotyzmowi Kordyana, bo patryotyzmu w samym pocie nie było. Wciągał on go dopiero w siebie wyobraźnią, napełniał się nim zzewnątrz, z poezji mickiewiczowskiej. Ale dał swemu bohaterowi jedną rzecz z siebie, rzecz, która uczyniła tę postać oryginalną, żywą, zajmującą, mianowicie dał mu gorączkową wyobraźnię, zdolność miewania wizyj, dorównywających żywością swoją obrazom rzeczywistym. Kordyan z bagnietem w rękę, w dyalogu z Imaginacją i Strachem, jest rodzonym bratem Lambra, którego pod wpływem napoju makowego oblegają mary gorączkowe; obaj noszą na sobie piętno wyobraźni samego poety.

Poemat Słowackiego jeszcze i pod tym względem jest echem *Dziadów*, że jest jak one nieskończonym, i jak one zaczyna się od wstępu (nazwanego „Przygotowaniem“), w którym występują nadziemskie potęgi, złe i dobre, mające wpływać na losy ludzkie. Tylko w *Kordyanie* wpływ tych potęg nie jest zwrócony ku osobie bohatera, jak w *Dziadach*, ale się odnosić ma do całego narodu; szatani w pierwszą godzinę nowego, dziewiętnastego wieku stwarzają narodowi polskiemu dygnitarzy. Pochop do tego pomysłu może dała Słowackiemu scena fantastyczna Garczyńskiego p. t. *Wizya*, w której czarownica wywołuje przed oczami poety rozmaite wcielenia szatana. Można by myśleć, że i samo imię bohatera poematu, wymyślone przez Słowackiego, a utworzone z łacińskiej nazwy serca, podsunęte zostało zakończeniem *Wizyi*, ostatnimi jej wyrazami, określającymi

szatana jako „człowieka — bez serca“. Jakkolwiekby, *Przygotowanie* bardzo luźnie wiąże się z samym poematem. Z dygnitarzy utworzonych przez szatana jeden tylko Niemcewicz występuje w poemacie jako prezes spisku, hamujący zapal i gotowość do poświęceń Kordyana. Wiadomo, że Niemcewicz wmieszany został przez Słowackiego do spisku, jak Piłat w Credo, ale gdyby nawet odegrał był w nim rolę, jaką mu poeta wyznaczył, to jeszcze tworzenie całej machiny piekielnej, ażeby uzasadnić w starcu panowanie rozważi nad zapalem, byłoby niedorzecznością. Ale Słowacki, jak się zdaje, chciał swoim wstępem do *Kordyana*, umieszczonymi tam zagadkami, odnoszącymi się do ludzi, o których najczęściej mówiono w emigracji, zainteresować, zaintrygować ogół emigracyjny i nadać tem większy rozgłos swemu poematowi; mógł przytem i osobiste rachunki załatwić. Takim osobistym rachunkiem jest niewątpliwie pełne złości i urągania przedstawienie Lelewela, który, jako autor broszury *Nowosilcow w Wilnie*, przedstawiającej doktora Bécu jako zausznika pana senatora, stał mu się nienawistnym; na taki rachunek zakrawa i charakterystyka Niemcewicza, bez śladu uszanowania dla wielkiej a zasłużonej powagi starca. Nie wiemy czem sobie zraził sędziwy autor *Śpiewów historycznych* Słowackiego; najpewniej jakąś prywatną krytyką jego poezji, która doszła uszu niesłychanie drażliwego na ujemne sądy ludzkie poety. Czytając te i inne charakterystyki, mimowoli przypominamy sobie fatalną przyjaźń Słowackiego ze Skibickim, który go na rok przedtem namawiał do napisania poematu drwiącego „o luminarzach naszych“. To też o wstępie do *Kordyana* można powiedzieć, że w nim pokutuje duch Skibickiego.

Mickiewicz nigdzie nie został dotknięty w owym *Przygotowaniu*, bo na to Słowacki wyznaczał osobny ustęp, nazwany przez niego prologiem. Był to plac odmierzony do walki z najbardziej nienawistnym wrogiem. W Prologu przemawiają trzy osoby: pierwszą z nich ma być Mickiewicz, między dwie drugie rozdzielił Słowacki siebie. Mickiewicz przedstawia tu siebie takim, jakim się wydał Słowackiemu, jako autor trzeciej części *Dziadów*. Trzeba oddać tym razem słuszość Słowackiemu, że pomimo wyteżonego antagonizmu, przedstawił swego przeciwnika wprawdzie niezupełnie wiernie i z akcentowaniem stron ujemnych, w każdym razie w rysach nie odbiegających daleko od rzeczywistości. Oto jak przemawia pierwsza osoba prologu:

Boże! ześlij na lud twój wyniszczony bojem
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;

Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania,
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania,
Po mękach wręcz mi trąbę sądneho anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże,
A komu palec przekleństw na czoło położy,
Niech nosi znak na czole...

A kto ja jestem? Jestem duch Apokalipsy...

W rękę siedem gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry, obosieczny; a twarz moja błyska
Jak słońce w całej mocy wyświecone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam... Jestem pierwszy... i ostatnim będę.

Mistyczna charakterystyka pierwszej osoby prologu w znacznej części wzięta jest niemal dosłownie z *Objawienia św. Jana*,¹⁾ ale dość zręcznie zastosowana do autora trzeciej części *Dziadów*, w której pierwiastek mistyczny tak ważną odgrywa rolę. Wogóle w tej charakterystyce Mickiewicza miłość ojczyzny, duma i mistycyzm, te trzy główne tony *Dziadów*, uwydatnione są, jak widzimy, bardzo trafnie, ale najsilniejszy nacisk położył Słowacki na dumę i dlatego w zwierciadle swego prologu wykrzywił obraz swego przeciwnika. W okrzyku: „Jestem pierwszy i ostatnim będę“, pochwyconym także z Apokalipsy, było jakby oskarżenie Mickiewicza, że nie chce dopuścić nikogo do współzrędnego panowania w poezji

¹⁾ Dla porównania przytaczam odpowiednie ustępy z *Objawienia św. Jana*: (Rozdz. I, 12—17).

12. I obróciłem się, abym słyszał on głos, który mówił ze mną, a obróciwszy się ujrzałem siedm świeczników złotych.

13. A w pośrodku onych siedmi świeczników podobnego Synowi człowieczemu, obleczonego w długą szatę i przepasanego na piersiach pasem złotym;

14. A głowa jego i włosy były białe, jako wełna biała, jako śnieg, a oczy jego jako płomień ognia;

15. A nogi jego podobne mosiądzowi, jakoby w piecu rozpalone, a głos jego jak głos wielu wód.

16. I miał w prawej ręce swojej siedm gwiazd, a z ust jego wychodził miecz z obu stron ostry, a oblicze jego jako słońce, kiedy jasno świeci.

17. A gdym go ujrzał, upadłem do nóg jego, jako martwy. I włożył prawą rękę swoją na mię, mówiąc mi: Nie bój się! Jam jest on pierwszy i ostatni etc.

polskiej, albo jeszcze lepiej, że nie chce uznać Słowackiego za swego następcę i dziedzica swego tronu.

Druga osoba prologu przedrwiwa mistyczny zapal pierwszej. Słowacki za pośrednictwem tej drugiej osoby chciał przypiąć Mickiewiczowi kilka latek, dość niefortunnych: więc, że podobny z postaci do tureckiego derwisza, że już siwieje, że słowa poetyckiego używa do zemsty na wrogach osobistych. Druga osoba jest jakby na to tylko wprowadzona, aby nadać pozór bezstronności trzeciej, która „spędza zwaśnionych obu ze scenicznych progów“, i zajmwszy ich miejsce, zapowiada i zaleca nową poezję patryotyczną — poezję Słowackiego. Oto jak przemawia:

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskreszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zedrę całun zgniły,
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem — pożegnani łzami.

Zapowiedź bardzo niejasna. Cóż znaczą „aktorowie wyżsi o całe mogiły“? Zdaje się, że poeta chciał tu wskazać wyższość swego bohatera i jego towarzyszy nad Filaretami, bohaterami poematu Mickiewicza, wyższość polegającą na tem, że tamci narazili się tylko na więzienie i wygnanie, ci zaś położyli głowy. Ale czy położyli? W pierwszej części *Kordyana*, t. j. w tej, która jedynie istnieje, tego nie widzimy, zapowiedź zatem mogła się odnosić do dalszych części dramatu, o których poeta zapewne na seryo nie myślał, których planu nie układał, bo jak pierwsza część *Kordyana* była jakby echem pierwszego aktu trzeciej części *Dziadów*, tak i te dalsze części mogły być ułożone w głowie Słowackiego tylko pod wpływem dalszego ciągu *Dziadów*. Ale jest w tem zaleceniu *Kordyana* jeden wiersz, który bardzo trafnie charakteryzuje główną właściwość, główny urok poezji Słowackiego i świadczy, że poeta jeśli nie zdawał sobie dokładnie sprawy, to przynajmniej czuł instynktowo, co jest tą właściwością, tym urokiem, co stanowi główną siłę jego poezji. „Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem“, powiada trzecia osoba prologu, a z tej zapowiedzi błyskają ku nam tysiące ulotnych obrazów przyrody polskiej i niepolskiej, oblanych

światłem poezji, a stanowiących istotny skarb wątpliwej nie pod jednym względem spuścizny po Słowackim.

Wiemy, że Słowacki nazywał swój nowy utwór „wielkiem dziełem“; podczas drukowania *Kordyana* pisał do matki: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką“¹⁾. Sądził, że *Kordyan* objawi go światu, a przynajmniej Polsce, jako wieszcz narodowego, a poruszając świeże uczucia i wspomnienia, wyniesie go odrazu na piedestał sławy. Zostawał on sam poniekąd pod wpływem własnego poematu i patryotyzm *Kordyana*, więcej z wyobraźni, niż z własnych wzięty wrażeń, udzielał się teraz samemu pocie. Domyślać się tego można z niektórych poetycznych westehnień poety, pojawiających się w listach do matki od czasu napisania *Kordyana*. Tak opowiadając matce (w liście pod datą 30 listopada 1833) o jakiejś wycieczce w młodej kompanii na wieś, podczas której wśród innych pieśni śpiewano chórem „Święty Boże“, Słowacki dodaje: „Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewno uczujecie wrażenie, jakim nas natchnęła ta pieśń pobożna... Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach i kielichy są pełne goryczy... dopóki Bóg ich od nas nie odwróci“²⁾. W innym, późniejszym liście, prawie bezpośrednio po oznajmieniu, że wyjście na świat *Kordyana* ma być ważną dla poety epoką, znajdujemy takie westehnienie: „O, gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym teraz wydaje! szczególnie Litwa, do niej kiedyś świętą zrobię pielgrzymkę“³⁾.

Puściwszy w świat *Kordyana*, przyezajony w bezimienności poeta z bijącym sercem wyczekiwał odgłosu wrażenia, jakie jego poemat wywrze na emigracji, która była wówczas duszą i kwiatem polskiego społeczeństwa. Nie wstrzymywało to jednak rozbudzonej jego wyobraźni od dalszego tworzenia, i zaraz po napisaniu *Kordyana* zabrał się do pisania innego utworu dramatycznego, który, jak się można domyślać, pokrewny był treścią *Kordyanowi*. „Donoszę ci, Mamo, pisał 24 marca 1834, że teraz zajęty jestem pisanem nowej tragedii: o Wallasie, szkockim rycerzu... Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą. Przypomniało mi się, że niegdyś w dzieciństwie, kiedyś mi Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiła mi: „Poznasz

¹⁾ Listy I, 220.

²⁾ Tamże, 216.

³⁾ Tamże I, 220—221.

Wallasa życie". Samo imię Wallas uderzało magnetycznie na moją imaginację... Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les Chefs Ecossais*. Mama wtenczas grała na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez wale tylko romans widzę, jak we mgle... Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedii nie romansowie, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka, ale składając tragedię i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty". Następnie dodawał, że tragedię tę chce poświęcić pamięci swego wuja Jana, który zginął w powstaniu³⁾. Z tej genezy, przez samego poetę podanej, łatwo wyrozumieć, że Wallas miał być owocem tego nastroju patryotycznego, który fantazja poety przybrała w ciągu pisania *Kordyana*.

Czując w sobie wzbierającą twórczość, a niczem nie drażniony z zewnątrz, czując, że w *Kordyanie* wszedł na drogę, która go musi zaprowadzić do sławy, czując, że „jest tem, czem być powinien“, że „nie minął swego powołania“, Słowacki był zadowolony z siebie i ze swego ustronnego życia i tak pisał do matki jeszcze przed otrzymaniem jakichkolwiek wiadomości o powodzeniu swego *Kordyana*: „Wszystkie przyjemności życia mijają mię i obchodzą kołem, mówiąc, nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy“. O Mamo! ale ja jestem szczęśliwy tak, jak jestem i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą; zdaje mi się, że chleb, który spożywają, musi pachnąć nicością“. Wprawdzie to, co mówił o przyjemnościach życia, nie jest dokładne, bo przyjemności go nie omijały i stanowiły spokojne ramy dla jego marzeń, ale w następujących potem pełnych poezji słowach, które najdokładniej wyjaśniają słynne wyrażenie Słowackiego o „zjadaczach chleba“, doskonale maluje się ów ciągły stan poety zapatrzenia się w sławę. Maluje się także i spokój, jakiego wówczas doznawał dzięki przyrodzie i towarzystwu szwajcarskiemu. „Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dnie mi upływają... Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi mej duszy“²⁾. Poczucie piękna przy-

¹⁾ Listy I, 230. ²⁾ Tamże 231.

rody rosło w nim razem z poczuciem siły swej twórczości, bo stanowiło główny element tej ostatniej.

Słowacki niedługo czekał na głos krytyki. W kilka tygodni po wyjściu *Kordyana* na świat ukazała się recenzja o nim w dzienniku *Le Polonais*, w kwietniowym zeszycie 1834 r. Miesięcznik ten, założony w połowie 1833 w Paryżu, w obronie praw Polski, pod protekcją takich przyjaciół Polski, jak Montalembert, zaznajamiał Francuzów nie tylko z cierpieniami ówczesnymi Polaków, z przesławianiem, jakiego doznawali, nie tylko z ich politycznymi dążeniami i nadziejami, ale i z literaturą, w szczególności emigracyjną. W poprzednich numerach redakcja podawała w przekładzie ustępy z *Dziadów* Mickiewicza, z *Ksiąg pielgrzymstwa*, wiersz *Do Matki Polki*, parę wierszy Garczyńskiego ze świeżego wydania jego poezji. W tym samym numerze, w którym była recenzja *Kordyana*, był także *Farys* w tłumaczeniu Ostrowskiego. Sąd tego pisma miał dla Słowackiego wielkie znaczenie. Ponieważ pismo było przeznaczone i dla emigracji i dla Europy, tedy więc była droga do sławy europejskiej.

Recenzja podawała naprzód dosyć szczegółowo i zupełnie obiektywnie treść poematu i dodawała, że jakkolwiek z dzieła można łatwo poznać autora, który ukrył swoje nazwisko, nie będzie go jednak odsłaniała. „Jest to młodzieniec dobrze znany przez naszych ziomków. Złożył on już dowody talentu, a obecna książka pozwala spodziewać się jeszcze więcej po nim“. Po tych dopiero słowach następował właściwy sąd o *Kordyanie*: „W każdej poezji można odróżnić dwie strony: ducha i formy, myśli i wyrażenia. Są ludzie poetyckiego ducha, ale nie posiadają liry Apollina, brak im pewnej harmonii, mowy wierszowanej. Są znów inni, pełni harmonii, ale brak im innej zdolności, innych przymiotów poetyckich¹⁾. Obawiamy

¹⁾ Toute poésie se compose de deux parties, de l'esprit et de la forme, de la pensée et de l'expression. Il y a des hommes remplis de l'esprit poétique, mais qui n'ont point la lyre d'Apollon, il leur manque une certaine harmonie, la langue des vers. Il y en a d'autres, qui sont pleins d'harmonie, mais qui manquent d'autre talent, d'autres qualités poétiques. Nous craignons que cela ne puisse s'appliquer en partie à l'auteur de *Kordian*. *Le Polonais*, journal des intérêts de la Pologne. T. II. Paris 1834. Str. 187. Podaję ten ustęp w oryginale dlatego, że w komentarzu p. Biegeleisena do *Kordyana* (Słowacki — *Dzieła* T. V) a także w monografii p. Hoesicka (T. II, str. 53), który widocznie oryginału nie miał przed oczyma, a oparł się tylko na p. Biegeleisena, ustęp ten przełożony został w sposób, który sens jego zupełnie odmienił. „Cały poemat pod względem ducha i formy, pod względem myśli i wykonania, rozpada się na dwie części. Są ludzie posiadający natchnie-

się, że to się da w części zastosować do autora Kordiana. Nowy ten utwór, jak i pierwsze tego autora, odznacza się bogactwem rytmu, czystością i siłą języka, harmonią, dobozem wyrażen. Poeta uderza czytelnika śmiałością wyrażania i rozwijania swej myśli. Ale za mało przemawia do serca, nie sprawia należytego wrażenia. Nie chcemy go sądzić według prawideł sztuki. Nie będziemy mówili o toku poematu, o sposobie rozwijania akcji. Darujemy mu nawet błędy historyczne; talent może do pewnego stopnia usprawiedliwić kaprysy wyobraźni. Wolno poecie uchylać się trochę od prawdy: *Mendax poeta*. Chcielibyśmy za to inną w nim znaleźć zaletę: naturalność. Zdaje się, że muza autora Kordiana więcej czerpała z książek i opowiadań, aniżeli z natury i rzeczywistości i oto dla czego jest nieco teatralną. Ale ta muza jest młodą, i ażeby się przekonać, jak wiele jeszcze można się spodziewać po niej, dość jest przypomnieć niektóre z tych pięknych utworów, które mu natchnęły okoliczności⁴.

Recenzja w swej części krytycznej była krótką, ale zadziwiająco mądrą. Trafiała ona najcelniej w samo jądro rzeczy, w najślabszą stronę *Kordyana* i całej poezji Słowackiego: teatralność, ale czyniła to najdelikatniej, uwzględniając drażliwość młodego poety, z całym uznaniem i życzliwością podnosząc zewnętrzny czar jego poezji. Ostatecznie wypowiadała ona to samo, co powiedział był przed blisko dwoma laty Mickiewicz o pierwszych dwu tomikach poezji Słowackiego, mianowicie, że jego poezja to piękny kościół bez Boga, tylko tym razem wiadomo było dokładnie, co należało rozumieć przez słowo Bóg: prawdę uczucia. Dlatego też przypuszczam, że i ta recenzja, podana bezimiennie, jeżeli nie pochodziła w całości od Mickiewicza, to przynajmniej ten główny sąd swój zaczerpnęła od niego,

Że i Słowacki tak się domyślał, można to wnosić z jego słów w liście do matki z 27 kwietnia: „Mój śpiew ostatni, jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednym z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór, pochlebne o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może, a tą przeciwną partją są nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam, od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem“¹⁾. Jakkolwiek jednak z przekąsem odzywał się o recenji,

nie, nie posiadający jednak artyzmu. Inni znowu wprawni w sztuce, nie mają talentu poetyckiego. Ani jedno, ani drugie nie może odnosić się do *Kordyana*. Wypadło zatem coś wręcz przeciwnego oryginałowi.

¹⁾ Listy I, 237.

widac z tonu słów przytoczonych, że nie odtrącał jej, jako niezasłużonej napaści, że uznawał w głębi ducha życzliwość, która z niej promieniowała. Czy wziął do serca i głęboką naukę, która w niej zawarta była? Moznaby myśleć, że nauka ta sprawiła na nim wrażenie, że w nowym świetle starał się przyjrzeć sobie i swojej poezji i starał się nastroić odpowiednio do otrzymanej nauki. Wskazówkę pewną w tym względzie można znaleźć w cytowanym tylko co liście poety. Donosząc o tem, że codzień odczytuje Kochanowskich, tak pisał: „Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swojej chacie, z żoną, z dziećmi. Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać i do tej lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroścę jego chaty, lipy, żony, dzieci i czasów szczęśliwych, w których żył... Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Dotąd już tyle w tej nauce postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka. Zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają“. To dążenie do spokoju wewnętrznego, to wielbienie spokoju w życiu i poezji Kochanowskiego nie było jeżeli nie równoznaczne, to przynajmniej równoległe z dążeniem do naturalności i szczerości w poezji, zalet, których brak w nim recenzja wskazywała.

Niebawem — latem 1834 — nastały czasy najszczęśliwsze dla wyobraźni Słowackiego. Dotychczas nie ruszając się z Genewy korzystał on tylko z tych widoków, jakie mu Genewa nastreżyła; teraz w towarzystwie rodziny Wodzińskich odbył dłuższą wycieczkę po górach Szwajcaryi i wyobraźnia jego wzbogaciła się mnóstwem nowych, nieznanych mu dotąd obrazów przyrody szwajcarskiej. „Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przed dwadzieścia dni przemijały przed moimi oczyma“, pisał do matki w sierpniu 1834¹⁾. Z brylantowej przedzdy wrażeń, odniesionych w tej podróży, miał w kilka lat potem utkać swój najświeższy poemat *W Szwajcaryi*. Ale bezpośrednio po podróży, choć miał „imaginację, jak salon pałacowy ustrojony nowymi malowidłami“, nie rwał się do pisania, jakby czekając na to, ażeby muza jego wyrobiła w sobie tę zaletę, której brak jej wskazywano: naturalność, prostotę. Dopiero w jesieni tego roku, pod wpływem pewnego kompli-

¹⁾ Listy I, 251.

mentu, który usłyszał z pięknych ust panińskich o swoim wołyńskim sposobie tańcowania mazura, zapaliła się nagle jego wyobraźnia i w ciągu kilkunastu dni galopem napisał tragedję o Mazepie.

Tymczasem dochodziły go wieści o nowym poemacie Mickiewicza. Jego paryscy korespondenci donosili mu o *Panu Tadeuszu*, zanim jeszcze został w „kurs puszczonej” i na podstawie tego, co wiedział od nich, donosił matce, „że Pan Tadeusz jest to szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811—1812 rokiem”¹⁾. I w następnym liście z końca września 1834, także jeszcze przed odczytaniem *Pana Tadeusza*, wspominał o nowym utworze Mickiewicza i dodawał, bodaj czy szczerze: „Cieszę się zawsze, ile razy nowego co wychodzi, bo dla literatury naszej nietylko trzeba, aby było dobre, ale też aby i wiele było, inaczej zawsze francuszczyzna będzie w modzie”. Dla samego twórcy *Pana Tadeusza* ciągle żywił głęboką niechęć i w jednym z listów, w tym samym, w którym wychwalał matce swoją „cienką postawę” i swego „wołyńskiego mazura”, donosząc o małżeństwie Mickiewicza, szydził z jego powierzchowności, szydził w sposób, który tracił dawną zażyłość i przyjaźnię ze Skibińskim. „Prawdziwie, że nie mogłem wierzyć zrazu, gdy mi o tem powiedziano, bo ten Adam, to czysty szczer suchy, ma minę lokaja najczęściej, czasem szalonego od Bonifratrów i nie lubi nosić guzików rzędami osadzonych na sukni, ale je obrywa, gdy są do pary”²⁾. Jakże daleko jeszcze był Słowacki w praktyce od owej „filozoficznej piękności moralnej”, do której w teorii chciał zdążyć!

Nareszcie dostał do rąk *Pana Tadeusza*, przeczytał i — został zwycięzony. To, czego brak zarzucała mu krytyka, stawało teraz przed nim w najdoskonalszym wcieleniu. Był to najwyższy tryumf poezji Mickiewicza: siła szczerości i prostoty tak słonecznie biła z Mickiewiczowskiego arcydzieła, że rozbroiła duszę jego zaciętego przeciwnika. Pycha, zawiść, nienawiść, wszystkie uprzedzenia i urazy Słowackiego stopniały wobec majestatu piękności, której głównymi cechami były: szczerość i prostota. Świadczy o tem wyraźnie list jego do matki z 18 grudnia 1834: „Bardzo piękny poemat, podobny do romansu W. Scotta, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś świeżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą... Wiele opi-

¹⁾ Listy I, 250.

²⁾ Tamże, 268.

sów miejsce, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych. Natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny, a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowcy, dmącego w róg myśliwski, cudowny opis, trochę mi przypomniał Pana Jakóba trąbiącego w lesie i drugi opis żyda grającego na cymbałach także prześliczny... Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli...”

I o samym Mickiewiczu jakże inaczej teraz się odzywał, aniżeli przed miesiącem, jak inne myśli nasuwały mu się teraz, gdy siebie z nim porównywał. „Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie. Nie dziw, bo córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia”. Zwraçałem już uwagę na ten ustęp, a powtarzam go teraz dlatego, że uwydatnia on, jak właśnie wtedy, pod wpływem silnych wrażeń odniesionych z lektury *Tadeusza*, przed skruszoną duszą poety silniej niż kiedykolwiek zarysowała się tragiczność jego życia: obojętność serc ludzkich dla tego, który, przy największych skarbach wyobraźni, w sercu nie miał nic prócz miłości własnej. Rozglądając się w takiej chwili po horyzoncie swoich stosunków i znajomości, uczuwał dreszcz trwogi. „Droga, kochana Mamo! tylko ty nie opuszczaj mię myślą swoją, bo tak, to mniej jestem samotny niż wielu ludzi, bo wiem, że posiadam coś czego mi ludzie zazdrościć mogą: twoje przywiązanie. Kiedy myślę przed zaśnięciem o mojem położeniu, to mi nieraz włosy na głowie wstają. Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie”¹⁾.

Jakże oddziaływał *Pan Tadeusz* na twórczość poetycką Słowackiego? Dotychczas prawie każdy nowy utwór Mickiewicza: *Sonety*, *Farys*, *Dziady* (część III) pobudzał Słowackiego do współzawodnictwa, do zmierzenia się z wielkim przeciwnikiem na jego własnym polu; Słowacki puszczał się w ślad za Mickiewiczem naturalnie w tej myśli, aby go prześcignąć, naśladował, aby go przewyższyć. Teraz było

¹⁾ Listy I, 275—276.

inaczej. Poruszony do głębi pięknoscią *Pana Tadeusza*, Słowacki nie myślał teraz o ponownym mierzeniu się z jego twórcą, składał broń przed arcydziełem, czując, że na nowo obranej przez Mickiewicza drodze, sprostac by mu nie mógł. Próba takiego zmierzenia się miała kiedyś później nastąpić, — zachowały się jej ślady w urывkach dalszego ciągu *Pana Tadeusza* — teraz, o ile można wnosic z jego ówczesnej korespondencji, nie przychodziło mu nie podobnego do głowy.

„Nie wiem dlaczego, ale większa niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie“, pisał w tym samym liście do matki, w którym dzielił się wrażeniami z odczytania *Pana Tadeusza*. Jest w tych słowach, jakby ton rezygnacji i uspokojenia, które rezygnacja przynosi z sobą. Można by myśleć, że szczyt poezji, na który wzniósł się Mickiewicz w ostatnim swoim utworze, wydał się Słowackiemu tak niespodziewanie wysokim, że zmęczony dotychczasowem pięciem się w górę, aby podążać za swoim przeciwnikiem i dogonić go, gdy go ujrzał nagle tak wysoko nad sobą, stracił na chwilę wiarę w skuteczność gonitwy i zaprzestał jej, dając folgę znużeniu. W melancholijnej rezygnacji, jaka go wtedy ogarnęła, myśl jego biegła nie w przyszłość, ale w przeszłość, ku czasom wileńskim i krzemienieckim. „Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos“. Że w tym zwrocie myśli ku czasom dzieciństwa i pierwszej młodości był także wpływ *Pana Tadeusza*, przyznawał to sam poeta dodając: „Adama nowy poemat obudził we mnie także wiele dźwięków przeszłości“. I nie mogło być inaczej. Wszakże to „kraj lat dziecinnych“, jak wiemy ze wstępu do epopei, (którego Słowacki nie znał), „kraj lat dziecinnych“ ze swoją świeżością barw i czystością wrażeń był głównem źródłem natchnienia dla Mickiewicza przy tworzeniu *Pana Tadeusza*.

Była inna jeszcze przyczyna pewnej bezwładności, której doznawała wówczas muza Słowackiego. Oto świeżo ukończył był pisać *Balladynę* i przez kilka tygodni władze jego myślenia „rozkręcały się teraz, jak struny jakiego instrumentu“. *Balladynę*, jak ze wszystkiego w niej można wnosic, zaczął pisać, jeżeli nie ukończył, jeszcze przed poznaniem *Pana Tadeusza*. Najwięcej przemawia za tem brak wszelkich mimowolnych (a tak zwykłych u Słowackiego) reminiscencji z mickiewiczowskiej epopei¹⁾. W *Balladynie* widnieje na każdym

¹⁾ Dopiero w ostatniej scenie, słowa strażnika:

niemal kroku nie wpływ Mickiewicza, ale, jak to wszyscy zgodnie uznają — wpływ Szekspira. Wpływ pierwszego ogranicza się tylko do pewnego pokrewieństwa pomiędzy bohaterką tragedji a mickiewiczowską „panią, co pana zabiła“ z ballady *Lilie*, a także pewnego zewnętrznego podobieństwa Goplany do mickiewiczowskiej Świtezianki¹⁾. Co się tyczy wpływu Szekspira, do tego sam Słowacki przyznawał się do pewnego stopnia we współczesnym liście do matki: „Nie mogę tu ci dać, kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragedji. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Learem Szekspira. O gdyby stanęła kiedy przy królu Learze!“²⁾. Że tu się Słowacki mylił, to rzecz widoczna. W *Balladynie* odzywa się echo *Króla Lira* obok wielu rozmaitych ech szekspirowskich, to prawda, nie ono jednak jest najsilniejszym: daleko silniej odzywają się echa motywów *Makbeta* i *Snu nocy letniej*.

Tak więc nie z Mickiewiczem szedł w zawody Słowacki, pisząc *Balladynę*, i jeżeli to współzawodnictwo odgrywało jaką rolę przy tworzeniu tej tragedji, to chyba taką, że Słowacki w razie podniesienia się na wysokość twórcy *Króla Lira*, o czem marzył, mógł się czuć wyższym od Mickiewicza. Ale na co chcę zwrócić uwagę, mówiąc o *Balladynie*, to na pewną jej zależność od krytyki *Kordyana*, umieszczonej w dzienniku *Le Polonais* i od wskazówek, jakie znalazł tam Słowacki dla siebie. Zarzucono mu tam teatralność, zalecono naturalność, a jednocześnie rozgrzeszono go z dowolnego traktowania historii, przez wzgląd na talent usprawiedliwiano kaprysy wyobraźni. Słowacki, który dotychczas swoje dramata osnawał na tle historycznem, w tej krytyce, akcentującej zasadę: *mendax poeta*, znajdował poniekąd zachętę do przeniesienia swych kreacji dramatycznych na tło legendowe i do puszczenia cugli wyobraźni, nieczem nie krę-

A cała niebios równina niebieska,

Jakby się z jednej uragała chmury.

przypominają słowa Tadeusza o okręcie, który płynie „po niebios błękitnej równinie“.

¹⁾ To podobieństwo występuje naprz. w tych słowach Goplany do Grabca:

Mój drogi!

Więc teraz co wieczora na leśne rozłogi

Musisz do mnie przychodzić. Będziemy bładzili,

Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,

Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem

Będziemy razem marzyć przy księżycu.

²⁾ Listy I, 272—273.

powanej prócz estetycznego pocucia, a wzory gotowe znajdował w *Śnie nocy letniej* i *Burzy* Szekspira. Myślę, że to owa krytyka zwróciła Słowackiego w tę okolicę szekspirowskiego świata i że to ona pobudziła go do przeciwstawiania zewnętrznej prawdzie historycznej wewnętrznej prawdy uczuć. Posłuchajmy, co sam Słowacki pisał o swojej *Balladynie* tak w liście do matki, jak i w przedmowie do Zygmunta Krasińskiego. „Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła — czytamy w liście do matki — ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nie tknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca...“¹⁾ A w przedmowie zwróconej do autora *Irydiona* mówił, że jego *Balladyna* „obdarzona jest wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie“ i że „niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy“, jeżeli to, co poeta stworzył „ma wewnętrzną siłę żywota“, jeżeli stworzone zostało „podług praw boskich“, „to *Balladyna* wbrew rozwadze i historii zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości“.

Tak więc i w jednym i w drugim razie silnie akcentował prawo poety do tego, co wiadoma krytyka *Kordyana* nazywała kaprysami wyobraźni. Ten piorun zaś, który rozwiązuje tragedię, a przypomina cudowne rozwiązanie ballady *Lilie*, wprowadzony został, dość niefortunnie, do epilogu, z jednej strony, aby dać pocie sposobność do traktowania „z aryostycznym uśmiechem“ historii, z drugiej — aby powtórnie wyrzucić na Lelewela publiczną zemstę literacką za jego sąd o ojczyźnie, wypowiedziany w broszurze „Nowosilcow w Wilnie“. Nie wystarczały Słowackiemu szyderstwa, które osypał Lelewela w *Kordyanie* (w scenie stwarzania ludzi dla wieku XIX), wprowadził go znowu na scenę w epilogu *Balladyny*, dał mu nazwę podobną z brzmienia do jego nazwiska (Wawel) i kazał

¹⁾ Listy I, 272.

prawić niedorzeczności uroczystym tonem nauki. W słowach Publiczności do dziejopisa:

Jakże ty piorunowy opisał przypadek?

Powiedz! myśmy widzieli rzecz całą do końca.

jest jakby alluzya do słów Lelewela (w broszurze *Nowosilcow w Wilnie*) o śmierci doktora Bécu od piorunu. Jeszcze widoczniejsza alluzya, nie tyle godząca w Lelewela, ile w Mickiewicza, jako autora III części *Dziadów*, zawiera się w słowach samego Wawela:

Ten, co w laurach chodzi,

Autor niniejszej sztuki, słusznie wam opowie,

Że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie,

Piorun weń nie uderzył.

Miało to zapewne znaczyć, że ustęp o doktorze w *Dziadach* był piorunem, ciśniętym w Słowackiego, ale takim, który mu nie zdołał zaszkodzić. Bądź co bądź, ten epilog, wciągający motywy osobiste i dla nich tylko napisany, jest niemiłym grymasem, mocno osłabiającym wrażenie tragedii; myślę też, że napisał go poeta nie razem z tragedią, ale dopiero później, kiedy się zabierał do wydania *Balladyny*.

Niedługo po napisaniu *Balladyny*, na wiosnę 1835, otrzymał Słowacki wiadomość, że matka i wujostwo wybierają się za granicę, że więc będzie się mógł z nimi, przynajmniej na jakiś czas, połączyć. Jak przyjął tę wiadomość? Już się rad był zobaczyć się z matką, ale nad tem pragnieniem górowała obawa, że ten wyjazd może nadwzględnie interesu ich majątkowego, a on tak potrzebował pieniędzy nie tylko na utrzymanie swoje, ale i na wydawanie coraz to nowych utworów swoich poetyckich. Na zapytanie jej, co myśli o tym zamiarze, odpowiedział w taki sposób, że matka zamiaru zaniechała i tylko wujostwo Teofilowie do Włoch się wybrali¹⁾. Tymczasem budował nowy dramat, wciąż z szekspirowskiego lasu wywołując materjał, tylko z innej niż przedtem jego okolicy. Był to pozujący na Hamleta Szczesny z dramatu p. t. *Horsztyński*, który wraz z *Balladyną* i może innemi jeszcze utworami miał leżeć w tece poety i czekać

¹⁾ „Więc, mamu moja, ty co jesteś na miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi Debitorowie są honorowymi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4000 fr., to jest trzecią część wydatków, jeżeli na rok drugi popłacą ci procenta, jeżeli pewna jesteś, że powróciwszy, znajdziesz wszystko nieodmienione — jedź, przyjeżdżaj“. Listy I, 293. Znaczyło to tyle, co nie przyjeżdżaj.

lepszyc czasów. „Bóg wie, dla kogo piszę i kiedy to wydrukuję“, skarżył się poeta przed matką. „Kiedys to wszystko ktoś wyda na świat, może mały Stasio, jak dorośnie“¹⁾. Sam nie miał środków do wydawania nowych utworów swoich, a nakłady się nie zjawiali.

Wśród tak zatarasowanej drogi do sławy przychodziły mu do głowy myśli matrymonialne. Bogate małżeństwo mogło go wydobyć z trudnego położenia i otworzyć wszystkie rogatki na gościńcu sławy. W jego otoczeniu genewskim była bogata panna polska, Marya Wodzińska, ta, z którą przed rokiem odbywał wędrowkę po górach, do której albumu wpisał wiersz żartobliwie smutny. Że jej nie kochał, ani miłością opiewaną w poemacie *W Szwajcaryi*, ani jakąkolwiek inną, mniej eteryczną, ale szczerą, o tem wątpić nie można, znając usposobienie Słowackiego i znając jego listy współczesne do matki. Ale ożenić się z nią, gdyby się w nim zakochała, znaleźć w niej opiekunkę swych materyalnych interesów, jaką dotychczas znajdował w matce, skojarzyć z jej majątkiem swój geniusz poetycki i wyzwolić go od zależności pieniężnej? Tego Słowacki pragnął potajemnie i pod wpływem tego pragnienia łudził się, że fala wypadków, fala codziennych stosunków z rodziną Wodzińskich niesie go ku temu brzegowi. Najwięcej złudzić go mogła w tym względzie ta okoliczność, że na lato w r. 1835 rodzina Wodzińskich przeniosła się do domu pani Pattey, w którym sam mieszkał. Ślady tego złudzenia, a także rozczarowania, które potem nastąpiło, przeświecają i w listach do matki. Donosząc matce, że „mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę“ i zazdroszcząc im, że „wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście“, Słowacki, czynił zwrot do siebie i pisał: „Pamiętasz, mamó, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinać się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jedną miłą, spokojną i cichą duszkę, a zrozumiesz moje żądanie... O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragediach... z takim długim westchnieniem kona moja nadzieja...“²⁾.

Że tą lilią wodną miała być Marya Wodzińska, to rzecz jasna; widocznie też za zbliżaniem się terminu wyjazdu Wodzińskich z Ge-

¹⁾ Listy I, 299.

²⁾ Tamże 303.

newy zaczynały chwiać się matrymonialne nadzieje Słowackiego. Wprawdzie o Maryi Wodzińskiej w tym samym liście pisał, że i ona „także zapłynęła trochę w kraj ideału“, ale stosował potem do niej ogólną uwagę, która wskazywała, że niewiele mógł budować na jej poetyckiem usposobieniu. „Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności“.

Żeby wyjść z niepewności, obudzić wyraźny objaw uczucia w tej, w której podejrywał utajoną dla siebie miłość i przyspieszyć rozwiązanie sprawy, która go od dłuższego czasu zaprzętała, postanowił wyjechać z Genewy jeszcze przed wyjazdem Wodzińskich. Tak sobie tłumaczył jego trzymiesięczny pobyt w Veytoux. Oświadczyć się sam nie chciał, nie śmiał, ale chciał, aby zwrócono uwagę na jego dziwny wyjazd, aby go szukano i pociągnięto do oświadczenia się. Nikt o tem, jak wiadomo nie myślał, to też kiedy rodzina Wodzińskich wyjechała z Genewy, Słowacki pisał do matki: „Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleilo“¹⁾. Nie przeszkodziło mu to jednak w trzy lata potem wmawiać w siebie i w matkę, że „młodziutka Marya kochała go krótko, ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczynki kochają“²⁾.

Po tym zawodzie matrymonialnych nadziei ostatnie miesiące pobytu w Szwajcaryi przechodziły Słowackiemu smutno i nudno, zwłaszcza że i fantazyja nie dawała się ożywić i rozruszać. „Ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, — pisał do matki 29 listopada 1835 — tego roku głowę mam podobną do niezapalanej latarni; więc nudzę się, cześć myśli jest największą dla mnie męką: nie wiem, o czem marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości“. Ale ten stan jałowości miał swoje dobre strony: poeta skupiał się, dojrzywał, doskonalił i zupełnie inaczej, niż przedtem spoglądał na swoje dawniejsze utwory poetyckie. W tych czasach matka w jednym z listów swoich przesłała mu szczegółowe uwagi o jego utworach poetyckich, o ile je знаła z trzech wydanych tomików. Odpowiadając na ten list pisał: „Zgadza się zupełnie na wszystko i wyznam ci, najdroższa, że ten list zapalił mię, abym podwoił usiłowań, abym

¹⁾ Listy I, 308.

²⁾ Listy II, 98.

ciebie... czem lepszym uradował, bo wyznam ci, że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większej doskonałości, rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej łez było w słowach¹⁾.

Co wpłynęło na to, że poeta znienawidził swoje pierwsze utwory i poczuł potrzebę i chęć większej doskonałości? Myślę, że działał tu na poetę naprzód *Pan Tadeusz*, w którym widział, jak „cała natura czuje i żyje“, w którym tyle było „jasnego“, a przecież „często z najweselszych miejsc smutek ujmował“ duszę Słowackiego. Powtórnie oddziałł w tym kierunku, jak to wiemy od poety z tegoż samego listu — trziesięciodniowy pobyt w Veytoux w ciszy, w samotności, „pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia“. Wtedy to przyroda uczyła go tej harmonii, „która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem“, wtedy to „zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury“. Przypuszczam wreszcie, że i głos krytyki, na którą tak był wrażliwy Słowacki, miał także pewien udział w wywołaniu tej chęci poety doskonalenia się w artyźmie i tego niezadowolenia ze swoich pierwszych trzech tomów poezyj, o którym pisał w liście do matki.

Właśnie na kilka miesięcy przedtem zaczął wychodzić w Krakowie poważny miesięcznik literacko-naukowy, *Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności* i zaraz w pierwszych zeszytach zaczął drukować obszerną jak na owe czasy rozprawę Goszczyńskiego o współczesnej poezji polskiej (Nowa epoka poezji polskiej). Goszczyński, gorliwy wyznawca zasad Brodzińskiego, wielbiący jego *Wiesława*, jako „zorzę, ukazującą polskiemu narodowi ową stronę nieba, z której wejdzie mu słońce prawdziwej jego poezji“, pragnący, aby poezja polska czerpała soki swoje tylko z gruntu rodzimego polskiego lub słowiańskiego, a nie poddawała się wpływom angielszczyzny i niemieczyzny, z tego stanowiska sądził wszystkie utwory nowsze poezji polskiej, o ile mu — w chwili pisania rozprawy — były już znane. I sądził ostro, nie oszczędzając ani Mickiewicza, jako autora ballad, *Wallenroda* i pierwszych *Dziadów* (trzeciej części *Dziadów* i *Pana Tadeusza* widocznie jeszcze nie czytał) ani nawet samego siebie, jako autora *Zamku Kaniowskiego*, którego grzechy przypisywał „czarnej melancholii Byrona“.

¹⁾ Listy I, 314.

W zeszytach majowym i czerwcowym *Pamiętnika* były ustępy poświęcone Słowackiemu¹⁾. Goszczyński z wielką i szczerą życzliwością witał nowego poetę na horyzoncie polskim (Przed kilku laty zjawiał się na chlubę i pociechę naszą nieposłodni poeta Juliusz Słowacki), nazywał go „wyższymi zdolnościami nad tłumem“, „poetą znakomitych nadziei“, ale jednocześnie ostro krytykował jego poezye zawarte w trzech pierwszych tomach (a więc bez *Kordyana*), zarzucał im brak rodzimości lub oryginalności, twierdził, że „przez błyskotki powierzchownej fantazji są bardziej dla zmysłów, jak dla duszy“ i porównywał je do pozrywanych i powtykanych w ziemię w dziecinny ogródek „kwiatków chwilowego życia i woni“.

Czy Słowacki, pisząc do matki, że „znienawidził swoje pierwsze utwory“, znał już ową krytykę? Pewności w tym względzie mieć nie można, ale wiedząc, jak się interesował wszystkim, co o nim gdziekolwiek pisano, i wogóle ruchem literackim polskim, łatwo przypuścić, że już mu owa krytyka była wtedy znana, a jako pomimo surowości swej życzliwa, mogła się przyczynić do owego niezadowolenia poety ze swoich pierwszych utworów.

ROZDZIAŁ IV.

Wschód i Włochy.

1836—1838.

Stosunek do wujostwa w Rzymie. — Znajomość z Zygmuntem Krasińskim i jej wpływ na Słowackiego. — Podróż na Wschód. — Nastrój poety, jak się objawił w poemacie opisującym podróż. — *Grób Agamemnona*. — Czego Słowacki żądał od narodu. — U grobu Chrystusa. — Geneza i znaczenie *Anhellego*. — Pobyt we Florencji — Życie salonowe. — Próby miłości w celach artystycznych: Amerykanka, stosunek z Fornariną. — Aniela Moszczeńska. — Nadzieje pokładane w *Anhellim*.

W początkach roku 1836 wybrał się nareszcie Słowacki do swoich wujostwa, którzy już na niego oddawna czekali we Włoszech, a których od lat wielu nie oglądał. Harmonia między Januszewskimi a siostrzeńcem z początku dobra, niedługo psuć się zaczęła, a przyczyny tego bardzo dokładnie przedstawił Słowacki w swoim liście do matki z Rzymu. Skarżąc się, że „stracił serce Fila“ i przy-

¹⁾ *Powszechny Pamiętnik* 1835. T. I, str. 221 i 370—371.

znając się po części do winy, tak pisał: „Na początku mego tu pobytu żyłem z niemi ciągle razem, całe dnie i wieczory przepędzałem na gawędce, razem chodziłem na obiad, słowem bez żadnej myśli zapisałem im wszystkie godziny mego życia. Tymczasem przybyło tu wielu ziomków moich; sami Filowie powiedzą Ci kiedyś, że nie szukałem ich znajomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mnie pierwsi szukać w moim mieszkaniu i pierwsi robić znajomość, a chociaż wszyscy zapoznali się z Teofilami, przywykli do kawalerskiego, biegającego i cygara palącego życia, powoli wszystkimi sposobami starali się mnie przyciągnąć do swoich mieszkań, bo moje mieszkanie tak jest z Filów salonem połączone, że u mnie przesiadywać bez żenowania się nie mogli; stąd poszło, że po kilku tygodniach zacząłem rzadziej w domu siedzieć.“ To był jeden powód nieporozumienia; drugi ważniejszy był taki: „Prze-czytałem był wszelkie prace moje Filom, które się im niebardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem. Wiesz, droga, że dusza najmędrsza wiele ma miłości własnej i choć się jej broni, jak może, mimowolnie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej walce z imaginacją ostygającą potrzeba czasem, aby obcy dodali jaką skrę...“¹⁾

To, co Słowacki czytał swoim krewnym, to nie były owe pierwsze utwory, które sam znienawidził, a które przedtem już wujostwu były niewątpliwie znane, ale rzeczy nowe, w ostatnich czasach pisane, między nimi *Balladyna*, utwory, które uważał za nierównie wyższe od dawniejszych i na których chciał teraz oprzeć swoją sławę. Więc czuł żal do wujostwa, że nie dość chwalili jego poezję, ci zaś mieli mu za złe, że przenosił towarzystwo młodych wielbicieli swej poezji nad towarzystwo rodzinne.

Pomiędzy tymi młodymi znajomymi był człowiek, który w historii ducha Słowackiego miał bardzo ważną odegrać rolę — Zygmunt Krasiński. Z nim to najwięcej biegał po Rzymie, i „gadał po szalonymu językiem imaginacji“, z nim najczęściej przepędzał wieczory w willi Mills, w ogrodzie na ruinach dawnego pałacu Cezarów, „przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w mgłę sinej tonął“. Jemu to przedewszystkiem czytał swoje poezje,

¹⁾ Listy II, 4—5.

on przedewszystkiem przyjmował je z uwielbieniem i zapałem, jego też towarzystwu zapewne więcej, niż powietrzu włoskiemu zawdzięczał „tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba“, o których wówczas pisał do matki.

Zygmunt Krasiński był już wtedy autorem *Nieboskiej Komedy* i *Irydiona*, od kilku lat już wyszedł był z tej fałszywej poetyczności, w którą drapował się jeszcze jako autor *Agaj Chana*, a którą potępił w *Nieboskiej*, a przecież jako poecie, jako styliście, coś mu z tej dawnej manieri pozostało i wtedy — i na zawsze. Jego koturnowość była zdaleka pokrewną teatralności, z której się wyzwolił, i dlatego to, sądzę, i w poezji Słowackiego teatralność nie razila go tak, jak innych współczesnych, a stąd i wszystkie dodatnie strony tej poezji, wszystkie jej szczęśliwe i śmiałe wyrażenia, jej subtelne arabeski, jej ulotne błyski i uśmiechy, cała gra kolorów oraz harmonijność i płynność jego wiersza, wszystko to większe na nim, niż na innych sprawiało wrażenie, bo nie było poczuciem owej teatralności osłabione. Później starał się rodzaj poezji Słowackiego filozoficznie wytłómaczyć, co zaś myślał o Słowackim i jego poezji w czasach pierwszego z nim zbliżenia się, wiemy o tem z jego listów współczesnych do przyjaciela — Gaszyńskiego. „Jest tu Juliusz Słowacki — pisał z Rzymu — młody człowiek, ogromem poezji obdarzony od niebios. Kiedy ta poezja w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. *Kordyan* jest poematem zapału, szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia. *Marya Stuart* jest także znakomitą. Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić dyssonanse z prawdziwymi dźwiękami. Brak mu czasem powagi, bez której poezja może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza“¹⁾.

Z tych słów widać, że Krasiński zupełnie z innego stanowiska zapatrywał się na poezję Słowackiego niż Mickiewicz i ci co szli za jego głosem. Mickiewicz szukał przedewszystkiem wysokiej myśli, szczerości i głębi uczucia, formę stawiał na drugim planie; i dlatego

¹⁾ Listy Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1882. T. I, str. 80.

mógł wysoko wynosić poezję Garczyńskiego, która nieraz formę miała nieudolną; sam piękny kościół nie olśniewał go, gdy w nim nie czuł obecności Boga. Krasiński w przytoczonych powyżej słowach spoglądał na poezję przeważnie ze stanowiska sztuki, formy, więc miał do zarzucenia Słowackiemu nie brak szczerości, nie gonienie za efektem, tylko nie dość sztuczne rozwiązywanie dysonansów. Olśniony zewnętrznymi blaskami poezji Słowackiego, czuł wprawdzie czasem brak w niej powagi, ale źródła tego braku nie spostrzegał, gdy przypuszczał, że Słowackiemu sam rozwój zdolności artystycznych ją przyniesie. A kiedy Gaszyński, odpowiadając Krasińskiemu na jego uwagi o Słowackim, czynił jakieś obiekty, Krasiński krótko mu odpowiedział: „Mów co chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą i kiedyś imię jego świetnem będzie“¹⁾.

A jednak zewnętrzny urok poezji Słowackiego nie zakrywał przed Krasińskim ujemnych stron charakteru tego poety, jako człowieka. W kilka miesięcy po pierwszych swoich wynurzeniach o Słowackim tak pisał poufnie o nim do Gaszyńskiego: „Dziwny to kontrast w tym człowieku: awanturniczy wyobraźnią, tehrz zaś nerwami i całym ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezji w działaniu mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci, w których silnego indywidualizmu nie czuć, jak np. w Byronie, są tehrzami: Goethe był nim, Szekspir być musiał; ale za to więcej obejmują, mniej są ludźmi, bardziej są światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt, rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają na godność osobistą; słowem są to siły ogromne duchowne, ale nie ludzie. Tę uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla siebie. Ogadywać bym go nie chciał, tak jakbym w żadnym przypadku także liczyć na niego nie chciał. Z temi istotami obchodzić się trzeba jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne, żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury“²⁾.

Nie wiemy, jakie okoliczności dały powód Krasińskiemu do takich sądów, ale to pewna, że zestawienie Słowackiego z Goethem i Szekspirem nie było trafne, bo jakim był Szekspir jako człowiek, nie na pewno nie wiemy, a Goethe z egoistyczną naturą nie łączył awanturniczej wyobraźni, jak Słowacki. Zresztą nie można powiedzieć

¹⁾ Listy Krasińskiego I, 83, ²⁾ Tamże I, 92.

o Słowackim, aby w nim nie było silnie rozwiniętego indywidualizmu. I owszem, był on w nim zanadto, tylko jednostronnie, chorobliwie rozwinięty w kierunku żądzy błyszczenia, żądzy sławy. Ale rycerski nastrój duszy Krasińskiego był przyczyną, że z ujemnych stron Słowackiego odczuł on nie to, co było główną rzeczą, ale tylko to, co najwięcej ten nastrój raziło — brak odwagi.

Na Słowackiego znajomość z Krasińskim podziałała niezmiernie ożywczo. Znajdował on w nim przyjaciela takiego właśnie, jakiego pragnął: umiającego wnikać we wszystkie subtelności jego poezji i szczere, bezzawistne uwielbienie przynoszące mu w hołdzie. Po Ludwiku Spitznaglu i Michale Skibickim był to trzeci człowiek, którego Słowacki mógł nazwać swoim przyjacielem. Ale jeżeli Krasiński swoją egzaltacją rzeczywiście podobny był do przyjaciela Słowackiego z lat dziecińczych, Spitznagla¹⁾, to z Michałem Skibickim stanowił rażący kontrast. Skibicki zaostrzał w nim tylko antyspołeczny kierunek i nie zdołał natchnąć myślą wyższą nad to, że życie jest ciężką farsą (*cette vie c'est une farce un peu trop lourde*); Krasiński podnosił myśl jego ku niebu, zachęcał do rozwiązywania dysonansów życia w wyższej harmonii a z zapalem wyznając wiarę w ogrom jego talentu, wlewał weń przekonanie o wysokim jego posłannictwie. Nie znamy wprawdzie treści rozmów, które wówczas przy zawarciu pierwszej znajomości prowadzili z sobą młodzi przyjaciele, ale domysleć się jej łatwo, tak z cytowanej już współczesnej korespondencji Krasińskiego z Gaszyńskim, jak i z późniejszych listów Krasińskiego do Słowackiego, w których autor *Irydiona* wyznaczał Słowackiemu stanowisko przeciwstawne, ale równorzędne stanowisku Mickiewicza, wzywał go do trzymania duszy „na kształt harfy eolskiej... nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba“ i ostrzegał przed zupełnem oddaniem się Szekspirowi, w którym obok dobrego ducha upatrywał i złego.

Po odjeździe Krasińskiego z Rzymu Słowacki razem z wujostwem przejechał do Neapolu, ale „neapolitański hałas“ zbyt drażnił lubiącego ciszę i spokój poetę, więc przeniósł się on na cały miesiąc do cichego Sorrento, aby tu swobodnie obcować z naturą i rozczytywać się w Szekspirze. Zdaje się, że Słowacki chciał także skorzystać z samotności dla uporządkowania i zharmonizowania wielu wrażeń

¹⁾ Sam Słowacki widział to podobieństwo. Listy II, 1. Spostrzegał je również Odyniec.

świeżo doznanych, owego „tysiąca wielkich podlotów do nieba“, ale nie się z tego widać nie wysnuwało takiego, coby uważał za wyraz godny tych podlotów, ponieważ w liście współczesnym do matki znajdujemy tylko wzmiankę, że „pisał trochę“, bez bliższego określenia treści i wartości rzeczy pisanej.

Niebawem otwarła się przed nim sposobność wzbogacenia swojej wyobraźni całym cyklem obrazów wschodniego świata, o którym dotychczas roił w mglistych marzeniach. Trzej młodzi bogaci Podolanie, z których jeden, Zenon Brzozowski, był synem przyjaciółki pani Bécu, postanowili odbyć wspólną podróż do Egiptu i namawiali Słowackiego, aby im towarzyszył, żeby zaś usunąć przeszkody finansowe, które mogły powstrzymać poetę od tej podróży, jeden z owych bogatych młodzieńców, zapewne Brzozowski, ofiarował mu 1000 rubli sr. jako pożyczkę, zwrotną po czterech latach.

Trudno było Słowackiemu oprzeć się pokusie i nie skorzystać z nastroczającej się sposobności poznania światów, do których nieraz latał wyobraźnią. Nęciła go Grecya, którą szczególnym urokiem otoczyła dla niego poezya i tradycya bajrońska, nęcił go Egipt nie tylko swoją starożytnością, ale i blaskiem świeżych tradycji napoleońskich, nęciła go wreszcie Ziemia Święta.

Wprawdzie głębszego uczucia chrześcijańskiego w Słowackim nie było, świadczyła o tem jego poezya dotychczasowa. Wszak w *Kordyane* wybierał się w świat, aby rąbać nadpróchniałe krzyże, w *Godzinie myśli* z pewną chlubą mówił o tem, jak gmach jego wyobraźni, gmach jego poezyi, był „niedowiarstwem ciemny“. Wskazówka, którą znalazł u wielkiego przeciwnika w trzeciej części *Dziadów*, aby w religii szukać natchnienia, jako pochodząca z nie-nawistnej ręki, nie zwróciła go w stronę chrześcijańskich, katolickich ideałów. Ale inaczej było, gdy tę samą wskazówkę otrzymał z ręki człowieka, który wielbił jego poezję, przenikał wszystkie jej subtelności, otaczał go najszczerzą życzliwością i wróżył nieśmiertelną sławę, a którego religijność miała szeroki podkład filozoficzny. Tym człowiekiem był autor *Nieboskiej Komedy* i *Irydyona*, a nad obu temi utworami, jak wiadomo, unosi się krzyż, jako znak zwycięstwa, jako gwiazda polarna dla skołatanej nawy społeczeństwa polskiego i jego poezyi. Że ten znak pojawiał się tam, jako odbicie, jako wyraz wpływu trzeciej części *Dziadów* i *Ksiąg pielgrzymstwa*, tego Słowacki zapewne nie spostrzegał, bo to i dzisiaj nie dla wszystkich jest widocznem.

Otóż sędzę, że w owych „tysięcznych podlotach do nieba“, których Słowacki w towarzystwie Krasińskiego doznawał w Rzymie, trzeba widzieć początek pewnego zwrotu w nim ku ideałom chrześcijańskim, chociaż to naturalnie był raczej zwrot wyobraźni niż uczucia. Wyobraźnia poety, przynajmniej chwilowo, zbaczala z torów bajrońsko-szekspirowskich, aby szukać poetycznej przedzy dla siebie w chrystyanizmie, do czego zresztą już głośnem odczytywaniem Biblii w ostatnim roku pobytu Słowackiego w Szwajcaryi mogła być przygotowana¹⁾. Do ponęty, jaką miała dlań Ziemia Święta, mógł się przyczynić i przykład Chateaubriand'a i Lamartine'a, którzy szukali u Grobu Pańskiego natchnienia; wiemy przynajmniej, jak miło było Słowackiemu, gdy mieszkańcy Bejrutu zestawiali imię jego z imieniem Lamartine'a²⁾.

Bądź co bądź, głównym, niejako oficjalnym celem podróży Słowackiego miała być Ziemia Święta, Grecya zaś i Egipt miały służyć za stopnie do tych wrażeń, które sobie obiecywał po krainie pełnej śladów Chrystusa. Tak trzeba wnioskować z urywku listu pisanego do matki przed samem odpłynięciem z Włoch, gdzie poeta nazywa podróż swoją „pobożną wędrówką — przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem“, ³⁾ a wreszcie i z tych wierszy *Podróż na Wschód*⁴⁾:

Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże,
Po święte myśli i szkaplerze święte.

Taki był zamiar poety, powzięty, jak przypuszczam, pod wpływem obcowania z Zygmuntem Krasińskim. Ale nastrój, w jakim się puszczał poeta w tę podróż, bynajmniej nie odpowiadał owemu zamiarowi. Nastrój ten bardzo wyraźnie maluje się we wspomnianym wyżej poemacie, który Słowacki rozpoczął wraz z podróżą swoją, a może i przed nią jeszcze, a w którym wrażenia z podróży miały się od razu przelewać w poezję. Jest to nastrój wirtuoza. zachęconego oklaskiem i szukającego coraz nowych sposobności, aby okazać mistrzostwo swoje. Lubowanie się swoją łatwością przele-

¹⁾ Listy I, 289—290.

²⁾ Listy II, 50.

³⁾ Tamże. 29.

⁴⁾ Co się tyczy tytułu, pod którym figuruje *Podróż na Wschód* w *Pismach pośmiertnych* Słowackiego, wydanych przez A. Małeckiego, a który brzmi: *Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu*, ten za dowód służyć nie może, ponieważ jak świadczy Małecki w trzecim wydaniu swojej monografii o Słowackim (Dodatki T. III str. 264—265) pochodzi nie od samego poety, ale od jego wuja Januszewskiego Teofila. Poeta na brulionie swego poematu nie wypisał żadnego tytułu.

wania najulotniejszych wrażeń w poezję, w rymy ozdobne i gładkie, uwydatnia się co chwila, a najwyraźniej w tej strofie:

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómkami.

Wirtuozostwo, żartobliwość, lekka ironia, to wszystko nie godziło się jak należy z celem podróży, jeżeli nim miało być „szukanie myśli świętych pod krzyżami Golgoty“. Słowacki miał nadzieję, że to pogodzi, ślubował sobie być „nieco zabawnym, lecz skromnym“, i w tym szczególnym kompromisie między chęcią igraszki i popisu a pragnieniem myśli świętych liczył także na swoje wirtuozostwo. Wszystko to powiedziane było wpółżartem, niemniej przeto wiernie odzwierciedlało nastrój poety.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir,
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę
I muzę moją w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

Już wtedy zapewne, to jest przy pierwszym zbliżeniu się ze Słowackim, musiał Krasiński ukazywać Słowackiemu w „przyjacielu Szekspirze“ pewne ciemne strony, brak chrześcijańskiej syntezy, nad czym później szeroko się rozwodził w jednym ze swoich listów do Słowackiego. Znać w przytoczonej strofie jakby ślad przestrogi Krasińskiego, ale czuć zarazem, że Słowacki niebardo do serca brał tę przestrożę, że nie myślał rozstać się z przyjacielem Szekspirem, choć dążył do Ziemi Świętej po „myśli święte“.

Ale ten lekki nastrój, ten aryostyczny uśmiech, który tak był do twarzy Balladynie, a którym Słowacki chciał zabarwić swój nowy poemat, nie na długo mógł mu wystarczyć. Już w Grecyi, potracony falą wspomnień jej bohaterskiej przeszłości, nie umiał nowego swego nastroju pogodzić z poprzedzającym, nie umiał znaleźć przejścia od jednego do drugiego, i stąd nowy poemat jego zaczął się łamać, a z jego okrucichów powstał *Grób Agamemnona* i *Smutno*

mi Boże, pierwszy jeszcze formą stroficzną zupełnie podobny do *Podróży na wschód*, drugi o strofach inaczej wyrzeźbionych¹⁾.

W historii ducha Słowackiego, o którą nam tu głównie chodzi, tylko pierwszy wielkie ma znaczenie, jego też chcę rozważyć. Poeta chciał się tu skupić i wyblysnąć syntezą, z roli wirtuoza chciał przejść na stanowisko wieszcz, przewodnika narodu. Wprawdzie już w czwartej pieśni *Podróży na Wschód* podawał on swoje *Credo*, które świadczyło, że poeta znał już wtedy wydaną przed paru laty *Historię powstania* Mochnackiego i że republikańskie i rewolucyjne ideały historyka żywo przemówiły do jego wyobraźni; ale tamto *Credo* było rodzajem igraszki, podane w tonie, który mu odbierał wszelkie znaczenie poważne. Tutaj ton przechodził w najwyższe pathos, pełne błyskawic i gromów.

O cóż chodzi w tym wierszu? Bynajmniej nie o grób Agamemnona. Mistrzowski obraz „tej kopuły podziemnej, co krwią Atrydów zwalana okrutną“ i obraz tego skupienia, które jej widok wywołuje w poecie, to tylko cicha, mistrzowska przegrywka do tej burzy uczuć, która po niej następuje, a która stanowiąc główną treść poematu z grobem Atrydy nie ma najmniejszego związku, albo raczej ma czysto przypadkowy związek. Do pieczary z głazów wpadł złoty promień słońca, i przypomniał poecie strunę z harfy Homera, z tej harfy, którą święcił u samego wstępu:

O jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać.

I przypomniał mu zarazem, że i on ma harfę złotą, że i on jest Homerem, ale gdzież sława jego? gdzie jego słuchacze? Im głębsze było upokorzenie się chwilowe przed nicością wieków, tem silniej potem w piersi jego zawrzała duma i żądza sławy. Ta żądza wstrząsa nim całym, rzuca go na koń i każe pędzić na Termopile i Cheroneję, aby z tych pól rzucić gromy potępienia na naród, a jednocześnie objawić się narodowi, jako wieszcz, wzywający go na

¹⁾ Co się tyczy wspaniałego wiersza, znanego pod tytułem *Wschód słońca nad Salaminą* (tytuł dany przez wydawcę), ten jakkolwiek się treścią bezpośrednio wiąże z dziewiątą pieśnią *Podróży na Wschód*, napisany jednak został dopiero w kilka lat później, w czasie pisania *Beniowskiego* i miał według pierwotnego planu wejść w skład tego poematu, jak o tem wyraźnie poucza autograf poety. Zob. mój artykuł: „Nieznane fragmenta i warianty Beniowskiego“ w *Gazecie Lwowskiej* (z września 1902 r.), albo w *Bibliotece Warszawskiej* w sierpniowym zeszytzie tegoż roku, gdzie ów artykuł podany jest w skróceniu.

nowe drogi. Jak te gromy potępienia, jak to oburzenie na brak w Polakach Leonidasowego męstwa niestosownem było w ustach Słowackiego, którego rola w czasie powstania listopadowego w żadnym razie zaszczytną nie była, — na to już gdzieindziej zwróciłem szczególną uwagę¹⁾. Tu chciałbym tylko wskazać, co wywołało te gromy, co było ich bezpośrednią przyczyną.

Słowacki, rozważając przyczynę niepopularności swej poezyi, przyszedł do przekonania, że jest nią niski stopień rozwoju umysłowego narodu. On, Bajron, Aryost, Szekspir polski, siejący tysiącem blasków, tworzący cuda poetyckie, nie zdoła niczem rozgrzać i poruszyć serc polskich. Najwięcej go ubodło to, że nawet we własnej rodzinie nie znalazł tego zajęcia i uwielbienia dla swej poezyi, jakiego pragnął, do jakiego rościł pretensye. Wiemy już, co pisał do matki z Rzymu na trzy miesiące przed wyjazdem w podróż na Wschód: „Przeczytałem był wszelkie prace moje Filom, które im się nie bardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie“. Podejrzynać o zazdrość, zawiść swoich wujostwa, niepodobna było; nie mniej przeto zrażało to Słowackiego i do Filów i do szlachty, a więc i do całego narodu, którego ona była przedstawicielką. Że w tym braku współczucia dla Słowackiego w narodzie, który echem zachwyty odpowiadał na każdy głos Mickiewicza, mogła być własna wina poety, a mianowicie brak zmysłu społecznego, którym w najwyższym stopniu obdarzony był Mickiewicz, o tem Słowacki nie wiedział, tego nawet nie przypuszczał. Tem łatwiej mu było zwać całą winę swej niepopularności na społeczeństwo, że w Zygmuncie Krasińskim i zapewne w podobnie do niego nastrojonych towarzyszach jego rzymskich, znalazł i zrozumienie swojej poezyi i uwielbienie dla niej. Były to więc w jego rozumieniu wyjątkowe, doskonalsze jednostki, wybiegające wysoko ponad poziom szlacheckiego społeczeństwa, które jego poezję odtrącało. W ich uwielbieniu, w szczególności w uwielbieniu Krasińskiego, (bo o jego towarzyszach w tym względzie nie wiele wiemy), znalazł punkt oparcia dla wiary w swoją niezrozumianą przez naród genialność i dla potępienia narodu.

Tylko w świetle tych przypuszczeń można zrozumieć, co znaczy nagi trup Leonidasa „bez złotego pasa“ i „bez czerwonego kontusza“, co znaczą skargi na Polskę, że „duszę anielską więzi w czerepie rubasznym“, i że sęp jej wyjada „nie serce — lecz mózgi“. Słowa

¹⁾ Artykuł p. t. „Juliusz Słowacki“ w Szkicach literackich. Serya I. Kraków 1896.

Filów: „szlachta nie zrozumie twojej poezyi“, oświeciły jaskrawo przepaść dzielącą marzycielskiego wirtuoza, siejącego tysiące blasków z czarodziejskiej fantazyi, od społeczeństwa, łaknącego prostych, ale silnych, ciepłych, żywych, z serca dobytých słów, takich, jakie znajdowało np. w wierszu *Do matki Polki*, w *Reducie Orzona*, w *Panu Tadeuszu*. Czyż „fantastycznie nastrojona“ jego lutnia nie była „duszą anielską“ zamkniętą „w rubasznym czerepie“ szlacheckiego społeczeństwa? Poeta, zapatrzony w siebie i skłonny do ubóstwienia siebie, nie zawahał się w to uwierzyć. A potępiwszy społeczeństwo w stosunku do siebie, zapragnął je potępić także pod względem patryotycznym i politycznym.

Otóż tu niemałą zapewne rolę odegrała Mochnackiego *Historja powstania*, która z ogromnem ciepłem artystycznym i żywością barw odświeżała w pamięci współczesnych gorączkę dni rewolucyjnych i odzwierciedlała gorący temperament i rewolucyjne ideały swego autora. Ale rozgrzany cudzym ogniem, ogniem człowieka, który dla wcielenia swoich ideałów w życie gotów był położyć głowę i nieraz ją narażał, Słowacki zupełnie zapomniał o swym wyjeździe z Warszawy, którego sam się kiedyś wstydził, a pamiętał tylko, że jest autorem *Kordyana* i zdało mu się, że jako twórca tego teatralnego patryotyzmu ma prawo piętnować naród, że nie walczył do ostatniej kropli krwi. Nie też niema bardziej teatralnego od tych strof wezwania do narodu, które do dziś, niestety, zamierzonego efektu nie chybiają:

Zrzuc do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykapanu mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Wspaniała wizja i patetyczność teatralna posunięta do najwyższej potęgi, ale cóż się w tych patetycznych frazesach ukrywa? czego chce naprawdę poeta? A naprzód dlaczego pas i kontusz mają być „płachtami ohydny“, „palącą Dejaniry koszulą“, którą Polska

powinna zrzucić do ostatka? Widocznie Słowacki chciał w nich widzieć symbol tych wad szlacheckich, które naród wtrąciły do grobu politycznego; i wołanie jego pod wspaniałością frazesu ukrywałoby ogromną siłę treści, gdyby w tem wołaniu właśnie nie tkwiło głębokie nieporozumienie.

Polska szlachecka w istocie miała na sobie „palącą Dejaniry koszulę“, a tą koszulą był anarchiczny kult złotej wolności, w *liberum veto* skryształizowany; ale czy tak rozumiał ten symbol Słowacki? Nie, tak rozumieć nie mógł, bo on sam w całej swojej poezji i w całej swojej istocie duchowej był najdoskonalszym, najwierniejszym tego anarchizmu przedstawicielem. Jeżeli co ukrywał w tym symbolu, to chyba tylko kastowość dawnej Polski. Ale to nie kastowość zgubiła Polskę w czasach, kiedy jeszcze kastową była cała Europa, tylko kult bezrządu, który i kastowość czynił w Polsce nierównie fatalniejszą, niż gdzieindziej. Gromy więc jego złe były wymierzone, a przytem nie widział, że to co było prawdziwą Dejaniry koszulą dla narodu, na nim samym najsilniej gorzało. Wprawdzie jest tam jeden wiersz skruchy: „Mówię, bom smutny i sam pełen winy“, ale ten wiersz tak się pojawia nawiasowo i przelotnie, tak przygluszony jest gromami, ciskany na naród, że wygląda jakby wywołany raczej potrzebą rymu, aniżeli potrzebą serca.

I czegoż ostatecznie żądał Słowacki od narodu, jako wieszcz stając przed nim? Jaką drogę mu wskazywał? Przetłómaczywszy jego wspaniały, teatralnie wspaniały, język poezji na zwyczajną prozę, widzimy, że Słowacki potępiał naród za to, że ten dał sobie nałożyć kajdany i wzywał go do nowej walki orężnej i to takiej, w którejby cały naród podniósł się, jak „wielki posąg z jednej bryły“. Czemże było takie żądanie, szczególnie w ówczesnych warunkach, kiedy naród dźwigał na sobie jeszcze cały ciężar świeżej klęski, jeśli nie pięknym frazesem bez wszelkiej realnej podstawy? A czczość tego frazesu tem większą i przykrzejszą się nam wyda, jeśli go zestawimy z temi hasłami, które Mickiewicz i Krasiński nieco przedtem rzucili obalonemu i broczącemu krwią narodowi. Pierwszy w *Księgach pielgrzymstwa* rzucał hasło wewnętrznego doskonalenia się, od którego wszystkie zewnętrzne zwycięstwa zależą, a którego żaden wróg zatamować niezdolny. „O ile powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice“. A drugi w zakończeniu *Irydyona* wskazywał, jako drogę zbawienia, cierpliwą i nieustannie czynną miłość: „Idź i czyn — prze-

mawia głos z nieba do Irydyona — choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyni ciągle i bez wytechnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych...“⁴. To były prawdziwe słowa mądrości, otuchy i nadziei; wobec nich wołanie Słowackiego jest tylko wspaniałą pozą teatralną. A następujący okrzyk jego: „Polsko! lecz ciebie błyskotkami ludzą!“ nie da się nigdzie lepiej zastosować, jak do tego teatralnego patryotyzmu Słowackiego.

Bądź co bądź *Grób Agamemnona* pisany był w zupełnie innym tonie, niżeli reszta *Podróży na Wschód*. Podniósłszy się pod wpływem bohaterских wspomnień starogreckich do tak wysokiego nastroju, Słowacki musiał uznać, że ten nowy ton nie daje się sprządz i pogodzić z lekkim nastrojem, z jakim rozpoczynał wcielać swoje wrażenia z podróży w poezję. Tem mniej z tym nastrojem dawały się pogodzić dalsze wrażenia, które go czekały: w Egipcie, a przede wszystkim w Ziemi Świętej. Poeta więc przerwał pisanie swojego poematu, czekając wysokich natchnień, które miały nań spłynąć na szczytach piramid i u grobu Chrystusa. Ale natchnienie ani tu ani tam nie przybyło. Piramidy nie zadziwiły go tak swoim ogromem, jak się tego spodziewał i z pewnym żalem pisał do matki: „Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła“¹). Wprawdzie na tle wrażeń zebranych w podróży po Egipcie osnuł plan wielkiego fantastycznego poematu w kilku częściach, ale ten plan nie doczekał się częściowego nawet wykonania²). Co się tyczy grobu Chrystusa, to posta-

¹) Listy II, 33.

²) Plan ten zachował się w pamiętniku podróznym poety, który jest obecnie własnością p. L. Meyeta. Przedrukował go p. Biegeleisen w artykule: „Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód, na podstawie nieogłoszonego pamiętnika poety“. Bibl. Warsz. 1891. IV, str. 348. Jako rzecz mało znaną, a charakteryzującą współczesny nastrój fantazyi Słowackiego i rozmiary jego pomysłów poetyckich, podaję go tutaj.

Część I. Rhamezes po tryumfie postawił grób. — Homer. — Siostra i żona Rhamezesa. — Aleja Sfinksów przy kościele Typhona. — Samobójstwo, miecz pod kamieniem. — Żal siostry. — Każe miłości historię wyryć na obelisku i serca nabalsamowanego nie wyjmować — potem węża przykładą do piersi — i złożona w jednym alabastrowym sarkofagu. — Charon. — Hymn dziewic. — Sąd przed statuiami Memnona. (Monolog przy zachodzie słońca — figura żorawi — apostrofa do Memnona). Homer, odchodząc do Grecji śpiewa. — Chór.

Część II. Oślarz Hanut. — Chata gołębiami otoczona. — Zgon starej Arabki. — Hanut widzi rozbicie sarkofagu. — Góra nad Memnonem. — Mono-

nowił noc spędzić przy nim, aby tem silniejszych doznać wrażeń, i o tej nocy pisał potem do matki, że „zostawiła mu mocne wrażenie na zawsze“¹⁾ ale choć się „z wielkim płaczem rzucał na kamień grobu“, grób zimno przyjął te uściski poety-wirtuoza, którego tu nie uczucie pobożne przywiodło, ale poetyzująca wyobraźnia, i nie odplacił się poecie oczekiwaniem natchnieniem. W jego dzienniczku z podróży, notującym w jak najkrótszy sposób doznawane wrażenia, znajduje się współcześnie wpisany poetyczny urywek sześciowersowy, świadczący, że poeta wkrótce po owej scenie czuwania nocnego przy Grobie Chrystusa usiłował wykrzesać z serca swego „myśli święte“:

I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałem, o Chryste!
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu...

I nie więcej nie potrafił Słowacki wydobyć z siebie na temat grobu Chrystusowego, ani teraz, ani później, choć we dwa lata jeszcze potem myślał o tem, jako o niespełnionem zadaniu. „Doznaję prawie wyrzutów sumienia, że dotąd nie ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał, ale jak mówi dawna piosneczka: serce nie sługa, nie zna co to pany“ etc., tak i ja o mojej imaginyacji powiedzieć mogę“²⁾.

Ale jeśli Jerozolima nie obdarzyła poety oczekiwaniem przez niego natchnieniem, to za to inne miejsce w Syryi, klasztor Betchesz-

log młodego Araba. — Żórawie. — Przepląwa Nil. — Idzie do Karnaku — Aleja Sfiuksów zarosła palmami. — Rozwaliny Typhona. — Pustelnik Tebaidy — Wzdrzenie Hanuta całych Thebów przerwane śpiewem. — Miecz Rhamezesa. — Dziewczyna wiejska donosi, że ma gołębia, dziesiątak i osła, zabrane dla syna Baszy. — Hanut przeklina. — Rada z pustelnikiem. — Idzie do Komir (czy nie do Kairu?) dowiaduje się, że baszy syn zginął w płomieniach właśnie w godzinie przekleństwa. — Młoda Daphne uratowana od Beduinów. — Dwa tysiące lat życia darowano dyabłu. — Hymn duchów.

Część III. Sivah. — Życie kochanków. — Omdlenie miłości. — Scena z Dyablem. — Ostatnie tysiąc lat darowane. — Miłość dla młodej Arabki, która piersią tłucze zwierciadło czarownika. — Daphne daje kochankom życie nowe. — (Części IV brak). Zakończenie: ogromna biesiada duchów w kościele Ipsabala. — Śmierć Araba.

¹⁾ Listy II, 42.

²⁾ Tamże, 92.

ban na Libanie stał się kolebką jednego z najoryginalniejszych i najslawniejszych utworów Słowackiego — kolebką *Anhellego*. Dla Słowackiego podróż na Wschód była przedewszystkiem wyprawą po materyał poetycki, po silne wrażenia i wzruszenia i po „święte myśli“, z których się miało utkać jakieś wspaniałe dzieło. Orzeźwiony, podniesiony na duchu uwielbieniem Krasińskiego, miał najlepsze pod tym względem nadzieje, a jakby chcąc próbować mistrzostwa swego, zaraz zaczął wrażenia z podróży przelewać w bajronicznie nastrojone strofy. Niebawem przyszedł do przekonania, że z tych strof nie da się skleić wielką, powagą imponującą całość. Poemat się urwał właśnie wtedy, gdy poeta poważniej się nastrojał, czy to rozmyślając nad znikomością wieków w *Grobie Agamemnona*, czy nad znikomością własną na widok morza o zachodzie słońca. Wrażenia odniesione w Ziemi Świętej nastroiły go jeszcze poważniej¹⁾ i domagały się ujścia w poezji, którego bezpośrednio znaleźć nie mogły. Nie Byron ani Szekspir, ale Dante najlepiej odpowiadał nastrojowi temu, więc opuszczając innych dawniejszych przewodników, jego sobie obrał Słowacki za wyłącznego przewodnika przy układaniu planu wielkiego dzieła, które miało być wyrazem nowego nastroju. Żeby to dzieło było wielkiem i znalazło silny odgłos w sercach narodu, musiało mieć odpowiedni przedmiot, a takim przedmiotem były współczesne cierpienia narodu, które już z taką siłą odzywały się w trzeciej części *Dziadów*, które z tak przejmującym liryzmem podkreślał Krasiński w epilogu *Irydyona*.

W Słowackim patryotycznego nastroju nie było aż do czasów pisania *Kordyana*, a i w *Kordyanie*, jak widzieliśmy, patryotyzm Słowackiego jest więcej powierzchowny, teatralny, niż rzetelny. Po napisaniu *Kordyana* poeta, jak to już dawniej zauważyłem, zostawał pod wpływem swego poematu i dostrajał się do niego pod względem patryotycznym. Nowy i silniejszy niż przedtem przypływ patryotycznego nastroju w Słowackim wywołał niewątpliwie Krasiński tak swoim *Irydyonem*, jak jeszcze więcej zapewne osobistym stosunkiem, rozmowami, w których struna patryotyczna musiała drgać często, jak się tego łatwo domyślić, sądząc po współczesnej korespondencji Krasińskiego. Tem łatwiej było Słowackiemu przejmować się nastrojem Krasińskiego, że ten nastrój pochodził od człowieka, który był wielbicielem jego poetyckiego geniuszu. Za wskazówką tedy epilogu

¹⁾ „Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością“. Listy II, 43.

Irydyona („Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów“ i t. d.) postanowił Słowacki ująć współczesne cierpienia narodu w dantejski poemat fantastyczno-symboliczny. Jeszcze przed przybyciem do klasztoru libańskiego — jak o tem świadczą autografy poety — powziął on plan wielkiego poematu p. t.: *Posielenje*, który w dantejskich tercynach miał przedstawić cierpienia rzuconych na Syberję Polaków. Formę poematu podsuwał mu Dante, który w ostatnich latach wraz z Szekspirem i Biblią stanowił główną jego lekturę. I jakim przewodnikiem był Vergili dla Danta w *Boskiej Komedyi*, takim samym Dante miał stać się w tym poemacie dla Słowackiego.

Poeta miał już kilkadziesiąt tercyn napisanych, ale zadowolony z nich nie był. Do stworzenia poematu tak wiele ogarniającego trzeba było skupienia, którego wędrowne życie dać nie mogło. Zapragnął ciszy, samotności, któraby mu pozwoliła uspokoić „rozigrane nerwy“, uporządkować nawał wrażeń, które od kilku miesięcy kołatały w jego duszę i znaleźć syntezę swego ducha, prawdziwszą i lepszą od teatralnego *Kordyana*. W tym celu, rozstawszy się z towarzyszem podróży, Brzozowskim, w Bejrucie, udał się przed Wielkanocą 1837 do klasztoru Batcheszban, o którym tak później pisał do matki: „Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie“¹⁾. Zmęczony ciągłą zmianą wrażeń, w nienaruszonej jednostajności życia klasztornej wyciągał się, jak strudzony człowiek w letniej kąpieli. Ta cicha jednostajność zachęcała go do zagłębiania się w siebie i szukania w sobie zagadki swego życia i stosunku jego do życia narodu. Wśród tych dumań przeglądał przeszłość swoją, aby wydobyć z niej syntezę swego życia i odziać ją w eteryczną szatę swych marzeń. Jakby zwierciadłem przeszłości były dlań listy matki, które zabrał z sobą jadąc na Wschód i teraz w klasztorze odczytywał, wskrzeszając w pamięci minione wrażenia, pragnienia, nadzieje i troski. „Gdybyś Ty wiedziała — pisał w następnym roku z Florencyi — jak ja na Libanie w klasztorze nadchmurnym, wydobyłem cały pakiet Twoich listów, z jaką smutną uwagą je podług dat sześciu lat układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nieraz nad tobą i nad sobą“²⁾.

¹⁾ Listy II, 47.

²⁾ Tamże, 71.

Pod wpływem tych dumań, rozmyślań i kojącej ciszy klasztornej poemat rozpoczęty, a mający tu być ukończonym, doznał znacznych przeobrażeń tak w samym pomysle jak i pod względem formy¹⁾. Domyslałem się, że zbyt wyraźne naśladownictwo Danta, które wygląda z planu i znanych nam tercyn, nie odpowiadało naturalnemu wyrażeniu swego ówczesnego uczucia i marzenia. Powtórę, o ile można sądzić z planu i tytułu *Posielenja*, poemat ten miał roztoczyć głównie, jeśli nie wyłącznie, obraz cierpień narodu, dantejskie piekło Polski, tyle tylko na tem tle jaskrawem zarysowując postać samego poety, ile Dante własną postać przedstawił na tle obrazów *Boskiej Komedyi*. W nowym planie, który się z dawnego wyłonił, chodziło o wyznaczenie ważniejszej roli samemu poecie, synteza jego ducha, oświecenie jego wnętrza, pokazanie jego duszy miało być ważniejszą rzeczą od tła, na którym się ta postać zarysowywała.

Stąd poszło przeobrażenie się *Posielenja* w *Anhellego*. Ponieważ tercyny nie chciały mu płynąć z pod pióra tak swobodnie i naturalnie, jak tego pragnął, więc porzucił tę formę. Mamy własne jego przyznanie się w *Beniowskim* (Pieśń V oktawa 11):

Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
I miałem nieraz Dyanę usłużną:
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną.
Z tego więc poszło, że pisałem prozą.

¹⁾ Plan poematu *Posielenje* był następujący (wyrazy wzięte w nawias są przekreślone w autografie): Pieśń I. (Zgon poety — cisza — ksiądz — ostatnia godzina — jezioro — zachód słońca). II. (Obudzenie się) Dante (kraj nocy, wicher płacze). III. Dzieci — Tonio. IV. Spalenie się człowieka na koniu — próchno. V. Forteca (obląkany, trują go). VI. Chata — jabłoń gwiazd. VII. Uczta jeńców pijanych. VIII. Noc — życie poety. IX. Wilki — ciało jeńca. X. Jama — historia. XI. Dalszy ciąg — zgon kobiety. XII. Druga śmierć — ostatnie światło. XIII. Mewy — słońce na wschodzie — Boże Narodzenie. XIV. Cień matki — przecucie — koło ogniste. XV. Cementarz — gil — pała kości. XVI. Uczta duchów — zorza północna — Anieli Piasta. XVII. Omdlenie śmierci — Dante i Anioł. — XVIII. (Orzeł świętych — Dante tłumaczy). XIX. Dante znika — Anioł w podziemne prowadzi kraje. XX. Sen jeńców — zgon księdza. XXI. Rąbanie skał rozżarzonych — spalenie nogi. XXII. Odpoczynek nad solnem jeziorem. XXIII. Przez różgi — starzec łańcuchami bity. XXIV. Wielki kolos. XXV. Świecznik biblijny. XXVI. Gwiazda sumienia. XXVII. Drzewo pod deszczem ognistym. Bibl. Warsz. 1891, IV, str. 348—349.

Że nie zwrócił się do innych strof, sekstyny lub oktawy, które mu nigdy nie odmawiały posłuszeństwa, gotowe naginać się do wszelkich kaprysów jego wyobraźni i że wołał od nich prozę biblijną, można to przede wszystkim tem tłumaczyć, że mu chodziło o wielką prostotę i naturalność wyrażenia. Zresztą przykład zastosowania prozy biblijnej do poezji patryotycznej już był dany w *Księgach pielgrzymstwa*. Wczytywanie się poety w owych czasach w Biblię, cisza klasztorna, nastrajająca religijnie i harmonizująca z powagą i prostotą stylu biblijnego, zapewne i chęć zmierzenia się i przewyższenia w stylu biblijnym Mickiewicza, to wszystko skłaniało Słowackiego, który tak niedawno szczycił się, że go „rymy wiozą“ i że „nie może pisać tylko wierszem“, do obioru prozy biblijnej za formę dla swego nowego poematu.

Dając pierwszeństwo Biblii nad Dantem pod względem formy, chciał i w pomysł usunąć wyraźnie zaznaczoną zależność swego poematu od *Boskiej Komedy* i postać Danta-przewodnika zamienił na postać Szamana, mędrca-czarodzieja, daleko lepiej niż tamta harmonizująca z tłem sybirskich śniegów i sybirskiego nieba. Co z osobistych stosunków włożył w tę postać, o tem później; teraz chcę jeszcze wskazać, że przesunięcie punktu ciężkości z tła cierpień narodowych na syntezę własnego ducha poety uwydatniło się i w zmianie tytułu. Pierwotnie, jak wiemy, poemat miał się nazywać *Posilenie*, poeta zaś, jak Dante w swoim utworze, nie wciągał na siebie obcej postaci, nie miał obcej nazwy i przemawiał w pierwszej osobie. Po przeobrażeniu się pierwotnego pomysłu poeta ukrył się w postaci Anhellego i to imię postawił w tytule poematu, oznaczając tem, że ta postać stanowi główną treść jego.

Imię „Anhelli“ było symboliczną nazwą, jeszcze bardziej przeźroczyłą, niż Kordyan. Kordyan miał oznaczać człowieka o głęboko czującym sercu, Anhelli — człowieka o anielskiej duszy. I jedna i druga nazwa była fałszywą, o ile w nich Słowacki chciał usymbolizować swego ducha; ale w różnym stopniu. Słowacki miał czułe serce w tem znaczeniu, że wszelkie wrażenia świata zewnętrznego silnie się w nim zabarwiały uczuciem przykrem lub przyjemnem, ale nie umiał zapominać o sobie i przejmować się uczuciami innych, jednym słowem miał czułe serce dla siebie nie dla innych. Anielską też trudno nazwać duszą, która miała tak wysoce egoistyczny nastrój; ale przecież pretensje poety do anielskości miały pewne uzasadnienie. Jego pogarda dla „zjadaczy chleba“, marzycielstwo, wy-

noszenie sławy pośmiertnej nad wszelkie dobra doczesne, wreszcie nadzwyczajna czystość, wszelki brak cynizmu i zmysłowości w jego poezji nadają istotnie pewną anielskość jego duszy.

Szczególnie zastanawiającą jest nadzwyczajna czystość pod względem zmysłowym poezji Słowackiego. On, wielbiciel i naśladowca Bajrona, on, któremu autor *Don Juana* imponował wszystkim: i życiem swoim i poezją, donjuanizmem i walką z przesądami, nie wciągnął do swej poezji nic z cynizmu i zmysłowości swego mistrza. Można by rozmaicie objaśniać tę dodatnią cechę poezji Słowackiego: szczególną organizacją fizyczną, wychowaniem pod kobiecą opieką, przygłuszeniem żądz zmysłowych żądzą sławy i wypływającą stąd czystością życia, ale stanowczego objaśnienia dać trudno. W każdym razie warto zwrócić uwagę na słowa listu poety do matki (z Florencji 10 lipca 1838) następujące: „... dotąd na uwiezi trzymałem serce moje i czystsze życie wiodłem, niż inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie i że mię miał za oryginała nie do naśladowania“¹⁾.

Jakże się przedstawia poeta-Anhelli w poemacie. Jest on wybrany przez Szamana, mędrca i czarodzieja, na ofiarę, która ma odkupić jego nieszczęśliwy naród. „Wybiorę jednego z nich, powiada Szaman i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój i większy ciężar niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie“.

„I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu“.

I potem przywołał do siebie Anhellego „i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość“.

Słowa Szamana spełniają się, Anhelli ogląda wszystkie nieszczęścia swojej ojczyzny, serce jego napęla się po brzegi goryczą i zwątpieniem i on umiera, nie doczekawszy się promienia nadziei ale ta śmierć przynosi narodowi odkupienie, i oto zaraz po niej zjawia się rycerz cudowny, zwiastujący zmartwychwstanie narodów.

Wartość tej idei dostatecznie ocenił Małecki²⁾, ale jak się ona

¹⁾ Listy II, 104.

²⁾ „Trzebaż, aby najczystszy i najlepszy w narodzie marnieli w beczynnym smutku? ... Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych strawi się w samotności i melancholii...“. Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła, wyd. trzecie. Lwów 1901. T. II, str. 144.

zrodziła w Słowackim? Sądzę, że w tym względzie pozostaje coś do dopowiedzenia.

Powiedziałem już, że poeta w ciszy klasztornej zagłębiał się w dumania nad swoim życiem, nad jego znaczeniem, nad stosunkiem swoim do narodu. Że był człowiekiem nadzwyczajnych przeznaczeń, wyjątkowo obdarzonym od natury, to czuł i w to wierzył mocno, oddawna, od dzieciństwa. Ale na czym polegało to przeznaczenie, czym miał stać się dla własnego narodu, jaką rolę odegrać w jego losach nieszczęsnych, o tem dotychczas nie rozmyślał. Drogę miał wytkniętą: dążyć do najwyższej sławy, która mu się w jego rozumieniu należała i walczyć o nią. Wprawdzie w *Kordyanie* starał się pokazać syntezę swego ducha i swego stosunku do narodu, a i w *Grobie Agamemnona* zajął wobec narodu stanowisko *Kordyana*, ale mógłże nie czuć teraz, w chwilach zagłębiania się na dno duszy, że to stanowisko jest sztuczne, nie odpowiadające prawdziwej treści jego ducha? Gdzież i kiedy był on bohaterem rwącem się do czynu? Więc czemu był? jakie znaczenie miało jego życie? Jak Anhelii przed śmiercią na stepie sybirskim, tak i on w cichej celi klasztornej z widokiem na morze zapytywał siebie: Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen? Tyle posiadać skarbów fantazyi, tyle blasków z siebie wydobyć, tyle roić o sławie, i być samotnym, zapomnianym, nieuznanym, a w dodatku jeszcze oddalonym od swoich najbliższych i skazanym na tułactwo po świecie! Niewątpliwie też i cierpieniami społecznymi przejmował się teraz Słowacki więcej niż przedtem, jakkolwiek i teraz nie ciążyły one na sercu jego więcej od osobistych. Ale wiara w swoją wielkość podsunęła Słowackiemu rozwiązanie tej smutnej zagadki. Tak czy inaczej, był zawsze wybrańcem potęg wyższych. Jeśli zamiast tryumfu życie przyniosło mu cierpienie, więc widocznie przeznaczony był na to, aby odegrać Chrystusową rolę względem swego społeczeństwa, rolę odkupiającej ofiary. I oto „myśli święte“ po które wyjeżdżał w pobożną wędrowkę, kończyły się na samoubóstwieniu, a „brzemie myśli i tęsknot“, pod którem rozkrusza się serce, uznane zostało za dostateczną ofiarę do odkupienia narodu.

Tak sobie wyobrażam genezę idei *Anhellego*. A teraz jeszcze kilka słów o postaci Szamana, która w owym planie zajęła miejsce Danta. Ten człowiek jest przedstawicielem jakiejś nadziemskiej mądrości, jakby opiekuńczym duchem narodu polskiego, i sam powiada o sobie, że w nim „wiele jest Boga“, ale w stosunku jego do *Anhellego* odzywa się jakby echo stosunku Krasińskiego do Słowackiego.

Szaman wlewa w *Anhellego* „miłość serdeczną dla ludzi i litość“, Szaman pokazuje mu wszystkie nieszczęścia i cierpienia narodu, a co najważniejsza, w czem najsilniej to echo się odzywa, Szaman wywołuje duszę *Anhellego* i pokazuje ją w całej świetności jej barw i białości skrzydeł zdziwionej gromadzie rybaków. Myślę, że poeta do pewnego stopnia świadomie symbolizował wpływ Krasińskiego na siebie i to szczere uwielbienie, jakim autor *Irydyona* otoczył jego poezję, podobnie jak niedługo potem w *Lilli Wenedzie* w postaciach braci związanych łańcuchem symbolizował braterstwo duchowe, które go przez jakiś czas jednoczyło z Krasińskim.

Czy Krasiński domyślał się znaczenia tej tak zaszczytnej dla siebie symboliki, nie wiemy, ale że był za pobłażliwy w sądzie swoim o *Anhellim*, to pewna, bo nie tylko wielbił potęgę fantazyi, która potrafiła „otechlać Sybiru wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd“ nie tylko podziwiał „styl spokojny, przejrzysty, kryształowy“ *Anhellego*, w czem się z nim zupełnie zgodzić trzeba, ale i uznawał w poemacie myśl prawdziwą. „*Anhelli* — pisał do Gaszyńskiego — to pokolenie, które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądach, a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Ten *Anhelli* taki samotny, taki opuszczony, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest doskonałym symbolem poetycznym naszego przeznaczenia“. Otóż Krasiński podsuwał *Anhellemu* myśl zasadniczą, której on nie miał, bo Słowacki w postaci *Anhellego* nie miał zamiaru przedstawiać całego pokolenia, ale tylko siebie. Z drugiej strony Krasiński zupełnie pomijał istotną zasadniczą myśl poety o odkupiającej sile smutku i cierpienia, myśl, której sam nie mógł przyklasnąć, bo była sprzeczną z ideą *Irydyona*. *Irydyon* otrzymał rozkaz: „idź i czyn, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich“, *Anhelli* miał tylko biernem cierpieniem dokazać tego, co podług Krasińskiego miało być zdobyczą „pracy wieków“.

Z nowego utworu swego był Słowacki zadowolony i taką wagę przywiązywał do niego, że wracając morzem do Włoch myślał nawet zamknąć go w butelce, „aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić“¹⁾. Jednakże do wydania nie zaraz przystąpił, brakło na to środków. Tymczasem, wróciwszy ze Wschodu, osiadł na jakiś czas we Florencyi, gdzie najął sobie małe, ale ładne, dobrane do swego gustu i usposobienia, mieszkanie z wie-

¹⁾ Listy II, 53.

życzką, skąd miał „najpiękniejszy widok na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy nad Toskanią świecące“. Tu miał przepędzić zimę z 1837 na 1838 i popracować trochę, a „na wiosnę — pisał do matki — chciałbym pojechać do wielkiego miasta, z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem i znów oddać wielki ukłon mojej królowej sławie, jako wierny jej do śmierci błazen“¹⁾. Miał wtedy najmłodszemu dziecku swemu „dać wyprawę“, a o tem dziecku pisał, że „jest zupełnie inne, jak przeszłe, i już mi pięknie rośnie i płacze i ma jakieś rysy bardziej regularne, a jak mi się zdaje, piękne i szlachetne“. Zapewne wykańczał wtedy *Anhellego*, nadawał mu tę artystyczną doskonałość stylu, jaką się ten poemat odznacza.

Ale Słowacki nie chciał poprzestać na tym jednym, choć wysoko przez siebie cenionym, utworze; chciał stanąć przed swoją królową z obfitszą daniną, chciał po dłuższym milczeniu odezwać się tem głośniejsze i tem większe chciał wyrzucić wrażenie. Przedewszystkiem wrażenia z podróży, na które tyle liczył, domagały się zużytkowania. Tymczasem pomimo miłego mieszkania, które zapraszało do dumań, do pracy i pozwalało „samotność zamieniać w słodką melancholię“, praca poetycka nie postępowała, co dręczyło poetę. „Żałuję, że zostałem na zimę we Florencji — pisał w styczniu 1838 do matki — nie bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych. Prawdziwie, że na skrzydłach mi wiek ucieka i chciałbym zatrzymać lata, nie dlatego, ażebym się jakiego szczęścia spodziewał, ale żeby nie zejść ze świata niepłatnym dłużnikiem“²⁾. I w trzy miesiące potem narzekał podobnie, że dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał i pocieszał się tylko spostrzeżeniem, „że dla nas, ludzi z pod zimnej gwiazdy Niedźwiedzia, Włochy są antiimaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy (Mickiewicz) bawiący tu dawniej przez lat kilka, nie nie napisał i dopiero przybywszy między błędne zórawie, zaczął śpiewać i rymy łać obficie; z tego wnoszę, że imaginacyi jest potrzebne ojczyście, a przynajmniej zbliżające się do ojczyściego powietrze, potrzebna jest także atmosfera napelniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych... tego wszystkiego braknie tu, więc dobranoc marzeniom“³⁾.

Towarzystwa nie brakło mu we Florencji, ale w tem towa-

¹⁾ Listy II, 72.

²⁾ Tamże, 83.

³⁾ Tamże 92.

rzystwie nie znajdował zachęty i bodźca do pracy poetyckiej. „Od jakiegoś czasu — pisał do matki w cytowanym już liście z 2 stycznia 1838 — dałem się wciągnąć mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co mię męczy i nudzi. Często, wyszedłszy z towarzystwa, gdzie wiele gadałem, przypomina mi się twój talent. droga moja, bawienia gości, i dziękuję Bogu, że mi po tobie trochę tego daru gawędzenia spadło; lecz ta między nami jest różnica, że ty lubisz obudzać myśli w kole towarzyskiem i wyciągasz z niego iskry, jak z krzemieni, a ja nieszczerliwy gawędzę i niczego się nawzajem od ludzi dopytać nie mogę, więc powracam zwykle zmęczony i pozbawiony moich marzeń, bo rozmowa z ludźmi jest to dla mnie pole, gdzie ja złote moje myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmieniam monetę i rozsypuję“¹⁾. Odnosiło się to zapewne najbardziej do wizyt u Hermanostwa Potockich i księżnej Surveilliers, synowicy Napoleona I, gdzie Słowacki bywał, jak się zdaje, najczęstszym gościem, ponieważ „co środy znajdował tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia“.

Młody, przystojny, o salonowych manierach poeta był pożądanym dla każdego salonu, nawet takiego, gdzieby poezji jego nie umiano ocenić, to też łatwo wierzyć Słowackiemu, że ubiegano się o jego towarzystwo w salonach florenckich. Ale wpływ tych salonów na poetę korzystnym nie był; sam on przyznawał się przed matką, nawpół ze skrucą, nawpół z chlubą, że przy księżnej „znalazł swoją dawną uszczypliwość w rozmowie“, i że używał różnych „szarlataneryj“, aby jej nieznacznie pokazywać swoje „pańsko-eleganckie wychowanie“²⁾. Czcze życie wśród tego towarzystwa wydawało mu się „ciągle trwającą niedzielą“; skarżył się, że nie ma nikogo „coby go ożywił i podniósł trochę“, a w szczególności żałował, że nie ma tu Zygmunta Krasińskiego, którego towarzystwo w Rzymie miało dla niego, według własnych słów jego, „lekarskie, uzdrawiające skutki“³⁾. Od czasu do czasu miewał tylko listy od niego, które służyły zapewne za rodzaj antidotum wobec wpływu towarzystwa florenckiego.

Wiedząc, że dla wszystkich poetów świata miłość była główną krynicą natchnienia, Słowacki chciał się koniecznie zakochać; miłość potrzebną mu była do ożywienia i rozruszania uśpionej muzy.

¹⁾ Listy II, 83.

²⁾ Tamże, 93.

³⁾ Tamże 91.

„Dziwna jakaś czeza melancholia dręczy mię — pisał w tych czasach do matki — chciałbym się kochać, ale nie mam w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, droga mammo, że to jest jedno z najgłośniejszych żądań mojego teraz życia... Otóż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham; co to będzie?“. I tu opowiadał matce jedną z nieudanych prób swoich zakochania się. „Poznałem tu teraz ładną, jak anioła Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostygniętego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Nijagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem zachwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągła wesołość, ciągły prawie uśmiech na rozkwitłych ustach; włożyłem więc znowu, jak ptak, głowę pod skrzydła i pograżyłem się w moje sny melancholiczne“¹⁾.

Próba miłości, jakkolwiek się nie powiodła, nie pozostała przecież bez śladu w poezji Słowackiego. Amerykanka, która przypominała Słowackiemu powietrzną czarodziejkę alpejską (Witch of the Alps), co wywołana przez *Manfreda* ukazuje mu się w blaskach tęczy wodospadu (Akt II, scena II), dostarczyła pocie pewnych wrażeń, wsnutych potem w przedmę miłosnego poematu, ona to niewątpliwie podała mu myśl owego cudnego obrazu pierwszego poznania się z kochanką u kaskady, „gdzie Aar wody błękitnemi spada“ i pożyczyła swoich błękitnych źrenic bohaterce poematu. Naturalnie, wspomnienie Amerykanki kojarzyło się w tym obrazie z pewnymi reminiscencjami z *Manfreda*, a przedewszystkiem z wrażeniami wielkiej podróży po górach Szwajcaryi w towarzystwie rodziny Wodzińskich.

Ale wspomnienie Amerykanki, jeżeli wystarczało do stworzenia jednej sceny miłosnej na tle górskiej przyrody, nie wystarczało do stworzenia całego poematu miłosnego z całą gamą tonów tego uczucia, o co widocznie wówczas pocie bardzo chodziło. Do tego potrzeba się było zakochać, poeta wiedział o tem, ale jakże tu serce zmusić do kochania i przez serce podzielać na wyobraźnię? Ta jałowość wyobraźni i oschłość uczucia budziły w Słowackim obawę, czy nie znaczą już końca młodości. „Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało mię do siebie, choć bardzo ładne i poetyczne, osoby przyjazne nie utonęły mi w sercu — słowem: jest to dziwny dla mnie fenomen ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode być

¹⁾ Listy II, 84—85.

musi“. Zostając ciągle pod wrażeniem powieści pani Sand, które poznał jeszcze w Szwajcaryi, wielbił ją w listach do matki i żałował, że nie skorzystał kiedyś na genewskim jeziorze ze sposobności zbliżenia się do niej. „Kto wie, czy w tej chwili słowa jej nie mogłyby nadać innego kierunku moim uczuciom. Serce moje było wtenczas jak glina miękkie i zdatne do przyjęcia innego kształtu. Teraz już późno na wszystkie metamorfozy“¹⁾.

A jednak wkrótce potem — bodaj czy nie pod wpływem romansów pani Sand — chciał dokonać na swoim sercu nowej próby, która miała je ożywić, rozruszać wyobraźnię i dostarczyć jej pożądanego materiału. Wszakże dotychczas nie zaznał naprawdę czarów miłości, nie pił nigdy z jej kielicha. Ta, którą obrał za panią swoich marzeń jeszcze w dzieciństwie, z góry spoglądała na niego, i sam on w *Anhellim* przyznawał, że „choć był jak gołąb na ramieniu dziewczyny, nie wziął nawet pocałowania od jej ust koralowych“. W stosunku z Maryą Wodzińską lub z ową Amerykanką, nie było nawet takiego zbliżenia, jak z Ludwiką Śniadecką, a dla cudzoziemek Kory Pinard i Eglantyny Pattey, które się naprawdę w Słowackim kochały, poeta okazał się zupełnie obojętnym. Postanowił więc żywemi ustami skosztować tego napoju, który znał dotychczas z książek i marzeń; postanowił wyrwać się „ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz swoich“, odegrać rolę „młodego chłopca szalonego“, znaleźć sobie jaką Fornarinę, „owinąć to bóstwo w idealne szaty i z rzeczy pospolitej zrobić sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapelnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przeżyć na ziemi“.

Słowa poety, w ostatnim cudzysłowie zawarte, a wzięte ze współczesnego listu do matki²⁾, najwyraźniej świadczą, że ten romansowy stosunek z jakąś prostą dziewczyną włoską nie wypłynął nieświadomie, żywiołowo z serca, ale zawiązany był w celach artystycznych. Ślad też jego spotykamy w poemacie *W Szwajcaryi*, który jest osnuty

¹⁾ Listy II, 101—102. Pierwsza wzmianka o pani Sand w listach Słowackiego do matki umieszczona jest pod datą 28 września 1834. „Zjawiała się we Francyi nowa pani de Staël, którą ja przekładam nad dawniejszą. Nowa ta autorka kryje się pod nazwiskiem George Sand i pod tem imieniem wydała 4 romanse, z których dwa pierwsze są prawdziwie zachwycające. Staraj się, Mammo, dostać *Indiana* i drugi romans *Valentine* przez G. Sand, a przepędzisz kilka godzin rozkosznie“. Listy I, 261.

²⁾ Listy II, 103.

na kanwie wrażeń, odnoszących się do rozmaitych postaci kobiecych. W cytowanym tylko co liście do matki, opisuje Słowacki, chępiąc się trochę, nie tyle, jak się zdaje, przed matką, ile przed Filami, którzy trochę sceptycznie spoglądali na jego wstrzemięźliwość, pewną wycieczkę ze swoją Fornariną do ogrodu Pratolino. „Lataliśmy po murawach, kłaby róż między ciemną zielonością błyszczące przypominały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać o południu do grot, w których mruczały strumienie — słowem dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą...”. Myślę, że z tego zaglądania do grot urodziły się niektóre strofy poematu *W Szwajcaryi*, i że Fornarina, pomimo, iż poeta mówi „o dziwnem w niej zakochaniu się”, któreby go mogło „do jakich szaleństw przywieść”, na nie więcej nie była mu potrzebna, jak na model do miłosnego poematu, który mu już wtedy snuł się po głowie, a może nawet w części był już napisany.

Pobyt Słowackiego we Florencyi przeciągnął się nad zamiar, ale bynajmniej nie dla Fornariny, tylko dla innej „osóbki”, którą tam później poznał poeta, a która w jego życiu odegrała rolę podobną do roli Maryi Wodzińskiej. Była to Aniela Moszczyńska, córka obywatela z Ukrainy, a krewna towarzysza Słowackiego z podróży na Wschód. Jak tamta, nie była ładną, ale wykształconą i bogatą, a ponieważ i panna i ojciec uprzejmie go witali w swym domu, zdało się Słowackiemu, że znajdzie w niej taki „kwiat biały na rzece żywota”, o którym dawniej marzył, taką lilię wodną, około której mógłby się „obwinać i zasnąć”, czyli mówiąc językiem prostym, że bogata panna chętnie ofiaruje mu swą rękę i podzieli się z nim swoim posagiem. Złudzenie było silniejsze, niż pierwszym razem, ponieważ ojciec, czy to dobrodusznie, czy dla złośliwego żartu, powtarzał mu: „Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię” i poeta sam przyznaje, że dlatego zatrzymał się we Florencyi, aby „kiedyś nie miał na sumieniu swoim, że się po szczęście w ludzkim rozumieniu wielkie nie schylił wtenczas, kiedy mu leżało na drodze”¹⁾. Ale rozczarowanie nastąpiło teraz prędzej, niż przedtem, i było zapewne przykrzejsze, ponieważ poeta pisał w rok potem: „cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie”²⁾. Pisał to już wtedy, gdy Aniela Moszczyńska nie żyła, i gdy ją „śmierć upiękniała w jego oczach”, ale i wtedy

¹⁾ Listy II, 123.²⁾ Tamże.

przyznawał otwarcie, że za jej miliony „nie jej nie mógł dać nawzajem, nawet serca”. Tak więc Anelli pomimo swojej anielskości gotów był nie oglądać się przy zawieraniu małżeństwa na serce, dbając przedewszystkiem o to, aby swemu marzycielstwu i dążeniu do sławy dać silną materyalną podstawę.

Jeszcze zanim zawiodły poetę nadzieje bogatego małżeństwa, nadesłano mu z Paryża świeżo wydany jego poemat. Usposobienie, w jakim się wówczas poeta znajdował, było bardzo dalekie od tej anielskiej melancholii, która z poematu zawiewa, jednak Słowacki, jako sztukmistrz, zachwycony był tym swoim utworem, który w istocie pod względem kunsztownej prostoty i melodyjności stylu i harmonii barw jest trudnem do prześcignienia arcydziełem. To też w listach do matki formalnie obsypywał pieścizmami to swoje najmłodsze dziecko. Wspomniałem już, że prawdopodobnie jeszcze przed wykończeniem pisał o niem, że „już mu pięknie rośnie i płacze i ma jakieś rysy bardziej regularne” i spodziewał się, że matka je pokocha; w kilka miesięcy potem, przed samem wydaniem, donosił matce o Anellim, że „melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i nie podobny jest do niczego”¹⁾, kiedy zaś nadesłano mu już wydaną książeczkę z Paryża, tak dzielił się z matką wrażeniami dnia owego: „Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie. Oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które tylko 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo i o którym zaręczano mi, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę, więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie, ale mnie coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać śpiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanawszy pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napelniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, że tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!...”.

Z tych słów widać, jak nawet pobożność i pokora u Słowa-

¹⁾ Listy II, 104.

ckiego przybierały jakiś teatralny charakter, ale widać także, jak wielkie znaczenie przypisywał on swemu nowemu poematowi. *Anhelli* był czymś zupełnie nowym w poezji Słowackiego, a różnił się od poprzednich jego utworów nie tylko formą i treścią, ale i pewnym nastrojem religijnym, jakiego w poprzednich nie było śladu. Zdało się zapewne pocie, że teraz nikt nie będzie mógł powiedzieć o jego poezji, że jest to piękny kościół, ale bez Boga, ani też nikt odmówić mu oryginalności. Niebawem, w jesieni 1838 r., zjawiał się we Florencji Zygmunt Krasiński, i — jak się łatwo domysleć, znając jego uwielbienie dla *Anhellego* — mógł łatwo wzmocnić w Słowackim to przekonanie o wielkiem znaczeniu nowego poematu. Wdzięczność Słowackiego dla Krasińskiego za to nowe pokrzepienie jego ducha, jego ufności w potęgę swego geniuszu, wylała się w pożegnalnym wierszu *Do Zygmunta*, gdzie Słowacki młodszego wiekiem, ale starszego powagą myśli przyjaciela nazywał „archaniołem wiary“, i „sere wskrzesicielem“.

ROZDZIAŁ V.

Walka o sławę.

1838—1839.

Przyjazd do Paryża. — *Poema o Piaście Dantyszku*. — *Poemat W Szwajcaryi*. — *Ojciec Zadżumionych*. — *Wacław*. — Sąd Krasińskiego o *Wacławie*. — Pierwsze głosy krytyki o *Anhellim*. — *Młoda Polska* o Trzech poematach i Dantyszku. — Odpowiedź Słowackiego. — O ile słuszne były żale Słowackiego. — Kosmopolityczny estetyzm Słowackiego i Krasińskiego. — Sadowskiego recenzja *Anhellego*. — Nadzieja wystąpienia na widowni europejskiej.

Nareszcie pod sam koniec 1838 r. Słowacki pojechał do Paryża, aby tam stanąć do nowego turnieju, odnieść tryumf i otrzymać z rąk „Królowej sławy“ najwyższą nagrodę. *Anhelli* już był ogłoszony i przypomniał światu imię poety, który od czasu wydania *Kordyana*, t. j. od pięciu lat prawie, nie dawał o sobie znaku życia. Za *Anhellim*, wkrótce po przyjeździe poety do Paryża, miały się posypać inne utwory Słowackiego, pisane w ciągu lat ostatnich, a więc *Poema o Piaście Dantyszku*, *W Szwajcaryi*, *Wacław*, *Ojciec Zadżumionych* i *Balladyna* i swoją różnorodnością i świetnością barw zdobyć dla poety to uwielbienie, jakiego dotychczas zakosztował on tylko ze strony Krasińskiego.

Chwila, w której Słowacki wystąpił do nowej walki o pierwszeństwo na polu poezji, jakkolwiek smutna dla niego z powodu przesładowania politycznego, jakiego jego matka i wuj w kraju doznawali, była jednak szczęśliwie obroną ze względu na ciężkie położenie, w jakim się wówczas znajdował ten, o którego prześcignięcie chodziło Słowackiemu. I Mickiewicz od lat pięciu, od czasu napisania *Pana Tadeusza*, zapadł w milczenie, ale z tego milczenia, dzięki kłopotom życia małżeńskiego, nie miało się nic urodzić dla literatury polskiej. Wiedział o tych kłopotach Słowacki. „Wiadomość smutna, pisał do matki jeszcze w maju 1838, że Adam, chcąc zarobić na kawałek chleba, dramę po francusku napisał i wyznał sam, że ją pisał jak szewc, co szyje buty, aby wyżywić żonę i dziecko; że pisał bez zapалу, a teraz przechodzi przez męki tych autorów, którzy z nieznanem imieniem chcą reprezentację dla pierwszego dzieła na scenie otrzymać“¹⁾. Wiadomo, że do tej reprezentacji nie doszło i Mickiewicz musiał szukać innego sposobu utrzymania rodziny, który go miał jeszcze bardziej oderwać od twórczości poetyckiej. Jak ciężko był przygnębiony Mickiewicz w czasach przyjazdu Słowackiego do Paryża, tak z powodu obłąkania żony, jak i pokrzyżowania się planów dotyczących posady profesorskiej, najlepiej się to maluje w kilku wierszach jego współczesnego listu do Domejki z Paryża (8 stycznia 1839 r.): „Odczytawszy twoje wiadomości o Coquimbo zawyrokowaliśmy ja i Stefan (Zan), że tobie tam lepiej niż nam tu, bo tu nas otacza step moralny bez końca, a na drodze miewamy ciężkie przeprawy. Ja doznałem różnych nieszczęść. Byłem w Szwajcaryi starając się tam o miejsce w Akademii w Lausanne. Miejsce otrzymałem, było bardzo dobre. Tymczasem odbieram wiadomość, że żona chora. Znajduję konsylium przy żonie, a drugie konsylium przy synku małym. Łatwo pojmiesz moje położenie. Żona po kilku miesiącach ledwie teraz daje nadzieję wyzdrowienia. Dzieci w obcych domach, ale przecie zdrowe. Miejsce owo w Lozannie nie wiem czy znowu dostanę. Bieda wszędzie. Dziwię się, że wszystko to przetrwałem dotąd, alem bardzo zestarzał w duszy...“. A nieco niżej w tym samym liście dodawał: „Nie nawet przez ten czas czytać nie mogłem i nawet czytając nie rozumiałem. Większą cierpiałem biedę, niż tobie opisuję“²⁾. Kto wie, jak mało pochopnym był Mickiewicz do

¹⁾ Listy II, 100.

²⁾ Korespondencya Ad. Mickiewicza. Paryż-Lwów 1880. T. I, str. 195—196.

użalania się na swoje losy, ten łatwo oceni wymowność tego ostatniego wyrażenia.

Tak więc Słowacki, przybywając do Paryża, mógł być pewnym, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, aby blask jego nowych utworów mógł być przyćmiony jakim nowym poematem Mickiewicza. O innych poetów mniej dbał; nadto był pewnym swojej wyższości nad Zaleskim i Goszezyńskim. Wprawdzie Krasiński jako autor *Nieboskiej Irydyona* był nową gwiazdą na niebie poezji polskiej, ale naprzód Krasiński nie miał daru formy poetyckiej, powtóre, co ważniejsza. Krasiński sam się pochylił przed Słowackim, składał hołd jego geniuszowi poetyckiemu i mianował go następcą po Mickiewiczu.

Pierwszym poematem Słowackiego, który ukazał się po przybyciu jego do Paryża, było *Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle*. Dlaczego poeta nie kładł swego nazwiska na tym utworze? Czy obawiał się, że położenie nazwiska na poemacie, pełnym jaskrawych alluzyj do ostatniego powstania, do Wielkiego księcia Konstantego i samego cara, może ujemnie oddziaływać na sprawę jego matki i wuja w kraju? Czy nie zupełnie był pewnym artystycznej doskonałości swego poematu, i przed przyznaniem się do niego, chciał zobaczyć, jakie sprawia wrażenie? Zdaje mi się, że pierwszy z tych dwu względów odegrał tu rozstrzygającą rolę, ponieważ poeta ubocznie, stawiając na czele poematu i czas i miejsce napisania, wskazywał poniekąd publiczności emigracyjnej swoje autorstwo. Bądź co bądź, to pewna, że Słowacki, wyprowadzając z ukrycia na świat, *Dantyszka*, składał dowód wielkiego zaślepienia ojcowskiego i nie mało szkodził sprawie swego tryumfu poetyckiego. Poemat napisany był na zimno, bez wszelkiego natchnienia; prawdopodobnie pochodził z tych czasów, kiedy poeta skarżył się na Włochy, jako na antiimaginacyjną krainę. Pomysł przedstawienia rubasznego szlachcica Leliwy w roli Danta, odbywającego zaziemską wędrówkę, miał być zapewne w intencji autora bardzo oryginalnym, w wykonaniu stał się dziwacznym i niesmacznym. A ze wszystkiego najniesmaczniejszym w *Dantyszk*u to połączenie humorystycznego tonu, w jakim jest przedstawiona postać Leliwy, z wysokim patos patryotycznym, które się z różnych miejsc poematu odzywa; najniesmaczniejszym nie dlatego, żeby się te dwa tony nie dawały nigdy skojarzyć harmonijnie, bo że mogą, świadczy o tem *Pan Tadeusz*, ale dlatego, że oba brzmią tutaj nieszczerze.

Co mogło pobudzić Słowackiego do tego dziwnego skojarzenia dantejskiej fantazyi z rubasnością szlachcica, i tonu drwiącego z apoteoza? Jeżeli porównamy *Dantyszka* z *Grobem Agamemnona*, to dostrzeżemy pewnej rażącej sprzeczności. W *Grobie* poeta przeklinał „rubaszny czerep“ szlachecki, który więzi w sobie anielską duszę Polski, i wzywał do zrzucenia kontusza i pasa, „tych płacht ohydnych“, „tej palącej koszuli Dejaniry“; w *Dantyszk*u ten rubaszny czerep w kontuszu i z dzbanem w ręku, choć w niektórych ustępach traktowany tonem Krasickiego z *Myszeis*¹⁾, przybierał w końcu aureolę świętości i męczeństwa. Cóż było prawdą podług poety? Kiedy był szczerym, czy wtedy kiedy pisał *Grób Agamemnona*, czy kiedy pisał *Dantyszka*? Niewątpliwie szczerzym był w pierwszym razie, sam ton jego poezji świadczy o tem.

Jeżeli zaś wbrew niechęci do rubasznego czerepu, chciał go zrobić bohaterem dantejskiego poematu i ubierał w patryotyczne blaski apoteozy, to myślę, że skłoniła go do tego chęć szukania popularności, chęć znalezienia sposobu, któryby jego „fantastycznie nastrojoną lutnię“ uczynił przystępną dla szlachty. Znający dobrze tę szlachtę Filowie mówili mu, że ona jego utworów nie zrozumie, otóż Słowacki próbował podać jej swoją fantastyczność w naczyniu, któreby ją pociągało do zawartej w niem treści, to jest w rubasnym czerepie Leliwy. Ażeby zaś tem większą zjednać dla swego poematu popularność, tem więcej zachęcić do niego ogół, uderzał na wstępie w „Ofiarowaniu“, w wielki dzwon patryotyczny, poświęcał swój poemat Warszawie „żałosnej wdowie polskiego ludu“, „matce w żałobie — tych co śpią w krwawym pochowani w grobie — i tych, co wierzą, że wstanie na nowo“. Jak *Anielli* był przedewszystkiem przeznaczony dla tak marzycielsko nastrojonych, jak Zygmunt Krasiński, *Dantyszek*, w którym jest coś z Sienkiewiczowskiego *Zagłoby*, miał przedstawiać przedewszystkiem do tych, co według pewnej strofy *Beniowskiego*, omijają „szczyt Parnasu stromy“, i woła „pijące gardła, wasy, psy, kontusze — a nadewszystko szczerę, polskie dusze“. Jak się zawiódł, o tem później.

¹⁾ Przypominam np. te wiersze:

Niosą szlachcica w niebo z dzbanem w ręku,
A ja z nad chmury upuściłem dzbaną
I potem aż się dowiedziałem w siole,
Że upadł z nieba na księdza plebana,
I wybił mu jak talar guz na czole i t. d.

Zaraz po *Dantyszku*, w początkach r. 1839, ukazały się razem wydane, pod zbiorowym tytułem *Trzy poematy: W Szwajcaryi, Wacław i Ojciec Zadżumionych*. Poemat *W Szwajcaryi* uważał Słowacki za najlepszy z tych trzech i stawiał go obok *Anhellego*¹⁾. I w istocie wykończeniem stylu i eterycznością obrazów dwa te poematy zbliżają się do siebie i wraz z *Ojcem Zadżumionych* stanowią tróję najsubtelniej wykończonych utworów Słowackiego. We wszystkich trzech poematach tło przyrody odmalowane jest z właściwym Słowackiemu wdziękiem i stanowi główny urok, ale w żadnym innym poemacie jego nie ma ono tak wielkiego znaczenia, jak w tej sielance szwajcarskiej. Czuł to dobrze sam poeta, gdy nadawał poematowi swemu tytuł: *W Szwajcaryi*, bo tym sposobem wyraźnie zaznaczył, że główną rzeczą w poemacie jest tło krajobrazowe, dekoracya, nie zaś dzieje serca, które się na tem tle rozwijają. Przyroda szwajcarska, którą Słowacki poznał w całej jej piękności podczas wycieczki z rodziną Wodzińskich w Alpy, obdarzyła go skarbem wrażeń, które z całą świeżością przechowywały się w duszy poety i domagały się ujścia dla siebie w poezyi. Dzieje pisania tego poematu nie są nam znane, w każdym razie zdaje się być rzeczą pewną, że rozpoczęcie jego przypada na czasy florenckie, prawdopodobnie na te, kiedy poeta jeszcze nie wyszukał był sobie Fornariny i skarżył się przed matką, że „chciałby się kochać, ale nie wie w kim“, i kiedy daremnie próbował swego „ostygłego“ serca na jakiejś ładnej Amerykance.

Wspomniałem już, że te próby, to szukanie miłości było potrzebne poecie do celów poetyckich, bo co się tyczy małżeństwa, to ze stosunku poety z Anielą Moszczyńską, wiemy, że dla Słowackiego miłość wzajemna nie stanowiła niezbędnego w tym względzie warunku. Poeta miał w wyobraźni wspaniałe tło przyrody szwajcarskiej i chciał je wprowadzić do poezyi, ale uważał za rzecz konieczną rzucić na to tło jakiś haft miłosny, któryby je ożywił i ozłocił. Wzoru do tego haftu wziął trochę z wrażeń osobistych, trochę z lektury (Dante)²⁾, wreszcie z fantazyi i oto tak powstała ta pajęczka tkanka

¹⁾ W przedmowie krótkiej do *Wacława* pisał: „Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić, ani przemienić nie jestem zdolny; a dwa poprzedzające poematy: *W Szwajcaryi* i *Anhelli* przybiegną w pomoc brońącemu się od zupełnego potępienia poecie.

²⁾ Mówię o tem obszerniej w *Szkicach literackich*. Serya I. Kraków 1896, str. 157—160.

fabuły miłosnej, która jak nie babiego lata unosi się na tle gór, dolin, błękitnych jezior, lodowców i wodospadów Szwajcaryi. Niewątpliwie ze wszystkich utworów Słowackiego, do owego czasu napisanych, był ten poemat najbardziej harmonijnym, był jakby koroną dotychczasowej twórczości poety, naprzód dla swego artystycznego wykończenia, a powtóre, ponieważ to, co stanowi główną siłę geniuszu Słowackiego, głębokie poczucie piękna przyrody, znalazło tu dla siebie najszerzej otwarte wrota.

O poemacie *W Szwajcaryi* można powiedzieć, że tam prawdziwą kochanką Słowackiego była przyroda alpejska, ustrojona we wszystkie swoje wdzięki i uśmiechy, szafiry jezior, tęcze wodospadów, szmaragdy lasów, rubiny koron śnieżnych, istota zaś w ludzkim ciele, odgrywająca w poemacie rolę kochanki, była tylko fikcją, była jakby wymarzonem uosobieniem tamtej, i wszystkie swoje blaski, całą piękność zawdzięczała tamtej. Cóżby się z nią stało, gdyby ją wyrwać z tych ram wspaniałych i rzucić na tło powszednie? Z pewnością to samo, co by się stało ze srebrną nicią babiego lata, przeniesioną z szafirowych i złocistych dni wrześniowych na szare, słotne tło listopada.

W *Ojcu Zadżumionych* znalazł poeta sposobność uplastyczyć wrażenia, których doznał podczas dwunastodniowej kwarantanny na granicy między Egiptem a Syryą. I tu krajobraz gra ważną rolę, ale nie taką jak w sielance szwajcarskiej, ponieważ pomiędzy duszą poety, a „smutną doliną piaszczystą“ nie było tego węzła, jaki łączył tę duszę ze wspaniałą przyrodą Szwajcaryi, nie było zachwyty, tylko raczej uczucie smutku i grozy.

W *Ojcu Zadżumionych* fabuła choć także dostrojona do krajobrazowych wrażeń poety i od nich do pewnego stopnia zależna, grała daleko ważniejszą rolę, miała swój byt odrębny, kształty wyraziste, do tkanki pajęczej wcale podobną nie była.

Wiadomo, że Słowacki zaczerpnął tej fabuły z ust lekarza włoskiego z miasteczka El-Arish, zaczerpnął na miejscu opowiadanego wypadku, stąd fantazyja jego miała w tym utworze tak realną podstawę, jak w żadnym innym. Miało to dodatnie skutki, i jakkolwiek niesłusznie, mojem zdaniem, stawiano *Ojca Zadżumionych* obok *Laokona* i grupy *Nioby*¹⁾, to jednak trzeba przyznać, że wśród całej, obfitej poezyi Słowackiego, tak często mglistej, mętnej, gorączkowej

¹⁾ Porówn. *Szkice literackie*. Serya I, artykuł o Juliuszu Słowackim.

i kapryśnej, utwór ten zajmuje wyjątkowe stanowisko i świeci wyjątkowo klasyczną jasnością i klasyczną doskonałością budowy. Miśtrzowskie stopniowanie cierpień nawiedzonego szeregiem nieszczęść Araba budzi w nas podziw i poemat piętrzy się przed nami istną piramidą boleści. Ale podziwiając kunszt artysty, czujemy pewien chłód akademicki, wiejący z utworu, a artyzm tematu na tle uczuć przenikających współczesną poezję polską wygląda dziwnie i na anheliczność poety rzuca szczególne światło. To też Szujski, nie mogąc pogodzić tego egzotyizmu z wyobrażeniem, jakie miał o Słowackim, jako wieszczu narodowym, widział w *Ojcu Zadżumionych* alegorię cierpień Polski¹⁾.

Nie potrzebuję rozpraszać tego złudzenia, bo to już dawno uczynił Małecki w swoim dziele o Słowackim; dodam tylko do tego, co tam powiedziano, że gdyby w istocie przewodniczyła poecie przy pisaniu *Ojca Zadżumionych* jakakolwiek myśl o „sprawach domowych“, nie omieszkałby mniej lub więcej wyraźnie zaznaczyć tego w przedmowie do poematu. Tymczasem w przedmowie poeta wyłącznie jest zajęty sobą i swojemi wrażeniami z czasów kwarantanny w El-Arish, z których się utworzyła cała dekoracyjna część poematu. Jakże zaś uczucie przewodniczyło poecie, jeśli nie przy tworzeniu, to przynajmniej przy ogłaszaniu tego arcydzieła, tego domyślić się możemy z ostatnich słów przedmowy. Powiada on tam, że chętnieby podziękował w przedmowie doktorowi Steble, od którego miał historię o *Ojcu Zadżumionych*, gdyby wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. „Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu“. Była to cicha skarga na brak sławy, a pod nią ukrywająca się cicha i niebezzasadna nadzieja, że ten egzotyczny poemat bardziej od innych zdolny jest rozszerzyć sławę poety poza narodowe szranki.

Ostatni z *Trzech poematów*, *Wacław*, był niepodobny ze swego nastroju do żadnego ze współczesnych utworów Słowackiego; przypominał jeszcze dawniejszą manierę bajroniczną poety. W *Wacławie*, jak wiadomo, występuje jako bohater Szczęsny Potocki, tylko nie

¹⁾ *Treny* Jana Kochanowskiego i *Ojciec Zadżumionych* Juliusza Słowackiego. „Arab sierocy Słowackiego jest niczem innym, jak jednym ze strasznych marzeń o domowych sprawach, jednym przecuciem wieszczem więcej, jedną chwilą krzyżowej drogi, którą krwią z pod serca odznaczył poeta — siedząc w namiocie pustynnym, a sięgając myślą ojczyznę“.

w rozkwicie młodości, jak u Małczewskiego, ale jako starzec, zdradzany przez piękną i niewierną Greczynkę Zofię i dręczony zgryzotami sumienia z powodu Targowicy. Wybór tego tematu daje się objaśnić rozmaitymi motywami: szczególnym kultem dla *Maryi* Małczewskiego, wspomnieniami odwiedzin Tulczyna jeszcze w czasach uniwersyteckich, stosunkiem znajomości związanej w Rzymie 1836 r., a odnowionej we Florencyi 1838, z Aleksandrem Potockim, synem Szczęsnego. Wszystkie te motywy mogły działać razem z większą lub mniejszą siłą, ale bezpośrednią, jak sądzę, pobudką, było wprowadzenie postaci Szczęsnego do poematu o piekle. Wtedy to zapewne, kiedy pisał *Dantyszka* i zapęlał piekło różnemi postaciami politycznemi z czasów upadku Polski, stanęła przed oczami Słowackiego cała ponura tragiczność tej postaci i nastęrczyła mu temat do jednego z dzieł poetyckich, które miał w cichości wykończyć, aby niemi odrazu zabłysnąć przed światem. Myślę, że z tem przypuszczeniem zgadzają się dobrze słowa usprawiedliwienia poety w krótkiej przedmowie: „Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Małczewski tak cudownymi kolorami w poemacie *Marya* odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu“. Otóż ten „pociąg“ zbudził się w poecie najpewniej przy kończeniu *Dantyszka* i stąd naturalnie wniosek, że *Wacław* napisany był później, niż *Poema o piekle*, a ponieważ to poema, jak wiemy od samego poety, powstało we Florencyi, więc i *Wacława* trzeba odnieść do czasów florenckich¹⁾.

Jest w dalszym ciągu przedmowy jeszcze jeden ustęp, na który warto zwrócić uwagę. Słowacki, przewidując, że nie wszystko się będzie podobało czytelnikom w *Wacławie*, prosił, jak wiemy, o pobłażanie.

¹⁾ W przypisach do poematu o piekle czytamy: „Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem dalekiem Danta, napisane w ojczyźnie tego księcia poetów i t. d.“. Za florenckiem pochodzeniem *Wacława* przemawia jeszcze zgodność w pewnym wyrażeniu pomiędzy poematem a florenckimi listami poety. W poemacie (ustęp XVI) czytamy:

A dziś... już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.

W liście zaś z 10 lipca 1838 taki zwrot się znajduje: „można w Azji i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratinolno można się spotkać z królową ostatecznych przestrachów, jak pismo święte mówi“. (Listy II, 106).

„Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco poblażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny“. Skąd to tłumaczenie się i po co wiadomość, że poeta nie jest zdolny poprawić swego poematu? Zdaje mi się, że odgaduję okoliczność, która do tej exkuzy pobudziła poetę. Niedługo przed wyjazdem Słowackiego z Florencji, bawił tam Zygmunt Krasiński. Odżyła znajomość zawiązana przed paru laty w Rzymie i Krasiński bywał częstym gościem w owej wieżyczce Słowackiego, skąd na wszystkie strony roztaczał się piękny widok na okolice Florencji. Niewątpliwie Słowacki czytał swemu wielbicielowi nowe swoje rzeczy, które miał niebawem drukować w Paryżu, a między nimi i gotowego już *Wacława*, i niewątpliwie musiał go pytać o zdanie. Wiemy, jakie było zdanie Krasińskiego o utworach Słowackiego z owych czasów. Najwyżej stawiał *Anhellego*, nad którego nie widział „nie smutniejszego, nie poetyczniej pomyslanego i wykonanego“¹⁾; poza *Anhellim* najwięcej się zachwycił poematem *W Szwajcaryi*²⁾, co się zaś dotyczy *Wacława*, to w liście do Konstantego Gaszyńskiego (niedługo po wyjściu na świat *Trzech poematów*, 19 października 1839), pisał o Słowackim, że „w *Wacławie* potknął się, Malczewskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jest to poemat, raczej paszkwil; nie jest to poezja, raczej anegdota, ale wiersz zawsze pyszny!“³⁾. W cytowanym już liście do Romana Załuskiego (z 13 maja 1840) sąd Krasińskiego o *Wacławie* jest przychylniejszy. „W *Wacławie* spowiedź pełna motywów tak pięknych, jak rzadko. Charakter Wacława, przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany jak na wielkiego mistrza wypada. Byron lepiejby nie był potrafił, to też całkiem byronskie“⁴⁾. Ale i ta pochwała nie znaczyła, żeby Krasiński nie miał nic do zarzucenia *Wacławowi*, w liście bowiem, o którym mowa, występuje on tylko jako adwokat Słowackiego wobec niechętniej dla tego ostatniego publiczności, stara się wykazać tylko zalety jego poezji, nie sądzi, ale broni. „Gdyby publiczność — powiada w końcu tego listu — była Juliusza wyniosła pod obłoki, byłbym krytykę pisząc, wspomniał o tem, co w nim jest słabością, usterkiem, niedokończeniem, dys-

¹⁾ Listy Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1882. T. I, str. 138—139.

²⁾ List do Romana Załuskiego, loco citato. T. III, str. 59.

³⁾ Tamże. T. I, str. 149.

⁴⁾ Tamże. T. III, str. 59—60.

harmonią. Ale to wam zostawiam, którzy na to otwarte oczy macie“. Dlatego też i tego nie wytykał, co mu się w *Wacławie* nie podobało.

Na podstawie przytoczonych tu ustępów z korespondencji Krasińskiego łatwo odgadnąć, co mówił on we Florencji Słowackiemu o jego najnowszych utworach. Niewątpliwie *Anhellego* i *W Szwajcaryi* otoczył bezwzględne uwielbieniem, natomiast mówiąc o *Wacławie* musiał do pochwał dołączyć pewne zarzuty, a może i rady, aby to i owo, co nadawało w jego oczach poematowi cechę paszkwilu, poprawić i odmienić. Słowacki nie zastosował się do uwag swego znakomitego przyjaciela i wielbiciela, ale te uwagi pobudziły go do tłumaczenia się przed czytelnikiem w przedmowie. Treść przedmowy zupełnie odpowiada sądom Krasińskiego o *Wacławie*, *Anhellim* i *Szwajcaryi*.

W parę miesięcy po *Trzech poematach* ukazała się *Balladyna*, poprzedzona listem do Krasińskiego i zakończyła szereg utworów, które Słowacki po kilkoletnim milczeniu w ciągu niespełna roku puścił w świat, nie wątpiąc w głębi ducha, że tym razem zdobędzie to, o co dotychczas daremnie walczył — sławę. Jeżeli zresztą mógł cokolwiek wątpić o powodzeniu *Dantyszka* i *Wacława*, to był przekonany, a w przekonaniu tem utwierdzał go sąd Krasińskiego, że *Anhelli*, *W Szwajcaryi*, *Ojciec Zadżumionych* i *Balladyna* są arcydziełami, które muszą imię twórcy otoczyć aureolą sławy. Częściowy wyraz tego przekonania widzieliśmy tylko co w przedmowie do *Wacława*.

Jakże przyjęła te utwory krytyka? Naturalnie poecie najwięcej musiało chodzić o uznanie krytyki emigracyjnej i społeczeństwa emigracyjnego, bo emigracja była wówczas kwiatem narodu, bo poeta do niej się głównie zwracał w swoich utworach, bo tędy zresztą wiodła droga do sławy europejskiej.

Pierwsze głosy krytyki emigracyjnej, wywołane ukazaniem się *Anhellego*, zdawały się, przynajmniej po części, odpowiadać pragnieniom i nadziejom poety. Pierwszym takim głosem była wzmianka o *Anhellim* w *Młodej Polsce*, piśmie świeżo założonem przez Eustachego Januszkiewicza, wydawcy utworów Słowackiego, za pieniądze jednego z hrabiów galicyjskich (Uruskiego). Pismo, z którym nieraz jeszcze wypadnie się nam spotkać, chciało się stać „organem partii katolickiej w Polsce i emigracji“, ale nie miało nic wspólnego z Mickiewiczem i tym prądem religijnym, który płynąc z *Ksiąg pielgrzymstwa* i *Trzeciej części Dziadów*, ogarnął wielu jego przyjaciół

i dał początek zakonowi Zmartwychwstańców. Wprawdzie to przedsięwzięcie księgarskie chciało ów prąd na swój młyn obrócić i starało się wciągnąć do spółki Bogdana Jańskiego, założyciela klasztoru, z którego wyszedł Zakon Zmartwychwstańców, ale ten się wciągnąć nie dał, *Młodą Polskę* nazywał „dziwną i misterną entreprzyzą“, a o jej głównym redaktorze, Stanisławie Ropelewskim, pisał, że jest to „dandy z opiniami tylko katolickimi, niepraktykujący, próżny, chwiejący się, najniepewniejszy człowiek“¹⁾. Tego Ropelewskiego Hieronim Kajsiewicz przedstawiał, jako „kołyszącego się i drzemiącego w mglistej, czezej, sentymentalnej religijności“²⁾, a Mickiewicz, jakkolwiek pobłażliwie traktował *Młodą Polskę*, utrzymując, że „kto uczy w imię Chrystusa nie może długo być jego nieprzyjacielem“, dodawał dowcipnie: „Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że oni sami dobrze nie wiedzą, w co wierzą i czego chcą; może pisząc, dowiedzą się“³⁾. Atoli redaktor był zdolnym stylistą, a Januszkiewicz pocichu rozgłaszał, że to Mickiewicz redaguje jego pismo⁴⁾ i *Młoda Polska* sprawiała wrażenie.

Otóż w tej *Młodej Polsce* w numerze z 10 sierpnia 1838, a więc jeszcze przed przyjazdem Słowackiego do Paryża, znalazła się taka wiadomość bibliograficzno-krytyczna: „W tych dniach wychodzi z pod prasy *Anielli*, poemat Juliusza Słowackiego... bijący urok stylu, przy niewyraźnym odrysowaniu idei, zresztą wysokie udoskonalenie tego, co jest w piśmiennictwie nabytkiem: oto główny charakter niniejszego poematu, jak i wszystkich utworów autora. W *Anhellim* przeglądają nadto, niby przez mgłę, dążności chrześcijańskie. Zapisujemy ten postęp“. W tem ostatniem wyrażeniu traktowano Słowackiego trochę z przekąsem, ale za to pochwała

¹⁾ Ks. Paweł Smolikowski. Historia Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Kraków 1893. T. II, str. 145.

²⁾ Tamże II, 247.

³⁾ Korespondencya Ad. Mickiewicza T. I, str. 174. Bohdan Zaleski pisał z Endoume (18 sierpnia 1839) do Semenki i Kajsiewicza: „Adam żali się nam na Młodą Polskę, która tiarą papieską nakrywa dość świeckie cele. Zowie ją karczemką Januszkiewicza et Comp., którą wystawili obok kościoła, bo się ludzie poczynają schodzić na odpust“. Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Lwów 1900, T. I, str. 128.

⁴⁾ W cytowanym tylko co liście czytamy: „N. N. słyszę, że mnie jako redaktora pocichu ogłasza“. To „N. N.“ zastępujące miejsce nazwiska, które Bohdan Zaleski wykreślił, oddając listy Mickiewicza wydawcy *Korespondencyi* do druku, niewątpliwie oznacza Januszkiewicza.

jego stylu tem większego nabierała znaczenia; wreszcie i z tego musiał być poeta zadowolony, że za ową wzmianką krytyczną podany został na próbę poematu cały drugi rozdział *Anhellego*, ten właśnie, w którym zasadnicza idea się ukrywa.

W miesiąc po owej wzmiance w *Młodej Polsce*, odezwało się o *Anhellim* inne pismo paryskie, najpoważniejsze z ówczesnych emigracyjnych, organ tego odłamu, na którego czele stał ks. Adam Czartoryski, *Kronika Emigracji polskiej*. W numerze pod datą 15 września 1838, w dziale bibliograficzno-krytycznym (*Przezor* księgarski) znajdowała się już nieco dłuższa, niż w *Młodej Polsce*, recenzja.

Podczas gdy *Młoda Polska* cieszyła się z chrześcijańskich dążności poematu, *Kronika Emigracji* podkreślała kierunek patryotyczny. „Jak dla chrześcijanina każda książka jest dobra, która umysł jego zwraca do nieba, tak dla Polaków wszelkie pismo jest dobre, co myśl ich zwraca ku uciemnionej ojczyźnie i przemawia silnie o nieszczęściach rodaków. Z tego względu świeżo wyszły poemat prozą już znanego autora ma zaletę nie małą. Scena jego jest w Syberyi, a treścią niemal całą obrazy męczarni dręczonych tam wolał wściekłego tyrana braci naszych. Można by zarzucić temu utworowi: brak wątku i jasności; sferę nadnaturalną, osoby cudowne i niepojęte wtedy, kiedy prawda tak dostateczną być mogła¹⁾; niektóre wyrażenia przesadzone; naśladowanie śmiałe a nie zawsze szczęśliwe Biblii; wreszcie przejęcie się zbyt czyste gustem dzisiejszych poetów francuskich, ale nikt nie zaprzeczy, że są miejsca poetycznej piękności, myśli wysokie i nowe, obrazy zajmujące“. W końcu recenzent podsuwał radę, aby przełożyć ten poemat na język francuski, „ale wtedy autor musiałby wiele rzeczy choć w przypisach wytłómaczyć. Korzystaliby z tego i rodacy“²⁾.

¹⁾ Odpowiedzią na te uwagi były wiersze w *Beniowskim* (Pieśń I):

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało włość, albo w Mazurę,
I ujrzeć jaką popełniłem grozę,
Pisząc naprzykład Anhellego
Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny etc.

²⁾ *Kronika Emigracji polskiej*. T. VII 1838, str. 272.

Tak więc i *Kronika Emigracji*, podobnie jak *Młoda Polska*, skarżyła się na niejasność *Anhellego*. „Język imaginacji“ zrozumiały dla Krasińskiego, nie był zrozumiały dla ogółu. Byłaż tu winną tępość „rubaszego czerepa“ szlacheckiego, którą Słowacki w *Grobie Agamemnona* przeklinał? Nie, widzieliśmy, że i Krasiński, który dziwił się, jak można nie rozumieć *Anhellego* i innych współcześnie wydanych utworów Słowackiego¹⁾, nie rozumiał jego głównej myśli zasadniczej. Ale między Krasińskim a ogółem ta była różnica, że Krasiński, lubujący się w fantastycznych obrazach, dawał się im unosić, sam własne im podkładając myśli²⁾, ogół, nie nastrojony tak marzycielsko, szukał w tych obrazach myśli poety, a nieraz ich nie znajdując lub nie mogąc pogodzić jednych z drugimi, nie umiał ich zastąpić swojemi.

Bądź co bądź, obie pierwsze recenzje, pomimo zarzutów, które czyniły poecie, były tak napisane, iż nie odbierały mu jeszcze przy obecnem nowem wystąpieniu wobec świata nadziei na zdobycie powszechnego uwielbienia. Dopiero następna z kolei czasu recenzja o jego najnowszej poezji, już nie o *Anhellim*, ale o *Trzech poematach* i *Dantyszku*, umieszczona w dodatku do nr. 8 *Młodej Polski* (21 marca 1839), sprawiła mu bolesne rozczerwanie. Autor jej, kryjący się pod literami Z. K., niewątpliwie Stanisław Ropelewski, zaczynał swoją rzecz od ogólnych uwag o poezji dzisiejszej i zastanawiając się nad tem, dla czego ta poezja tak słabo przemawia do serc naszych, dla czego wolimy czytać dawne, obce arejdziała, aniżeli najnowsze i najbliższe nam utwory, dostrzegał przyczyny tego zjawiska w tem, że ta dzisiejsza poezja „jest fałszem, albo co gorsza osobistem prezentowaniem się poety w udanych postaciach i ze śmiesznymi uroszczeniami“. Była to alluzja do Słowackiego, tem wyraźniejsza, że autor, omówiwszy naprzód z wielką sympatją bajki i poezje Antoniego Goreckiego, zapowiedziane również w tytule recenzji i zaznaczywszy, że naturą swoją i skromnością swych żądań „wychodzą one „z pod surowej nagany rzuconej na nowocześnie poezję“, w ten sposób rozpoczynał swój zwrot do poezji Słowackiego:

¹⁾ W liście do Romana Załuskiego: „Zapytam się, w czem go nie rozumiem? Ty pierwszy, powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?“ Listy Zygmunta Kras. III 59.

²⁾ Bardzo dobrze to przedstawił Małecki w swoim dziele o Słowackim wyd. trzecie. Lwów 1901, II. str. 123.

„Ale naprzykład, bez poprzednich ogólnych uwag o dziwnym rozbracie poezji ze społecznością, niepodobnaby nam było wytłómaczyć, z jakiej przyczyny pieśni Juliusza Słowackiego są dotąd prawie bez echa w narodzie. Nie znam poety, coby miał równy talent wykonania. I musi być wielka niezgoda w ogólnem pojmowaniu poezji pomiędzy Polską a p. Słowackim, kiedy mimo uroczą świetność formy, nie przyjął się lepiej na jejr guncie. Przecież Polska mało dotąd miała pisarzy, mało stylów w poezji i jak dziecko łakoma jest zewnętrznego połysku“.

I po tym zwrocie następowała krótka, pobieżna, już samą pobieżnością niesprawiedliwa recenzja *Trzech poematów* i *Poematu o piekle*, którego autorstwo choć zakryte w tytule¹⁾ musiało być dobrze znane w redakcji *Młodej Polski*. Ażeby zrozumieć wrażenie, jakie ona wywarła na Słowackim, trzeba poznać ją w całości.

„Trzy nowe poemata P. Słowackiego świadczą już o uznanej piękności stylu, a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ilebyśmy życzyli. Pierwszy poemat *Ojciec Zadżumionych w El-Arish* jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu jest to przerysowanie owego znowu ustępu, który P. Słowacki na pamięć umie:

La bocca sollevò dal fiero pasto
Et peccator, etc. etc.²⁾

„Jednakże *Ojciec zadżumionych* jest najlepszym ze trzech poematów. Drugi pod napisem *W Szwajcaryi* należy do tej osobowej poezji, która gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniusza, albo też źródłem jakichś nowych lirycznych natchnień, zajmuje więcej samego pisarza niż czytelników. Ostatni poemat *Wacław*, w mniemaniu autora nawet potrzebował usprawiedliwienia: ładnie pisany, jak wszystko, co pisze P. Słowacki, nie tłómaczy jednak poety ani z zaufania, że się pokusił robić dalszy ciąg *Maryi* Malczewskiego, ani szczególnie z braku artystowskiego uczucia, że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu“.

¹⁾ Dla czego p. Hössick w swojej monografii o Słowackim (III 35) utrzymuje wbrew karcie tytułowej pierwszego wydania, że „Dantyszek wyszedł jako dzieło Juliusza Słowackiego“, jest to jego tajemnicą, której objaśnić nie umiem.

²⁾ Et peccator jest myłką zamiast Quel peccator.

„*Poemat o piekle* nie nosi nazwiska autora; ostrożność bardzo na miejscu. Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudactwa, czy jako człowiek talentu napisał to na żart dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobrą duszą, radzimy mu aby tytułów, jakie mieć może do pocziwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety“.

Jeżeli *Dantyszek* zasługiwał na złośliwe uwagi recenzenta, a przede wszystkim na nazwę „cudactwa“, jeżeli zarzuty czynione *Wacławowi* były do pewnego stopnia uzasadnione, to przejście do porządku dziennego nad tak misternie wykończonemi, tak świetnemi poematami, jak *Ojciec Zadżumionych* i *W Szwajcaryi*, wraz z zarzutem „przerysowania“, dotyczącym pierwszego z tych arcydzieł, było aktem wielkiej niesprawiedliwości i niechęci dla poety. Wprawdzie recenzent w ogólnych uwagach o poezji Słowackiego, przyznawał jej uroczą świetność formy“, ale właśnie te utwory, w których ta świetność formy dosięga zenitu, zbywał półgębkiem, lekceważąc. Jednakże pewnym ustępom recenzji nie można odmówić trafności; bystre było przede wszystkim zwrócenie uwagi na to, dla czego poezja Słowackiego, pomimo nieprześcignionej świetności stylu, nie budziła echa w narodzie. Recenzent nie odpowiadał wyraźnie na to pytanie, ale pozwalał domyślać się, że przyczyną był brak szczerości w uczuciach poety i w tym względzie trzeba mu przyznać słusność.

Dla Słowackiego recenzja *Młodej Polski* była ciosem, który nim wstrząsnął do głębi. Wszystkie złudne nadzieje opanowania serca narodu, salwą swoich nowych świetnych poematów, pierzchały w jednej chwili. Kiedy przybywał do Paryża, zdawało mu się, że teraz, wobec milczenia Mickiewicza, nie mu nie przeszkodzi stanąć na szczycie Parnasu polskiego i skupić na sobie wszystkie promienie sławy. Recenzja strącała go na dół, wskazując, że do zajęcia tego wysokiego stanowiska nie wystarcza sam zewnętrzny blask słowa. Zraniony do głębi w tem, co było głównym nerwem jego życia, Słowacki nie potrafił znieść tego ciosu w milczeniu i postanowił natychmiast odpowiedzieć na recenzję i skorzystać z tej sposobności, aby wylać z piersi oddawna w niej wzbierający żal do narodu za brak uznania z jego strony dla siebie. Gorąca ta skarga uka-

zała się już w następnym dodatku do *Młodej Polski* pod tytułem: „Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana K. Z. o Poezyach Juliusza Słowackiego“¹⁾ a brzmiała, jak następuje:

„Wolę prosto w piśmie *Młoda Polska* na artykuł pana Z. K. o poematach moich odpowiedzieć, niż odpowiedź tę zostawiać do zapelnienia kart wstępnych jakiego przyszłego dzieła, jeżeli mi na nowe prace Bóg dosyć życia; a publiczność zniechęcająca, dosyć cierpliwości i zapалу zostawi. Ostatni krytyk trzech poematów dotknął najgłębszej struny sumnienia mego zapytaniem; dla czego pomimo wytworność kształtów poezye moje tak mało mają odgłosu w Polsce. Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którym ja jak Hamlet rozmyślam... a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi. Tym czasem kwestyi tej pan K. Z. długim wstępem swoim do krytyki trzech poematów i krótką krytyką trzech poematów nie rozwiązał... wiemy bowiem tylko ze wstępu, że pan Z. K. a z nim Polska lubi czytać Bibliję... Danta i Manfreda... a nie lubi moich poematów. Już to zbliżenie moich poezji do wielkich mistrzów jest dosyć pochlebne dla mnie, chociaż w celu zniechęcenia mnie zrobione, ażebym się za nie mógł szczerze gniewać. Powiem tu tylko, jak własna miłość autorska broni mię, ilekroć mię ta oziębłość polska do rozpacz przywodzi... powiem panu Z. K. jakie przyczyny pozbawiły mnie dotąd, i na długo zapewne a może na zawsze odgłosu w Polsce pozbawia“.

„Pierwsze tomy poezji moich są bez duszy. Imaginacya moja, młoda jak motyl, wabiona była polyskiem, słońcem, kształtami, kiedy ja je pisałem. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy jako artysta ludziom, którzy bynajmniej o artystostwie nie myśleli... ważną i okropną tragedją rzeczywistą zajęci. Pierwszemi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej, albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząsnąć mogli i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety. Do tej pierwszej i głównej przyczyny niech pan Z. K. doda trochę wyrachowanej obojętności, ze strony tych

¹⁾ Dodatek do N. 9 z dnia 30 marca 1839. str. 35—36. Przedrukowano w Pismach Słowackiego T. IV.

poetów naszych, którzy dość mają lekko zrobionej sławy, a wszelako stoją jak Koklesy na moście literatury i czekają aż Car go zrabie, aby skoczyć w wodę, obroniwszy od nowych tryumfatorów polską poezję — tych poetów, którzy podobnie do ministeriów politycznych, zwiążawszy się niegdyś razem w opozycję przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom, partją Osińskich i Koźmianów. Niech pan Z. K. doda wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest jego ostatni artykuł, gdzie *Ojca Zadżumionych* chce zrobić naśladowaniem Ugolina, tak właśnie jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby tracącej dzieci jest naśladowaniem posagu Laokona z dwoma synami zjedzonego przez węże. Niech jeszcze doda, że Polska teraźniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, ale mózg i rozum; wtenczas może i sam zrozumie dla czego poezje Słowackiego są bez rozgłosu w Polsce; dla czego dusza Anhellego napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami: dla czego nareszcie biały Anhelli i ciemny Ojciec zadżumionych i Nimfa Szwajcarska i Wacław z Eolionem będą jeszcze długo, długo figurami niezrozumianymi dla duszy narodu, aż może jaka nagle błyskawica oświeci oblicza tych tworów i pokaże je przezroczystymi aż do głębi serca, oczom narodowym“.

„Cożkolwiek bądź; sumnienie mi powiada, że przez osiem lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie, epidemiczną chorobą oziębłość i pracowałem jedynie dla tego, aby literaturę naszą, ile jest w mojej, silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić. *Kordyan* świadczy, że jestem rycerzem tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy. Przez osiem lat każdą chwilę życia mojego wyrывałem roztargnieniom, osobistemu staraniu o szczęście, abym ją temu jedynie poświęcił celowi... A jeżeli go nie osiągnął, to dla tego, że mi Bóg dał więcej woli, niż zdolności, że chciał, aby poświęcenie się moje bezskuteczne przydane było do liczby tych większych ofiar, które Polacy na grób ojczyzny składają; aż wyniszczywszy wszystkie siły duszy i całą moc indywidualnej woli napróżno, muszą iść na spoczynek w ziemi, strudzeni i smutni, że miecz ich nie był piorunem, a słowo nie było hasłem zmartwychwstania“.

Juliusz S.

Przytoczyłem odpowiedź poety w całości, aby w całej pełni pokazać stan rozżalenia jego duszy, wywołany ciosem krytycznym *Młodej Polski*, a teraz chcę zwrócić uwagę na niektóre ustępy odpowiedzi. Poeta, stając w obronie swojej dzisiejszej poezji, spoglądał z góry na dawniejszą, poświęcał ją chętnie na pastwę krytyce, przyznawał sam, że pierwsze tomy jego poezji były „bez duszy“, że stawał w nich „na teatralnym koturnie“, że występował tylko jako artysta wtedy, gdy wszyscy byli „okropną tragedją rzeczywistością zajęci“; ale dla czego teraz śpiew jego nie budzi echa w narodzie, chociaż on śpiewa inaczej, lepiej, piękniej, chociaż już w *Kordyanie* nastroił się patryotycznie, stał się wraz z innymi „rycerzem nadpowietrznej walki o narodowość?“. Czyż to wina? Wina krytyki, która nie umie ostrzegać czytelników „o zmianie lutni“ poetów i traktuje jego nowsze utwory podobnie jak dawniejsze, wina „wyrachowanej obojętności“ poetów-poprzedników, którzy „lekko“ zdobywszy sławę, nie chcą się nią dzielić z nowym przybyszem (alluzya przedewszystkiem do Mickiewicza), wreszcie wina społeczeństwa, Polski teraźniejszej, tego „Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, lecz mózg i rozum“.

Zarzuty uczynione krytyce o tyle były słuszne, o ile się odnosiły do ostatniej krytyki *Trzech poematów*. W poprzednich krótkich recenzjach *Anhellego* zwracano i owszem uwagę na „zmianę lutni“, na religijny i patryotyczny jej kierunek, a i recenzja *Kordyana* w *Le Polonais*, o której wyżej była mowa, już przez samo bardzo szczegółowe podanie treści utworu wskazywała czytelnikom jego nastrój patryotyczny. Więc mógł Słowacki skarżyć się na pobieżność krytyk, ale nie miał racji uogólniać zarzutu, który się należał tylko krytykowi *Trzech poematów* w *Młodej Polsce*. Co się tyczy poetów, których miał na myśli, przedewszystkiem Mickiewicza, to przypisywanie swego niepowodzenia ich „wyrachowanej obojętności“, było bardzo naiwnym zarzutem, porównanie ich z Osińskim i Koźmianem było więcej złośliwe, niż trafne, a sąd o ich „lekko zrobionej sławie“ był, niestety, wyrazem głębokiej zawiści dla Mickiewicza, tlejącej ciągle w sercu Słowackiego. Wreszcie, co się tyczy społeczeństwa, narodu, to zarzut, że „sęp mu wyjada nie serce, lecz mózg i rozum“ był frazesem wziętym z *Grobu Agamemnona*, ale co znaczył naprawdę? i ile było słuszności w pretensjach Słowackiego do narodu?

Że Polska miała więcej serca, niż rozumu, to było wielką

prawdą i to nie tylko w czasach Słowackiego, ale co najmniej od czasów, kiedy Kochanowski obawiał się, aby Polak mądry po szkodzie nie zamienił się na Polaka i przed szkodą i po szkodzie głupiego. Tak, brakło Polsce w ostatnich wiekach rozumu, mianowicie rozumu politycznego i ten brak, ta niezdolność trzeźwego obrachowywania przyszłości, instynktowego odróżniania rzeczy ważnych od nieważnych, była jedną z głównych przyczyn wewnętrznych, które ją doprowadziły do politycznego upadku. Ale czy taki rozum mógł mieć na myśli Słowacki, on, który w zapaleńcu *Kordyana* apoteozował polityczne szaleństwo i który sam był z natury, z temperamentu swego anarchicznie nastrojonym? Rzecz naturalna, że nie. Przez „mózg i rozum“ nie mógł tu nic innego Słowacki rozumieć, tylko wyższą kulturę estetyczną zachodnio-europejską, której sam czuł się przedstawicielem, a której brak spostrzegał w „rubasznym czerepie“ narodu, tę inteligencję artystyczną, która lubowała się w „języku imaginacji“, w grze wyobraźni, dla samych kształtów tej gry, podczas gdy cierpiącemu społeczeństwu polskiemu z wyteżonem w jedną stronę uczuciem ta gra wydawała się marną i niezrozumiałą igraszką.

Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* doskonale przedstawił ten kontrast między kosmopolitycznym estetyzmem jednostek a nastrojem społecznym narodu w postaciach Hrabiego i Tadeusza. Za wzór do pierwszego, według mego przekonania, które gdzieindziej starałem się uzasadnić¹⁾, posłużył mu ośmnastoletni, ale już dorosłego rolę odgrywający Krasiński; a jeśli nie posłużył, to mógł mu posłużyć. Bo w istocie Krasiński, podobnie jak Słowacki, był u nas przedstawicielem kosmopolitycznej kultury estetycznej i pewnej egzotyczności fantazyi i zarówno ze Słowackim lubował się w grze wyobraźni. Ale ta była walna różnica między nimi, że Krasiński, nie mający daru harmonii formy i blasku słowa, właściwych Słowackiemu, miał umysł filozoficzny i zmysł społeczny, czego niemal zupełnie pozbawiony był Słowacki; stąd gra jego wyobraźni miała podkład ideowy, nie była nigdy świecąca tylko pianą, kalejdoskopem skupieniem barwnych szkielek, ale stawała się szatą, czasem zbyt powłóczystą i teatralną, zawsze jednak szatą tylko jakiejś żywej, wykołysanej w duszy własnej, idei. Przeciwnie u Słowackiego

¹⁾ Zygmunt Krasiński w pierwszym okresie młodości. Przewodnik nauk. i lit. 1885.

płonąca wszystkimi kolorami wyobraźnia nie znajdowała w duszy poety, przynajmniej aż do czasu przeobrażenia wewnętrznego, żadnego jądra głęboko odczutyh idei społecznych czy filozoficznych i rwąc się na zewnątrz dla objawienia światu swego bogactwa, chwytala się cudzych pomysłów i uczuć, aby się dokoła nich krystalizować w najrozmaitsze kombinacje kształtów i kolorów. U Krasińskiego gra wyobraźni była sługą idei; u Słowackiego rolę służebną, rolę narzędzia odgrywała idea, panią była wyobraźnia.

I stąd to pochodzi owa nieszczerłość, tak często rażąca w poezji Słowackiego tych, którym nie dość bogactwa farb i melodyjności słowa i którzy pod jasną i śpiewną szatą poezji szukają duszy poety. Nieszczerłość objawiła się i w skardze Słowackiego, o której mowa. Powiada on, że jedynym celem jego pracy poetyckiej było, aby „literaturę naszą... silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić“. Byłoż to prawdą? Widzieliśmy z własnych poufnych zwierzeń Słowackiego, co było głównym, najwyższym celem jego pragnień, jego życia, a więc i jego twórczości poetyckiej, poznaliśmy rodowód patryotyzmu Kordyana. Nie o walkę z „wichrami północnymi“ chodziło tam przedewszystkiem, ale właśnie o walkę z tym, który tym wichrom stawał najsilniej na wstręcie, a który jednocześnie swoją sławą przyćmiewał młodszego współzawodnika. Na obronę tej nieszczerości tyle tylko można powiedzieć, że Słowacki zapewne nie tylko w innych, ale i w sobie wmawiał, że przewodnią gwiazdą jego twórczości poetyckiej była tylko miłość ojczyzny.

Redakcja *Młodej Polski*, otrzymawszy pismo Słowackiego, była zdumiona tym jego wybuchem żalu, a razem i zgorszona lekceważącym odezwanianiem się jego o sławie poetów, stojących na czele poezji polskiej, t. j. przedewszystkiem o sławie Mickiewicza. Postanowiła poprzedzić odpowiedź Słowackiego krótką przedmową, która, jakkolwiek trzymana w tonie spokojnym, była surową nauką daną rozżalonemu poecie.

„Umieściliśmy w piśmie naszym — pisała redakcja — kilka słów o poezjach p. J. Słowackiego w przekonaniu, że krytyka nawet niesprawiedliwa lepsza jest dla poety od zimnego milczenia obojętności; rozumieliśmy więc, iż robimy przysługę p. Słowackiemu, dając miejsce jakimubądź objawieniu myśli Polaków o poezjach jego. P. Słowacki osądził za rzecz stosowną odpowiedzieć na krytykę pana Z. K. Nie wchodzimy, czyli słusznie uczynił. Woleliby-

śmy byli w inny sposób okazać naszą życzliwość P. Słowackiemu. Ale skoro chciał umieszczenia swej odpowiedzi, wypadło się nam stosować do jego woli. Bodaj był szczęśliwym swoich losów prorokiem“.

„O jednej rzeczy ostrzedz czytelników jest przecie obowiązkiem naszym. Pan J. Słowacki zdaje się mieć jakieś powody goryczy względem ludzi, których my uważamy za prawych naczelników polskiego intelektualizmu, których sławę mamy nie za lekko, ale za łatwo zarobioną, bo zdobycze geniuszu są tak naturalnego pozorów, że nie zdają się kosztować ni usiłowań, ni trudu. Otóż nie chcielibyśmy, żeby czy to publiczność kochająca imiona tych ludzi, czy to oni sami sądzili, iż umieszczając list P. Słowackiego bierzemy na się współnictwo, o narodowej ich sławie cierpko i lekko wyrzeczonego sądu“.

Bardzo prędko po owym wybuchu żalu Słowackiego ukazała się w poznańskim *Tygodniku literackim* (1 kwietnia 1839) recenzja *Anhellego*, napisana przez I. N. Sadowskiego, która o tyle mogła pocieszyć przygnębionego niepowodzeniem poetę, że była niezwykle obszerną i że przykładła wielką wagę do myśli, jakoby zawartej w poemacie. Po zatem mało w sobie miała przyjemnego dla poety. Sadowski napojony filozofią Hegla puścił się z mdłym kagankiem jego idei w labirynty *Anhellego* i objaśniał je w taki naprzykład sposób:

„Wiek ten, który dziś pod ciężarem starości ku ziemi się już chyli, rozwinał się w pewnym systemie umysłowych pojęć i dzieł im odpowiednich. Cały ten system, jako jedna niepodzielna Całość w sobie wzięty, stanowi wyraz Ducha owego wieku i jest jego Rozumem. Reprezentantem tego rozumu jest w poemacie Szaman... Rozum ów przy dzisiejszem obumarciu całego społeczeństwa już tylko złodowaciałemu ciału panuje, — również Szaman w poemacie, jako król Ludu w śnieżnych siołach zamieszkałego, jako pan krainy grobowcowej występuje. Pochód jego poprzedzają stada kruków — złowrogi znak blizkiego zgonu dla Wieku, którego myśl reprezentuje i t. d.“. Z tych to i tym podobnych objaśnień Sadowskiego żartował sobie Słowacki w pieśni II Beniowskiego:

Znowu błędę

Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,

A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —

Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,

Żem dostrzegł, jako Poznańczyk, idei.

Były jednak w tej recenzji i rzeczy trafne, nawet bystre spostrzeżenia, jak np. to, że „zdaje się, jakoby Słowackiego zadaniem było: uznać nową dążność Narodowej Poezyi i nie wiążąc się wprost i niewolniczo do przewodniego autora, każdą Myśl nową uchwycić i w osobny sposób rozwijać“ i dlatego to „źródła jego poezyi nie w niej samej, ale zewnątrz Poety się znajdują“. Trafną była uwaga, że „Duch Anhellego wprost z Irydyona wytryska“, że „*Anhelli* jest jakoby wyśpiewaniem tego wrażenia, które *Irydyon* zrobił na autorze“, trafne było wskazanie różnicy, która zachodzi między tymi dwoma poematami, mianowicie, że „Myśl Irydyona nie tylko śmierć (jak *Anhelli*), ale i nowe życie zwiastuje“¹⁾.

Podobne uwagi nie mogły pochwlebiać Słowackiemu, a to tem więcej, że krytyk poznański wynosił Krasińskiego pod obłoki i z pominięciem nawet Mickiewicza przyznając mu godność arcywieszcza, Słowackiemu holdownicze zakreślał stanowisko. „Jak zawsze cały Duch jakiego Wieku najtreściwiej zbiera się w jednym Wielkim mężu, a reszta podrzędnych mu duchów obok niego się kupi i barwą swych dzieł i pomysłów jakoby girlandę około zarysowanego przezeń obrazu maluje; tak i dzisiaj około Arcywieszcza naszego zbierają się przedniejsze Piewce Narodowe i Myśl tak jeniálně przezeń rzuconą barwią i cieniują. Takim odcieniem owej Myśli-Matki całej przyszłości jest *Anhelli*“. Słowackiemu tedy dostawała się tu rola jednego z tłumu „duchów podrzędnych“, a jego przyjaźń i wdzięczność dla Krasińskiego, którego tu arcymistrzem mianowano, wystawione tu były po raz pierwszy na ciężką próbę.

¹⁾ Rozwinięciem tego poglądu, prawda, że dosyć mętnem, był końcowy ustęp krytyki. Przytaczam go dlatego, że utkwiał on najsilniej w pamięci poety i odezwał się potem w *Beniowskim*: „Autor uchwycił obie strony myśli w *Irydyonie* zarysowanej, ale je tylko pobratał nie ożenił. Zupełnie jasno pojął tylko konieczność strony ujemnej, konieczność upadku tego, co nie mając dalszego od spełnionego już powołania, do dłuższego życia jeszcze się zabiera i w bólach konania jeszcze usilnie ze śmiercią się łamie. W odmalowaniu tej strony dał dowód wielkiego talentu i stopniując tęsknotę i boleść do najwyższej ostateczności, nie przechodzi jednak nigdzie granic Piękności; — owszem, krokiem owej, jak ją sam nazywa „Melancholii z Mocy“ czaruje duszę czytelnika; ale za to drugą dodatnią stronę, — stronę Prawdziwego Organizmu zniżył do płaskości bezwzględnej, niczem nie przeciętej Równości, zużytej już pod koniec przeszłego wieku; i słabością tej myśli dowiodł, czego nie chciał, że Moc Melancholii może być wielką, ale jednak nie jest Największą Mocą Wieszczonego Ducha“. Tyg. liter. 1839. T. II, str. 16.

Tę próbę zupełnie szczęśliwie przeżyły. Znadto żywą była jeszcze w sercu Słowackiego wdzięczność za pokrzepienie ducha, które był winien Krasińskiemu, znadto w walce z obojętnością lub niechęcią ogółu potrzebował tak znakomitego sprzymierzeńca, aby dać się unieść zazdrości. Zresztą czuł on, że o tytuł arcymistrza właściwie z kim innym miał do wależenia.

Niedługo potem zabłysła Słowackiemu nadzieja zwrócenia na siebie uwagi już nie polskiej tylko emigracji, ale całej literacko wykształconej Europy. Oto Konstanty Gaszyński, zapewne zachęcany słowami Krasińskiego, pełnymi uwielbienia dla *Anhellego*, a może stosując się do życzenia wypowiedzianego w *Kronice emigracji polskiej*, przełożył ten poemat na język francuski, i doniósł o tem Słowackiemu. Ucieszył się tem Słowacki, ale wątpił, „aby się znalazł jaki księgarz, biorący na siebie wydanie dziełka“, natomiast chciał skorzystać z tej sposobności, aby za pomocą pani Sand, o której ciągle marzył, jako o jakimś pokrewnym sobie duchu, a do której zbliżyć się nie znajdował okazji, aby za jej pomocą dostać się do *Revue des deux mondes*. „Dla twego *Anhellego* — pisał do Gaszyńskiego — najlepsza byłaby droga przez Chopina do pani Sand, przez panią Sand do *Revue des deux mondes*. Wydrukowany tam mógłby potem odbity być osobno... Pani Sand zaś możeby sobie to dziełko upodobała, albowiem ona ma nerwy z siedmiu strun złożone“¹⁾. Jednocześnie doradzał Gaszyńskiemu udać się do pana Saint-Marc Girardin, „który już o północnej literaturze pisał“ i uprosić u niego przedmowę do poematu, bo „we Francji wszystko teraz, nawet w świecie literackim protekcyi wymaga“. Donosił też, że jeden z literatów paryskich, H. Latouche, ofiarował mu swoją gotowość napisania dziennikarskiego artykułu o *Anhellim*.

Zabiegał tedy Słowacki, jak mógł, aby się dostać na europejską widownię, ale zabiegi nie zostały pomyślnym skutkiem uwieńczone. *Anhelli* w przekładzie francuskim Gaszyńskiego nie ukazał się ani w *Revue des deux mondes*, ani gdzieindziej. Dlaczego? Czy Gaszyński nie posłuchał rady Słowackiego? I owszem, można się domyślać, że poszedł za jego radą i że kołatał do pani George Sand. Domyślamy się tak z listu Krasińskiego do Gaszyńskiego, pisanego w kilka miesięcy później (z datą 19 października 1839), bo w tym liście Kra-

¹⁾ Nieznany list Słowackiego do Konstantego Gaszyńskiego, podany przez L. Meyeta w *Gazecie Lwowskiej* z d. 29 maja 1902.

siński winszuje przyjacielowi zapoznania się z panią Sand. A więc chyba *Anhelli* nie przemówił do jej siedmiostrunnej duszy, jak tego spodziewał się Słowacki? Prawdopodobnie tak było, a nowy ten zawód tem więcej miał dla Słowackiego goryczy, że ta sama pani Sand na której wybredny smak liczył, w tem samym piśmie, do którego dostać się pragnął, bardzo prędko potem (w jednym z ostatnich zeszytów 1839 r.) umieściła pełen entuzjazmu dla Mickiewicza artykuł o *Dziadach* w zestawieniu z *Faustem* Goethego i *Manfredem* Byrona.

ROZDZIAŁ VI.

D w a j W e n e d z i.

1839—1840.

Przedmowa do *Ballady*. — Recenzja *Ballady* w *Młodej Polsce*. — Współczesne usposobienie i twórczość Słowackiego. — Nowy głos krytyki w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego*. — List Krasińskiego, dodający ducha Słowackiemu. — Krasiński o Słowackim w liście do Żaluskiego. — Porównanie sądów Krasińskiego o Słowackim z sądem Mickiewicza. — Niekonsekwencya w radach Krasińskiego. — *Lilla Weneda*, żywioł osobisty w tej tragedii. — Sąd Krasińskiego o niej. — Wpływ Słowackiego na przedmowę do *Trzech myśli Ligenzy*.

We wrześniu 1839 r. puszczał Słowacki w świat swoją, tak wysoko przez Krasińskiego cenioną *Balladynę*, a poświęcając ją autorowi *Irydyona*, rozszerzył dedykację do rozmiarów listu do „kochanego poety ruin“, listu pełnego poezji, pisanego owym „językiem imaginacyi“, którym tak lubili z sobą rozmawiać ci dwaj poeci.

Ale ten list był nie tylko wyrazem przyjaźni i pewnej wspólności duchowej; odezwało się w nim także i echo żalu, który tak gwałtownie wybuchnął w odpowiedzi na krytykę *Trzech poematów*. List zaczynał się od apologu o starym i ślepym harfiarzu, który śpiewał pustemu morza brzegowi, myśląc, że śpiewa tłumom i skończywszy pieśń swoją zdziwił się i zasmucił, że ta pieśń nie wydarła żadnego westchnienia, żadnego okłasku nie wywołała. Była to więc ta sama skarga, co w odpowiedzi, tylko wypowiedziana nie w chwili bolesnego podrażnienia i podniecenia, ale w chwili, kiedy boleść zawodu ułożyła się już była do spokojnego żalu, a ten żal łączył się z nadzieją, że nowy utwór, zupełnie różny od wszystkiego, co przedtem wydała muza Słowackiego, zdobędzie mu to może, czego poprzednie utwory zdobyć nie zdołały. Był tu Słowacki podobny do gracza który stawia ciągle na loteryę i po każdym ciągnięciu doznaje smu-

tnego zawodu, ale w miarę, jak zbliża się nowe ciągnięcie, nabiera nowej otuchy. I teraz rośl poeta, i to rośl głośno, wobec świata, w owym liście do przyjaciela, że „*Balladyna*, wbrew rozwadze i historii zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości”; rośl, że za *Balladyną* siostrzanym korowodem pójdzie pięć innych tragedij, które wzięwszy się za ręce utworzą „wielki poemat w rodzaju *Ariosta*” i że za to imię jego słyszane będzie w szumie rodzinnej jego Ikwy, a „jakaś niby tęcza z jego myśli” unosić się będzie nad ruinami zamku rodzinnego Krzemieńca.

Niedługo czekał Słowacki na objaw wrażenia, jakie *Balladyna* jego wywołała. Już w 29 numerze *Młodej Polski* z dnia 20 października 1839 ukazała się recenzja *Balladyny*, obszerna, prawie dwie trzecie numeru zajmująca. Ale ta obszerność nie była bynajmniej objawem względności recenzenta dla poety; przeciwnie wypływała z chęci zupełnego zmiążdżenia i ośmieszenia poety wobec emigracji. Recenzentem był ten sam Ropelewski, który przedtem umieścił był w *Młodej Polsce* krytykę *Trzech poematów* i który czuł się dotknięty odpowiedzią Słowackiego na tę krytykę. Zdawało mu się, że *Balladyna* daje mu dobrą sposobność do okazania słuszności wypowiedzianych przedtem krytycznych poglądów na poezję Słowackiego i do zemszczenia się na poecie.

Cały ton recenzji był drwiący. „Tyle dobrych pogłosek — tak zaczynała się recenzja — z pewnego źródła bo pono od samego autora i przyjacielskiej drużyny czerpanych biegało o *Balladynie*, żeśmy sobie obiecywali oddać się uwielbieniu, otrzymać od poety świadectwo mądrości krytycznej i naprawić dawną niezgrabność, jaką popełniliśmy, nie umiejąc uznać w *Trzech poematach* i w *Dantyszku* owych piękności pierwszego rzędu widnych ojcowskiemu oku P. Słowackiego. Po przeczytaniu *Balladyny* rozechwiały się nasze nadzieje; tak losy kazały, spadniemy jeszcze w mniemaniu poety: zostaniemy na zawsze nikczemnym krytykiem...”. I opowiedziawszy dość szczegółowo, ale ciągle w drwiący sposób, treść *Balladyny*, krytyk zapytał: „W czym te kilkadziesiąt scen bez logicznego związku między sobą, bez względu na czas i miejscowość, bez poezji, bez stylu, bez historycznej prawdy; w czym ten dyalog, pełen niedorzeczności i krwi, ma rozjaśniać starożytne dzieje Polski? nie wiem”.

Ale najsrozsze ciosy krytyczne zachował recenzent na sam koniec. Zacytowawszy niefortunny epilog *Balladyny*, wołał: „Wielki

Boże! że też człowiek talentu, artysta, a zatem człowiek delikatnych odcieni, nie czuje, jaką to ekliwość musi obudzać w czytelnikach to nieustanne, grube pochlebstwo samemu sobie... Szkoła nieprawych dzieci Byrona, exagierując błędy mistrza, zaczęła od apoteozy dumy, a skończyła na apoteozie własnej”. I tu na temat dumy dana była poecie nauka, która zamieniała się w końcu w najsrozsze urąganie. „Duma jest to namiętność milcząca; że w sobie samej szuka zadowolenia, przeto ani dba czy ją odkryto, ani spieszy zawiadomić publiczność o swoim bycie. Ale komu na ustach „jestem dumny, spojrzalem dumnie, odpowiedzialem dumnie”, albo co gorsza, kto to pisze i drukuje na tysiące egzemplarzy, ten dalibóg niesłusznie się oskarża; podobny jest maniakom, co się za umierających podają, choć jedzą dobrze, śpią dobrze i kwitną czerstwym rumieńcem. Przecież lekka nauka synonimów wywiodłaby go łatwo ze złudzenia i oświeciła, że co on bierze za szatański, boży grom, wywołujący występki, jest tylko pretensją, śmiesznością towarzyską, odpowiedzialną przed biczem Arystofana. Mój Boże! i po co to robić się większym grzesznikiem, niżeli się nim jest rzeczywiście? Zwiedzając kraje ciemności, wieszcz średnich wieków spotykał tłumy, którym ogromne ciężary chyliły czoła ku ziemi; byli to dumni i Dante uczył ciśnienie na barkach swoich; autor zaś *Balladyny* jeśli nie ma na sumieniu, prócz opisanej przez nas zdrożności, to może być pewny, że pójdzie prosto do nieba, a za całą karę będzie musiał doń wchodzić z miną buńczucznie nastrojoną i przywitan będzie u progu serdecznym śmiechem chórów niebieskich”.

Nauka o dumie potrzebną była Słowackiemu. Czuł to i Kraśniński, gdy we dwa lata potem tłómaczył mu, że duma powinna iść w parze z pokorą i dopiero wtedy stanowi wielkość człowieka, bez pokory zaś staje się tylko próżnością. Ale Ropelewskiemu nie o naukę chodziło, tylko o podanie jej z wyrafinowaniem okrucieństwem. Trudno było boleśniej dotknąć poetę wiecznie śniącego o nieśmiertelnej sławie, jak owym powitalnym śmiechem chórów niebieskich. Ale z drugiej strony zanadto widoczną była w całej recenzji zła wola piszącego, aby to nie osłabiało pocisku. Zdaje się, że echo wrażenia, jakie ta recenzja wywarła na Słowackim, odzywa się w jednym ze współczesnych listów jego do matki¹⁾, z tych czasów, kiedy przez

¹⁾ Listy II, 119—122. List, o którym mowa, nie ma wprawdzie daty, ale ręką matki poety dopisano na autografie: R. 1839 Paryż, a na odpisie zrobionym przez Teofila Januszeńskiego dodano: Październik.

obawę skompromitowania jej wobec policyi swoją korespondencyą, pisywał do niej nie pod własnem imieniem, ale jako jakaś przyjaciółka Zofia. „Mam na świecie kilku przyjaciół takich, jakich zawsze żądałam (mowa tu o Krasińskim), to jest przyjaciół, którzy mnie szacują i bronią, ale ci wszyscy są odemnie dalecy; a teraz otoczona jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę; zazdrośni bowiem są, małego serca, nie zdolni ani uczuć, ani pojąć szlachetnych myśli, słowem są to zatarte szelągki, zimne i spleśniałe... Najwięcej więc czasu przepędzam sama, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego korzystać taka, że mi samej życie złości i różnemi okrywają tęczęmi. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych; czy życie takimi snami zajęte jest życiem, nie wiem, ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni a czasem przyjemność sprawia... Nie jestem (że) ja podobna do lampy, która w szejne-katarynce siedzi i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków? Dopóki więc jaki szeszur łojem zwabiony nie zgryzie tego, co świeci w mojej latarce, nie zgaszają mnie ćmy i komary“.

Jeżeli ten list pisany był już po ukazaniu się recenzji *Balladyny* w *Młodej Polsce*, co prawdopodobne, to z niego możnaby wnosić, że Słowacki obojętniej przyjął drugą krytykę Ropelewskiego, niż pierwszą, pomimo, iż była nieskończenie zjadliwszą. Do tej względnej obojętności przyczyniać się mogło nietylko to, że w recenzji *Balladyny* widział nie sam szczery wyraz przekonań recenzenta, ale przede wszystkim chęć zemścić się za odpowiedź na recenzję *Trzech poematów*, lecz i to, że czuł w sobie wówczas więcej, niż kiedykolwiek przedtem, wzbierającą twórczość poetycką. Słowacki, skończywszy lat 30, wchodził w południe swego życia, płodność jego fantazyi dosięgała zenitu. Na owe czasy, na koniec 1839 i na rok 1840 przypada naprzód przetworzenie *Mazepy*, potem cały szereg nowych dramatów, wykończonych i wydanych za życia, lub pozostawionych w tece: *Lilla Weneda*, *Krakus*, *Wallenrod*, *Beatrix Cenci*, dramat *Beniowski*; wreszcie prócz drobnych rzeczy wierszem i prozą bodaj czy i *Złota Czaszka* nie należy do tego okresu¹⁾. Oddawał się on

¹⁾ Podług kombinacyi Małeckiego (II, 276—277) dramat *Złota Czaszka* był pisany w 1841 lub 1842. Małeczki jednak nie uwzględnia jednej rzeczy, mianowicie, że cytowane tylko co słowa listu poety z r. 1839, o okienkach fantazyi, przez które poeta „widzi wiele rzeczy i twarzy znajomych“, że wszystkich utworów, które mogły być pisane przed r. 1841, najlepiej się stosują do *Złotej Czaszki*.

wtedy całkowicie Szekspirowi, z zadziwiającą łatwością naśladował go w niezliczonych scenach dramatycznych, które wysnuwał ze swej fantazyi, zabarwiając je coraz bardziej swojskim kolorytem i czuł, że na tem polu, na polu dramatycznym, w literaturze polskiej nikt się z nim mierzyć nie może, ba, nawet nikt nie próbuje. A czując się Szekspirem polskim, czując obfitość palnego materiału w latarce swojej wyobraźni, krzepił się tem w duchu i pocieszał, gdy ćmy krytyczne uderzały o szyby tej jego latarki.

Niebawem usłyszał nowy głos o swojej poezyi, który mógł mieć tem większe dla niego znaczenie, że obejmował i oceniał całą jego poezję w zestawieniu z całą współczesną poezją emigracyjną, że był niejako pierwszą próbą historycznego traktowania tej poezyi. W *Kalendarzu Pielgrzymstwa polskiego* na r. 1840 ukazało się obszerne, bo 64 stronicie zajmujące „Wspomnienie o piśmiennictwie polkiem w emigracyi“. Nieznany krytyk¹⁾ (bodaj czy nie Ropelewski) wydatniał naprzód ogólne znanie literatury emigracyjnej, jej kierunek „namiętnej wojującej polityki“, potem kolejno oceniał twórczość wybitniejszych pisarzy emigracyjnych, poczynawszy od Mochnackiego, którego ocena miała już być „słowem potomnych o umarłych“. Wysoko wyniosłszy autora *Historii narodowego powstania*, w którym widział i pierwszorzędnego męża stanu i malarza, co połączył w sobie „trójgeniusz Rembrandta, Rubensa i Van-Dyka“, krytyk zwrócił się do Mickiewicza i jemu najobszerniejszy poświęcił ustęp. Nie był to bynajmniej hymn bezwzględnej uwielbienia. Wprawdzie nazywał sławę Mickiewicza „najpiękniejszym wieńcem, jaki zakwitł na polskiej ziemi“, a jego samego „pierwszym a wobec cudzoziemców jedynym wyobrazicielem rozumowej potęgi polskiej“, przecież pozwalał sobie

¹⁾ P. Hoesick (III, 28) powiada: „zdaniem niektórych był nim Feliks Wrotnowski“ i nie zbija tego twierdzenia, pomimo iż uczynić to bardzo łatwo, ponieważ „Wspomnienie“ zajmuje się także i Feliksem Wrotnowskim i to w taki sposób, że niepodobna przypuścić, aby sam Wrotnowski mógł tak pisać o sobie (np. na str. 88 *Kalendarza*). Natomiast jest rzeczą prawdopodobną, że Wrotnowski był autorem artykułu p. t. „Wspomnienia siedmiu lat pielgrzymstwa polskiego“ umieszczonego w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego* na rok 1839. Że te dwa wspomnienia nie wyszły z pod jednego pióra, jest na to wyraźne świadectwo w drugim wspomnieniu, gdzie powiedziano: „Nie jest zamiarem naszym uważać pod względem politycznym to przeciągnięcie żywota Polski w tułactwie. Już w zeszłym roku dopełniono tego ze znakomitą talentem. Zamiast się rzucać w niebezpieczne współzawodnictwo, wolęmy obaczyć drugą stronę tego zjawiska i t. d.“ (*Kalendarz pielgrz. pol. na r. 1840*, str. 32).

i *Dziadów* część III-cią i *Pana Tadeusza* surowej poddawać krytyce. Nie podobało mu się w *Dziadach* naśladownictwo *Fausta*, w szczególności nie podobało mu się to, co dziś uchodzi za szczyt i koronę *Dziadów*, „osobiste zapasy poety z Panem Bogiem“, w *Panu Tadeuszu*, którego nazywał „pierwszym romansem prawdziwie polskim“, nie podobały mu się najwięcej „przyczepki polityczne“ i za jedną z nich (Jacys Francuzi wymowni — Wynaleźli niedawno, że ludzie są równi) najniedorzeczniej karciał Mickiewicza, zapominając nawet o tem, że te słowa nie idą wprost od poety, ale od jednej z osób poematu.

Daleko względniejszym okazał się dla autora *Nieboskiej Komedyi* i *Irydyona*. Widział w tych utworach „tryumf geniuszu“, witał nowego poetę „jako szczęśliwie pojawioną gwiazdę na polskim widnokręgu, jako człowieka dalszego spojrzenia i silniejszej twórczości, niż był ktokolwiek po dziś dzień w piśmiennictwie polskim“. Wypowiadał tylko obawę, aby jego „styl brylantowy“ nie przeszedł w manierę, i aby jego genialne utwory nie wywołały niedoleżnych naśladownictw. „Podobną przysługę zrobiono za dni naszych Byronowi; trzeba lat kilkadziesiąt, aby, gdy wymrze płacziwa, dumna, odludkowa literatura dzisiejsza, ludzie przyjść mogli do rzetelnego sądu o tym wielkim poecie“.

Ta ostatnia uwaga służyła krytykowi za przejście do sądu o Słowackim, co już było złowróżbną dla tego poety wskazówką. W istocie sąd ten pod pozorami bezstronności a nawet życzliwości krył w sobie zabójcze strzały, godzące w sławę Słowackiego. „Tu szykuje nasze wspomnienie pisarza — tak się zaczynał ustęp poświęcony Słowackiemu — z najzasłużniejszych w emigracji, pierwszego co do niezmordowanej i niczem niezrażonej obfitości. Wbrew zwykłemu biegowi rzeczy, obojętność czytelników była mu zachętą, krytyka posunięta do niesłusznej napaści, bodźcem. My nie chcemy w ten sposób dawać bodźca Juliuszowi Słowackiemu, jakiegokolwiek by dobro miało stąd spłynąć na literaturę; mówić o nim będziemy jako o człowieku, którego talent uznajemy, a wolę mamy za godną szacunku“. Po tym wstępie, zapowiadającym bezstronność i życzliwość, krytyk przypominał pierwsze powieści Słowackiego i z pomiędzy nich najwyżej stawiał *Żmiję*. „Wogóle wszystkiemu temu brakło cokolwiek duszy, ale kształty, chociaż tu i ówdzie zdradzały nieraz pożyczkę, przecież śmiałym swym ruchem obok pełnego wykończenia, zdały się zapowiadać artystę. Było to dość świetne wystąpienie. Pograżenie umysłów w rzeczach polityki sprawiło zapewne, że nie naówczas nie pisano

o poezjach Słowackiego; jednak zajmowano się niemi, wrócono rozmaicie. Dla jednych rodzaj zalet i niedostatków poety w tem pierwszym dziele był niepomysłnym na przyszłość znakiem; czytając te poezye, mówili, co parę stron odbiega cię uwaga, a jeśli wpatrzysz się w robotę szczegółów, wszystko piękne, skończone, mistrzowskie, w tem ci jest złe, bo widać ten pisarz już nie nie zyska z laty, ma już wszystko, co się zdobywa pracą, a brak mu, czego nabyć nie można — iskry z nieba. Drugie stronnictwo, optymistów, do których należymy, tłómaczyło to jakoś na lepiej. Nie przecząc lichu, co ubezwładnia poezję Słowackiego, nie pozwalaliśmy, aby to była suchość duszy. On jest w pierwszej radości, w pierwszym upojeniu tworzenia, uderzył po strunach arfy i sam zdumiony dźwiękami, jakie wy dostał, gwałtownie budzi tę harmonię, nie dbały o jej logikę, znaczenie, cele; ale czekajcie niech się oswoi z własną potęgą, a ujrzycie, że to u niego jest tylko narzędziem wielkich pomysłów. Wszyscy odwołali się do przyszłości, przyszłość nadbiegła, została obecną chwilą“.

Wszystko, co dotychczas krytyk mówił o Słowackim, było jakby zamaskowaniem tych ciosów krytycznych, zaprawionych trucizną ironii, które mu w końcu miał zadać. „W tym czasie upływie — pisał w dalszym ciągu — autor napisał wiele: przypomnienie *Korsarza*, *Lambro* o nieskończonym konaniu; *Kordyan* we współzawodnictwie z trzecią częścią *Dziadów* i *Anelli* na cześć *Irydyona*, dziwne dwa dramata, które Bóg chyba osądzi, bo klucza do nich poeta żyjącym nie udzielił; trzy nowe powieści, pełne romantycznych śliczności, na przykład kiedy ojciec owdowiał po żonie i dzieciach opowiadając swoje rozpacze przypomina, że „mysz w księżycu przebiegła“; lub gdy dziewczica Alpejska chroni się do szaletu, drzwi i okienice zawiera dla ważnych powodów: „ażeby na nią nie patrzyły kwiaty“; tragedye wrześnie, jakieś dawniejsze, tuż za pierwszymi powieściami zronione, i *Balladyna*, ta *Balladyna*, o której wspaniałomyślnie przemilczym; co tu dzieł! jak krople ulewy jedno po drugim między publiczność spadło. A jednak, gdyby nas autor zapytał, co przenosimy z jego poezyjnego życia? odrzeklibyśmy, że nadzieje młodzińca. Pierwsze powieści, choć więcej w poezję zewnętrzną, a może w nią tylko samą bogate, są jeszcze w naszym przekonaniu szczytem twórczości Słowackiego. Kiedy wyszły, mistrz doświadczone, gruntując tę poezję, nazwał ją piękną świątynią, w której nie było Boga: od tej chwili Słowacki wziął się do reform; na trafny wpadł pomysł,

złoto i emalię zastąpił warstwą wapienną, ale nie sprowadził bóstwa do swej świątyni“.

Ten pogląd krytyczny na twórczość Słowackiego był jakby ukrytą odpowiedzią na jego żale i skargi na krytykę, wynurzone przed kilku miesiącami w *Młodej Polsce*. Tam poeta sam lekcewał swoje pierwsze utwory, aby tem wyżej podnieść późniejsze i zarzucał krytyce, że nie umiała poznać się na różnicy między niemi zachodzącej i ostrzedz o tem publiczności; tu za szczyt twórczości uznano pierwsze powieści Słowackiego, i najwięcej im poświęcono uwagi, wszystkie zaś późniejsze jego utwory traktowano pobieżnie, z lekceważeniem i ironią. Naturalny wniosek, wypływający z tej oceny, choć nie wypowiedziany, był, że mieli słuszość ci, którzy twierdzili, „że brak mu, czego nabyć nie można — iskry z nieba“¹⁾.

Łatwo odgadnąć, jak przygniatające wrażenie wywarła na Słowackim ta krytyka. Nie miał nawet tej pociechy, aby widzieć w niej ukrytą rękę Mickiewicza, ponieważ krytyka i Mickiewicza nie oszczędzała. Pod świeżem jej wrażeniem napisał list do Krasińskiego, „bardzo smętny list, choć udający, że nie smętny, z powodu krytyk“²⁾. Listu tego nie znamy, ale znamy bardzo obszerną odpowiedź Krasińskiego na ten list. Słowacki pisząc do Krasińskiego porównywał się zapewne z młodziutkim poetą angielskim Keats'em, którego krytyka edynburska pobudziła do samobójstwa i którego grobowiec w Rzymie Słowacki oglądał przed kilku laty z ciekawością³⁾. Krasiński odpowiadając uderzał naprzód na to porównanie, jako niewłaściwe. „Kto mówi o Keatsu? Kto słyszał o Keatsu? Kto to jest Keats? Łzę litości upuść nad grobem dziecka; niech ptaszki szczeniocą hymn umarłych tej duszy rozwiązanej przez Edynburską krytykę — a teraz słuchaj i wiedz“. I tu następowało dowodzenie i przekonywanie, że on Słowacki, nie jest jakimś Keatsem, ale jest wielkim poetą, a choć go ogół dotychczas nie rozumie, niema w tem nic nadzwyczajnego i do rozpaczki pobudzającego, bo tak samo z po-

¹⁾ P. Hoesick zaliczył tę ocenę do kategorii „życzliwych i sprawiedliwych ocen“ (III, 28), a zaliczył głównie dlatego, że ustęp poświęcony Słowackiemu we *Wspomnieniu* „nierównie więcej zajmował miejsca, aniżeli inne, traktujące o współzawodnikach Juliusza“. I w tem jest niedokładność, Mickiewiczowi bowiem we *Wspomnieniu* poświęcono cztery razy więcej miejsca, niż Słowackiemu.

²⁾ Listy Zygmunta Krasińskiego do Konstantego Gaszyńskiego. Lwów 1882, str. 157.

³⁾ Listy do matki. II, 2.

czątku Byron i Goethe w swoim *Fauście* i Mickiewicz nie byli zrozumiani. „Słuchaj i wiedz, pisał dalej. W tobie leży jeden ze znaków, że to co poczytują za *umarłe* nie *umarło*. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłem, że mi zawsze jest jakoby znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu. Jeden przeszedł, minął, zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni. Obelisk stoi; ten, co go postawił uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie. Drugi posiadał wszystko, na czem zbywało pierwszemu: posiadał język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie, na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz; posiadał i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak, że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi go i mówi mu: „Ot cały twój jestem, każ a posłucham, zawołasz — przybiegnę; mrugniesz w niebo — polecę tam; wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła; chcesz, bym stwardniał w bryłę — patrz, marmur ze mnie; bym w gaz się ulotnił — patrz, jakim błękitny i znów śniady a przejrzysty, płynny, prawie już nie będący, jednak zawsze „twój“. Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokreśli wyobraźni; to, co w pierwszym było jednością twardą, granitową, w sobie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą, tu się stało rozplynieniem, powrotem do szerzy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznanego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu: on stoi jako szyba mórz wśród wszechświata i odbija wszystkie słońca, księżyce, anioły, bogi, szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich; stąd pochodzi, że ludzie jego władzy nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje, a to jednak dzieje się w niebie. Ten drugi duch, ty wiesz, że to Ty! Trzeci to August Cieszkowski, ale ten należy do filozofii. Otóż w was trzech odgadnąć łatwo, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jej mogiłach kwiaty porosną“¹⁾.

List, z którego ten wyjątek podaję, ma datę 23 lutego 1840 roku. W liście Zygmunta Krasińskiego do Romana Załuskiego, pisanym w półtrzecia miesiąca potem (13 maja 1840), znajdujemy

¹⁾ Listy Zygm. Krasińskiego, T. III, 45.

podobne poglądy na poezję Słowackiego i może jeszcze piękniej, poetyczniej wyrażone. W tamtym liście chodziło o to, aby poetę, przynębionego krytyką, natchnąć ufnością w potęgę swego talentu, w tym, aby przekonać niechętnych poezji Słowackiego ludzi, że jest on wielkim poetą, równym potęgą geniuszu Mickiewiczowi, chociaż wyrażającym wręcz przeciwny kierunek ducha. „Cechą niezawodną, piętnem jego poezji, jest owa cudowna mieszanina złożona z wstrętu i ponęty, ów urok panteistyczny, co razem każe twoim stopom cofać się od brzegu przepaści, a głowę twoją ku niej podaje i serce nachyla, aż ciebie całego rzuci w głąb! ta barwa nadzmysłowa i zmysłowa zarazem, która ci ducha powleka, ile razy spojrzysz w noc gwieździstą, w noc wszechświata, zasianą światami. Ciekawość, pragnienie wiedzy, żądze niebotyczne porwają wtedy umysł. Radbyś rzucił się i pływał w nieskończoności; aż tu trwoga cię obejmie zarazem, zmysły twoje cofną się przed temi ogromy, pomyślisz o nich i mózg ci się zawróci; a jednak w tejże samej chwili znów uczujesz, że chciałbyś na zabój przez wszystkie drogi mleczne dostać się do Boga! rozplynać się, nie być i być zarazem, topić się, czując, że się topisz, czując wiecznie, że się topisz w błękicie! Z tego to głównego akkordu, raczej tonu, rozwiedzionego po całym duchu dzieł Juliusza, wypada ich forma, raczej rozprężliwa, niż skupliwa, raczej odśrodkowa, niż dośrodkowa, raczej malownicza, niż kująca rzeźbę, raczej muzyczna, niż malownicza, raczej szukająca Boga, niż mówiąca dogmatycznie o wynalezionym i opisanym, słowem jednym, raczej panteistyczna niż katolicka! Ale bo też panteizm jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga!“

Ten panteistyczny kierunek, którego przedstawicielem dla Krasińskiego był Słowacki, uważał autor *Irydyona* za równie uprawniony, jak i ten kierunek, „wiary uosobionej, energii, środka, co zbiera w siebie wszystkie promienie okręgu“, który się wyraził w Mickiewiczu. Co więcej, uważał, że te kierunki na pozór tylko są sprzeczne, w gruncie zaś harmonijne, dążące do tego, aby zlać się razem; „a gdy się zleją, wtedy będzie mistrz trzeci“, przedstawiciel nowego kierunku, stanowiący syntezę dwu poprzednich. I w tem następstwie kierunków widział Krasiński nieodwołalną konieczność, z natury rzeczy wypływającą, a w duchu Słowackiego widział dalsze rozwinięcie, „koniecznie potrzebną wynikłość“ ducha Mickiewicza. pomimo, iż pozornie pierwszy zdaje się walczyć z dru-

gim. Ta pozorna walka jest tylko złudzeniem chwili. „Gdy się oddali świat od dni naszych, może temu przeczuciu mojemu przynajmniej prawdę“.

Odmieniami, a zawsze pięknymi słowami powtórzył Krasiński te poglądy swoje na stosunek Słowackiego do Mickiewicza w rok potem (1841) w *Tygodniku literackim* poznańskim. Od tych czasów oddalił się świat o lat z górą sześćdziesiąt; o ileż dziś można przyznać prawdę temu, co Krasiński nazwał „przezuciem“ swoim?

Przedewszystkiem, ażeby przeniknąć do źródła tych jego poglądów, trzeba pamiętać, że Krasiński zostawał jeszcze wówczas ciągle pod wpływem filozofii Hegla, jakkolwiek godził ją po swojemu z katolicyzmem i że wierzył mocno w troistość logiki Hegla, to jest w to, że wszelkie istnienie przechodzi przez trzy momenta: tezy, antytezy i syntezy. Jego współczesna korespondencya z przyjaciелеm, Edwardem Jaroszyńskim¹⁾, także heglistą, najlepiej o tem poucza. Ukazały się były wówczas *Prolegomena zur Historiosophie* Augusta Cieszkowskiego, oparte na Heglu, ale skierowujące jego filozofię w stronę dążeń i natchnień współczesnej polskiej poezji. Krasiński był olśniony tym utworem polskiego Hegla, który poprawiał Hegla niemieckiego, a ponieważ poprawka (odmienny podział historii nie na cztery, jak u Hegla, ale na trzy części) opierała się na troistości heglowskiej, więc ta troistość wydała się Krasińskiemu jeszcze bardziej cudowną i niewzruszoną, dlatego stosował ją do różnych zagadnień, które go żywo zajmowały, więc i do rozwoju nowszej poezji polskiej. Dla tego widząc rażące przeciwieństwo między poezją Mickiewicza a Słowackiego, uważał pierwszą poezję za tezę, drugą za antytezę i czekał trzeciej, któraby była syntezą dwu pierwszych. Zapewne w głębi duszy pragnął, aby tą trzecią stała się jego własna poezya, ale zarozumiałym nie był, więc ani śladu podobnego marzenia nie można znaleźć w jego współczesnych wynurzeniach.

Ta upatrywana przez niego troistość w poezji polskiej pozostaje ścisłym związkiem z inną troistością, którą upatrywał w rozwoju pojęć religijno-filozoficznych. W tej troistości tezą jest osobowość Boga, antytezą panteizm, syntezą zaś połączenie jednego z drugim, połączenie, którego symbol widział w trzeciej osobie Trójcy świętej, w Duchu św. Oto co pisał do Edw. Jaroszyńskiego 1 sierpnia 1840: „Bóg tylko jako *Allgemeinheit* pojęty, Bóg Heglowski,

¹⁾ Listy Zygm. Krasińskiego, Tom III, str. 69—106.

Bóg li tylko panteistyczny jest taką wyłącznością, takim jednym tylko terminem, jak Bóg li tylko osobisty, li pojedynczy, odłączony od wszechświata. Idzie teraz o zlanie tych dwóch bóstw w trzecie, równie osobiste, jak panteistyczne, równie wszystko obejmujące, jak siebie samego. W Trójcy naszej najdoskonalszym punktem jest Duch święty. Czekaj na niego w filozofii, nie nadszedł jeszcze, nie Hegelista go odkrywają; ale przyjdzie, i świat padnie przed nim, z samej Logiki to wypada¹⁾.

Ten filozoficzny pogląd Krasińskiego służyć może za najlepszy komentarz do zagadkowego *Syna Cieniów*, którego w owym czasie napisał, a zarazem za najlepsze świadectwo, jak katolicyzm autora *Irydyona* przepojony był filozofią heglowską. Co się tyczy związku, zachodzącego między tym poglądem a troistością w poezji polskiej, to polega on na tem, że w trójcy poetycznej przeciwieństwo między poezją Mickiewicza a Słowackiego odpowiada przeciwieństwu między osobowością Boga a panteizmem. Widzieliśmy, jaki nacisk Krasiński kładł na panteistyczność formy poetyckiej Słowackiego i jak przytem wołał, że panteizm „jest niezawodnie połową jedną i jak przytem wołał, że panteizm „jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga“. W dalszym ciągu cytowanego już listu do R. Załuskiego związek między jedną a drugą troistością jeszcze może wyraźniej wskazany. „Mickiewicz na zawsze zwać się będzie stwórcą; on zastał chaos, on rzekł w naszej literaturze: „Światło stań się“. By z rozerwanych samopas chodzących atomów coś stworzyć i ukształtować, trzeba tej siły wszystko do środka kierującej, wszystko osadzającej na dół, wszystko co płynne zmieniającej w kształt. Mówią, że z wyżyn atmosfery blakające się gazy opadły na ziemię w kształcie granitowych skał: to kości planety, jądro jej, energia jej. Tem samym Adam w świecie duchowym Polski; w nim siła tytańska, to Michał Anioł nasz. W oczach posagu Mojżesza, któremu rozłukł młotem kolana Michał Anioł, mówiąc: „Adesso parla!“ — jest coś przypominającego oczy Mickiewicza“.

„Ale teraz planeta choć ma granit i marmur, choć nad tym marmurem świeci światło białe, jeszcze nie jest zupełnym, całkowitym! Muszą rododendrony zakwitnąć na granitach, musi światło białe rozpaść się na siedm barw tęczy i znów z posady tej kamiennej, tytańskiej, z tej planety, którą zaokrągliła siła skupień,

¹⁾ Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 101.

muszą ku Niebu rozlecieć się wonie, wiązki kolorów, piany wodospadów, wyziewy dolin, chmury coraz wyżej, wyżej powracające w Niebo, aż zginą przed oczyma — i tam gdzieś, gdzieś poniosą wieść o tem, że świat nowy stanął i bieży w przestrzeni! Takim gońcem świata do światów wszystkich, takim powrotem stworzonej rzeczy do okręgu niebios, w naturze samej już jest dźwięk muzyczny, pochodzący z drgania ciał i niszczenia się pewnych atomów w ciele drgającym; w *duchu ludzkim jest kierunek panteistyczny (la facette panteistique); w literaturze polskiej Słowacki*¹⁾.

Tak więc nie ulega żadnej wątpliwości, że sąd Krasińskiego o znaczeniu i wartości poezji Słowackiego wypływał z jego poglądów filozoficznych, przede wszystkim z jego wiary w logikę Heglowską. Jeżeli teraz zestawimy ten kwiecisty, niemal w poemat urastający sąd Krasińskiego z dobrze nam znanym, krótkim a lapidarnym sądem Mickiewicza o poezji Słowackiego, to na pozór zdawać się może, że między tymi sądami pomimo różnicy wyrażenia panuje zgoda wewnętrzna. Mickiewicz powiedział, że poezja Słowackiego to piękny kościół bez Boga, Krasiński widzi w niej panteizm poetycki, a panteizm według niego, to antyteza osobowego Boga. Więc na jedno wychodzą dwa te określenia. A przecież nie jedno znaczą. W określeniu Mickiewicza była nagana, było wskazanie pustki, czczości w tej poezji o pięknych kształtach; w określeniu Krasińskiego była pochwała, było wskazanie naturalnego, logicznego, koniecznego rozwoju poezji polskiej, a kościół Słowackiego w tem określeniu nie był pusty, ale napełniony panteizmem, który według Krasińskiego był „połową“, drugim niejako obliczem Boga, jakby drugą osobą Trójcy boskiej.

Ta różnica w pojmowaniu wypływała z rozmaitego stosunku Mickiewicza i Krasińskiego do filozofii Hegla. Dla heroicznie nastrojonej duszy Mickiewicza filozofia Hegla i wogóle pokrewna jej filozofia niemiecka była scholastyką i to gorszą od średniowiecznej, bo taką, „która chciałaby zatrzymać wszelki ruch ducha ludzkiego koło jego słońca i wbić go całkiem w ziemię“²⁾, która Boga zniżała do człowieka, zamiast podnosić człowieka do Boga; przeciwnie dla Krasińskiego była bardzo pełną gimnastyką umysłową, kanwą dla poetycznych haftów marzyielsko nastrojonej wyobraźni.

¹⁾ Listy Zygm. Krasińskiego, T. III, str. 62—63.

²⁾ Literatura Słowiańska, Poznań 1865, T. III, str. 265.

Drugą jeszcze ważniejszą przyczyną różnicy w sądach Krasieńskiego i Mickiewicza o poezji Słowackiego było to, że pierwszy miał przedewszystkiem, może nawet wyłącznie, zwróconą uwagę na jej formę, na jej styl, na jej zewnętrzną szatę, drugi, uznając piękność formy, nie zatrzymywał wzroku na niej, ale sięgał do utajonej w niej duszy poety, do jego pragnień, dążeń, ideałów.

Ostatecznie dwa te krańcowo sobie przeciwne sądy dają się pogodzić i wzajemnie się uzupełniają. Tylko z sądu Krasieńskiego trzeba odrzucić to wszystko, co jest naciąganiem do filozofii Hegla, a zostawić charakterystykę artyzmu Słowackiego¹⁾. Bo i Mickiewicz wskazując pustkę w kościele poezji Słowackiego, przyznawał że ten kościół jest piękny, tylko nie określał piękności jego. Krasieński pierwszy to uczynił, pierwszy podniósł i uwielbił malowniczość, płynność, eteryczność poezji Słowackiego, pierwszy uwidocznił różnicę, jaka zachodzi pomiędzy jego temperamentem artysty-

¹⁾ Że sąd Krasieńskiego nie był pełny i że charakterystyka przez niego podana nie wypływała z logicznej konieczności, w którą wierzył, na to już zwrócił uwagę Małecki w swoim dziele. Ale Małecki, wytykając lukę w sądzie Krasieńskiego: brak uwag o ideach Słowackiego, o jego stanowisku względem dążności i ideałów społecznych, to jest o tem, co uważał za wewnętrzną istotę poezji, — nie postarał się tej luki zapełnić i choć analizując pojedyncze utwory Słowackiego, oceniał z osobna idee w nich zawarte, nie ujął przecież rozproszonych sądów w ogólną syntezę. Jasnego, wyraźnego słowa o tej „wewnętrznej istocie“ poezji Słowackiego Małecki nie wypowiedział, jej antyspołecznego charakteru nie uwidocznił.

Przy tej sposobności wypada mi zwrócić uwagę na pewną sprzeczność w sądach znakomitego krytyka. Mówiąc o Krasieńskim, że na stronę ideową, wewnętrzną poezji Słowackiego nie zwrócił uwagi, Małecki powiada: „Na tej to zaś wewnętrznej dzieł poetyckich istocie, zdaje mi się, że odrębność każdego pisarza, przedewszystkiem polega. Styl i forma bowiem — to rzecz osobista i prawie powiedziałbym prywatna, skutek tysiąca czynników, z których przynajmniej połowa może iść na karb przypadku“ (Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła wyd. 3, Lwów 1901, T. II, str. 267). Nie zgodziłbym się na to, żeby styl znakomitego poety miał być rzeczą przynajmniej w połowie przypadkową, bo w takim określeniu zaciera się to, co przedewszystkiem nadaje odrębność stylowi — temperament pisarza; ale nie o to chodzi, tylko o to, że w innym miejscu (T. I, str. 114) Małecki uznawał, że „najistotniejszą cechą oryginalności talentu“ Słowackiego jest „melancholijny urok poetyckiego na świat spojrzenia“. Miałaby „oryginalność talentu“ nie być równoznaczną z „oryginalnością pisarza?“ A jeżeli to są rzeczy równoznaczne, w takim razie między przytoczonymi sądami zachodzi sprzeczność, bo gdzież mamy szukać „melancholijnego uroku“ poezji Słowackiego, jeżeli nie w stylu jego?

cznym a Mickiewicza i w tym względzie po sześćdziesięciu latach nie ma w tym sądzie nic do sprostowania. Ale Krasieński, zapatrzony w artystyczną stronę poezji Słowackiego, nie odczuwał w niej tego braku, który tak raził Mickiewicza: braku prawdy uczucia, braku prawdziwej miłości, braku społecznego zmysłu. Przeciwnie między „duchem Adama a duchem Juliusza“, polegało nie tylko na różnicy wyobraźni artystycznej, różnicy, którą Krasieński z taką lubością i w tak poetycznych przedstawiał obrazach, ale równie a może i więcej na głębokiej różnicy charakterów. Poezja Mickiewicza główne źródło swoje miała w sercu poety, w głębokim przejęciu się pewnymi idejami, w głębokiej miłości, którą poeta sam przeżył, czy to jako Gustaw, czy Konrad; wyrastała wprost z życia jego i dla tego była tak oryginalną i miała taką potęgę i prawdę uczucia. Poezja Słowackiego płynęła tylko z głowy, z bogatej i ruchliwej wyobraźni, regulowanej jedną tylko głęboko odczutą ideą — wykwarem chorobliwego indywidualizmu poety — ideą samoubóstwienia. I stąd to pod olśniewającym jej blaskiem zewnętrznym tai się w niej ubóstwo idei i brak szczerości uczucia. Nasuwa mi się tu porównanie z pewnym obrazem z poezji Mickiewicza, jakby stworzonym na to, aby allegorycznie przedstawić charakter poezji Słowackiego, w myśl właśnie skojarzenia dwóch sądów, o których była mowa. Poezja Słowackiego, to istna Zosia z *Dziadów*:

A toż czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać;
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

Ta Zosia, jak wiadomo, skazana jest na bujanie pomiędzy niebem a ziemią i „ani wzbić się pod niebiosa, ani dotknąć ziemi nie może“ dla tego, że za życia nikogo nie kochała prócz siebie. Zupełnie jak poezja Słowackiego: piękna, lotna, olśniewająca, ale niezdolna zstąpić do sere i zamieszkać w nich dla braku szczerzej miłości ludzi i Boga, dla tego, że była tylko poezią samoubóstwienia.

Ale wróćmy do listu Krasińskiego. Dla Słowackiego ten list przyjaciela, wielbiący jego poezję, miał ogromne znaczenie. On go namaszczał na następcę Mickiewicza, na najwyższego w bieżącym okresie przedstawiciela poezji polskiej, on uzasadniał i uświęcał antagonizm nurtujący oddawna w duszy Słowackiego względem Mickiewicza, on wlewał ufność w duszę poety, którą ciągle brak uznania i szydercze krytyki do rozpaczki doprowadzały.

W tym samym liście, w którym się ów sąd zawierał, znalazł Słowacki dla siebie i pewne rady, które miały w jego poezji odegrać ważną rolę. „Julu, zaklinam cię, pisał Krasiński pod koniec listu, nie dbaj o te gwary, które kiedyś nawrócą się do ciebie. Trzymaj nakształt harfy eolskiej duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcyje paryskie, zdania, uwagi, rozprawy“. To była jedna rada, trudna do spełnienia, ale wzniosła. Tuż obok niej, nieczem nieprzeznaczona od pierwszej następowała druga, która źle świadczyła o konsekwencji doradcy, bo była wprost zaprzeczeniem pierwszej. „Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów, obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do ciebie: więcej jest wątrób na świecie, niż serc, ach! jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby! Dalej niezawodnie żółć jest w poecie tym klejem, co spaja rozerwane części jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę! Spróbuj, oni się tego domagają. Dopiero uczują twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, kościasta na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu i ku gwiazdom, ku przybytkowi Boga, dopóty oni myślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąkach błękitnych przestrzeni“.

Więc naprzód radził Krasiński Słowackiemu trzymać duszę swoją wyżej nad wszystkie gwary ludzkie, a potem radził z gruba pięścią uderzyć na gwarzących, czego, bez znizenia się do nich, uczynić było niepodobna. Trudno o większą niekonsekwencję, jak również trudno o piękniejszą szatę poetycką, w którą ta niekonsekwencja była przystrojona. Była to jakby teza i antyteza Hegłowska. Spostrzegł widocznie to przeciwieństwo i sam Krasiński, bo w ten sposób starał się niby pogodzić pierwszą radę z drugą: „Do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać, a zostawiwszy trupy na placu, znów porósć w skrzydła i zawisnąć na niebie“¹⁾.

¹⁾ Listy Zygm. Kras. III. 9.

Zobaczmy później, jak skorzystał z tych rad Słowacki, a teraz zwróćmy się do *Lilli Wenedy*, która wkrótce po owym liście (w początkach kwietnia 1840) wychodziła z druku, a była nowym publicznym wyrazem przyjaźni i wdzięczności Słowackiego dla autora *Irydyona*.

Tragedya ta była przedmiotem wielu poważnych i różnorodnych analiz; rozważano jej stronę estetyczną, historyczną, ideową, niedawno dr. W. Hahn wykazał, jak wiele obcych motywów szczególnie z Chateaubrianda zaczerpnął do niej Słowacki¹⁾. Tu zaś chodzi przede wszystkim o wskazanie, o wyświetlenie, jaką rolę w genezie *Lilli Wenedy* odegrał ów szczególny przyjacielski stosunek, który wówczas wiązał Słowackiego z Krasińskim.

Jak *Balladyna*, tak i *Lilla Weneda* ukazywała się poprzedzona listem otwartym do autora *Irydyona*. Ale *Balladyna* utworzoną została jeszcze wtedy, kiedy Słowacki nie znał Krasińskiego, stosunek więc wiążący dwu tych poetów nie mógł odegrać żadnej roli w jej genezie. Inaczej, sądzę, było z *Lillą Wenedą*. A naprzód wyraźną w tym względzie wskazówkę znajdujemy w owym liście zastępującym jej przedmowę. Wspomniawszy dwóch wodzów wenedyjskich,łączonych łańcuchem, Słowacki zapytuje: „Czy ty myślisz, Irydyonie, że tworząc ów męt jedności i przyjaźni, nie ludziem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie“. Tak więc niewątpliwie dla Słowackiego ten motyw zaczerpnięty z Chateaubrianda stawał się symbolem jego przyjaźni z Krasińskim. Ale czy tylko przyjaźni? Wszakże ten łańcuch wiąże braci Wenedów na to, aby mogli jako jeden mąż walczyć, więc jest symbolem nie tylko przyjaźni, ale i wspólnej walki dwóch poetów ze światem. Jeśli z tego punktu spojrzymy na całość poematu, to walka Wenedów z Lechitami, która jest osią jego, przedstawi się nam w zupełnie nowym świetle.

W walce tej widziano dotychczas tylko echo tradycji historycznej o pochodzeniu szlachty od szeregu zdobywców i niewątpliwie jest ona takim echem, ale jest i czemś innym jeszcze, jest także

¹⁾ Wiktor Hahn. Studium nad genezą *Lilli Wenedy* Lwów 1894.

echem ówczesnego stosunku Słowackiego do społeczeństwa polskiego i do Krasińskiego. To echo odzywa się także, jak widzieliśmy, i w *Grobie Agamemnona* i myślę, że nie sam przypadek sprawił, iż *Grób Agamemnona* wydany został po raz pierwszy przy *Lilli Wenedzie*. Był to jakby tajemny komentarz do tragedii.

Wiemy już, że w tym wierszu występuje „anielskość“, anhelizm poety w przeciwstawieniu do rubaszości szlacheckiej. Podobne przeciwstawienie znajdujemy w charakterystyce Wenedów i Lechitów. Wenedzi to lud pieśniarzy, wyższy od Lechitów o całą skalę kultury poetyckiej, pełni wzniosłych natchnień, które bohaterskim światłem oblewają postaci Derwida, Lilli i Rozy Wenedy i dwu ich braci: Lelum i Polelum, a symbol dla siebie znajdują w cudownej harfie Derwida. Lechici — to lud krewki i bitny, ale bez rozumu, bez wyższych pragnień i wyższej kultury; poeta, uposaża go we wszystkie wady, przypisywane szlachcie z najgorszych czasów jej panowania. O królu Lechu, głównym przedstawicielu Lechitów, tak mówi w przedmowie: „Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i molierowskiej w domostwie słabości; kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki siarką cuchnącą i krwią oblany po szyję. — Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje... bez jutra“. Z tej charakterystyki już widać, że Słowacki gardzi tym bratem Rolanda i że kontusz odgrywa tu tak niewdzięczną rolę, jak w *Grobie Agamemnona*. W samej tragedii w usta Ślaza poeta wkłada jeszcze bardziej szyderczą charakterystykę Lechitów:

Gdybym nie mienił to być uchybieniem,
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita... Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać *in verba magistri*?
Oszczerstwo?... czy to wszystko mam na twarzy?

Ten wyskok Ślaza tak odbiega od mitycznego tła walki Wenedów z Lechitami, że nie można w nim widzieć nic innego, jak alluzję do teraźniejszości, do niskiego poziomu umysłowego szlachty, jak on się przedstawiał Słowackiemu. Wreszcie przy samym końcu tragedii puszcza poeta strzałę pogardy w przedstawiciela szlachty, Lecha i sprzymierzonego z nim przedstawiciela duchowieństwa, św. Gwalberta, wkładając w usta Polelum, stojącego na stosie te słowa:

Boże! patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego... patrzaj na tych ludzi,
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska?

Dla czegoż pomimo swojej wyższości Wenedzi ulegają w walce z Lechitami? Naturalnie dla tego, że ma się stać zadość tradycji historycznej, ale zarazem także i dla alluzji do osobistych stosunków poety. On sam, Słowacki, w walce z emigracyjną krytyką, która przedrwiwała jego fantastyczność i wołała, (w satyrycznym piemku *Pszonka* z r. 1839), aby „mniej mówił do uszów, a więcej do kontuszów“, to Lelum, zabity i spoczywający na piersiach brata, a ten brat Polelum, tak czule dźwigający zabitego brata i taką wzdargę czujący dla Lechitów, to Krasiński, jedyny wielbiciel i obrońca poezji Słowackiego wobec ogólnej obojętności albo niechęci i napaści. Otóż oni są stokroć wyżsi (naturalnie w rozumieniu Słowackiego) od ogółu emigracji i krytyki emigracyjnej, ale osamotnieni nie mogą wziąć góry nad tym ogółem i muszą być pokonani. Ale ta przegrana jest tylko chwilową przewagą liczby nad inteligencją, bynajmniej nie ostatecznym wyrokiem historii i jak Krasiński upewniał Słowackiego o przyszłym zwycięstwie¹⁾, tak i Słowacki miał zawołać wkrótce (w *Beniowskim*):

Przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

Otóż i ten stosunek i ta nadzieja przyszłego zwycięstwa, niezależnego od klęski obecnej, odzwierciedla się, znajduje analogią w walce Wenedów z Lechitami. Klęska Wenedów jest zwycięstwem siły brutalnej nad kulturą, ale zwycięstwem — bez jutra. Prawdziwe zwycięstwo w poemacie, zwycięstwo moralne — na co dotychczas, o ile wiem, nikt nie zwrócił uwagi — odnoszą Wenedzi, to jest ich przedstawiciele, rodzina królewska. Św. Gwalbert, niefortunna kreatura, dwójająca się w znaczeniu, pomimo całej swej śmieszności obdarzony został przez poetę mocą wizyj cudownych,

¹⁾ „Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać że dyabłą buffonadą, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim, powiedział; kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie“. Listy Zygm. Kras. T. III str. 6.

bezpośredniego przestawiania z bóstwem i oto on na początku piątego aktu oznajmia Lechowi, że w dniu tym, w dniu ostatecznej walki, objawi się Najświętsza Panna „nad najświętszym trupem — nad krwią najbardziej Bogu ukochaną”. I staje się cud w istocie: nad gasnącym stosem, na którym spłonęły ciała Derwida, Lilli i jej braci ukazują się Najświętsza Panna. Wprawdzie tym „najświętszym trupem” o którym mówi Gwalbert, ma być trup Lilli Wenedy i jej to tryumf moralny ma przede wszystkim oznaczać zjawienie się nad stosem Bogarodzicy, ale ta biała Lilla jest tak spojona miłością i cierpieniem, i z braćmi i z ojcem i z całym narodem swoim, jest takim wcieleniem duszy Wenedów, jakby drugą harfą Derwidową, że jej tryumf moralny można śmiało uważać za tryumf całego narodu, za tryumf moralny sprawy Wenedów.

Ten motyw cudownego zjawiska był niewątpliwie wzięty, jak to już wskazywano¹⁾, z *Nieboskiej Komedii* Krasińskiego, ale o tyle różnie użyty, że tam w *Nieboskiej* nie oznaczał tryumfu moralnego żadnej ze stron walczących, tu przeciwnie wyraźnie wskazywał tryumf tych, którzy spłonęli na stosie.

Ażebym żywioł osobisty w *Lilli Wenedzie*, bez roentgenowskich promieni analizy niedostrzegalny i do dziś niedostrzegany, tem lepiej uwidatnić, zwrócę jeszcze uwagę na jeden ustęp przedmowy, to jest wstępnego listu do Irydiona. „Tylko ty, Irydionie, nie opuszczaj mnie wśród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uciec chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa, a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelskie, że dosyć jest jednym słowem zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać jak nimfa, uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykami; jedną taką postać jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma. Teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów”.

¹⁾ St. Tarnowski w odczycie o *Lilli Wenedzie* w Poznaniu 1881.

W tych słowach, które się odnoszą do *Balladyny* i jej przyjęcia przez krytykę, mamy wyraźnie zarysowaną różnicę estetycznego wykształcenia i usposobienia między ogółem słuchaczy polskich a takimi „Ateńczykami” o platońskiej uwadze i rafaelskich oczach, jak Słowacki i Krasiński. Różnica ta, znajdująca analogię do tej, która dzieli Lechitów od Wenedów, a harfa Lilli Wenedy w rękach Krasińskiego, podobnie jak i owa nadzieja Słowackiego, że kiedyś go ludzie we wspomnieniach powiążą z przyjacielem i na jednym stosie postawią, wszystko to coraz wyraźniej podkreśla pokrewieństwo dwu poetów z Wenedami.

Czy ten żywioł osobisty, to pokrewieństwo idealne własnej sprawy poety ze sprawą Wenedów było pierwszą pobudką do napisania *Lilli Wenedy*, tego nie śmiem przypuszczać, i skłonny jestem wierzyć pocięciu, gdy powiada w przedmowie: „Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszyły same; przyprowadziła je z sobą Lilla Weneda”, ale śmiało przypuszczam, że gdy już te mary stanęły przed nim, nasunęło mu się podobieństwo sprawy Wenedów z własną sprawą i odtąd to podobieństwo nie opuszczało go przy kształtowaniu tragicznej fabuły, było jakby tajemnym do niej wtórem, a przy końcu uwidatniło się najsilniej.

Jak przyjął Krasiński nową tragedję Słowackiego, który ją składał w ręce przyjaciela z nieograniczoną ufnością w „ateńskość” i przyjaźń jego? Ze wszystkiego widać, że *Lilla Weneda*, jako całość, daleko mniej zachwyciła Krasińskiego, aniżeli jej poprzedniczka, *Balladyna*, albo *Anielli*. Z Sorrento przy końcu września 1840 r. pisał do Konstantego Gaszyńskiego: „Czytałem w Niemczech *Lillę Wenedę*, pomysł mytu Lelum Polelum jest prawdziwie wzniosłym i poetyckim. Sama Lilla jest białą Antygona, ale żał się Boże św. Gwalberta i tego Szlaza, który naśladuje Grabca z *Balladyny*, który Grabiec sam naśladuje jakiegoś z tysiącznych potwornych błaznów Szekspira. Aż mnie smutek wziął, gdym ujrzał tych dwóch bohaterów i tę anielską siostrę ich w towarzystwie takim gałgańskim. Zaniósę przed Jula, kiedy będę pisał do niego, skargę Lilli, bo mi się bardzo dziewczyna skarżyła. Szlaz jej białą tunikę powalał rękoma, tabaka u nosa Gwalberta na skroń jej kapnęła; lepiej ją było zaraz nożem w serce pchnąć, niż tak jej strój zwał. Ale to niech pozostanie uwagą moją, wypowiedzianą tobie. Spowiedź jest nienaruszalnym sakramentem”¹⁾.

¹⁾ Listy Zygm. Kras. T. I, str. 161—162.

Wkrótce potem Krasiński wyprawił bardzo długi list do Słowackiego z uwagami o *Lilli Wenedzie*. List ten zaginął, a przynajmniej nie wyszedł dotąd z ukrycia, ale treści jego łatwo się domyślić z cytowanego już listu do Gaszyńskiego. Zarzuty zapewne były te same, tylko w łagodniejszej formie wyrażone. Widać to i z późniejszego listu do Słowackiego, w którym jest wzmianka o dawniejszym. „Iżaliś go odebrał? przeczytałżeś skargę białej dziewczyny? uznałżeś w głębi serca Jej prawo do skargi?...¹⁾ Skarga jak wiemy, dotyczyła postaci Ślaza, a jeszcze więcej św. Gwalberta. Harmonia między dwoma Ateńczykami, tak wysoko w przedmowie podniesiona, po raz pierwszy pękała, w tym właśnie miejscu, w punkcie religijnego nastroju. Okazywała się w tym względzie głęboka między nimi różnica, z której, jak się zdaje, Słowacki, pisząc *Lillę Wenedę* nie zdawał sobie sprawy. Krasiński nie był ortodoksem, sam siebie nawet w owych czasach nazywał kacerzem („Kacerstwo moją naturą jest i iścizną mojej figury“), w *Niedokończonym poemacie* ukochał potępiony zakon Templaryuszów („za to, że potępiony“), nie taił się z niechęcią dla obrońców prawowierności, Jezuitów, i katolicyzm jego ówczesny był bardzo wyraźnie podszyty heglizmem, a dzięki temu godził się, jak widzieliśmy, nawet z panteizmem, ale pomimo tego wszystkiego, Krasiński miał na dnie serca żywe uczucie chrześcijańskie, głęboką wiarę w boskość idei chrześcijaństwa i samego Chrystusa, i ten krzyż, co w *Niebojskiej* pojawiał się na niebie, nad walką dwóch światów, jak „szabla mściciela“, i ten czarny i cichy, co w Colosseum pociągnął ku sobie serce Irydiona, nie były tylko produktem poetyckiej gry wyobraźni, ale symbolem z głębi serca dobytym. Tego religijnego, chrześcijańskiego uczucia nie było w Słowackim; gdyby je miał, toby w *Podróży na Wschód* piruety baletowe nie brały tak łatwo góry nad „myślami świętymi“, po które w podróż się wybierał; gdyby je miał, ostrzegłoby ono w *Lilli Wenedzie*, że postać Gwalberta, streszczająca w sobie wpływ chrześcijaństwa, jest szyderstwem z niego, niemal w rodzaju Woltera.

To szyderstwo mocno ubodło Krasińskiego, wydało mu się rażącym dyssonansem, a ponieważ wiedział, jak Słowacki wielbił i naśladował Szekspira, więc zdało mu się, że ujemnemu wpływowi Szekspira trzeba ten dyssonans przypisać.

¹⁾ Tamże T. III, str. 11.

Jeden tedy z późniejszych listów do Słowackiego zappełnił cały krytyką Szekspira, to jest jego stanowiska empirycznego, a to w tym celu, aby obudzić w Słowackim potrzebę wyższej syntezy filozoficzno-religijnej, której brak w nim teraz żywo uczuł. „Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również, i ten zły, czyli nie domiar dobrego, brak wielkości, brak poczucia na czem powszechność, ogół, harmonia wszechzycia zależy, piętno materyalizmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe, wyciska na czole Szekspira piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności“. W ocenie tego złego ducha Szekspira zapewne przesadzał Krasiński, ale na to tylko, aby dać przestrożę i naukę Słowackiemu i zwrócić jego uwagę na to, że jego tragedia ostatnia, która była mieszaniną Szekspira i Eurypidesa, a zbyt przechylała się w stronę Szekspirowskiego *buffo*, nie miała w sobie prawdziwej tragiczności. Nie mówił już o tym wyrażnie, ale pozwalał domyślać się. „A płakać, męczyć się, krwawić się o nic, za nic, jest w rzeczy samej smętnem blażeństwem; dopiero tam prawdziwa i wyniosła tragiczność, gdzie jest cel męce, gdzie życie pokoleń ludzkich pojęte, jako męka po Szekspirowsku, ale jako męka *serio* nie *buffo*, męka wznosząca się coraz wyżej ku Bogu, męka rozwijająca wszystkie siły natury ludzkiej na to, by kiedyś wstała i przeszła w błękit pogody...¹⁾“

Otóż w porównaniu z tak pojętą tragicznością tragiczność *Lilli Wenedy* musi się wydać jako okazała wystawa, popis, gimnastyka mąk torturowych, przeplatana buffonadą, a pozbawiona wszelkiego dążenia do syntezy, do Boga, do rozwiązania dyssonansów w harmonii. Ostatecznie tedy i Krasiński zaczynał uczuć w poezji Słowackiego to, co od razu uczuł Mickiewicz: brak uczucia religijnego, krótko mówiąc: brak Boga.

Jednakże, choć *Lilla Weneda*, jako całość, nie podobala się Krasińskiemu, dla niektórych jej motywów, w szczególności dla postaci wenedyjskiej Antygony i jej braci miał oko i poczucie Ateńczyka, nie mógł też być obojętnym na hołd, jaki mu Słowacki składał w postaci Poleluma. Winienem też tu zwrócić uwagę jeszcze na jedną okoliczność. Krasiński, choć młodszy wiekiem od Słowackiego i niższy talentem poetyckim, czuł się wyższym, doj-

¹⁾ Listy Zyg. Krasińskiego T. III, str. 14.

rzalszym duchowo od niego, starał się wpływać na kierunek dążeń przyjaciela i w istocie wpływ wywierał. Jednak i sam on do pewnego stopnia ulegał wpływowi Słowackiego, a przynajmniej wtórował pewnym jego uczuciom. Wpływ ten, albo raczej ten wtór, widzę w *Trzech myślach Ligenzy*, które się ukazały w tym samym roku, co *Lilla Weneda*, ale nieco później od niej; widzę naturalnie nie w treści samych „Myśli”, które są wyrazem ówczesnych przekonań, poglądów, czy też marzeń filozoficznych i historyzoficznych Krasińskiego, ale w zestawieniu tych „Myśli” z Przedmową wydawcy, w której Krasiński nazwawszy się „Stefan, Szczęsny, Bogdan Mielikowski, przydomku i herbu Gozdawa” wybornie naśladował ton, język i horyzont umysłowy ukraińskiego szlachcica-hreczkosieja, zmuszonego z woli żony podróżować po horyzontach włoskich¹⁾. Ów fikcyjny szlachcic-wydawca, który spogląda na „Trzy myśli” jako na „dziwaczne szusy umierającego na suchoty”, ale je wydaje przez uszanowanie dla ostatniej woli zmarłego, przy tym fikcyjnym Henryku Ligenzie, w którym się ukrył sam Krasiński²⁾, jest jakby powtórzeniem tego kontrastu, który u Słowackiego widzieliśmy w *Grobie Agamemnona*, w *Piaście Dantyszku*, wreszcie w *Lilli Wenedzie*, tego przeciwieństwa między rubasznoscią i naiwnością szlacheckiego ogółu, a wysokim rozwojem intelektualnym wyjątkowych jednostek. Tylko to powtórzenie kon-

¹⁾ Michał Budzyński w swoich *Wspomnieniach z mojego życia*, Poznań 1880 II 120–121 nawiasowo powiada, że przedmowę do *Trzech myśli Ligenzy* pisał Czajkowski. Gdyby i tak było, to zawsze pomysł kontrastu pomiędzy szlachcicem-hreczkosiejem a poetą-filozofem musiał wyjść z głowy Krasińskiego. Ale zdaje mi się, że tak nie było, bo przedmowę mógł napisać tylko ten, co jak Krasiński (r. 1839) był w Palermo i pamiętał różne szczegóły tego miasta. Natomiast bardzo być może, że na Czajkowskim, na jego postaci, na stylu jego opowiadań wzorował Krasiński swojego hreczkosieja. W r. 1840 (9-go maja) pisał do Sołtana: „Jest tu Czajkowski Wernyhora, dzielny jeździec, z całego Rzymu pojmujący tylko piękność łąk Kampanii, bo siostrzaną stepom, zresztą mało dbający o ruiny miasta wiecznego: siądzie ci na kolumny korynckiej podstawie i gada o Skibickim, zarżniętym przez hajdamaków; pójdzie do Kolizeum i przypomina sobie, jak Ataman Konaszewicz przebił Bezborodkę; w Termach Karakalli widzi Czarneckiego, który ścina atamana Wychowskiego. Ale co do Kozaczyzny jedyny badacz głęboki, przenikliwy, zgadujący, historyk żywy, śmiały, kozacki romansista, a sercem całym i wszystkimi pojęciami głowy szczyry szlachcic polski. Listy Zygm. Krasiń. III, 195.

²⁾ Krasiński tym razem starał się ukryć autorstwo swoje nawet przed Konst. Gaszyńskim.

trastu było do pewnego stopnia i poprawieniem jego, rubasznosć i naiwnosć szlachecka występowały tu daleko prościej, naturalniej, sympatyczniej, oblane światłem humoru, a nie szyderstwa. Możnaby myśleć, że Słowacki skorzystał z tej poprawki przyjaciela, że w *Beniowskim*, do którego wtedy się zabierał, uchwycił ton, podany przez Krasińskiego, i że to było przynajmniej w części przyczyną, iż w nowym poemacie z humorem i pewną sympatią traktował rubasznosć szlachecką

polskie domy,
Pijące gardła, wasy, psy, kontusze,
A nadewszystko szczere polskie dusze¹⁾.

¹⁾ Drobną, ale znaczącą wskazówką, że Słowacki rozpoczynał pisać *Beniowskiego* pod świeżym wrażeniem Przedmowy wydawcy w *Trzech myślach Ligenzy* jest okoliczność, że bohaterowi swemu nadał trzy imiona: Maurycy, Kaźmierz Zbigniew. Z tych imion pierwsze tylko historyczne, dwa inne fikcyjne, dodane jakby pod wrażeniem tego, że u Krasińskiego szlachcic-wydawca nosi trzy imiona: Stefan, Szczęsny, Bogdan.

CZĘŚĆ II.

Zdobycie sławy.

1840—1842.

ROZDZIAŁ VII.

Beniowski. 1840—1841.

Geneza poematu. — Zamiar stworzenia polskiego Fausta. — Co było zadaniem poematu. — Uczucia miłosne Słowackiego dla Anieli Moszczeńskiej, p. Bobrowej i Ludwiki Śniadeckiej i ich odzwierciedlenie w poemacie. — Stosunek Słowackiego do Mickiewicza. — Pierwsza uczta na cześć Mickiewicza w Paryżu. — Walka na improwizacye. — Pomysł drugiej uczty. — Drażliwość Słowackiego. — Artykuł „Improwizatorowie”. — Oburzenie Słowackiego. — Epicki wątek poematu. — Swentyna jako muza poety.

Rada, którą Krasiński dawał Słowackiemu w pierwszym ze znanych nam listów do niego, aby przymieszał żółci do swoich lazurów i „z gruba uderzył” na swoich przeciwników, na to zresztą, aby porąbawszy i posiekawszy ich „znów porósł w skrzydła i zawisnąć na niebie”, ta rada prędko znalazła zastosowanie. Trafiła ona tem łatwiej do przekonania Słowackiego, że skłonności ku takiej rąbaninie miał on i przedtem dosyć; można ją znaleźć w rozmaitych zaczepkach i przekasach polemicznych i w *Kordyanie* i w epilogu *Balladyny* i w niewydanej *Podróży na Wschód*. Ale tamte zaczepki zwracały się przeciw wielkim powagom emigracyjnym, Mickiewiczowi i Lelewelowi, z którymi walka była trudną; teraz według rady Krasińskiego chodziło o porąbanie tych podrzędnych duchów, tych bezimiennych krytyków, którzy go lekceważyli i z niego szydzili w *Młodej Polsce*, z którymi zatem walka łatwiejsze obiecywała zwycięstwo.

Formy dla tej rąbaniny Krasiński nie wskazywał, ale też wzór dla niej tak był blisko oczu Słowackiego, że wskazywać nie było potrzeby. Wprawdzie od kilku lat Byron przestał już być wyłącznym jego przewodnikiem w dziedzinie poezyi, bo Szekspir i Dante wysunęli się naprzód, ale Byrona Słowacki tak dobrze znał i pamiętał, że odrazu mógł znaleźć w *Don Juanie* wzór dla tego rodzaju poezyi, o który mu chodziło. Wracał więc do dawnego mistrza, ale wracał dojrzały, bogatszy doświadczeniem i dzięki Krasińskiemu świadomy w całej pełni tego, co stanowiło jego oryginalność, t. j. czarodziejstwa swego stylu. To czarodziejstwo pokazać w całym blasku i na tle tego czarodziejstwa posiekać swoich wrogów, oto było zadanie, które miał teraz do spełnienia.

Ażeby nowy utwór był czemś w rodzaju *Don Juana* polskiego, potrzeba było obrać jakiś awanturniczy wątek powieściowy, któryby służył za ramy dla najrozmaitszego rodzaju wynurzeń i wycieczek i któryby sam przez się bawił wyobraźnię. Na niedługo przed otrzymaniem owego listu Krasińskiego, prawdopodobnie w końcu 1839 r., rozpoczął był Słowacki pisać dramat, którego bohaterem miał być Beniowski. Z fragmentów dramatu, które się dochowały, widać, że fantazya Słowackiego potraconą była świeżo wydanymi (w 1839) *Pamiętkami Soplicy* Rzewuskiego i może dla tego obrała za bohatera nowego dramatu jednego z bohaterów konfederacyi barskiej. *Pamiętki Soplicy* przypomniały mu zapewne inne pamiętniki, odnoszące się do tych samych czasów, a głośnie w całej Europie, bo pisane i wydane po raz pierwszy po francusku (w r. 1791), a potem na wiele języków tłómaczone, pamiętniki Beniowskiego. I w Polsce poczytność ich była niemała, skoro w niespełna dziesięciu latach aż się trzy wydania ich ukazały (1797—1802—1806). Zresztą w tym samym roku 1839 ukazały się *Pamiętniki* Kitowicza (do panowania Augusta III i Stan. Augusta), które wiele anegdotycznego materiału przynosiły do dziejów konfederacyi barskiej. Dramat nowy jednakże miał być czemś więcej, jak dramatycznym obrazem epoki. Jak w *Horsztyńskim*, pisanym jeszcze w Szwajcaryi, chciał Słowacki na tragicznem tle ostatnich chwil niepodległości Rzeczypospolitej przedstawić, w postaci Szczęsnego, niby polskiego Hamleta, tak teraz, jak z fragmentów widać, chodziło mu o to, ażeby z Beniowskiego zrobić coś na kształt polskiego Fausta.

Jak Faust Mephista, tak Beniowski ma przy sobie Pamphila,

który mu ciągle towarzyszy. Z pewnej rozmowy Chrystusa ze św. Piotrem, która się zachowała we fragmentach tego utworu, dowiadujemy się, że Chrystus sam zezwolił na to, „aby człowiek ten (Beniowski) oddany był na pokuszenie i spróbowany w ogniu“, taki więc sam układ między Bogiem a szatanem, jaki jest w *Fauście*, miał i nasz poeta w pomysle. Jak się ten pomysł miał rozwijać, można powziąć o tem pewne, zresztą bardzo niepełne i niejasne wyobrażenie z wiersza wstawionego w środek dramatu; tu dość powiedzieć, że fabuła dramatu miała być zupełnie inna, niż późniejszego poematu o tej samej nazwie, pełna cudowności i fantastyczności, którą faustowski temat za sobą prowadził. Warto też zwrócić jeszcze uwagę na to, że Pamphilus, który pełniąc rolę Mephista, zakrawa nieraz na jakiegoś błazna szekspirowskiego, za cel swojej ironii obiera ze szczególnem zamiłowaniem romantyczny kierunek poezyi¹⁾. Natomiast w ironizowaniu jego nie ma najmniejszej aluzji do osobistych spraw poety, do redakej i krytyk paryskich. Czy jednak Beniowski, jako Faust polski, nie miał reprezentować pewnej strony ducha poety, zaręczyć nie można; i owszem jest nawet wskazówka, że tak mogło być: Pamphilus mówi o Beniowskim że „to jest człowiek, który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy“, malownicze określenie, które się doskonale daje zastosować do samego poety.

Ale zamiar stworzenia polskiego *Fausta* przerastał siły Słowackiego. Stworzyć kilkadziesiąt scen fantastycznych i efektownych, przy ówczesnem rozbudzeniu fantazyi, nie byłoby dlań rzeczą trudną, ale powiązać te wszystkie sceny jedną ideą i to ideą wielką, ogarniającą zagadkę życia ludzkiego, lub przynajmniej życia narodu, i stworzyć z tego całość organiczną taką, o którejby mógł nabrać przeświadczenia, że „ta pieśń nie przeminie“²⁾, na to się

¹⁾ Nazwę Pamfila wzięł Słowacki prawdopodobnie z *Dziwosłaba dworskiego*, dyalogu staropolskiego, którego streszczenie wraz z cytatami znajdował w dziełach swego ojca (Dzieła III 142—145). Pamphilus jest to pan, który chce użyć świata; w sprawie czwartej dyabli i śmierci na scenę przybywają, chcą zabrać Pamfila. W sprawie piątej przybywa wiara w towarzystwie anioła i odpędza śmierć i czartów. Czarcie biją się z sobą, potem śmierć mordują za to, że nie pośpieszyła z odjęciem życia Pamfilowi, a gdy ta bez znaku życia upadła, dla przywrócenia jej do życia wzywają doktora „i to jest, powiada Euzebiusz Słowacki, najdowcipniejsze w tej sztuce zmyślenie“.

²⁾ W wierszu, wstawionym w środek dramatu i ręką poety przekreślonym, znajdował się taki ustęp:

mógł porwać Słowacki, ale dokonać tego nie był zdolny. Uczuł on to zapewne w chwili, gdy stanęło przed nim nowe zadanie, stworzenia polskiego *Don Juana* i dla tego zaniechał dramatu, a widząc, że jego bohater, zarówno jak i tło konfederacyi barskiej nadaje się doskonale do nowego zadania, postanowił ten kapitał, włożony w niedokończony dramat, wycofać stamtąd i obrocić na nowe przedsięwzięcie poetyckie.

To nowe przedsięwzięcie, gdzie rąbanina miała być rzeczą główną, a sama powieść tylko tłem lub ramą, nie wymagało organicznej całości, dawało najpełniejszą swobodę fantazyi. Słowacki znalazł się tu w swoim żywiole: mógł puścić cugle rumakowi swojej poezyi, nie troszcząc się wcale, gdzie go zanieśie. Tej swobodzie szczególnie sprzyjała okoliczność, że o Beniowskim wiadomo było tylko, iż brał udział w konfederacyi barskiej, ale szczegółowa historia tego udziału, z wyjątkiem pewnego tylko ustępu, wiążącego się z obroną Krakowa, nie była znana¹⁾. Że powieść swoją zaczął pisać bez jakiegokolwiek wyraźniejszego planu, na to są w samej powieści jaskrawe dowody. Kończąc pieśń pierwszą, która z wątku powieściowego zamknęła tylko scenę tajemnego widzenia się Beniowskiego ze swoją ukochaną w Anielinkach, poeta nie wiedział jeszcze, czem zapełni pieśń drugą.

O rycerzu więc owym, co był ci do końca
Wiernym i różnej nędzy dla ciebie skosztował,
Śpiewać będę... i może ta pieśń nie przeminie.

¹⁾ W Pamiętniku swoim Beniowski tyle tylko o tym swoim udziale powiedział: „Urodziłem się ze znakomitej familii węgierskiej i z zaszczytem służyłem Rzeczypospolitej Polskiej, której broniąc praw i swobód, ran siedm odebrawszy, zostałem na placu potyczki przez Moskalów wzięty w niewolę“ (Historja podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maurycego Augusta Hrabiego Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego z franc. tłomaczona. Edycja nowa. W Warszawie 1806. T. I str. 55—56). We wstępie do pamiętnika opowiedziane są czyny wojenne Beniowskiego z lata 1768 r., kiedy jako generał artylerji bronił Krakowa i robił stamtąd różne wycieczki, ale opowiadanie to urywa się z chwilą, kiedy Beniowski po ataku na Apraksynę (11 sierpnia) ranny wpada w ręce nieprzyjaciół. Dowiadujemy się jeszcze tylko, że odrzucił propozycję służby w wojsku rosyjskiem, że wykupił się z niewoli i wrócił do Krakowa, a potem nagle takie oto oświadczenie następuje: „Nie będziemy wchodzić w szczegóły operacyj wojennych Hrabiego w ciągu tej wojny. Dostatek powiedzieć, iż od tego momentu aż do dnia 19 maja 1769 r. dawszy jak największe dowody swojej zdadności, męstwa i determinacyi, wpadł powtórnie w ręce moskiewskie, dwa razy szablą a raz od kartacza ranny“. (Tamże, str. 22).

więc mój czytelniku,
 Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
 Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
 Kościół i wielka słoneczna framuga,
 I na tęczowym Duch święty promyku;
 Także cokolwiek szlachty. Powieść taka,
 Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

Z tych słów trzeba się domyslać, że poeta chciał do pieśni drugiej wprowadzić jakąś scenę sejmikową, która zwykle odgrywała się w kościele lub w refektarzu klasztornym i można by nawet myśleć, że słowa Krasińskiego: „do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać” sprawiały tu pewną sugestję. Ale zaczawszy pieśń drugą Słowacki zapomniał, czy też nie dbał o to, co przedtem zapowiedział i w tej pieśni drugiej nie znajdujemy wcale ani kościoła, ani słonecznej framugi, ani nic z tego, co te szczegóły zdają się zapowiadać, natomiast znajdujemy dziki wyskok księdza Marka, wbiecie sztyletu w dłoń regimentarza Dzieduszyckiego, niczem niezapowiedziany i niespodziewany i stosowniejszy dla jakiejś powieści bajrońskiej o korsarzach, niż dla takiej, która ma być „jak dawny, długi, lity pas Polaka”.

Kończąc pieśń drugą, Słowacki znowu zapowiadał rzeczy, które nie miały się ukazać ani w następnej, ani w którejkolwiek z pięciu pieśni, które sam wydał:

Dalej ujrzenie zapalone miasta,
 Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
 Wiszących — Romans w poemat urasta!
 Coś w nim o królu będzie, o zarazie,
 O Panu Bogu. Pociągnawszy hausta,
 Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.
 Jak się rozgniewam na imaginację,
 Dyabłowi oddam bohatera duszę i t. d.

Z ostatnich wierszy widać, że nie był pewny, czy nie wypaźnie mu powrócić do pomysłu Fausta-Beniowskiego, co także wskazuje, jak żadnej jeszcze wytkniętej drogi nie miał przed sobą w *Beniowskim*. W pieśni trzeciej żartował sobie nawet z własnego planu swojej powieści, pisząc, że czterdzieści cztery (mistyczna liczba) pieśni całych „w planie stoi”, a przy końcu tej pieśni wpół żartem, ale poniekąd trafnie określił charakter i cel swego poematu.

I mój rym także

Porozciągawszy tęczę na obrazie,
 Pokołysawszy naksztalt dobrej łodzi,
 Idzie spać. Wyraz został przy wyjście,
 Nie wiem czego chce i czego dowodzi?
 Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
 Chciałem, aby się spalił i nie więcej.

Tak, pokazać czarodziejstwo stylu swego i olśnić niem, to był jeden cel; drugi, to nasypać żaru z tych gwiazd palących się za kołnierz tym wszystkim, których uważał za swoich przeciwników.

Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
 Syryusz zrzucony przez nią (mużę) lub Niedźwiadek,
 Spali się, lecz ja nie winien.

Można powiedzieć, że każda pieśń *Beniowskiego* z osobna spełniała to podwójne zadanie: olśniewać czytelników i wydrwiwać nieprzyjaciół. Ale nim przejdę do analizy tej walki podjazdowej, którą Słowacki prowadził w *Beniowskim* i różnego rodzaju wynurzeń osobistych, które jej towarzyszyły, winienem zwrócić uwagę na niektóre szczegóły z jego życia w ciągu pisania *Beniowskiego*, ponieważ one odzwierciedliły się w poemacie i wogóle w historii ducha jego niemalą odegrały rolę. Chodzi tu przede wszystkim o stosunek Słowackiego do p. Bobrowej i do Mickiewicza w tym czasie.

Pani Bobrowa była, jak wiadomo, w przeciagu lat kilku, od 1833—1838, przedmiotem miłości Zygmunta Krasińskiego. Młoda piękna, bogata, wydana została za męża za człowieka, który był także bogaty i cieszył się znaczeniem wśród swoich współziemian wołyńskich, ale wykształceniem i usposobieniem nie odpowiadał bynajmniej romantycznemu nastrojowi młodej żony. Wyjechawszy dla zdrowia do Włoch, spotkała się z Zygmuntem Krasińskim, który przez Radziwiłłów był jej powinowatym i w młodszy od siebie o lat kilka, ale umysłowo przedwcześnie rozwiniętym i na wysoki ton romantyczny nastrojonym poecie znalazła pokrewną sobie duszę. Wrażenie, jakie wywarła na Krasińskim przy pierwszym spotkaniu, odzwierciedliło się w *Niedokończonym poemacie*, w wykrzyknikach młodzieńca, opisującego Aligierowi księżnę Rahoga: „jak Polska cała, tak ona, ta jedna Polka jest bezmiarem nieszczęścia, ubranym w nadziemski wdzięk! Nigdy nie podobniejszego do przechodzącej ojczyzny nie widział” „przysięgam ci, nigdy ta-

kiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalający, paryjski, blaskosiejny marmur — napisu żadnego — spojrzysz i powiesz: „Posąg medycejskiej być z niej ma“ — a w tem znów spojrzysz i patrzysz, aż tu kamień grobowy już i pod tą bryłą światła — śmierć. Więc klękaj i módl się i płacz! — to Ona!“

Ta marmurowa grobowość nie przeszkodziła pani Bobrowej opłacać siecią miłości Zygmunta Krasińskiego tak, że stał się jej niewolnikiem i współnikiem winy wobec męża i dzieci. Jeżeli mowa o wspólnej winie, to trzeba zwrócić uwagę na to, że jakiegoś uwodźcielstwa ze strony Krasińskiego niepodobna przypuścić; sam stosunek wieku pomiędzy nimi świadczy za tem stanowczo. Dość powiedzieć, że kiedy pani Joanna wychodziła za mąż, Krasiński miał dopiero wtedy lat trzynaście. W ośm lat potem, kiedy się poznał z panią Bobrową, był młodzieńcem, dopiero wychodzącym i to niezupełnie z pod ścisłej kurateli ojcowskiej, ona zaś była kobietą w całej pełni dojrzałą i w dodatku matką dwojga dzieci. Ciężar winy zatem, jeżeli się rozdzielał na dwoje, to bardzo nierówno, Krasiński jednak, choć ostrył później w miłości, czuł się skrepowanym wobec pani Bobrowej dawniejszym z nią stosunkiem i dopiero staraniom jego ojca w r. 1838 udało się wyzwolić go z tej zależności.

W r. 1840 pani Bobrowa, która wzorem wielu bogatych rodzin polskich, próżniacze wiodących życie, przebywała prawie ciągle za granicą, przyjechała na dłuższy pobyt do Paryża, a ponieważ trzymała dom otwarty, więc łatwo było Słowackiemu dostać się do jej salonów. Poznał on ją był kiedyś, jeszcze w r. 1831, w Dreźnie, ale ta przelotna znajomość nie wywarła była wtedy na nim jakiegokolwiek silniejszego wrażenia. Inaczej teraz było. Słowacki wprawdzie, jak się zdaje, nie wiedział z początku nic o tem, że to p. Bobrowa była tą Maryą, której poświęcone były trzy utwory Krasińskiego: *Agay-Chan*, *Nieboska komedia* i *Irydyon*, ale ten uroczysty smutek, ten posagowy spokój w postaci pani Bobrowej, który tak zachwycał Krasińskiego, nie omieszkał tym razem i na Słowackim wywrzeć głębokiego wrażenia. W jednym z późniejszych listów jego, z czasów kiedy fantazja poety bląkała się po ścieżkach mistycyzmu, znajduje się wspomnienie pierwszego, jak się zdaje, spotkania się Słowackiego z p. Bobrową i refleks wrażenia, jakie wtedy wywarła na pocię. „W tym ranku mroźnym nowembrowym

obaczyłem czarną postać Pani, niby większą, na horyzoncie pół czarnym wrzosem pokrytych, wobec tych firanek złotych i srebrnych, które aniołowie podnosili na niebie i niby na walki zwiłali... Widzę blask złoty straszego słońca i twarz Pani oświeconą, i oczy i usta wpół otwarte, strój nawet Pani jakiś ciemny, obszerny, w złote łamiący się fałdy, i pytam się, jaki to żurnal poradził Pani krój i kolor tej sukni, w której mi się Pani pokazałaś w Paryżu? Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcza z błyskawicy wschodniej nie wdziawał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić...¹⁾

Na Słowackiego zatem, jak można z przytoczonego ustępu wnioskować, p. Bobrowa wywarła silne wrażenie nie tylko swoją pięknoscia, nie tylko posagowym wyrazem smutku, ale i artystycznie dobraną do tego smutku dekoracją, na co tak czułym był zawsze autor *Kordyana*. Były i inne powody, dla których coraz częściej i chętniej bywał w domu p. Bobrowej Słowacki. Naprzód znajdował tam komfort i elegancję, a także może nieliczne, ale wykwinne towarzystwo nawpół polskie, nawpół francuskie, co wszystko pociągało go ku temu domowi; powtóre, jak się łatwo domyślić, pani domu ze szczególną uprzejmością go witała, ze szczególnem upodobaniem z nim rozmawiała, nie tyle jako z poetą, ile jako z przyjacielem innego poety, Krasińskiego. O tej zaś przyjaźni dowiedzieć się musiała wcześniej, jeżeli nie skądinąd, to w każdym razie z listów do Krasińskiego, stanowiących przedmowy do *Baladyny* i *Lilli Wenedy*.

Pani Bobrowa pielegnowała ciągle w sercu miłość dla Krasińskiego, choć już dwa lata upłynęły od ostatecznego zerwania między nimi. Czy ludziła się nadzieją, że to zerwanie może nie jest ostatecznem, że sprowadziła je tylko wola ojcowska wbrew woli synowskiej? Jakkolwiekby, to pewna, że Słowacki był dla niej zwierciadłem, w którym mogła oglądać z daleka postać swego ukochanego i w którym sama mogła z daleka pokazywać się swemu ukochanemu, bo Słowacki korespondujący z Krasińskim mógł każdą z dwóch stron obdzielać wiadomościami o drugiej stronie. Tego się zapewne nasz poeta nie domyślał i skłonny do brania wszystkiego

¹⁾ Listy J. Słowackiego do p. Joanny Bobrowej jako dodatek do Małeckiego „Juliusz Słowacki“ wyd. 3. T. III, str. 304—305.

na swoją korzyść, ze szczególnej uprzejmości gospodyni dla siebie wnioskował o szczególnych jakichś uczuciach, które w niej obudził. Zdawało mu się, że pani Bobrowa zaczyna się w nim kochać, to naturalnie mocno mu schlebiali i pobudzało do ubiegania się o jej miłość. A gdy widział, że te zabiegi bynajmniej przewidywanych nie wywołują następstw, gdy nie widział postępu rzekomej miłości w pani Bobrowej dla siebie, był zbity z tropu.

Stosunek Słowackiego do p. Bobrowej, a także do dwu innych kobiet, o których miłość się ubiegał, to jest do Ludwiki Śniadeckiej i Anieli Moszczyńskiej, odzwierciedlił się w *Beniowskim*, to też ten poemat daje najlepszą sposobność do zbadania i ocenienia miłosnych uczuć poety i tej roli, jaką miłość odgrywała w jego życiu i poezji.

W drugiej pieśni *Beniowskiego*, mówiąc o podolskim domu i Podolankach, Słowacki umieszcza następujące strofy:

Sam znałem jedną... lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej,
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga patrzył się najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić,
Jej słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Od słońc na wielkie słońca i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszcze za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłym parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,
Więcej niż śniło się wam filozofom —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu — ziemskim, tam — nadsłonecznym...

To wspomnienie, w tak eterycznych wyśpiewane strofach, nie może się do nikogo innego odnosić, jak do panny Anieli Moszczyńskiej. Z tej eterycznej poezji jakież się da wycisnąć wniosek o stosunku, który wiązał poetę z ową wspomnianą Podolanką? Wszystko tu niejasne, mgliste, ale czytelnik, któryby nie wiedział, jaki był naprawdę stosunek pomiędzy nimi, musi przypuścić, że była tam głęboka miłość, przynajmniej z jednej strony, ale jeszcze pewniej obustronna, że tę miłość, albo raczej szczęście, które ta miłość obiecywała, zerwała śmierć i strzaskała serce poety. Zresztą i innym domysłem stała tu brama otworem i można się było i tego domyślać, że owa „jedna“ umarła z miłości dla poety. Tymczasem istotny stosunek poety z Anielą Moszczyńską, jak to widzieliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, nie był ani trochę podobny do tego, jaki się z lekka zarysowuje w eterycznych strofach *Beniowskiego*. Wszak w rok potem pisał Słowacki do matki: „pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nie dać nawzajem, nawet serca“¹⁾.

Ale nie dość tego, boleść zawodu matrymonialnych nadziei, jakiej doznał Słowacki przy rozstaniu się z domem Moszczyńskich, wyraziła się w dwóch współczesnych sonetach, wydanych dopiero w pośmiertnych pismach poety (T. I). Otóż jeżeli te dwa sonety zestawimy z trzema strofami *Beniowskiego*, tej samej poświęconymi osobie, tu dopiero pokaże się dyametralna różnica w przedstawieniu stosunku, który wiązał poetę z mniemaną jego kochanką. W pierwszym sonecie czytamy te słowa:

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby łzami je zaproszyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łyż dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałyby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony...

Czego właściwie chce poeta w tych pięknych wierszach, tego dokładnie określić nie można, to tylko pewna, że gniewa się na tę,

¹⁾ Listy II, 124.

„która go chciała zdeptać“ i chęć się wbrew wprawdzie, że była kochaną. W drugim sonecie ton oburzenia jest równie silny, może nawet silniejszy, ale pretensje poety do Anieli M. są zrozumialsze.

Ogniem, żalością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak szanbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystym!
A ty myślałaś, że ja z tem ognistym
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwej piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne

I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiej w trumnę!

Cóż można wyrozumieć z tego wspaniałego oburzenia? Oto że poeta kochał gorąco ową Anielę, nie wiedząc kogo kocha; ale przekonawszy się, że ona jest zimną, jak bryła lodu, odwraca się od niej ze wstrętem i poczytuje to nawet za hańbę własnemu sercu, że ją kiedyś kochało.

Zdaje się, że nie można piękniej i z większą siłą wyrazić oburzenia, wywołanego takim zawodem. Ale jeżeli to oburzenie i zarzuty ciskane na kochankę zestawimy z pewnymi ustępami listów poety do matki, to dziwnie przykra spotka nas niespodzianka, pociski rzucone przez poetę obróć się przeciw niemu, a oba sonety wydadzą się nam prześlicznym opracowaniem wymarzonego tematu lirycznego bez związku z rzeczywistością, podobnie jak wiersz *Przekleństwo*, pochodzący z czasów szwajcarskich, gdzie biednej i dobrej Eglantynie Pattey dostała się najniezasłużonej rola „gadziny“, która swoim żądłem wygnała poetę na samotność.

Oto, co pisał Słowacki do matki z Florencyi w czasach, kiedy go żywo łudziła nadzieja poślubienia bogatej panny. Pani Moszczyńska wybierała się wtedy sama z Florencyi na Ukrainę i spodziewała się, że przejeżdżając przez Krzemieniec, zobaczy się z matką poety. „Jeżeli więc będziesz widzieć panią M., bądź, moja droga, dla niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mnie mają za bardzo dobre stworzenie, a nawet panna M., dla

wszystkich dosyć zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem...“ Był że to język ognistej miłości, a nie zimnego wyrachowania i ostrożnego zapobiegania, aby matka nieostrożnem słówkiem nie popsukała mu u rodziców panny opinii „dobrego stworzenia?“ I czy znając charakter Słowackiego nie mamy prawa przypuszczać, że w stosunku jego z panną Anielą stało się coś wręcz przeciwnego temu, co wyrażają sonety, to jest, że panna nie znalazła w Słowackim tego, czego się spodziewała, to jest szczerzego uczucia i potraktowała go w końcu z pewną dumą, która rozbiła jego nadzieje i zraniła dotkliwie — i oto prawdziwe a nie wymarzone przez poetę źródło oburzenia, którem dyszą jego sonety.

Ale przejdźmy do zestawienia sonetów z trzema strofami *Beniowskiego*, poświęconemi pannie Anieli. Ta, która miała zimne serce i była marmurową skałą, zamienia się w siostrę róż najbielszych, źródło woni i blasków, w istotę, której pamięć rozświeca duszę poety, w głos harmonii, przenikający światy. Cóż się stało pomiędzy napisaniem sonetów, a chwilą pisania owych strof *Beniowskiego*? Czy poeta znowu się z nią spotkał i przekonał się, że ją fałszywie osądził i pojednał się z nią i pokochał? Bynajmniej; dowiedział się tylko, że umarła. I oto otwarte było pole dla przypuszczeń i rojeń, które i miłości własnej poety i jego marzycielskiej naturze dogadzały. „Choroby, z której umarła, pisał do matki¹⁾ nie zrozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiały, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał. Może być jednak, że ta, która tylu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, że się nie oświadczył...“ Było to więc delikatne przypuszczenie, że umarła z miłości dla niego. „A jednak, dodawał zaraz, pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nie dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem... Bo choćby to było w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu... Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszczaając oczy przedemną, pyta się, dla czegoś mnie nie kochał? Śmierć ją upiękniała w oczach moich“...

¹⁾ Listy II, 123—124.

Owoż tak źródłem oburzenia w sonetach, jak źródłem zachwytów w *Beniowskim* była gra wyobraźni, przystrajająca podrażnioną miłość własną poety — i nie więcej.

Czy stawiać strofy, poświęcone Anieli Moszczyńskiej, poeta znał już p. Bobrową i liczył na to, że ona je będzie czytała? nie wiemy. Ale to pewna, że pisząc pieśń trzecią, Słowacki nie tylko znał już p. Bobrową, ale i łudził się nadzieją „jej miłości. W ustępach widocznie do niej zwróconych jest mgliste oświadczenie własnych uczuć i lekkie próbowanie jej serca.

Krwia do was piłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wezglowiem
Jedno kobiece serce — jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty...

A o parę strof niżej:

Ona jak złoty mój duch dobrej rady
Ogoni czarne cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.
Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstają,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny!

W tych wierszach jest mowa tylko o litości siostrzanej, ale ta litość ma moc wskrzeszenia serca i zbawienia poety, więc łatwo się domyślamy, że pocie chodziło o coś więcej, jak o litość; a ostatni wiersz był jakby nieśmiałym zapytaniem jego, czy może mieć jakąkolwiek nadzieję.

Za komentarz do tych ustępów może służyć współczesna korespondencya Krasińskiego ze Słowackim z początku roku 1841. Przeniknąwszy skutek rozmów z p. Bobrową stosunek, jaki wiązał ją z Krasińskim, Słowacki w jednym z listów swoich do przyjaciela dotknął tej struny, aby i z drugiej strony coś się o tym stosunku dowiedzieć, ale zarazem, może mimowolnie, odkrył coś i z własnych uczuć dla pani Bobrowej. Nie znamy tego listu Słowackiego, ale znamy odpowiedź Krasińskiego na ten list. Krasiński nie zapierał się, nazywał panią B. „najsłodsza, najlepsza, najszla-

chetniejszą z dusz, którym ten planeta już czyścem i męką ciągłą“, sądził, że jej „nadewszystko teraz, przyjaznej, męskiej, a jednak, że tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba“, ale jednocześnie ostrzegał Słowackiego, że się znajduje na zdradzieckiej pochyłości. „Nam, powiadasz, zostawisz koniec zagmatwanej naszej tragedji, a sam odejdziesz! O nie, ty się mylisz, ty zostaniesz i sam się zagmatwasz, sam, jeśli czasu ci stanie“¹⁾. A w następnym liście jakby przeczuwając, jaki charakter przybierze uczucie Słowackiego dla p. Bobrowej, pisał mu: „Pytasz się, czego żądam od ciebie? Oto tego, byś się nie bawił, oto jedno cię proszę, a jeśli masz kochać, kochaj, ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje“²⁾.

Jak w pieśni drugiej Aniela Moszczyńska, a w trzeciej p. Bobrowa, tak w czwartej króluje Ludwika Śniadecka; jej poświęca Słowacki całych dziewięć strof. Ten zwrot do „kochanki pierwszych dni“ (Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim) po strofach poświęconych p. Bobrowej zdaje się wskazywać, że nadzieje Słowackiego pozyskania serca tej ostatniej, w czasie pisania czwartej pieśni, musiały zbladnąć i nasuwa się nawet przypuszczenie, że cały ten długi hymn na cześć pierwszej kochanki napisany był przedewszystkiem *ad usum* p. Bobrowej, trochę aby ją podrażnić, trochę, aby się popisać stałością uczuć, któraby jej stałości dorównać mogła.

I powiedz, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — iza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła;
Twa dusza znała to — i przychodziła.

Czy poeta czuł na prawdę to, co tu pisał? Czuł tak, jak czuje dobry aktor, głęboko przejęty swoją rolą i nie pamiętający ani trochę, że poprzedniego wieczora w odmiennej występował roli. I Słowacki stawiać w *Beniowskim* entuzjastyczne strofy dla „ko-

¹⁾ Listy Zygm. Kras. III, 18.

²⁾ Tamże III, 27.

chanki pierwszych dni“ nie pamiętał zapewne tego, co pisał o niej przed czterema laty. Niewątpliwie postać Ludki otoczoną była w jego pamięci poetycznym urokiem niezatartych wrażeń dzieciństwa i pierwszej młodości, ale były chwile, kiedy podrażniona ambicya dyktowała mu najzłośliwsze sarkazmy na tę, której „anioł“ jakoby „bez skazy spał“ na piersiach poety. Co myśleć o prawdziwych poetycznych zapewnieniach, poucza nas kilka strof z *Podróży na Wschód*, która już od czterech lat spoczywała była w jego tece

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskał zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskim polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“
— „Jakie?“ rzekł gruby emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*...

Wiadomo, że strofy te odnoszą się do Ludwiki Śniadeckiej, że ona kochała się w synu generał-gubernatora wileńskiego Korskowa, który zginął pod Warną w wojnie tureckiej 1828 roku. Otóż analiza wszystkich ustępów *Beniowskiego*, poświęconych różnym kochankom Słowackiego pozwoliła nam stwierdzić prawdę określenia, podanego na początku tej pracy, a mianowicie, że miłość kobiety była dla Słowackiego raczej potrzebą ambicyi, niż serca, miała służyć przedewszystkiem za aureolę dla jego geniuszu.

A jeżeli nie było szczerości w jego wynurzeniach miłosnych, za to miał najdoskonalsze poczucie artystyczne tego wszystkiego, co stanowi wdzięk kobiecy i umiał tym wdziękiem tak przyozdobić stworzone przez się postaci kobiece (a szereg ich długi), że pod tym względem nikt z poetów polskich dorównać mu nie może.

Możnaby powiedzieć, że dla niego kobieta stanowiła część przyrody, że nie budziła w nim takich uczuć, jakie budziła i budzi w innych, kochliwych zazwyczaj poetach, tylko takie, jakie budził w nim widok pięknej przyrody. Nie ma w tych postaciach głębi psychicznej, nie ma czasem konsekwencji, ale jest nadzwyczajny wdzięk linii, kolorów i tonów.

Zobaczmy teraz, jaki był stosunek Słowackiego do Mickiewicza w czasie pisania *Beniowskiego*. Jak ciężkiem było położenie Mickiewicza w tym czasie, kiedy Słowacki przybywał powtórnie do Paryża dla zdobycia sławy, o tem już wyżej była mowa. Położenie to w ciągu dwu lat następnych (1839 i 1840) o tyle się polepszyło, że nie brakło już autorowi *Pana Tadeusza* środków utrzymania rodziny, która z każdym niemal rokiem zwiększała się, ale profesorska praca, która mu tych środków dostarczała, była ciężkiem jarzmem na szyi poety. „Ja wczora zwałem z karku trzeci tydzień lekcji, pisał do Bohdana Zaleskiego (z Lozanny 2go listopada 1839) i dzisiaj, jak katorżnik wypuszczony na światło, dyszę. Pracę mam wielką. Dni całe nie wstaję od stołu, a często do pierwszej w nocy rozbieram jaki trudny metr łaciński. O siódmej muszę być na nogach we dni lekcyjne. Żrę tedy łacinę i pluję francuszczyzną. Nie prędko będę mógł spotkać się z tobą na lutnię. Śpiewaj tymczasem za nas, mój słowiku“¹⁾. To też czasy lozańskie nie nie przyniosły do wieńca poezyi mickiewiczowskiej, prócz kilku drobnych urywków, z których jeden „Gdy tu mój trup itd.“ jest właśnie wyrazem owej niezgody, owego rozdwojenia w życiu poety pomiędzy usposobieniem jego poetyckiem a wymaganiami pracy profesorskiej, tem cięższej, że uczył wśród obcych i w obcym języku.

Słowacki musiał z zadowoleniem porównywać swoje położenie z położeniem ówczesnem Mickiewicza, bo nie potrzebował na chleb pracować, miał dzięki troskliwości matki środki na skromne, ale wygodne życie, i mógł się całkowicie oddawać poezyi. To też oddawał się jej z większem niż kiedykolwiek natężeniem sił twórczych, jakby chcąc korzystać z czasu, póki jego wielki współzawodnik milczał, przyciśnięty jarzmem profesorskiem. Przyjemnie mu też brzmiały słowa Krasieńskiego o Mickiewiczu, że „przeszedł, minął“, jak i ten dość niefortunny, chyba tylko dla rozweselenia

¹⁾ Korr. Ad. Mick. 1880 I, 209.

przyjaciela napisany koncept Krasińskiego, że ten, co postawił obelisk granitowy „uczy Szwajcarów, jak nie mają umieć po łacinie.“ Zresztą Mickiewicz był w Szwajcarii, zdaleka od dziennikarstwa emigracyjnego w Paryżu, nie można go było posądzać o udział w krytykach, które godziły w Słowackiego, więc już i dla tego słabnął w Słowackim antagonizm względem Mickiewicza.

Ale pod koniec 1840 r. sytuacja się zmieniła. Mickiewicz mianowany został profesorem literatur słowiańskich w Collège de France i zjechał na stały pobyt do Paryża. Wprawdzie i przy tem nowem zadaniu, jakie miał przed sobą, trudno mu było oddawać się poezji, ale stanowisko jego profesorskie było nierównie ważniejsze i świetniejsze teraz, kiedy miał przemawiać nie w jakimś zakątku szwajcarskim, ale w stolicy świata, i nie *de re metrica* lub *de asse romano*¹⁾, ale o dziejach i twórczości umysłowej Słowian, i śledzić bieg myśli polskiej na tle słowiańskim. Więc uwaga całej emigracji zwróciła się na niego, a jego wielka sława poetycka, od kilku lat niezem nie odświeżana, na nowo w pamięci wszystkich zabłysła. Nie brakło wprawdzie i głosów niechętnych, ale tonęły one w ogólnym chórze uwielbienia i radości.

Początek kursów (22 grudnia 1840 r.) zbiegł się z podwójną uroczystością: Bożego Narodzenia i imienin poety-profesora. Już wspólna wigilia w klubie polskim, która zgromadziła przeszło sześćdziesiąt osób, a której przewodniczył osiemdziesięcioletni Niemcewicz, przedstawiciel dwóch zamkniętych okresów literatury polskiej i trzech powstań polskich, była owacyą dla Mickiewicza. Nazajutrz drugą owacyą dla poety przygotował jeden z jego najgorętszych wielbicieli, księgarz-emigrant, wydawca *Młodej Polski*, Eustachy Januszkiewicz; mianowicie wydał na cześć poety sutą ucztę, na którą sprosił do czterdziestu znajomych, przeważnie ze świata literackiego i artystycznego. Między zaproszonymi był także i Słowacki i stawiał się na ucztę, pomimo, iż mógł się spodziewać, że spotka się tam nie tylko z Mickiewiczem, ale i z autorem recenzji o *Balladynie*, Ropelewskim.

Żeby zrozumieć, dla czego obraza, jakiej doznał Słowacki ze strony *Młodej Polski*, nie przeszkodziła mu wziąć udziału w uczcie wydanej przez Januszkiewicza, trzeba wiedzieć, że na pół roku przed tą ucztą, *Młoda Polska* w Nr. 17 pod datą 20 czerwca 1840

¹⁾ Porówn. Korespondencyą Mickiewicza T. I, str. 206.

dała mu jakby lekkie zadośćuczynienie za dawniejszą obrazę, a to mianowicie w ten sposób, że umieściła wiersz jego „*Na sprowadzenie prochów Napoleona*“ z bardzo pochlebnym dla autora przypiskiem: „Szczęśliwem dla nas zdarzeniem, doszedł rąk naszych niniejszy wiersz pana Słowackiego. Pozwolił nam, abyśmy przypuścili naszą publiczność do rozkoszy, jakiej doznaliśmy sami, czytając te piękne strofy.“ Słowacki nie był zapewne zupełnie rozbójony tym dopiskiem, ale sądził, że może teraz bez ujmy dla siebie zająć miejsce przy uczcie u wydawcy *Młodej Polski*.

Uczta była wydaną na cześć Mickiewicza; na tej uczcie miał spotkać się z tym, za którym przez wiele lat daremnie podążał, aby go prześcignąć na drodze do sławy, któremu przez tyle lat zazdrościł pierwszeństwa, z którym oprócz tego miał różne rachunki nie załatwione, jak wprowadzenie doktora w *Dziadach*, jak nazwanie jego, Słowackiego, poezji kościołem bez Boga. Ale ten wielki współzawodnik, którego sława „lekko“, jak się wyraził, zarobiona, tak go trapiła, od kilku lat przestał tworzyć, i nie było to już tajemnicą, i już inni twierdzili o nim, że „przeszedł i minął“. Słowacki, który sypał ciągle nowe utwory, jak z rękawa, którego styl poetycki dosięgł w tym czasie najwyższej doskonałości, którego wyobraźnia kotłowała mnóstwem obrazów, postanowił skorzystać ze sposobności, jaką mu dawała uczta, aby okazać wyższość swoją terazniejszą nad tym wielkim przeciwnikiem, którego opuściło natchnienie. Znając charakter Słowackiego, mam przekonanie, że z tą myślą szedł na ucztę i że z tej to myśli wypłynęły dwie tak zwane improwizacye jego na tej uczcie, które były jakby wyzwaniem Mickiewicza do zmierzenia się z nim na poezją.

Słowacki, przyjmując zaproszenie na ucztę, mógł być pewnym, że będzie wezwany do przemówienia, czy to wierszem, czy prozą na cześć Mickiewicza, dla tego to improwizacye jego były zapewne z góry obmyślane, nie były we właściwym tego słowa znaczeniu improwizacyami. Tak przypuszczać każe przedewszystkiem okoliczność, że Słowacki nigdy, ani przedtem, ani potem nie występował jako improwizator, nie miał tego zadziwiającego daru, którym jaśniał i tak podbijał serca słuchaczy i widzów w pewnym okresie swego życia Mickiewicz. Trudno więc przypuścić, aby on, tak trwóźnie dbający o swoją sławę poetycką, chciał ją, nawet przy szczególnem podnieceniu fantazji, stawiać na kartę przypadku i puszczać się w takiej właśnie chwili na drogę, nigdy przez siebie

nie wypróbowaną. A że wystąpił aż z dwiema improwizacyami bezpośrednio jedna po drugiej i to bez żadnego już wezwania do drugiej, więc możnaby myśleć, że obie te improwizacje, jedną poważną, górną, wojowniczą, drugą łagodną i zabarwioną humorem, miał na wszelki wypadek obmyślane i opracowane w głowie, gdy zasiadał do uczty.

Potrącając te przypuszczenia, nie chcę bynajmniej obniżać poetyckiej wartości owych dwu improwizacji Słowackiego, ale chcę tylko uwydatnić, że w tym pojedynku na improwizacje, który na owej uczcie stoczyli z sobą dwaj najwięksi poeci polscy, Słowacki o tyle wygodniejsze miał stanowisko, że zaczynał, że obierał broń, że miał daleko więcej czasu i swobody do przygotowania natarcia na przeciwnika, niż ten przeciwnik do przygotowania odparcia.

Cóż było treścią owych dwu improwizacji Słowackiego? Wiemy o tem tylko tyle, ile zostało w pamięci niektórych słuchaczy i przełało się następnie w opowiadania listowne. Jest też o tem wzmianka w jednej z ostatnich strof *Beniowskiego*, ale poetycznie mętna i urwana, widocznie poeta przykrawywał ową treść do tego usposobienia, w jakim kończył piątą pieśń *Beniowskiego*. Posłuchajmy na-przód opowiadania gospodarza uczty, Januszkiewicza, które w trzy dni po uczcie przysyłał swojej narzeczonej a późniejszej żonie:

„Przy wieczerzy, której prezydował kochany od nas kasztelan Ludwik Plater, wznoszono rozmaite toasta. Ottavi, Korsykanin, w imieniu Włoch witał Adama, jako wieszczka katolika, tem Adama przeniósł w czasy pobytu w Rzymie. Wezwany Słowacki improwizować zaczął, a w swojej improwizacji wystąpił z całą swoją dumą, którą jednak u końca składa w ofierze przed potęgą geniuszu Adama. Mówił długo o sobie, o wyjściu w świat poezji, o przyjęciu, jakiego doznał i było wiele ładnych rzeczy, ale to wszystko miało cechę zarozumiałej dumy i zmęczony umilkł, a kiedy wśród oklasków szemrał każdy choć pokryjomu przeciw niemu, on znowu powstał i tłumacząc się z tego, co powiedział, trzema czy czterema strofami oddał hołd Mickiewiczowi i uznał słabość swoją. Kończył prawie temi słowy: „O ty coś w *Tadeuszu* tak pięknie opisał grzybobranie, naśladuj twego Wojskiego ze mną: on przez fantazję czy kaprys kładł do worka różne grzyby i nieraz omijał rydze, a brał muchomory“. Podobało się to wszystkim, dawano brawo“¹⁾.

¹⁾ Ten list Eustach. Januszkiewicza wydrukowany jest u Wład. Mickiewicza, „Żywot Adama Mickiewicza“ Poznań 1894 T. III, str. 30—34.

Drugi uczestnik uczty, Jan Koźmian, nazajutrz po uczcie tak pisał o niej do swoich rzymskich „braci w Chrystusie“, Kajsiewicza i Semeneni. „Był wieczór u Januszkiewicza, ja się przez jakieś przecucie nań zawlokłem. Improwizował Słowacki i ślicznie, ale wielka duma w wierszach jego przebijała. Rzucił się pod stopy Mickiewiczowi, ale nie z czci, tylko zabity. Drugi raz jeszcze mówił, ale już z uczuciem lepszym“¹⁾. Ten sam świadek w pół roku potem podobnie, ale nieco szczegółowiej przedstawiał wystąpienie Słowackiego (w *Dzienniku Narodowym* Nr. 16): „W wierszu pełnym giętkich zwrotów, światłych porównań i życia, zwycięzcą swoim wieszczą *Dziadów* ogłosił; przebijała czasem gorycz i ironia w jego strofach, ale piękność ich artystyczna uderzyła słuchaczy i kiedy siadł, wielkie się dały słyszeć oklaski. Wszakże w zadowoleniu otaczającego koła zrozumiał improwizator więcej admiracyi jak współczucia; za szczęśliwem idąc natchnieniem, jeszcze raz do stołu wrócił: „Na łodydze mego życia, mówił do wieszczą *Dziadów*, dwa błyszcza kwiaty; jeden niechęci ku tobie, ten wiednie i opada; drugi przyjaźni, ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek nisko zakwita, schyl się, aby go zerwać!“

Co się tyczy strofy *Beniowskiego*, streszczającej owo przemówienie Słowackiego, to jakkolwiek mętna, jakkolwiek odwołująca wypowiedziane wówczas słowa hołdu, jest przecież potwierdzeniem dwu przytoczonych wyżej świadectw.

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyśka;
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska,
Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Z zestawienia tych świadectw intencje poety występują bardzo wyraźnie. Chciał on na-przód w olśniewających strofach wyrazić skargę na brak uznania, przeciwstawić ten los swój tryumfującemu pochodowi poezji Mickiewicza i uznać się zwyciężonym przez niego, ale zwyciężonym niejako zewnątrz („rzucił się pod stopy Mickiewiczowi, ale nie z czci, tylko zabity“) jakby gromem jego po-

¹⁾ X. Smolikowski op. c. II. 309—310.

ezy („A w ustach słowo, co jak piorun błyska“). Była w tem może daleka alluzya do ciosu, który ugodził Słowackiego w III-ej części *Dziadów*, alluzya podobna do tej, którą wprowadził do epilogu *Baladyny*, może alluzya do krytyki, która padła z ust Mickiewicza na pierwsze tomy poezyi Słowackiego. Po wypowiedzeniu tej swojej krzywdy, w dwuznaczną szatę hołdu przybranej, a dla niewielu może zrozumiałej, chciał przeciągnąć rękę do zgody, pod warunkiem naturalnie, że przeciwnik uzna w nim równorzędnego sobie przedstawiciela poezyi polskiej, a ponieważ ten przeciwnik przestał tworzyć, więc musi w nim uznać i następcę swojego. Dawał więc Słowacki jakoby do wyboru wojnę lub pokój swemu przeciwnikowi, a przede wszystkim chciał olśnić zgromadzonych wielbicieli Mickiewicza potęgą swojego stylu, rozsypać przed nimi gwiazdziste skarby swojej fantazyi, i w ten sposób okazać wyższość swoją nad przeciwnikiem, który zdawał się już być tylko wygasłym wulkanem poezyi.

Że pod formą hołdu było wyzwanie ze strony Słowackiego, tak to zrozumiał i Mickiewicz. Żeby dokładnie przedstawić sobie znaczenie tej sceny i to wrażenie, jakie dalszy jej przebieg wywarł na obecnych, trzeba pamiętać, że zgromadzeni na tej uczcie byli to ludzie z nielicznym wyjątkiem skazani na niedolę tułactwa, ludzie, którzy wielbili i czcili poezję Mickiewicza, nie tylko dla jej piękności artystycznej, ale jeszcze więcej dla tego, że streszczała wszystkie ich bole i tęsknoty patryotyczne i dawała im, szczególnie w *Panu Tadeuszu*, idealny obraz tego, co utracili, a do czego nie przestawali tęsknić, ludzie, którzy od wielu lat przywykli byli widzieć w Mickiewiczu, jako poecie, duchowego wodza narodu. Trzeba pamiętać, że umysły były podniecone i ucztą i różnymi produkcjami muzycznymi, które ją poprzedziły, i rozmową towarzyską i późną porą nocną, i że po improwizacjach Słowackiego, zwróconych do Mickiewicza, cała uwaga obecnych musiała się skupić na tych dwóch poetach. Jeden z nich był dla wielu obojętny, może nawet z powodu swej pychy niemły, ale podziwiać musieli świetność jego improwizacyi. Drugi był im nierównie droższy, ale o drugim dobrze wiedzieli, że od sześciu lat, od napisania *Pana Tadeusza*, przestał tworzyć. Nie wniknęli może we wszystkie zwroty myśli Słowackiego, ale i dla nich nie mogło się zupełnie utać wyzwanie, zawarte w strofach jego. Otóż łatwo sobie wyobrazić, jaki niepokój wewnętrzny trapił niejednego z nich, jak oczekiwano tego, co ma

nastąpić: czy Mickiewicz przyjmie wyzwanie, czy odpowie Słowackiemu i jak odpowie? Czy odnajdzie w sobie dar improwizatorski, którym słynął niegdyś przed wielu laty, który uwiecznił nawet w III części *Dziadów*? Czy znajdzie tyle natchnienia, aby odpowiedź jego mogła dorównać świetnym strofom Słowackiego?

Ze wszystkich opisów tej sceny najlepiej i najwierniej mojem zdaniem, maluje ją cytowany już opis Jana Koźmiana: „Wieszcz *Dziadów*, pisze on, milczał, pasował się z natchnieniem; powstał w końcu i w poważnej, dziwnie prostej osnowie wznosił pieśń miłości przeciw pieśni współzawodnictwa, przypomniawszy młodemu przeciwnikowi lata dziecinne, mówił mu, dla czego ludzie za nim nie poszli, mówił i o sobie, jak nieraz jeszcze niewiary doznaje. Skończył, jak zaczął: spokojnie i wzniosłe. „Dla poety jedna tylko droga... ztąd (z serca) — przez miłość tam — do Boga“. Kto był obecny tej wspaniałej improwizacyi, nie zapomni nigdy natchnionego oblicza drugiego poety (Mickiewicza), poważnej harmonii jego twarzy. Nie było tam popisu, nie było walki. Przy końcu uściskali się improwizatorowie: żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony. Jeżeli który z dwóch zwyciężył, to ten, co czuł więcej, co szczerzej dłoń drugiego chwycił. Tak to zrozumieli obecni¹⁾).

Wierność tego opisu najlepiej stwierdzają świadectwa listowne samychże poetów. „Wczoraj — pisał Mickiewicz nazajutrz po uczcie do Bohdana Zaleskiego — byliśmy na sutej uczcie u Eustachego Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdy nie czułem. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie różnych partyi rozplakali się i bardzo nas pokochali i na chwilę wszyscy napełnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną²⁾“. A Słowacki w kilka miesięcy potem w jednym z listów do matki pisał o Mickiewiczu: „w improwizacyi nie tylko mi przyznał to, co mi należy, ale jeszcze chwalił się w niej, mówiąc, że Ty mu sama moje małe próbki dawno, dawno pokazywałaś, a on Tobie już wtenczas przepowiedział, że mnie wielka i świetna czeka przyszłość... Tem wziął mnie za serce i tego wieczora byliśmy z nim jak dwaj bracia, ściskaliśmy się, chodzili, opowiadając sobie nasze przeszłe za-

¹⁾ Dziennik Narod. Nr. 15 z d. 10 lipca 1841 str. 60.

²⁾ Koresp. Ad. Mick. T. I, str. 230.

targi... I gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas zupełnie dobrze¹⁾.

Z tych i innych świadectw można dość dobrze wyrozumieć tok i nastrój odpowiedzi Mickiewicza. Koźmian trafnie ją nazwał: „pieśnią miłości“ w przeciwstawieniu do „pieśni współzawodnictwa“. Mickiewicz, poruszony wyzwaniem ze strony Słowackiego, w tem skupieniu ducha, które to wyzwanie wywołało, a wśród którego zstąpił nań dawno niewidziany gość, duch poezji, — w tem skupieniu oczyścił duszę swoją z wszelkiej niechęci, jaką mógł mieć ku Słowackiemu i chciał tylko pokazać jemu, a zarazem innym słuchaczom, tę różnicę, jaka ich dzieliła, różnicę stanowisk, jako poetów, i wypływającą stąd różnicę ich stosunku do społeczeństwa. W pokazaniu tej różnicy była nauka dla Słowackiego, nauka ostatecznie dająca się sprowadzić do owego porównania jego poezji z pięknym kościołem bez Boga, które tak jątrzyło Słowackiego, ale nauka podana ręką starszego brata, bez cienia zawiści, z gorącym współczuciem i szczerem uznaniem dla jego genialnych zdolności. Więc jeżeli poezja Słowackiego nie zyskała uznania, nie przemówiła do serc narodu, to dlatego, że płynęła jedynie z głowy, ze świetnej fantazyi, bez udziału serca i nie niosła z sobą tego, co tylko serce dać może i czego naród przedewszystkiem łaknie — wiary i miłości. Na tej drodze on, Mickiewicz zdobył laury; droga ta stoi otworem i dla Słowackiego.

Wrażenie, wywołane improwizacją Mickiewicza, było ogromne, nie tylko dla jej treści i tonu, nie tylko z powodu nastroju obecnych i ich wyteżonego oczekiwania, czy odezwie się wielki poeta, którego głosu poetyckiego oddawna nie słyszano, ale także i z powodu owego dziwnego przeobrażenia, jakie się zwykle objawiało w twarzy poety, gdy schodziło nań natchnienie, gdy poczuwał w sobie siłę improwizatorską. Wiemy od Odyńca, że w czasach wileńskich przemiana w twarzy i w głosie Mickiewicza podczas improwizacji działała na słuchaczy silniej, niż same słowa²⁾. Z uczestników obecnej uczty mało kto słyszał i widział Mickiewicza improwizującego, mało kto był dawniej świadkiem owego cudownego zjawiska, owego wielonego natchnienia, to też im bardziej było nie-

¹⁾ Listy Jul. Słow. T. II, str. 148.

²⁾ O wrażeniu, jakie wywoływały wileńskie improwizacje Mickiewicza, szczegółowo mówiłem w książce „Młodość Mickiewicza“ T. II, str. 290—297.

spodziane, tem silniej działało na obecnych. „Cała twarz jego przybrała jakąś anielską postać; dziwna, niepojęta światłość otoczyła jego skronie. Powstali wszyscy jakby na zjawienie się bóstwa, przychodzącego odwiedzić śmiertelnych“, z takim zachwytem pisał gospodarz uczty do swojej narzeczonej w cytowanym już liście, a Stefan Witwicki, który nie był na tej uczcie, ale wiele słyszał o niej, donosił Bohdanowi Zaleskiemu w kilka dni potem, że „ta uczta było to coś bardzo wielkiego, dziwnego, nadprzyrodzonego. Wszyscy są tem jak pijani. Widziałem już kilkanaście osób z tych, co były obecne i nie sposób sobie wystawić, z jakim wzruszeniem o tem mówią. Twarz Adama miała być w ten moment jak anielska, spokojna, piękna, jasna. Dość ci powiedzieć, że Kaszyc płakał całą noc, a Szadurski, który także nie jest entuzystą, wczoraj mi jeszcze przysięgał, że gdyby mu Adam kazał skoczyć z najwyższej wieży, skoczyłby natychmiast“¹⁾.

I na Słowackiego nie tylko to, co znalazł on pochlebnego dla siebie w odpowiedzi Mickiewicza, ale sam ów czar promieniejący z natchnionej postaci poety musiał działać, skoro i on według własnego świadectwa obejmował braterskim uściskiem Mickiewicza, a nawet, jak niektórzy twierdzili, płakał. Koźmian w cytowanym już opisie powiedział, że nie było tam zwycięzcy ani zwyciężonego, i było to słuszne o tyle, o ile tryumf jest równoznaczny z poniżeniem przeciwnika. Tu takiego zewnętrznego tryumfu nie było, skoro przeciwnicy rzucili się sobie w objęcia ze szczerem uczuciem braterstwa, ale był przecież po stronie Mickiewicza wysoki tryumf moralny, skoro jego przemówienie taki wywołało skutek, że przeciwnika zamieniło w brata: Słowacki był tu zwyciężony wewnętrznie, w sercu swoim, tak samo jak wtedy, gdy po przeczytaniu *Pana Tadeusza*, pomimo głębokiej nienawiści dla autora *Dziadów*, pochylił głowę przed jego nowem arcydziełem.

Ale ten błogi nastrój w Słowackim, wywołany ucztą, nie trwał długo; podrażniona różnymi okolicznościami ambicja poety prędko wzięła górę nad tem uczuciem, z jakim obejmował swego przeciwnika na uczcie i to, co mogło się stać początkiem przyjacielskiego stosunku z Mickiewiczem, stało się powodem namiętnej walki, którą mu wytoczył w *Beniowskim*.

¹⁾ Kronika Rodzinna 1883 Nr. 1 str. 14.

Januszkiewicz zachwycony przebiegiem uczty i dumny z tego, że był jej gospodarzem, że to jego Bóg „wziął za narządzie pokazania tym, co wierzyć przestali w ducha Adama, że to jest lew na spoczynku“¹⁾, podał pomysł uczczenia tej chwili wspaniałym puharem, który wraz z odpowiednim adresem, przez uczestników uczty podpisanym, miał być ofiarowany Mickiewiczowi. Dawało mu to sposobność wyprawienia drugiej uczty, i czynił on wszelkie starania, aby ta nowa uczta była powtórzeniem „górną przeżytej“ chwili, a nawet większe niż tamta przyniosła rozkosze. Zdawało mu się zapewne, że w ten sposób rozbudzi drzemający geniusz Mickiewicza, a nie wiedział, czy nie pamiętał o tem, że takie „górne“ chwile przychodzą same przez się, a nigdy się nie zjawiają na zamówienie.

Pomysł, podany przez niego, przyjęty był z zapalem przez uczestników uczty, którzy i na drugą stawić się mieli, pieniądze na zakupienie puharu prędko się znalazły, chodziło o sposób wręczenia. Układającym plan nowej uczty zdawało się, że najstosowniej będzie poruczyć tę zaszczytną rolę temu, który swoją poezją wywołał improwizację Mickiewicza, a w hierarchii poetyckiej zajmował jedno z najwyższych miejsc po nim — Słowackiemu²⁾. Ale znaleźli się oni w położeniu Podkomorzego z *Pana Tadeusza*, który przysądzając skórę z zabitego niedźwiedzia Hrabemu, „myślał, że Hrabiego ucieszył — nie wiedział, jak boleśnie serce jego przeszył.“ „Czar braterskiej miłości, który ogarnął duszę Słowackiego przy końcu uczty, pierzchnął bardzo prędko: drażliwa ambicja wzięła górę na pierwszą myśl, że to on jest teraz panującym królem poezji polskiej, bo dawniejszy już „przeszedł i minął“, że zatem

¹⁾ Słowa z listu do narzeczonej.

²⁾ P. Hoësieck (l. c. III 88—91) na podstawie listu, który otrzymał od Leonarda Niedźwiedzkiego, jednego z uczestników uczty, (szkoda, że listu tego nie ogłosił w całości zamiast użyć go za kanwę do własnego haftu) opowiada, że pierwotnie był zamiar, aby obu poetów ucześć puharami, i że Słowacki wiedział o tym zamiarze. Czy przynajmniej w tym ostatnim szczególe nie zawiodła pamięć Niedźwiedzkiego, jak to się stało np. z Romanem Żałuskim lub z Januszkiewiczem, który w liście do Małeckiego z r. 1867 opisując drugą ucztę, najwyraźniej — a przecież, jak skądinąd wiemy wbrew prawdzie — opowiadał, że „przy wieczery, Juliusz pił zdrowie Adama i oddał mu kielich“. (Juliusz Słowacki wyd. 3-cie T. II, str. 240). Niedowierzanie względem opowiadania Niedźwiedzkiego nasuwa się z tego powodu, że Słowacki lubił się chwalić przed matką wszelkimi tryumfami swymi, nawet niedoszłymi, a o tym szczególe wcale nie wspomina.

przynajmniej równe holdy im się należą, a tu mu każą przy oddawaniu puharu holdownicze zajmować stanowisko. Zrodziło się w nim zaraz podejrzenie, że jest w tem ukryta chęć upośledzenia go i upokorzenia. „Trzeba, abyś wiedziała — pisał do matki w listopadzie 1841 r. — że przyjaciele mego antagonisty widząc, że z równą sławą wychodzimy, umyślili zaraz, aby mnie czemkolwiek zbić i strącić, więc umyślili dwie rzeczy: 1) abym ja jemu za tę improwizację oddał puhar, co było niby uznaniem mego wasalstwa; 2) napisali zaraz do dalekich stąd pism wielkie kłamstwo... jakoby mi Adam powiedział, że nie jestem poetą“¹⁾.

Otóż tu Słowacki powiązał z sobą dwie rzeczy, które niewątpliwie nie z jednej wypływały pobudki. O drugiej rzeczy potem będzie mowa; co się tyczy pierwszej, upatrywanie wasalstwa w oddaniu puharu Mickiewiczowi i ukrytej złej myśli w tych, którzy mu to proponowali, świadczyło tylko, że Słowacki zajęty wyłącznie swoją osobą i tą rolą następcy po Mickiewiczu, który już „przeszedł i minął“, jaką mu Krasiński wyznaczył, nie spostrzegał, jak słuszną, naturalną, a nawet zaszczytną była propozycja, którą mu czyniono, jak słuszną i naturalną było rzeczą, że hold zgromadzonych na uczcie zwracał się wyłącznie do tego, na którego cześć ta uczta była wydana, który nietylko niespożyte skarby poezji dał narodowi, ale teraz w imieniu tego narodu miał głos zabierać wobec Europy z katedry w Collège de France, który nareszcie był sprawcą owego cudownego podniesienia ducha, w jakim się uczta zakończyła.

W jaki sposób Słowacki wymówił się od tego zaszczytu, w którym widział oznakę wasalstwa, nie wiemy, ale to pewna, że się wymówił. Widocznie jednak wstyd mu było zupełnie zapierać się tych uczuć, wywołanych improwizacją Mickiewicza, które go rzuciły w objęcia przeciwnika, skoro nie odmówił swego podpisu na adresie, który miał być wraz z owym puharem doręczony Mickiewiczowi, a brzmiał jak następuje:

„Polacy w liczbie trzydziestu siedmiu, dnia dwudziestego piątego grudnia 1840 roku w gronie spólnem z Adamem Mickiewiczem zebrani, przechowują w sercach swoich drogą pamięć chwili górną z nim przeżytej. A imiona swe tu zapisują w holdzie uwielbienia i miłości“.

¹⁾ Listy II, 148.

Kładąc swój podpis na tym adresie, nie przewidywał Słowacki, jak prędko i w jak rażący i namiętny sposób zaprzeczy w końcowych strofach Beniowskiego podpisanym przez siebie słowom „uwielbienia i miłości“. — Do czasu niechęć jego z powodu nowego hołdu dla Mickiewicza zwracała się głównie przeciw tym, którzy go chcieli w jego mniemaniu wykierować na wasala, najwięcej zapewne przeciw Januszkiewiczowi, który w tem wszystkim był *spiritus movens*. Ze swojej strony Januszkiewicz i jego pomocnicy w organizowaniu hołdu musieli być urażeni odmową Słowackiego, tem bardziej, że druga uczta nie odpowiedziała nadziejom przez nich żywionym i kiedy wzywany do zastąpienia Słowackiego Bohdan Zaleski, mieszkający wówczas w Fontainebleau „przez pierzchliwość ptasią i obawę niezasłużonej owacy“, jak sam pisał¹⁾, nie zjechał do Paryża i nie zjawił się na uczcie — nie było odpowiedniej osoby do wręczenia pucharu Mickiewiczowi.

Zamiast w duchu owej miłości, która ogarnęła wszystkich po improwizacji Mickiewicza na pierwszej uczcie, puścić płazem urazę i wybaczyć Słowackiemu chorobliwą drażliwość ambicji, Januszkiewicz sam, czy przy pomocy innych, postanowił ukarać go za odmowę, zemścić się w sposób niezmiernie dotkliwy, szczególnie dla Słowackiego, który był tak czuły na wszelki głos drukowany. Na podstawie listu Januszkiewicza do narzeczonej, w którym znajdował się bardzo szczegółowy opis pierwszej uczty, ułożono artykuł, opisujący tę ucztę w sposób dla Słowackiego bardzo nieprzychylny, w jaskrawem świetle wystawiający jego pychę i zarozumiałość i opacznie tłumaczący słowa Mickiewicza zwrócone do Słowackiego — i nadawszy artykułowi temu tytuł „Improwizatorowie“, przesłano go *Tygodnikowi literackiemu* w Poznaniu, który go umieścił w numerze z dn. 22-go lutego 1841 (Nr. 8). W artykule nie wymieniano wprawdzie poetów po nazwisku, tylko po imieniu, ale była to zasłona tak przezroczyista, że właściwie nie nie zakrywała, a tylko nadawała artykułowi pozór pewnej dyskrecji.

Otoż w tym artykule powiedziano, że „drugi poeta, którego nazwijmy sobie Juliuszem, wystąpił z całą dumą szatańską, którą jednakże geniuszowi Adama kładł u nóg. Mówił długo o sobie o swoim wejściu na świat poetyczny, o zimnem przyjęciu, którego

¹⁾ Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego wydał Dyonizy Zaleski. — Lwów 1900, T. I, str. 194.

doznał; wiele pięknych rzeczy, w wierszach od razu wprost i z duszy wylanych, powiedział z zupalem — ale wszędzie przebijają się jego duma i zarozumiałość“. To był jeden ustęp, odnoszący się do Słowackiego, a ujemnie go przedstawiający, jako pysznego i zarozumiałego, ale nie ten ustęp dotknął go najboleśniej, nie zarzut „szatańskiej dumy“ uraził najdrażliwszą stronę jego ambicji, zwłaszcza, że był pewnemi opleciony pochwałami. To, co go jak rozpalonem żelazem przypiekło, to był dalszy ustęp, streszczający słowa Mickiewicza. „Adam odpowiedział Juliuszowi, wyrzucał mu jego grzechy poetyckie. Oświadczył wręcz, że on nie jest poetą. Tłumaczył, co go zgubiło. Nie jesteś poetą, mówił, bo nie masz wiary i miłości“. Więc w streszczeniu improwizacji Mickiewicza omijano zupełnie to, co tak zjednało Słowackiego, przepowiednię o wielkiej i świetnej przyszłości, wypowiedzianą przez Mickiewicza matce Słowackiego o jej jedynaku, a objaśnienie Mickiewicza, że poezya Słowackiego nie znalazła oddźwięku w narodzie dla tego, że w niej naród nie znajdował miłości i wiary, przekrecono na stanowcze zaprzeczenie prawa do tytułu poety.

Łatwo zrozumieć, znając naturę Słowackiego, jak był wzburzony, przeczytawszy ten artykuł. Jemu, który oddał się cały poezyi, który żył tylko nadzieją sławy poetyckiej, który czuł całe bogactwo swojej fantazyi, któremu Krasiński przyznawał berło poezyi polskiej po Mickiewicz i który właśnie sądził, iż swoją improwizacją na uczcie zbliżył się do osiągnięcia tego berła — jemu zaprzeczano publicznie nawet tytułu poety i to zaprzeczenie wkładano w usta człowieka, którego głos był dla wielu wyrocznią.

Słowacki jakiś czas zapewne liczył na to, że Mickiewicz wystąpi ze sprostowaniem słów fałszywie mu przypisanych. Ale Mickiewicz obarczony przygotowywaniem wykładów, z których każdy był dla niego „jak bitwa“ albo według słów listu jego do Domejki „jak podróż przez Pampas, skroś tygrysów i Indyjczyków“, trapiiony w domu obłędem żony, który się ciągle powtarzał, i chorobą dzieci, nie miał czasu ani ochoty do czytania bieżących rzeczy i nie czytał owego artykułu zaraz po jego wyjściu. W to Słowackiemu, chciwie chwytającemu z dzienników wszystko, co się do jego osoby odnosiło, trudno było uwierzyć, to też w dziesięć miesięcy po tej uczcie nie dowierzał własnemu zapewnieniu o tem Mickiewicz. „Trzeba ci wiedzieć, pisał wtedy do matki, że Adam o tym kłamstwie dla niego uczynionem, niby nie wiedział, przynajmniej tak mi to teraz

mówił, ale powinien był wiedzieć i odeprzeć...¹⁾ Posądzał więc Mickiewicza, że ów artykuł był napisany za jego wiedzą i wolą i zapewne analizował skrzętnie to, co mu w pamięci zostało z improwizacyi wielkiego przeciwnika, aby się przekonać, czy w istocie nie ukrywało się w niej coś podobnego do owego „nie jesteś poetą”. Zresztą cokolwiek powiedział Mickiewicz, Słowacki miał mu już to za złe, że z jego nawoływania na drogę miłości i wiary mogli słuchacze wywnioskować, że on mu odmawia tytułu poety. A czy w tych wierszach, które zapamiętano:

Ja rymów nie dobieram, ja wierszy nie składam,
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam...

nie zawierała się aluzja do Słowackiego, ukryta myśl, że jego poezja jest dobieraniem rymów i składaniem wierszy? To, co w całości, owianej technieniem braterskiego uczucia, nie nie raziło, i nie przeszkodziło wcale Słowackiemu rzucić się w objęcia Mickiewicza, teraz rozważane z osobna, w rozdrażnieniu i wśród podejrzeń wywołanych artykułem „Improwizatorowie”, nabierało innego, wrogiego znaczenia. Obudziły się przytem wszystkie dawne, przez jakiś czas drżące zawiści i niechęci do Mickiewicza i poczuł on w piersiach gwałtowną żądzę zemsty na tym, którego wielkość nie przedstawiała go dotąd przygniatać, gwałtowną chęć rozprawienia się z tym, który zdawał się ciągle stawać mu na drodze sławy, a przeświadczony o mocy i ostrości swojej klingi poetyckiej i o zwinności swego ramienia, postanowił rozprawić się ze swoim wielkim przeciwnikiem, tylko nie tak, jak to uczynił na uczcie, gdzie chciał odnieść zwycięstwo, olśniewając przytomnych gwiazdzistym deszczem swej improwizacyi, uderzenia zaś osłaniał pozorami hołdu: ale nacierając otwarcie, wprost i z impetem na przeciwnika, siekąc go i rąbiąc według recepty Krasńskiego — mylnie tym razem zastosowanej. I oto z jakich pobudek wypłynęły ostatnie strofy piątej pieśni *Beniowskiego*.

Ale w chwili gdy poeta zabierał się do walki ze swoim wielkim przeciwnikiem, już piąta pieśń *Beniowskiego*, jak to wiemy z autografów poety, była zamknięta, już nawet rozpoczęta szósta. — To pierwotne zamknięcie piątej pieśni²⁾ jest godne

¹⁾ Listy II, 148.

²⁾ Małecki umieścił je (wraz z kilku poprzedzającymi strofami, w których występują Beniowski i Swentyna nad Bohem) w drugim tomie *Pism pośmiertnych* Słowackiego (str. 156—159) jako jeden z „dodatkowych luźnych urywków” nie wiadomo do której pieśni należnych, ale nie wskazał, że urywek ten w pierwotnym planie należał do pieśni piątej.

uwagi naprzód jako jeden z najpiękniejszych ustępów lirycznych Słowackiego, powtórę jako najzupełniejsze przeciwieństwo z późniejszym zakończeniem. Był to hymn na cześć matki, pełen głębokiego żalu, smutku i synowskiej wdzięczności, najpiękniejszy pomnik poetycki, jaki Słowacki swojej matce wystawił.

Do ciebie, matko moja, twarz obróć;
Do ciebie znów, tak jak anioł biały,
Z obłądnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łyż próżnej...

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
Gwiazdom podobne i cień w puszczech Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróźnej laski
Rył imię twoje...

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła,
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał...

Co za kontrast w zestawieniu tego aktu pokornego żalu i miłości synowskiej z aktem szaleństwa i samoubóstwienia, który zajął jego miejsce! Ale nie uprzedzając analizy tego ostatniego aktu, którą na właściwym miejscu podam, chcę tu zwrócić uwagę na związek, jaki zachodzi między przytoczonym zwrotem do matki, a współczesną korespondencją poety, zdolną objaśnić genezę tej cudownej perły liryzmu. W początkach 1841 roku, jeszcze przed ukazaniem się artykułu o improwizatorach, otrzymał Słowacki jakiś list od matki, w którym ona wyrażała obawę, aby syn nie myślał, że ona go kochać przestała. Czułe serce matczyne musiało

w liście syna znaleźć jakiś zwrot, który w niej tę obawę wywołał. Obawa była niesłuszną, bo Słowacki wprawdzie nie zawsze odpłacał się matce miłością synowską, godną macierzyńskiej, ale nigdy na chwilę nawet nie wątpił o tej ostatniej. I teraz (16 lutego 1841 roku) pisał do matki: „Nigdy nie myślał, droga moja, że ty mnie kochać przestałaś. Niestety, tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umie na świecie; boli mnie tylko, że ja ci mojej miłości niczem dowieść nie mogę, dla tego w słowach moich jest czasem jakaś smutna niespokojność. Gdyby nie to, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi, stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwy, to jest rozsądniejszy, słowem, świat mi był nauką niezbyt gorzką, pełną wspomnień i wrażeń“.

Słowackiemu chodziło o to, aby uspokoić matkę o siebie¹⁾, a zarazem, aby dać jakąś przeciwwagę jej tęsknocie macierzyńskiej, która ją coraz silniej gnioła, podczas gdy nadzieja połączenia się z synem stawiała się coraz dalszą i mglistszą, więc dodawał: „Nie darmo żyliśmy i tęskniliśmy; to przeświadczenie powinno i tobie osłodzić czasem marzenia szarych godzin“. Żeby zaś dowieść, że nie darmo żyli i tęsknili, tak pisał dalej: „Ty wiesz, droga! jakem ja niegdyś nie lubił exaltacji próżnej i wielkim nieszczęściem nieusprawiedliwionej (odnosiło się to do matki, którą Słowacki w swoim pamiętniku z r. 1832 nazywa egzaltowaną). Lecz teraz nasze myśli smutne być mogą, a kto nas obaczy chodzących w ciemności, albo patrzących w blade oczy księżycą, ten jużby szaleńcem był, gdyby się sztydzić odważył. Tak więc najpiękniejszy stan duszy, to jest jej anielskość stała się nam dozwoloną i zwyczajną, wszak nieprawdaż?“

Znaczyło to, że matka nie miała dawniej prawa do stanu exaltacji, a teraz je dzięki cierpieniom rozłąki posiadała. Dla marzycielsko nastrojonej matki pociecha ta niewątpliwie mogła mieć pewne znaczenie, ale poeta czując słabość argumentu, nie omieszkął wzmocnić go innym, ważniejszym, wyznaczeniem jej pierwszego miejsca w swoim sercu i obietnicą poetyckiej aureoli dla niej i dla jej smutku. „A teraz bez exaltacji(!) i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał,

¹⁾ Zwracam uwagę na wyrażenia listu „dosyć dobrze“; „weselszy prawie“ „nauką niezbyt gorzką“, które świadczą, że pocie trudno było wbrew prawdzie upewniać matkę o swoim spokoju.

kazałbym spalić i odnieść ci serce moje, bo jego popiół, do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne, i to imię długo będzie brzmiało owiane zapachem konwalii, która rośnie na Czerezy; to jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi“.

„Najpiękniejszą z córek“, o której tu wspomina Słowacki, była niewątpliwie Salomea z dramatu, nazwanego przez wydawcę *Horsztynskim*. Widocznie zamysłał wówczas Słowacki o wykończeniu i wydaniu tego utworu; ale nim to miało nastąpić, chciał wywiązać się z danej obietnicy już w *Beniowskim*, to jest „dać echo“ anielskiemu smutkowi, wiążącemu dusze syna i matki i pod wpływem uczuć rozbudzonych ostatnim listem matki napisał owo rzewne zakończenie pieśni piątej.

Wtem niespodzianie pojawił się ów nieszczęsny artykuł o improwizacjach, przypiekl najboleśniej ambicją Słowackiego i wywołał w nim niepowstrzymaną chęć prędkiego rozprawienia się z Mickiewiczem wobec świata. Postanowił on zatem, nie przedłużając poematu, który dopiero w szóstej pieśni miał zacząć opiewać wojenne czyny bohaterów¹⁾, to, co już było napisane, odpowiednio przerobić, ułożyć, zakończyć ostrzem, wymierzonym w Mickiewicza i natychmiast ogłosić drukiem. W przerobieniu musiała doznać wielkich zmian pieśń piątą i ów końcowy pełen głębokiej rzewności zwrot do matki odpadł, ustępując miejsca szalonym zapędom walki o sławę²⁾.

¹⁾ Porówn. wydane przezemnie *Nieznane fragmenty i warianty Beniowskiego* Bibl. warsz. 1902 T. III, str. 215 (a także obszerniej w *Gazecie Lwowskiej* 1902 Nr. 211—223).

²⁾ Zdaje się, że i pieśń czwarta doznała wtedy przeobrażenia, a mianowicie, że wtedy dopiero wprowadził do niej poeta ustęp poświęcony „kochance pierwszych dni“. Tak się należy domyślać z dopisku, zrobionego ołówkiem przez wuję poety na autografie pierwotnego zakończenia pieśni piątej, gdzie jest ów rzewny zwrot do matki. Dopisek jest taki: „Te strofy przerobione z matki do kochanki są drukowane na końcu IV pieśni.“ Wprawdzie porównawszy dwa te ustępy ze sobą, trudno powiedzieć, aby jeden był prostym przerobieniem drugiego, wszakże jest między nimi widoczna analogia. Jak w jednym jest wyłączone oddanie się matce, tak w drugim kochance, jak w jednym myśl o matce, tak w drugim o kochance towarzyszy pocie we wszystkich wędrowkach. Dwa te ustępy razem nie mogły figurować w jednym poemacie, bo byłyby częściowo przynajmniej wzajemnem zaprzeczaniem siebie. Dla czego poeta odrzucił zwrot do matki, a wstawił podobny

Zanim przypatrzymy się tym zapędom i wogóle walce, którą poeta wytoczył w tym poemacie światu, a raczej swojemu społeczeństwu za to, że nie chciało uznawać jego wielkości, należy się przedtem jeszcze kilka słów epickiemu wątkowi poematu, (o którego znaczeniu mówiłem już wyżej), ponieważ wiązał się on z tą walką, odgrywał po części taką rolę, jaką w procesach odgrywają dokumenta dowodowe, mianowicie miał świetnością obrazowania uzasadnić pretensje poety do wielkości. O obrazy też tylko chodziło w epickiej części *Beniowskiego*, poeta bierał wyszukane, malownicze sytuacje, aby je odziać w czarodziejskie barwy, a bynajmniej nie troszczył się, że tym obrazom brak nieraz logicznego powiązania, psychologicznego uzasadnienia. Dość jest przypomnieć, jak nienaturalnego sposobu używa niania Anieli, ażeby sprowadzić Beniowskiego do Anielinek, a ksiądz Marek, żeby doręczyć Dziaduszykiemu wydany na niego wyrok, jak nienaturalnym dalej jest ów dąb, do którego chroni się przed żołdakami Swentyna, albo raczej jak nienaturalnem jest zachowanie się żołdaków, którzy mogąc najswobodniej wyciągnąć ją z szerokiego jak namiot dębu, tak szerokiego, że mógł go ksiądz Marek użyć za swoją kancelaryę, zamiast tego wolą ją upiec. Za szczyt nienaturalności można uważać tę scenę, kiedy ksiądz Marek, patrząc na pojedynek Beniowskiego z Sawą, zamiast natychmiast dowiedzieć się, o co chodzi i pogodzić walczących, pozwala im bić się, aby sobie trochę krwi utoczyli, bo to ich potem uczyni rozważniejszymi w boju. A przecież to nie były żarty, gdy Sawa z pistoletu celował prosto w czoło Beniowskiego.

Ale poecie nie chodziło wcale o prawdopodobieństwo, tylko o malowniczość obrazów i dla tego rozwiązanie walki między dwoma bohaterami poematu porucił Swentynie, ponieważ to mu dawało sposobność do popisania się obrazem, bardzo sztucznym, ale pełnym eterycznego wdzięku, w którym nikt mu dorównać by nie mógł. Wirtuozostwo, mistrzostwo Słowackiego w tym obrazie sięgało zenitu. Oto jest ów obraz:

zwrot do kochanki, do tej kochanki, z której tak złośliwie drwił przed czterema laty? Niestety, zdaje się, że i tu przyczyną było zamiłowanie Słowackiego w teatralności.

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,
Na którym siedział pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyliła za leje i na tylne nogi
Podniosłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomieszała go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka,
A ta dziewczeczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się zrobił złoty wąż zwinięty
W kłęby i leciał wraz za tą szaloną
W połyskające ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem i za kwiatami i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem,
Nie widzę więcej, jary się tumanią,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia ruszył grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął...

W tym obrazie nie ma za grosz uzasadnienia psychologicznego, bo przecież rozmija się z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczenie, że Sawa, przed chwilą roznamietniony walką, teraz najspokojniej, jakby z założonemi rękami, pozwala się wieść dziewczynie — nie wiedząc dla czego, dokąd i po co; — ale obraz to nieporównany swoją malowniczością, powietrznością, wdziękiem linii i barw, mistrzostwem w szczegółach, cudowne malowidło dekoracyjne, gdzie nie chodzi o wzorowanie życia lub natury, o symbolizowanie idei, a tylko o malownicze grupowanie przyjemnych dla oka motywów. A ta Swentyna, nawpół cyrkowa amazonka, na-

wpół stepowa królewna, nawpół cyganka, wzorowana na różnych Esmeraldach, nawpół ukraińska dziewczyna, ta Swentyna, pędząca rumaka Sawy, mimo woli poety stała się jakby uosobieniem jego muzy, naśladowniczej, kapryśnej, ale giętkiej, lotnej, powietrznej, siejącej blaskami ócz i uśmiechami. I zdaje się, że jemu samemu przyszła ta myśl, gdy w pieśni piątej powracając do porzuconego obrazu i przedrzeźniając Malczewskiego i Mickiewicza, zapytywał niby to Sawę, a właściwie samego siebie:

Komu ty jedziesz? Jadę księżcowi,
Aby się w konia przegładał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny jasny w skrzydła łowi
I leci za mną, jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany... Mówi Sawa.

Słowa te włożone w usta Sawy, odnoszą się najwidoczniej nie do niego, ale do samego poety, który identyfikując się z Sawą, zamieniał w ten sposób Swentynę w swego anioła poezji, w swoją muzę, popędzającą rumaka fantazyi. Spostrzegał on coraz wyraźniej pod koniec poematu, to jest tej części, którą miał wydać, że jakkolwiek w pomysle poematu miał za przewodnika Byrona, to jednak w rozwinięciu jego wjeżdżał na nowe tory poetyckie, zbliżał się do kapryśnej i lotnej fantazyi Ariosta, z którym pokrewieństwo swoje spostrzegał już w *Balladynie* i dla tego wołał w ostatniej pieśni, porzucając Beniowskiego dla Sawy:

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy,
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.

ROZDZIAŁ VIII.

Beniowski (Ciąg dalszy)

1840—1841.

Liryczno-polemiczna strona poematu. — Uwielbienie własnej poezji. — Walka poety z krytyką. — Sprawa króla *de facto*. — Jak się odzwierciedliło w poemacie stanowisko Słowackiego w walce stronnictw emigracyjnych. — Credo religijne. — Religijność Słowackiego i Mickiewicza. — Walka z Mickiewiczem w ostatnich strofach. — Zarzut ultramontanizmu i panslawizmu, — Dokąd to Słowacki chciał prowadzić naród. — Szaleństwo gniewu. — Wpływ Krasińskiego.

Przechodzę teraz do tego, co nie jest powieścią w poemacie, do jego liryczno-polemicznej strony, do tego mnóstwa wynurzeń i wycieczek, które wartkim strumieniem spienionym płyną przez cały poemat, a wśród których obrazy powieściowe wyglądają jak wysepki zewsząd żywiołem liryzmu oblane. Te wszystkie wynurzenia i wycieczki dadzą się ująć w kilka grup. Zwróćmy naprzód uwagę na te dygressye, gdzie poeta sam sobie pieje hymny pochwalne, sam wielbi i charakteryzuje czarodziejstwo swojej sztuki. Są one szczególnie ważne z tego względu, że w nich streszcza się główna dążność poematu — chęć poety roztoczenia wszystkich blasków swego stylu, dla przyémienia współzawodników, a olśnienia wszystkich. Taka dążność niewątpliwie nieraz już przedtem towarzyszyła twórczości Słowackiego i zapewne nie obcą była i jest wielu innym poetom, ale nigdzie, sędzę, nie jest tak wybitną, tak rażącą i tak regulującą cały poemat, jak w *Beniowskim*.

Słowacki czuł, że samouwielbienie może nań rzucić cień śmieszności, więc starał się je powlekać żartobliwym kolorytem, ale rozgrawszy się w tem samouwielbieniu, zapominał o obawach i nieczem już nie krępował swojego zapału dla własnej muzy. Tak w pierwszej pieśni jest jeszcze żartobliwa wzmianka o olśniewających skrzydłach tej muzy (I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie — Tęczowym blaskiem was oslepi wcześniej — Niż miałem zamiar), wzmianka, w żartobliwy sposób i przelotnie ukazująca istotny zamiar poety. W pieśni drugiej poczyną on samouwielbienie także od żartów, o pieśniach swoich mówi: „Ponieważ moje są, otwarcie chwałę“, cytuje żartobliwie wykrzyk Szekspirowskiego Ryszarda: „Głupi! o sobie dobrze mów!“, ale potraciwszy o to, że jego przeciwnicy czynią mu nawet z łatwości pisanie zarzut, zaczyna się rozgrzewać:

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich durniów być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę prawo.
Sam się rym do mnie miłośnię nagina,
Oktawa pięści, kocha mię Sekstyna.

Ton jeszcze żartobliwy w tej strofie, ale już samouwielbienie znajduje dla siebie silne akcenta i pełne wdzięku porównania. W następnej strofie poeta chce podeprzeć własne przekonanie o świetności swojej poezji, sądem obcym, sądem Krasińskiego.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *patri patriae*...

I ten obcy sąd jest już niejako upoważnieniem dla Słowackiego do tego, aby odrzucić względy krępujące go dotąd i wybuchnąć pełnem samouwielbieniem:

Stój! ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi;
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same, jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasem na pola,
I rozłabędzie wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą...

Tu już nie Krasiński, ale sam Słowacki, korzystając z porównania przyjaciela, śpiewa hymn na cześć swoją, na cześć swojej poezji. W innym ustępie tej samej pieśni jest uwielbienie nie samej poezji własnej, ale tego źródła, skąd ona wypływa, to jest fantazyi swojej, wyobrażonej w postaci kopuły tęczowej, a także i swojej duszy, rzekomo anhelicznej, w postaci srebrnego anioła. Porównanie fantazyi z kościołem może było nasunięte znanymi słowami Mickiewicza o poezji Słowackiego, które tak głęboko utkwily w pamięci tego ostatniego.

O tęczowa

Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpacz słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca.
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pekasz, jak niebo, nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ja i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białemi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

W tym ustępie samouwielbienie przybiera ton melancholijny i przechodzi w skargę, która szczególnie w następnej strofie (Skończona wielka tragedia powagi) staje się bardzo niejasną i bardzo, teatralną. Wogóle, gdzie tylko Słowacki mówi o swoim sercu z patosem, tam jest poza teatralną i frazes — zwykle bardzo piękny, ale z głowy, nie z serca wzięty; tam gdzie wielbi swoją fantazyę, swój styl czarodziejski, tam jest szczery, wymowny tonem prawdy, I tutaj porównanie fantazyi swojej z kopułą tęczową jest wysoce piękne, ale przyrównanie serca do urny z popiołem jest tylko frazesem, który każe domyslać się, że pożar jakiejś miłości wielkiej przeszedł przez to serce, a tymczasem wiemy, że żadnej takiej miłości w Słowackim, ani indywidualnej, ani społecznej, nie było, i jeżeli co trawiło serce jego, to tylko chorobliwa, a niezaspokojona żądza sławy.

Jest też sporo teatralności i w tym ustępie pieśni trzeciej gdzie poeta wielbi nie już szatę swojej poezji, nie tęczową kopułę swojej fantazyi, ale siebie, jako bohatera tragedii życia, a życie swoje, jako poemat dla Boga.

Lecz z mego życia poemat dla Boga.

On wie, On wiedział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących — te chóry
On słyszał, gdyśmy z Bogiem byli sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami

Cezar, obwijam, gdy mię w serce raża,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazuruwe
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — te cierpiące —
Milez serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milez, szalone! —

Że w życiu Słowackiego była tragedia, to pewna, i właśnie praca niniejsza ma zadanie ją przedstawić, ale nie była to tragedia zupełnie taka, jak ją sobie Słowacki wyobrażał i jaką chciał w przytoczonych strofach wyobrazić. Tragedya jego życia, jak to już wskazywałem, wypływała z dziwnego braku harmonii, równowagi między różnymi władzami jego duszy, z dziwnego kontrastu między bogactwem fantazji a ubóstwem serca, między do najwyższego stopnia rozwiniętym zmysłem estetycznym, a wcale nierozwiniętym zmysłem społecznym, wreszcie z kontrastu, który był następstwem tamtych, między samoubóstwieniem poety i pożerającą go żądzą sławy z jednej strony — a obojętnością społeczeństwa — z drugiej. U Słowackiego, w podanych strofach, tylko to ostatnie przeciwieństwo zarysowane, przyczem o ile sam siebie idealizował i stawał na koturnie, stając do pary z Bogiem lub przynajmniej Cezarem, o tyle czarno malował przeciwną stronę, której się dostała nazwa gadów. Winy tragicznej nie widział w sobie wcale, tylko w społeczeństwie, a końcowa apostrofa do serca była bardzo pięknym efektem teatralnym, ale niezgodnym z rzeczywistością, bo poeta przedstawiał tu siebie jako kryjącego swoje cierpienia przed światem, podczas gdy, jak wiemy, miał on ciągle skargę na ustach na brak uznania. Dla objaśnienia dodam, że owem „jednym sercem ludzkim“, które tylko wraz z Bogiem znało jego cierpienia, a dla którego przedewszystkiem zapewne był zro-

biony ów patetyczny gest końcowy, nie mógł być nikt inny, jak Krasiński.

W pieśni piątej całe zakończenie jest wielkim aktem samouwielbienia poety, ale ponieważ ten ustęp ma charakter na wskroś polemiczny, analizę jego odkładam na później. Jest jednak inny jeszcze ustęp w pieśni piątej, zawierający uwielbienie poety dla siebie, na który chcę tutaj zwrócić uwagę. Jest w nim uwielbienie własnego stylu, jak w pierwszym z ustępów analizowanych, ale z tą różnicą, że tam poeta wielbił słodycz, melodyjność, słowiczność swego stylu, tu chciał uwydatnić i uwielbić jego giętkość, rozmaitość, jego proteuszową naturę. Była tu jakby wierszowana poetyczna parafraza cytowanego już ustępu z listu Krasińskiego o tem, jak Słowacki posiadał język polski, jak „nie on za językiem, ale język za nim goni“ i prosi i mówi mu: „Ot cały twój jestem, każ, a posłucham, zawołasz — przybiegnę; mrugniesz w niebo — polecę tam; wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła; chcesz bym stwardniał — patrz, marmur ze mnie i t. d.“ Rymowana parafraza tej pochwały Krasińskiego brzmiała w *Beniowskim* jak następuje:

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędko,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą;
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą.
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strzechą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, on to by zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski...

To, czem się tu chlubił, było nie urojeniem, nie przywidzeniem pychy, ale najrzetelniejszą prawdą. Giętkość języka jego, zdol-

nego oddać najrozmaitsze tony, najsubtelniejsze rysy, barwy i od-cienia, była niezrównaną, a właśnie w *Beniowskim*, w różnorodnych jego obrazach, znajdowała sposobność do ukazania się w całej swej czarodziejskiej doskonałości, i *Beniowski* w tym względzie przewyższał wszystkie poprzednie poematy Słowackiego. Miał też prawo Słowacki, oglądając się za siebie, sięgać wzrokiem aż do Jana Kochanowskiego, który pierwszy nadał giętkość polskiej mowie poetycznej, bo nikt z tych, co go dzielili od ojca poezji polskiej, nie przewyższał go w tym względzie, nikt, nawet Mickiewicz. Tylko powinien był wiedzieć, że gdyby naprawdę „stary ów Jan Czar-noleski z mogiły powstał“ i przysłuchiwał się jego poezji, to wydałby sąd o niej podobny do sądu Mickiewicza: wielbiąc piękność świątyni, nie znalazłby w niej bóstwa.

Przypatrzmy się z kolei tym dygresyom, które miały charakter polemiczny, w których się wyraziła walka poety z krytyką i stosunek jego do różnych stronnictw emigracyjnych. Z krytyk najwięcej go ubodły te, które *Młoda Polska* umieściła, to też na to pismo wylał najwięcej żółci, uderzał z największą zajadłością, tak że dowcip jego stawał się grubiański i niesmaczny. Ponieważ *Młoda Polska* miała barwę wybitnie katolicką, dawało to sposobność Słowackiemu do uderzenia na nią z zasadniczego stanowiska, do nazywania jej (w pieśni I) „Arkadyą, gdzie Jezuci są barankami“, krainą, „pełną węzowych ślin, pajęczej nici i krwi zepsutej“, „przekłętą wodą, której pies nie chce, wąż nawet nie pije“ i t. p., jednym słowem do wylania na nią z sześciu strof, jakby z sześciu konwi, najgorszych mętów swego gniewu, i to pod pozorem, że oburzony jest na nią za jej stanowisko, nie za krzywdę osobistą, jakiej doznał. Jest tu apostrofa do Polski i przestroga dla niej przed papieżem (krzyż twym papieżem jest — twa zguba w Rzymie), przyczem Polska tak niedawno jeszcze w *Grobie Agamemnona* nazywana przez poetę „pawiem narodów i papugą“ i „służebnicą cudzą“ zamieniała się niespodzianie, po części zapewne dla kontrastu z Polską „młodą“ (O Polsko! jeśli ty masz zostać młodą) po części może gwoli Krasińskiemu, zamieniała się w „córkę Boga“ i „siostrę Ukrzyżowanego“. Dopiero przy końcu pieśni I natarł otwarcie na *Młodą Polskę* za krytykę *Balladyny* i starał się odplacić pięknem za na-dobne.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzba, że się Balladyna krwawi;

Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i *Młoda Polska*, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na suflity
Lub w studnię, która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń miry albo malin.

Jeżeli porównamy ten złośliwy, a nie dość swobodny dowcip z tą złośliwą fantazją, jaką się kończyła krytyka *Balladyny*, to musimy przyznać, że odparcie nie dorównywało pociskowi. Musiał to uczuwać Słowacki, ponieważ nie poprzestał na tym dowcipie, ani na insynuacji, że *Młoda Polska* zostaje pod wpływem tak nie-popularnych wśród emigracji Jezuitów, ale starał się jeszcze dokuczyć jej, ośmieszyć ją, szerzeniem pogłoski, że „baby“ dają na nią pieniądze, że to „baby“ ją piszą. Ile mogło być prawdy w tej pogłosce, która obraźliwą stawała się już nie sama przez się, ale przez sposób, w jaki była podana — trudno dziś wiedzieć i trudno wiedzieć, kogo w szczególności miał na myśli pisząc o „babach“, ale z kilkakrotnego potrącania tej struny w poemacie można wnioskować, że uważał ją za najdrażliwszą dla wydawców i redaktorów *Młodej Polski*. Tak już w pieśni I-ej powiedziano z alluzją do tego pisma: „Niebieska kraina! Co za pieniądze bab... truć nas zaczyna“. W pieśni III mszcząc się za krytykę *Balladyny*, podpisaną literami Z. K., całą strofę poświęcił rozstrząsaniu tej pogłoski:

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K. S. K. E. K.
Mówią, że *Młodą Polskę* pisze — baba!
Ale, ja widząc, jak kasa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłumaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekce
W dyabelskim napisane dyalekcie.

I pozatem złość Słowackiego do „bab“, których przekonaniu odpowiadał katolicki kierunek *Młodej Polski*, objawia się parę razy, czy to gdy Słowacki wspomina jakąś pannę Praksedę, (Święta, aniołek jezuicki, wdowi), czy gdy do porównania wprowadza „jedną z tych przestałych — Owoców, starą pannę, seraficznie — Rozeskrzydloną w Bogu“. Dostało się przy sposobności ataków na baby i Jezuitów i pisarzom emigracyjnym w duchu katolickim, Witwickiemu i Bohdanowi Zaleskiemu; co się tyczy Mickiewicza, z tym długi rachunek miał być osobno załatwiony.

Drugim pismem, któremu chciał dokuczyć, był poznański *Tygodnik literacki*. Wiemy, że tu była drukowana krytyka *Anhellego*, pisana przez Sadowskiego, z której Słowacki nie mógł być i nie był zadowolony, i że tu był drukowany artykuł p. t. *Improwizatorowie*. Prócz tych powodów niechęci, były jeszcze inne: *Tygodnik* w r. 1840 w swoich „Doniesieniach literackich” umieścił parę wzmianek o najnowszych utworach Słowackiego w tonie lekceważącym¹⁾. Jednakże ani krytyka *Anhellego*, ani owe wzmianki nie byłyby pobudziły Słowackiego do odwetu w *Beniowskim*, jak go nie powstrzymały od drukowania swoich utworów w *Tygodniku*, gdyby nie ukazał się był artykuł o improwizatorach. Wnoszę to z tego, że są dwa ustępy w *Beniowskim*, które mówią o *Tygodniku* i podnoszą ten sam szczegół, ale w tonie zupełnie różnym. Mianowicie ku końcowi pieśni III poeta pisze:

O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiegła. — Skarży się na moją ciemność.

Poeto, „fiat lux” zacięcie krzyczą.

I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:

Życzę, aby to było, czego życzą!

Tygodnik jakąś odnalazł odjemność

We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,

A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk,

Lecz panteista trochę i romantyk.

W tym ustępie jest jakby odpowiedź poety na zarzuty czynione mu w „Doniesieniach literackich” i w krytyce *Anhellego*. Żeby czytelnik mógł zrozumieć, co znaczy owa odjemność, o której Słowacki wspomina, przypominam, że Sadowski kończył swoją obszerną krytykę *Anhellego* stwierdzeniem, że Słowacki tylko „ujemną” stronę myśli zarysowanej w *Irydyonie* zupełnie jasno pojął,

¹⁾ W Nrze 17 z d. 27 kwietnia 1840, wiadomości o tem, że się ma wkrótce ukazać *Lilla Weneda*, towarzyszyła uwaga: „Jest ona (jak nam jeden z szanowych literatów donosi) równie, jak i pierwsze płody tego autora mało zrozumiała dla czytającego”. W Nrze 20 z dnia 18 maja 1840 *Tygodnik* podawał wiadomość o wyjściu na świat *Beatrice Cenci* z takim dodatkiem: „Trudno, pisze jeden z naszych najszanowniejszych korespondentów, wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość: w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwo się tyłu jednej jego tragedii na pamięć nauczy, to już druga wychodzi. Ztąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi; utwory jego nie absorbują mu, jak innym pisarzom, życia”.

„dodatnią” zaś obniżył i osłabił. Z tej „ujemnej strony” Słowacki zrobił „odjemność”, ale zresztą odpowiedź ta, o ile dotyczyła *Tygodnika*, nie miała w sobie nic złośliwego, i owszem poeta wobec zarzutów ciemności i ujemności starał się poważnie wyjaśnić charakter swej poezji. Że wyjaśnienie to bodaj czy było jaśniejsze od owych tragedij, na których ciemność skarżyła się publiczność, to inna sprawa, tu chodzi o to, że Słowacki, pisząc pieśń III, nie czuł jeszcze potrzeby zemścić się na *Tygodniku*. Inaczej było, kiedy w pieśni V potrafił znowu o *Tygodnik* i o tę samą wspomnianą już przedtem „odjemność”.

Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,

Muza została mi rymami dłużną:

Z tego więc poszło, że pisałem prozą,

Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną!... czy od Tygodnika? Boże!

Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.

Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze,

Z twoją tabliczką w rękę...

Dowcip był dosyć naciągany, pocisk zwracał się poniekąd przeciw samemu poecie, który przecież drukował tam niektóre rzeczy swoje¹⁾, ale chęć okazania pogardy *Tygodnikowi* była widoczną, a stąd wniosek, że Słowacki pisał drugi ustęp w *Beniowskim*, dotyczący *Tygodnika*, już wtedy, gdy dostał w ręce artykuł o improwizatorach.

Inne zacinania Słowackiego, wymierzone w stronę dziennikarstwa i literatury, były już więcej pobieżne, nawiasowe, niewywołane chęcią zemsty, więc i trafniejsze. Dostało się tam z lekka kalendarzykowi emigracyjnemu i Tygodnikowi petersburskiemu, Kiefańskiemu, t. j. Hołowińskiemu za przekład Szekspira, w którym Szekspir znika, poznańskim Hegłom, do których zaliczał Słowacki zapewne i Sadowskiego i Libelta, „kozakopowieściarzom”, których głównym przedstawicielem był Czajkowski, Goszczyńskiemu, nie

¹⁾ Na rok przed wydaniem *Beniowskiego* ukazało się w *Tygodniku* — prawda, że bezimiennie — „Święcone u J. O. księcia Radziwiłła Sierotki”, jako „wyjątek z niedrukowanego rękopisu” (Nr. 15 i 16), gdzie Słowacki do niepoznania podrabiał styl Rzewuskiego w *Pamiętnikach Soplicy*, a Mikołaja Sierotkę przedstawił zupełnie jak księcia Karola Panie kochanku, zostawiając mu nawet to przysłowie.

nazwanemu zresztą, jako autorowi *Zamku Kaniowskiego*¹⁾, wreszcie nie nazwanemu także „Krakowczykowi“, autorowi książki, która „ma polską duszę, a na zmysły działa jak Niemiec“²⁾. Z literatury krajowej najwięcej go interesował Michał Grabowski, którego pisma krytyczne już wyszły były w zbiorowym wydaniu, a z którego artykułami spotykał się także w Tygodniku petersburskim. Więc kilka razy go wspominał, raz w pieśni pierwszej, nazywając prymasem, wkładającym koronę na głowę poetów, w trzeciej, żartując z niego i z wieszczów krajowych, których on odkrywa, a którzy „kiedy straszną opisują burzę — To burza piorun zostawia w cenzurze“, wreszcie w piątej, gdzie zdaje się dotyczyć jego słowianofilskich dążeń.

Zobaczmy teraz, jak się w *Beniowskim* zarysowuje stanowisko Słowackiego względem różnych stronnictw, na które się dzieliła ówczesna emigracja. Czas, w którym przyszedł *Beniowski* na świat, był chwilą ożywionych starć pomiędzy stronnictwami głównie wskutek roli, jaką stronnictwo grupujące się koło X. Czartoryskiego chciało wyznaczyć swojemu przedstawicielowi, naturalnie nie bez jego zgody. Chodziło o to, aby uznać i ogłosić księcia królem polskim; uzasadniano potrzebę tego argumentem, że główną przyczyną upadku powstania listopadowego był brak silnej władzy monarchicznej, brak króla, że zatem trzeba go mieć w gotowości na wszelki wypadek, a także tem, że Czartoryski tak ma wielkie znaczenie w emigracji i w oczach Europy, iż jeżeli nie *de jure*, to jest królem *de facto*. Zeby został królem *de jure*, potrzeba, aby go ostatni sejm polski, przebywający za granicą, uznał za króla, a właśnie wtedy, przy końcu 1840, sejm ten w przewidywaniu jakichś pomysłów dla Polski wypadków, zaczął się po kilkuletnim usp-

¹⁾ Alluzja do Goszczyńskiego zawiera się w tych wierszach pieśni III:

Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Widząc, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije.

²⁾ Nienazwanym „Krakowczykiem“ był Franciszek Paszkowski, generał wojsk polskich z czasów Napoleona, ten, którego Kościuszko obdarzył w testamencie znacznym zapisem. W Paryżu 1840 wydał on bezimiennie swoje „Pomysły do dziejów Polski“. W rozdziale p. t. „Opinia“ utrzymywał, że poeci jak dawniej byli pochlebami królów, tak teraz pochlebiali ludom i ilustrował swój wywód ustępem z *Kordyana*. Szczególnie godnymi uwagi są tam poglądy autora na powstanie 1831 roku.

niu ruszać. Ale w sejmie, gdzie najważniejszą rolę odgrywał wojewoda Ostrowski, kandydatura Czartoryskiego na króla nie znajdowała dostatecznego poparcia i w ogóle stała się przedmiotem żartów w emigracji. Nawet ludzie, którzy wysoko cenili i kochali księcia, byli zrażeni tym niewczesnym pomysłem. „W emigracji — pisał Mickiewicz do Domejki w tym czasie¹⁾ — ciągła walka o królestwo Czartoryskiego, którego partya nowa gwałtownie popiera a dawni stronnicy zatrwożeni i zrażeni odeszli. Książę zacny, nie zawsze zręczny, pozwala bić medale z napisami *Boże wróć nam króla*, co jego przeciwników wprawia w wściekłość. Ja po dawnemu księcia kocham, ale nie wszystkie jego kroki rozumiem i potwierdzam“...

Podobne stanowisko względem niefortunnego pomysłu „nowej partyi“ Czartoryskiego zajmowali emigranci, najwięcej zbliżeni do katolickiej *Młodej Polski*, a po jej zniknięciu z końcem r. 1840, do *Dziennika Narodowego*, w którym upatrywano dalszy ciąg *Młodej Polski*. Oba te pisma, przy całym uszanowaniu dla osoby księcia, występowały przeciw jego królewskiej godności i żywo polemizowały z pismem *Trzeci Maj*, ówczesnym organem stronnictwa Czartoryskiego. Reszta emigracji, wywieszająca sztandar demokratyczny, dzieliła się na dwa obozy: Zjednoczenie, którego organem był *Orzeł Biały*, a głównym przedstawicielem zamieszkały w Brukseli Lelewel i Towarzystwo Demokratyczne, które się uważało za jedynie prawdziwą demokrację i zarzucało Zjednoczeniu chęć paktowania z ludźmi innych przekonań politycznych, a którego urzędowym niejako organem był *Demokrata Polski*, wydawany w Poitiers, gdzie była osobna sekcja Towarzystwa. Sekundował *Demokracie* humorystyczny *Pszonka*, wydawany przez Leona Zienkowieza w Strassburgu, a zasilany najbardziej przez Goszczyńskiego i Lucyana Siemińskiego. Stamtąd to dostawały się największe cięgi księciu, którego ironicznie nazywano „królem *de facto*“, i jego stronnictwu nazywanemu przez demokratów arystokracją. A kiedy *Trzeci Maj* w numerze z 1. kwietnia 1841 wyciągał rękę do demokracji i pisał, że „myśl demokratyczna i myśl *Trzeciego Maja* przeznaczone

¹⁾ Korresp. Ad. Mick. I 227. Data listu (1 listopada 1840) jest niewątpliwie mylną, ponieważ w tym samym liście Mickiewicz donosi Domejce już o swojej pierwszej prelekcji w Collège de France. W każdym razie pisany jest niedługo po 22 grudnia 1840.

są do porozumienia się, połączenia się w przyszłości i pracowania wspólnie nad wywalczeniem i szczęściem ojczyzny“, to *Demokrata Polski* widział w tem „dziwaczne, śmiech obudzające oświadczenie“, które „służy z jednej strony za nowy dowód słabości, z drugiej niepospolitego nierozumu arystokracji naszej“¹⁾.

Jakież Słowacki zajął stanowisko wobec sprawy „króla de facto“ i w ogóle wobec walki stronnictw emigracyjnych. Taki poemat, jak *Beniowski*, dawał najlepszą autorowi sposobność do objawienia w tym względzie swoich sympatyj i poglądów. Ale Słowacki w jednym tylko kierunku objawił się wyraźnie, mianowicie w kierunku niechęci ku temu stronnictwu emigracyjnemu, które chciało oprzeć narodowość polską na religii, na katolicyzmie, które chciało sprawę narodową rozwijać w zgodzie z Kościołem, a do którego należał Mickiewicz i jego najbliżsi przyjaciele, Zaleski Bohdan i Witwicki. Co go do tego popchnęło, to już wiemy: naprzód współzawodnictwo z Mickiewiczem, potem ciosy krytyczne, które z tej strony, z pod sztandaru katolickiego nań padły, po trzecie brak głębszego uczucia chrześcijańskiego w pocie. Ale wystąpienie Słowackiego przeciw tak zwanym przez niego Jezuitom nie stanowiło jeszcze o jego stosunku do dwu innych głównych stronnictw emigracyjnych, to jest do stronnictwa Czartoryskiego i do Towarzystwa Demokratycznego, ponieważ oba te stronnictwa, z różnych naturalnie powodów i w różny sposób walczyły wówczas ze stronnictwem katolickim. Otóż stanowisko Słowackiego między dwoma temi stronnictwami zarysowuje się w *Beniowskim* bardzo niejasno, jest jakby umyślnie lekką przykrytą zasłoną, tak, że czytelnik zwyczajny nie widząc wyraźnie wszystkich linii, mógł je rozmaicie sobie tłómaczyć.

Z demokratami w owych czasach Słowacki nie miał właściwie nic wspólnego oprócz niechęci do papieża i katolicyzmu. Wprawdzie w *Podróży na Wschód* oświadczał, że wierzy „w religię mass, w republikanizm, w postęp“, w to, że „ludy idą jako chmura — pełna błyskawic na trony zachwiane“ i „że nawet królowa purpura próchnieje w trumnach“; w zakończeniu *Anhellego* kazał bladym królom stać „nad krwawymi rzekami i na krążgankach pałacowych... trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą itd.“, a na chorągwi rycerza

¹⁾ *Demokrata Polski*. Poitiers 1841 T. III str. 268.

zwiastującego zwycięstwo wypisywał „trzy ogniste litery“, które według własnego jego komentarza miały oznaczać *Lud*¹⁾, ale to wszystko było tylko echem wrażenia, jakie na nim książka Mochnackiego wywarła, świadczyło tylko o lubowaniu się jego wyobraźni w efektownych obrazach rewolucyjnych, bynajmniej nie o współczuciu dla smutnego położenia ludu. Kwestya wyzwolenia ludu z pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, wysuwana przez Towarzystwo demokratyczne na czoło jego programu, była dlań obojętną, jak wogóle wszelkie kwestye społeczne, co łatwo daje się wytłómaczyć brakiem zmysłu społecznego w Słowackim. Osiadłszy na nowo w Paryżu, zapisał się do klubu polskiego, który u demokratów, jako arystokratyczny, używał najgorszej opinii i przez *Demokratę* z Poitiers nazywany był „hultajskim związkiem“. Pismo to wzywało każdego rodaka, przejętego obowiązkiem emigranta, aby „przechodząc ulicą Godot de Mauroy spojrzeć na dom pod liczbą 18 i z należnem ku hultajstwu uczuciem wzgardy pomyślał sobie: Tu się urągają powszechnej niedoli i sztydzą ze straty ojczyzny“. Dlaczegoż tak? Bo „czyż może być jaki postęp rzucający większą plamę na święty charakter wygnańców politycznych, powołanych wyobrażać przed obcymi *Lud męczennik*, jak stowarzyszać się w celu przyjemnego przepędzania czasu, gry w billard i karty?“ „Ci niecnoty, pisał dalej korespondent *Demokraty*, nazwali się klubistami, tak jak inna lubo moralniejsza szlachta zowie się demokratami, aby znaczenie najświętszych wyrazów sfałszować i zohydzić“²⁾.

Otóż Słowacki zapisał się do klubu polskiego, był stałym jego członkiem a w chwili kończenia *Beniowskiego* jednym z jego dyrektorów. To samo stanowiło już mur wysoki, dzielący go od demokracji emigracyjnej. Jego stosunki znajomości i przyjaźni jeszcze więcej dzieliły go od demokracji a łączyły z arystokracją, w szczególności ze stronnictwem Czartoryskiego. Jego najlepsi znajomi, Błotnicki, dawny jego nauczyciel, a później nauczyciel synów księcia i jego sekretarz, Loman, Reitzenheim, i ze wszystkich najbliższy w owych czasach Leonard Niedźwiedzki, sekretarz generała Zamojskiego, byli to ludzie całkiem oddani sprawie księcia. Zre-

¹⁾ List Słowackiego do Konst. Gaszyńskiego podany przez L. Meyeta w *Gazecie Lwowskiej* 1902 Nr. 121.

²⁾ *Demokrata Polski* T. I 1838 str. 111.

szta Słowacki był bardzo czuły na grzeczności, których doznał ze strony księżnej jeszcze za pierwszego pobytu w Paryżu, a którymi się chwalił, bardzo szczegółowo je opisując w jednym z listów do matki¹⁾. Stąd zapewne poszło, że owym jedynym „godnym“ z pomiędzy wszystkich wielkich ludzi, których szatan stwarza dla Polski w *Kordyanie*, był Czartoryski²⁾.

Słowacki w stosunku do demokracji w *Beniowskim* zdawał się trzymać zasady wypowiedzianej w tym poemacie, że „jest niebezpiecznie — Z demokratami być nie dosyć grzecznie“. Nigdzie też nie zaczepił ani *Demokraty polskiego* ani *Pszonki*, a parę zwrotów do demokracji wogóle, jak tylko co przytoczony (z pieśni II) i ten (z pieśni I), w którym przypisywał demokratom dbałość o godność osobistą (Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą — I o swą godność indywidualną — Dbasz wielce) choć miało lekki odcień ironii, nie zawierało przecież w sobie nic „niegrzecznego“, a nawet „nie dosyć grzeczne“. Ale ta obawa narażenia się demokratom, których mógł uważać za swoich sprzymierzeńców w walce z *Młodą Polską*, przeszkadzała mu w jasnym wypowiedzeniu się, co myśli o głośnej wówczas sprawie „króla de facto“ i jasnego wyrażenia swoich sympatii dla księcia. Że Słowacki obawiał się, ażeby go nie wzięto za Czartoryszczyka, dowodzi to, że drukując w tych czasach w *Trzecim Maju* artykuł o *Nocy letniej* Krasińskiego, który był zarazem odpowiedzią na artykuł „Improwizatorowie“, zaznaczał, że pismo, w którym występuje, jest dla niego „obcem“.

Otóż w *Beniowskim* jest naprzód aluzja do sprawy Czartoryskiego w tem miejscu, gdzie bohater poematu, wiedziony przez gołębie, pędzi pod dąb, do którego schroniła się Swentyna. Mówiąc o tem, jakie nadzieje obudził w rycerzu lot ptaków, poeta dodaje:

Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by

¹⁾ Listy I 83–84.

²⁾ Przypominam ustęp ze wstępu do *Kordyana* (Przygotowanie Roku 1799 dnia 31 grudnia w nocy). Szatan każe wrzucić do kotła dyament i polać atramentem z kałamarza Talleyranda a następnie dyabli wołają:

Już gotowy! mimo czary
Wyszedł jakiś człowiek godny.
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

Nie latał, nigdy by nie żył Don Kiszot,
Nigdy by w Trzecim Maju nie urosły
Iluzje, na co dziś tak wrzeszczą posły.

Że wyraz „iluzje“ odnosi się do sprawy królestwa Czartoryskiego, to nie ulega wątpliwości, ale co właściwie należało rozumieć przez owe złudzenia: czy wiarę w potrzebę i stosowność ogłoszenia Czartoryskiego królem, czy wiarę w to, że emigracja da się pociągnąć tej myśli i pozwoili ją urzeczywistnić? Można było rozumieć dwójako i ta niejasność dogadzała Słowackiemu; dla Czartoryszczyków jednakże niechętne wyrażenie o posłach, że „wrzeszczą na to“, mogło być wskazówką, że poeta rozumiał te iluzje w sensie przychylnym dla tych, którzy im ulegli.

Jeszcze więcej na taki domysł mógł naprowadzać ustęp, zawarty w dalszym ciągu tej samej (III) pieśni. Ustęp to jeszcze bardziej niejasny, bardziej zamglony od poprzedniego, ale rozgarnawszy mgłę, można wydobyć z niego wiersze, które nie mogą znaczyć nic innego, jak to, że Słowacki w sprawie królestwa Czartoryskiego, tak żywo poruszającej ogół emigracji, stawał po stronie księcia. Powiedziawszy, że nawet dyabeł nie chce już emigracji, „i żadną serca żądzą już nie lechce“, poeta pisze dalej:

Ambicja serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny.
Gwiazdy się spyta każdej, co upadła:
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

Pryncypia... O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekreślę
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery
W arystokratów gracie: smętne sowy!

Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościeszko przeczuł was, krzyżąc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera.

Cóż znaczyło to gorące oburzenie i przeciw komu się zwracało? Możliwy byłoby myśleć, że poeta całą emigracją smaga tem oburzeniem, gdyby z pojedynczych zwrotów nie wynikało, że chodzi tu głównie o sejm, o gminy, z których się składało stronnictwo środkowe, Lelewelowskie, i o generałów. Ale cóż oni wówczas zrobili takiego, ażeby aż serce miało pękać poecie? albo raczej co powinni byli robić podług poety, a czego nie robili?

Prawda, ciągle spory i kłótnie w emigracji były rzeczą smutną i czyniły życie emigracyjne ciężkim i jałowem. Mickiewicz pisał do brata w tym czasie (3 marca 1841): „Nie możesz sobie wystawić, co to za bieda z ludźmi zamkniętymi w tak smutnem położeniu. Każdy dzień i noc kuje projekta polityczne i wścieka się, kiedy drugich nie może na swoją stronę przemówić¹⁾. A do Domejki w parę miesięcy potem: „Między naszymi zawždy to samo głupstwo i kłótnie jeszcze żwawsze. Już to u nich stało się chroniczne i do nieuleczenia²⁾. Ale czy sama kłótniowość emigracji mogła wywołać w Słowackim takie potoki rozpaczliwego oburzenia i potępienia? Że Słowacki nie należał do ludzi, którzy cenią jedność i zgodę, dał tego liczne dowody i przedtem i potem, więc już to samo nie pozwala na powyższe przypuszczenie. Ale prócz tego jest jeszcze inna wskazówka, która nakazuje inaczej tłómaczyć to potępienie. Wśród potępionego ogółu poeta znajduje jedną tylko postać, dla której nawiasowo wprawdzie, ale bardzo gorąco wyraża współczucie. Postać ta zakryta jest nazwą „asa“, który jest „z sercem i laurowy“, a którego chcą bić jakieś młódki, dlatego, że „kozery“. Tym asem w ówczesnej sytuacji nie mógł być kto inny,

¹⁾ Koresp. I 231.

²⁾ Tamże I. 232.

jak książę Czartoryski, „kozerami“ były zapewne różne figury sejmowe, przeciwnie dynastycznym zamiarom księcia, a ta nawiasowa, ale tak gorąca sympatya dla asa, całemu oburzeniu poety nadawała szczególny charakter. Był w tem wszystkim jakby wtór do skargi, wypowiedzianej przez księcia na ostatnim obchodzie 29 listopada (1840), który stronnictwo księcia odbywało zwykle w Towarzystwie literackiem, skargi, że na trudnem stanowisku swoim „często ani poparcia dostać, ani dobrego słowa nie zdarzy mu się usłyszeć¹⁾).

Sprawa „króla de facto“, obok strony osobistej i w danych warunkach śmiesznej, miała stronę zasadniczą, poważną. Było w niej uznanie, że Polska potrzebuje silniejszego rządu i ciągłości władzy i że brak tego przyczynił się do jej zguby. Ale nie zasadniczą stroną, która była wręcz przeciwna całemu nastrojowi Słowackiego, mogła ta sprawa przemawiać do serca, raczej do fantazyi jego, tylko właśnie stroną osobistą. Nie byłoby czynem efektownym zdobić wygnańcze czoło koroną? Nie dodawałże temu czynowi uroku powszechny opór tych, nad którymi jedynie mógł nowy król panować? Była przytem pewna analogia pomiędzy stanowiskiem księcia a Słowackiego. Wszak i nasz poeta o niczem innem nie marzył, tylko o królewskiej i polskiej koronie, koronie poetyckiej, która nawiasem mówiąc więcej wówczas miała realnej wartości od tamtej, tak samo wierzył, że jest w polskiej poezyi królem de facto, i tak samo bezskutecznie walczył z ogółem emigracji o przyznanie mu korony. Dodajmy do tego osobisty stosunek z domem księcia, zażyłość z takimi ludźmi jak Błotnicki lub Niedźwiedzki, a zrozumiemy, jak to się stało, że Słowacki wystąpił w *Beniowskim* jako stronnik Czartoryskiego w jego dążeniu do korony *in partibus infidelium*. Wystąpienie to było gęstą zasłoną przykryte, nie tak jednak gęstą, aby interesowani nie mogli jej wzrokiem przeniknąć.

Tem też tylko można wytłómaczyć, dla czego redaktor *Trzeciego Maja*, Orpiszewski, tak chętnie otwierał przed Słowackim łamy swojego pisma i podawał mu sposobność do odparcia fałszów, zawartych w artykule *Tygodnika poznańskiego* O improvizatorach; dla czego *Trzeci Maj* zamieścił potem tak entuzjastyczną ocenę *Beniowskiego*, dla czego w roku następnym Czartoryscy tak łaskawie traktowali Słowackiego, iż poecie zdawało się, że mu chcą syna oddać w opiekę. „W oczach ich widzę, że mi chcą syna swego

¹⁾ *Trzeci Maj* z 12 grudnia 1840.

w przyszłości powierzyć, że im to miło wiedzieć, że za ich grobem syna ja będę strzegł i kochał bezinteresownie, jak kochają ludzie dumni i równi wszystkim". Wprawdzie Słowacki w liście podawał inną przyczynę¹⁾, można jednak być pewnym, że gdyby był zajął w *Beniowskim* przeciwne względem dynastycznych dążeń księcia stanowisko, to takie zbliżenie z rodziną księcia, o jakim pisał, te „małe codzienne tryumfy“, te „małeńkie zdarzenia“, z których każde „wymagałoby arkuszowych listów... i łańcucha całego okoliczności miejscowych“, a którymi tak delectował się Słowacki, to wszystko byłoby niemożliwym.

Zatrzymałem się dłużej nad tą sprawą dla tego, aby pokazać, że Słowacki, który później tak wysoko wynosił sztandar demokratyczny i tak ostentacyjnie nim potrząsał, który w wierszu *Do Autora trzech psalmów* i w *Liście do księcia A. C.* okazywał się stanowczym przeciwnikiem korony i monarchizmu Czartoryskich, w czasach pisania *Beniowskiego* nie myślał być jeszcze takim, jak później, demokratą, i w tym poemacie, w którym miał doskonałą sposobność zarysowania swego stanowiska wobec emigracyjnej walki demokracji z arystokracją, stanął dzięki osobistym stosunkom bliżej obozu arystokratycznego niż demokratycznego.

Pozostaje nam jeszcze analiza zakończenia *Beniowskiego*, a raczej piątej jego pieśni. Jest to wierzchołkowy punkt poematu, i tu na tem końcowem wzniesieniu ustawił Słowacki najsilniejszą baterię poetycką, aby z niej otworzyć morderczy ogień na tego, który mu przez całe życie stał na drodze do sławy, w którym widział głównego sprawcę swoich niepowodzeń. Walkę z nim, zawartą w kilkunastu ostatnich oktawach, poprzedził wyznaniem wiary, ponieważ zostawało ono w ścisłym związku z tą walką. W pierwszym sądzie swym o poezji Słowackiego zarzucał jej Mickiewicz brak Boga; ten sąd obiegał przez cały szereg lat emigracją i drażnił uszy Słowackiego, i oto w natchnionej improwizacji wielkiego przeciwnika znajdował go znowu. Wiemy, że w pier-

¹⁾ „Guwerner mój dawny, jak pamiętasz, z długim nosem (Błotnicki)... wychował, ile ci wiadomo, drugiego pupilla, i wysłał go na uniwersytet... Na tym uniwersytecie uczeń ten poznał się z jednym moim kochanym (Kraśińskim?), który mu tyle o mnie nagadał, że dobre chłopczysko, przyjechawszy tu na wakacje do starych rodziców, szukał mnie, a dobrze już będąc o mnie uprzedzony, pokochał szczerze... Za nim poszli rodzice, którzy dotąd nigdy się do mnie byli nie zbliżyli tak, jak teraz“. Listy II 154.

wszej chwili nie był Słowacki dotknięty tym zarzutem, nie czuł tego pocisku, ujęty uznaniem swego talentu ze strony Mickiewicza, jego szczerością tonu i blaskiem natchnienia. Ale gdy w *Tygodniku literackim* fałszywie przedstawiono improwizację Mickiewicza i ów pocisk umyślnie zaostrzono (nie jesteś poetą, bo nie masz wiary i miłości), wtedy tem silniej zaboląła poetę oddawna jęcząca się rana. Zarzucają mu brak wiary, brak Boga w kościele jego poezji: otóż on ma Boga i ma wiarę, a jaką? to pokaże.

Rzecz to charakterystyczna, że *Credo* swoje, wypowiedziane w *Beniowskim*, zaczął Słowacki od artykułu wiary estetycznej: „Wierzę sercem poganina — W rym szekspirowski, w Danta i Homera“. Nie naturalniejszego, że zaczynał od wiary w bogów poezji on, który siebie także za Boga poezji uważał, on, dla którego sfera wiary artystycznej była najwyższą sferą. Potem następowało *credo* polityczne. W tym względzie Słowacki nie znalazł nic więcej do powiedzenia nad to, co napisał był w *Podróży na Wschód*. Ten poemat ze wszystkich poprzednich utworów Słowackiego najpodobniejszy był do *Beniowskiego*. Jak tu, tak i tam, wzorem bajronskiej poezji, opowiadanie przeplatane było rozmaitemi dygresjami, rozmaitemi wynurzeniami lirycznymi i alluzjami, które prowadziły za sobą ciągłą zmianę tonu; i tu i tam poeta chlubił się swojem wirtuozostwem poetyckim, i tu i tam przewodniczyła mu chęć olśnienia swoim artyzmem czytelnika. Wreszcie jakkolwiek dygresje w *Podróży na Wschód* nie odgrywały tak ważnej roli, jak w *Beniowskim* i nie miały za główny cel walki z przeciwnikami, znajduje się między nimi *credo* polityczne nie tylko w treści, ale i w wielu wyrażeniach bardzo podobne, niekiedy identyczne z tem, które podał w *Beniowskim*. Po co się ono tam pojawiało? (a pojawiało się dwukrotnie i w obu razach dosyć niespodzianie), trudno na to pytanie odpowiedzieć stanowczo. Być może, że i tam już grała pewną rolę chęć pokazania Mickiewiczowi i światu, że poeta ma czem zapełnić kościół swej poezji. Można by tak wnosić z tych strof pieśni dziewiętej, gdzie Słowacki przedrwiwa prorocтва Mickiewicza i „jezuicką reakcję“¹⁾.

¹⁾ Czy nie widzicie żem chory? Szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religię mas, w republikanizm,
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,

Credo z pieśni dziewiątej *Podróży na Wschód* było tylko jakby echem, skróceniem *creda* z pieśni czwartej, to jest tego wstępu, który w parafrazie przeszedł do *Beniowskiego*. Zwraca tu naprzód uwagę, w jednym i w drugim poemacie, trawestacja *creda* apostołskiego, zastosowana do Mochnackiego, rewolucji listopadowej i emigracji. Ma ona zwykły ton trawestacji, ton drwiący, z pod tego tonu jednak widocznie przebija się sympatya dla Mochnackiego, który swoją *Historią powstania* wywarł, jak wiemy, wielkie wrażenie na Słowackim, którego przekonania i poglądy polityczne odpowiadały dobrze nastrojowi psychicznemu poety. Ale na trawestyi nie mógł poeta poprzestać, jeżeli naprawdę chciał pokazać swoją wiarę polityczną, więc doszedłszy do „amen“ zmienił ton szyderczy na poważny i wygłosił swoje *credo* polityczne, które w *Beniowskim* tak brzmi:

Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żorawi
W postęp, że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran, gdy łożę okrwawi
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
I ogień z nim śpi i węże i trwoga...

W *Podróży na Wschód* odpowiada tym wierszom następująca strofa:

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane,
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Porównywając pierwszy ustęp z drugim, dostrzegamy, że w tym pierwszym, późniejszym, znikło to, co miało wyraźnie anti-monarchiczny kierunek, więc znikła wiara w republikanizm, znikły trony zachwiane i próchniejąca w trumnach purpura, zostało zaś to, co monarchizmowi nie przeczyło: wiara w postęp, w bohaterów, w Nemezis dziejową. Nie chcę twierdzić, że Słowacki przerabiał swoje wyznanie wiary w ten sposób świadomie (bo, że tu było prera-

Ale w nią wierzę, jak w dogmat... z rozpacz.

Mam także wielką ufność w jezuicką
Reakcję... lecz się nie łączę i czekam;...

bianie, świadczą o tem poprzedzające strofy)¹⁾, przypuszczam raczej, że mimowoli dostrajał się do sympaty i przekonań stronnictwa, z którem go wówczas łączyły przyjazne stosunki i nieświadomie dobierał obrazów i wyrażań, któreby tej harmonii towarzyskiej nie psuły.

Ale *credo* estetyczne i *credo* polityczne to były tylko dwa stopnie, potrzebne pocię na to, aby, wspiawszy się po nich, wyjść na trzeci, najwyższy, i z tego wzniesienia ogłosić światu swoje wyznanie wiary religijnej, zaśpiewać hymn swojemu Bogu, i tem wyznaniem, tym hymnem zmierzyć się z religijnością wielkiego przeciwnika, który mu brak wiary zarzucał.

Wierzę w to wszystko... ha!... a jeszcze w Boga.

Pięć strof, które następują po tem przejściu do religijnego *credo*, jest to niezmiernie ważny, ogromnie charakterystyczny ustęp, naprzód dla tego, że wyraził się w nim jeden z najwybitniejszych momentów monomachii Słowackiego z Mickiewiczem, powtóre, że w tym ustępie poeta otworzył na oścież bramy swojej świątyni, aby w pełnym blasku pokazać nam swojego Boga.

Na horyzoncie duchowym każdego poety, jak wogóle zresztą na horyzoncie duchowym każdego człowieka, można odróżnić cztery główne strony świata jego wyobrażeń i uczuć, cztery zasadnicze stosunki: do kobiety, jako przedstawicielki płci odrębnej; do społeczeństwa w jego rozmaitych formach albo zakresach: rodziny, koleżeństwa, narodu, ludzkości; do przyrody, jako karmicielki nie tylko ciała, ale i ducha, jako do głównej mistrzyni, kształcącej wyobraźnię człowieka; wreszcie do tego pierwiastka jedności, tego Najwyższego Utajonego, bez którego nieskończoność zjawisk stawałaby się nieskończoną dla ducha ludzkiego zmorą. Dotychczas mieliśmy sposobność poznać stosunek duszy Słowackiego do kochanki, do społeczeństwa i do przyrody. Dwa pierwsze stosunki ukazały się nam w charakterze ujemnym, to znaczy, przedstawił się w nich Słowacki, jako niezdolny do szczerzego ukochania kobiety i narodu; przeciwnie w trzecim stosunku, dzięki szczególnej swojej organizacji duchowej, w której wyobrażenia wybujała kosztem innych władz ducha, objawił się jako nieporównany tłumacz piękności natury, jako ten, który umiał odczuć każdy jej wdzięk najsubtelniejszy, złowić naj-

¹⁾ Mianowicie trzy strofy, poświęcone Mochnackiemu w *Beniowskim*, które są przerobieniem trzech odpowiednich sześciowerszowych strof czwartej pieśni *Podróży na Wschód* na oktawy.

przelotniejszy jej uśmiech, dosłyszeć najłżejszego jej westchnienia i to wszystko czarodziejskim słowem odmalować. Jakież był stosunek jego względem Boga?

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
W popiołach ziemi słońce zawieruszy,
Zamgli, zecerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani wśród kolumn, które zamiast dachu
Mają na sobie miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie
Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i dobrych uczynkach —

Znajdzie... ja sądzę, że znajdzie... i życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci... Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kielza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie ła
Próżna, stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

Czemże jest Bóg Słowackiego? Żeby go pokazać, poeta daje nam rozległy obraz stepu ukraińskiego, z szumem wiatru, z czerwonym ogniem zachodzącego słońca, z tęczą szarańczy na niebie. Tam on czuł i znajdował Boga. To, co dalej wspomina o kolumnach pod gwiazdzystym dachem niebios, o zapachu młodości i stokrociach, jest już słabem tylko uzupełnieniem pierwszego obrazu, w nim więc, w tym obrazie mamy przede wszystkim szukać pojęcia Słowackiego o Bogu. Bóg jego w tym obrazie uderza ogromem przestrzeni, ale nie tym bezkształtnym, jaki się w pojęciu nieskończoności zawiera, tylko tym plastycznym, jaki obraz stepu przedstawia, a obok ogromu plastycznego uderza szumem i blaskiem. Jest to Bóg, przemawiający tylko do zmysłów, do oczu i uszu, a przez te zmysły do wyobraźni, podobny do bogów, czczonych przez ludy pierwotne, nie umiejące oddzielić przyczyny zjawisk natury od samych zjawisk, przytem Bóg to jakiś stepowy, pierwiastek ruchu dla samego ruchu, niby wiatr ukraiński, niby koń rozhukany, niby ptak wielki z szumem przelatujący „przez wszystkie równiny“. Cóż dziwnego, że Bóg taki „lubi huczny lot olbrzymich ptaków“ i że „rozhukanych koni On nie kielza“. Lubi on podobno także wielkie czyny, ale łatwo się domyslić, że tylko takie, które tworzą wspaniałe widowisko, które są uczcą dla oczu.

Jest coś panteistycznego w tem przedstawieniu Boga i być może, że Słowacki ulegał tu poniekąd sugestyi słów Krasińskiego, który widział formę panteistyczną w jego poezji, który ją, jak wiemy nazywał „rozpłynieniem, powrotem do szerzy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznanego Boga“¹⁾. Zapewne pod wpływem tych słów mówił o sobie poeta w *Beniowskim*, że jest „panteistą trochę“, więc może i swoje wyznanie wiary dostrajał do określeń przyjaciela. Ale przede wszystkim to wyznanie wiary, ten obraz Boga Słowackiego miał być przeciwstawieniem do religijnych pojęć tych ludzi, z którymi toczył zaciętą walkę, w szczególności do pojęć Mickiewicza, który mu zarzucał brak wiary i miłości i wzywał jego muze na drogę, wiodącą do Boga. I to przeciwieństwo dobywał już Słowacki wprost z siebie, nie ze słów Krasińskiego i dla tego wiernie się wypowiedział w swoim wyznaniu wiary.

¹⁾ Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 5.

Żeby zrozumieć, jak dyametalna różnica zachodziła między Słowackim a Mickiewiczem w tym względzie, to jest w ich stosunku do Boga, dość jest odczytać choćby jedną strofę z „*Rozmowy wieczornej*“ Mickiewicza, pisanej, podobnie jak Credo w *Beniowskim*, w chwili, gdy poeta czuł pełnię sił twórczych i stał u zenitu życia, i porównać ją z tem Credo.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha,
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! słów nie mam dla Ciebie,
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu.

Słowacki znajdował Boga w obrazach przyrody, groźnych i wspaniałych, w szumie i blasku, rzecby można w błyszczącej i szeleszczącej szacie bóstwa, która olśniewała jego wyobraźnię, i przed takim Bogiem padał na twarz. Mickiewicz, jakkolwiek szukał go myślą „za gwiazd kołowrotami“ (w *Dziadach*) znajdował jednak dopiero we własnym sercu i znajdował dopiero wtedy, gdy wszelkie szумы i blaski dzienne poznikały, gdy północ wszystko w ciemnościach pogrzebała i nie skupieniu uczucia nie przeszkadzało¹⁾. I wtedy uczucia żalu, skruchy i miłości płynęły z jego serca, jak wonie z kwiatów, których kielichy na noc się rozwijają, płynęły modlitwą bez słów, wiążącą domek jego ducha z Tym, który gościł w tym domku, ale zarazem królował w niebiosach, to jest serce poety z nieskończonością. Jednym słowem religijność Mickiewicza tkwiła w sercu, religijność Słowackiego w wyobraźni. Ten ostatni fakt potwierdzają tak inne utwory (np. *Hymn o zachodzie słońca na morzu*), jak i listy poety, o ile on w nich wspomina o budzeniu się swoich uczuć religijnych, np. opis wrażeń doznanych na Wezuwiuszu²⁾.

¹⁾ Podobna myśl wypowiedziana jest w *Zdaniach i Uwagach* Mickiewicza, wziętych z pism mistyków:

Głośniejsi niżli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.

²⁾ „Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem więcej na mnie z tamtego świata“. Listy II, 10.

Czy ten błyszczący i szumiący Bóg Słowackiego miał co wspólnego z chrześcijańskim pojęciem o Bogu? Nie, podobniejszy był raczej do Jehowy Starego Zakonu, który trzymał naturę w przestachu i podziwie, którego świetność zewnętrzną i potęgę wielbił psalmista. Słowacki, wczytując się w Kochanowskiego psalmy, znajdował tam ustępy, dobrze odpowiadające obrazowi Boga z *Beniowskiego* np. w psalmie XVIII:

Trzęsła się w swym gruncie ziemia na wszystkie strony,
Trzęsły się góry, bo Pan był gniewem wzruszony.
Dym się kurzył z nosa jego, oczy pały
Żywym ogniem, a z oblicza węgle strzelały itd.

albo we wspaniałym psalmie CIV:

Ciebie obeszła w koło cześć i świetna chwała,
Ciebie jasność jako płaszcz ozdobny odziała...

Pan, który kiedy pojrzy, ziemia drży; Pan, który
Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójda góry.

Oto jest Bóg objawiający się, jak chce Słowacki, w natury przestachu, mierzący tym przestachem swoją potęgę. Jakże inaczej wygląda Bóg w ewangelii, Bóg, który błogosławi ubogim w duchu i zapewnia im królestwo niebieskie, błogosławi cichym i zapowiada, iż oni to odziedziczą ziemię, błogosławi pokój czyniącym i swoimi synami ich nazywa, każe miłować nieprzyjaciół i modlić się za nich. „Abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech; bo on to czyni, że słońce jego wschodzi na złe i na dobre, i deszcz spuszcza na sprawiedliwe i na niesprawiedliwe“. (Mat. V, 45). Słowacki, w którym żądza wielkości, żądza sławy, zajęła niepodzielnie serce i rozpierała je, nie miał zupełnie, przynajmniej do owego czasu, zdolności do zrozumienia moralnego piękna, jakie świeci z prawdziwej pokory chrześcijańskiej, z prawdziwej miłości bliźniego, z prawdziwej miłości Boga, jako ideału najwyższej doskonałości moralnej. Najwięcej jeszcze zbliżył się on do tych pojęć w *Hymnie na morzu* i w *Anhellim*, ale w *Hymnie* jest raczej skarga na swoje losy, niż pokora i miłość chrześcijańska, w *Anhellim* miłość i litość, którą wlewa Szaman w bohatera poematu, przemieniają się, jak widzieliśmy, w samoubóstwienie. W *Beniowskim*, w owym wyznaniu wiary, które analizujemy, jest wręcz negacja idei chrześcijańskich, które od lat dziesięciu tak głęboko był przejęty

Mickiewicz, które teńał w *Księgi pielgrzymstwa*, w *Dziadów Część III*, które od niego wychodząc szerzyły się w pewnym gronie emigracyi i wcielały się w życie, ściągając nieraz na to grono niechęć i szyderstwa płytkiej i rozpolitykowanej emigracyi. Słowacki, który znajduje Boga w wichrze stepowym, pod kolumnami świątyń egipskich, nakrytych gwiazdzistym niebem, a nawet w stokrociach, z ironią mówi o tych, którzy go szukają w modlitwie i dobrych uczynkach, ludzi „kornej wiary“ nazywa ludźmi „małego serca“, porównywa ich z robakami i płazami i przeciwstawia im tych, którzy jak szumnoskrzydłe ptaki lub rozhukane konie przełatują przez życie.

Uniesiony antagonizmem względem Mickiewicza i jego religijności, podobny w istocie do uwielbianego przez się konia rozhukanego, który się na nie w pędzie nie ogląda, zapominał Słowacki o niekonsekwencyach, w jakie popadał, o tem, że jego wyznanie wiary kłóciło się najwyraźniej z tą cześcią dla Chrystusa, którą niejednokrotnie manifestował, którą jeszcze w pierwszej pieśni *Beniowskiego* głosił, wspominając, jak „bił czołem w marmur Chrystusowy“. Dopóki się rzucał na Jezuitów, na Rzym, na papieżstwo, nawet na katolicyzm, jeszcze jego cześć dla Chrystusa mogła być w ten lub ów sposób z tem całem miotaniem się pogodzić, jak się godziła nieraz w inowiercach, w różnego rodzaju kacerzach, sekciarzach i marzycielach, rojących o powrocie do pierwotnej gminy chrześcijańskiej. Ale kiedy uderzał już nie na to, co mógł uważać za skrzywienie nauki Mistrza, ale na to, co musiał uważać za samą jej rdzeń, za główne zasady i ideały, kiedy ośmieszał pokorę, modlitwę, skrucę i miłosierdzie, jakże mógł z tem wszystkim pogodzić cześć dla Chrystusa?

Zagadki nie można inaczej rozwiązać, jak w ten sposób, że w Słowackim cześć dla Chrystusa z wyobraźni brała początek, nie z serca. Wielbił Go — naturalnie nie zdając sobie z tego sprawy — nie dla jego doskonałości moralnej, której niezdolny był odczuć sercem, ale dla tej aureoli, która otacza jego postać w dziejach, i dla dramatyczności, jaką historia jego męki przedstawia.

Jak ta dramatyczność działała na jego wyobraźnię, świadczy o tem pewien list jego szwajcarski, z czasów, kiedy studiował Biblię i nieraz przed zaśnięciem odczytywał głośno jakiś z niej rozdział. „Przedwczoraj — pisał do matki — tak mocno wraziła

mi się w imaginację męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem. Obudziłem się okropnie przerażony“¹⁾).

Jeżeli znalazłszy się sam jeden u grobu Chrystusa w nocy, na ten grób z płaczem się rzucał, wywołała to do najwyższego stopnia podniecona wyobraźnia poety, która mu uprzytomniała cały zewnętrzny blask postaci Chrystusowej.

Żeby lepiej zrozumieć charakter religijności Słowackiego, warto jeszcze przypomnieć to, co pisał o swoich uczuciach religijnych po otrzymaniu z Paryża pierwszego egzemplarza *Anhellego* swego ukochanego dziecka, jak go nazywał. Poszedł on wtedy, jak wiemy, „do wielkiej, ciemnej, pustej katedry“, stanął po środku, zaczął myśleć o Bogu i oczy jego napełniły się łzami. „Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, że tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim... Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny“. Otóż łzy, które mu się wówczas pokazały w oczach, nazwał Słowacki upokorzeniem się, z tego jednak, jak pisze o tem, z owego „urośnięcia“, z owego porównania siebie do najwyższych kolumn, łatwo wywnioskować, że te łzy napędziła mu nie pokora, ale wyobraźnia poetyzująca chwilę, od której jak mu się zdawało, miał się rozpocząć okres jego sławy, i poetyzująca dekoracją tej chwili, owo sam na sam z Bogiem w „wielkiej, ciemnej i pustej“ katedrze. To też i sam, choć mówił o upokorzeniu się swoim, nazywał, i to z pewną chlubą, swój katolicyzm dumnym.

Ogłosivszy swoje wyznanie wiary, pokazawszy swego Boga i upadłszy na twarz przed nim, Słowacki zwracał się do Mickiewicza, aby w ostatnich dwunastu strofach stoczyć z nim bój z zaciętością, która pod koniec przechodzi niemal w szaleństwo. Rozpoczynając *Beniowskiego*, nie przewidywał jeszcze, że jego poemat zakończy się takim ostrzem, wymierzonym w pierś wielkiego przeciwnika, bo jeszcze wtedy nie był podrażniony uczcą, jej komentarzami i różnymi owacyami dla Mickiewicza. Poemat miał być przede wszystkim chłostą dla *Młodej Polski* i tego stronnictwa emigracyjnego, które Słowacki upatrywał za nią. Mickiewiczowi naturalnie miało się dostać, ale do takiego szalonego pojedynku, jakim poemat się kończy, nie było jeszcze powodu. Zaczepiał go Słowacki w ciągu pierwszych trzech pieśni parę razy, czy to w pieśni III

¹⁾ Listy I, 289—290.

wspominając o „wieszczu wszystkowiedzącym“ i przedrzeźniając jego proroczą liczbę 44 (Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych! — Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi¹⁾); czy to w pieśni drugiej starając się aż w pięciu oktawach ośmieszyć wallenrodyzm i w złym świetle ukazać Wallenroda. Ale były to tylko lekkie natarcia w porównaniu z atakami na *Młodą Polskę* i *Je-zuitów*²⁾).

Teraz, po obu ucztach na cześć Mickiewicza i po ukazaniu się artykułu o improwizatorach, Słowacki, rozdrażniony w najwyższym stopniu na Mickiewicza, postanowił skorzystać z poematu, który już był doprowadzony do początku pieśni szóstej, nie przedłużać powieści, ale przerobić tylko ostatnie dwie pieśni i w zakończeniu wytoczyć swoją sprawę przed światem, wypowiedzieć swoje pretensje do wielkości, której uznawać nie chciano, i z całym

¹⁾ Małecki nie dopatruje w tem ironii i powiada: „Poemat ten całkowity miał się składać z czterdziestu czterech takich pieśni, jak owe pięć co wyszły z druku 1841 r. Tyle ich przynajmniej autor zapowiedział w jednej ze zwrotek pieśni trzeciej“. (Juliusz Słowacki Lwów 1901 II 272). Zwracam uwagę, jak już w *Podróży na Wschód* Słowacki przedrwiwał tę liczbę proroczą, mówiąc, że wierzy w nią „z rozpacz“.

²⁾ Co się tyczy ustępu o wallenrodyzmie, który podług Słowackiego „wiele zrobił dobrego“, bo „wprowadził pewny do zdrady metodyzm. — Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy“, to ustęp ten nie jest oryginalnym pomysłem Słowackiego, ale echem pewnego artykułu „*Pszonki*“ z roku 1840, (półarkusz 6 str. 21) p. t. „Wallenrodo-mania“. Ale w *Pszonce* z ośmieszaniem rzekomych naśladowców Wallenroda szło w parze uwielbienie dla twórcy tej postaci i dla samego Wallenroda. „Nieporównany Mickiewicz... wywołał z cieniów przeszłości krzyżackiej ową ogromną postać, od stóp do głów w kirysie, dumną, tragiczną, mściwą, słowem zakonnik rozkochanego, co pił, mordował i śpiewał ballady, a kreśląc ten olbrzymi charakter, mogący wielką myśl zaszcześcić w narodzie, nie spodziewał się może wywołać najśmieszniejszych w świecie naśladowców, którzyby Molierowi mogli dostarczyć materii do nowego rodzaju Tartuifów.“ Widział wprawdzie Pszonka „jakąś niedoskonałość“ w Wallenrodzie z powodu „że znikczemnienie podłość, brak charakteru, wyparcie się uczuć narodowych tak łatwo parodują ten płaszcz krzyżacki i ten hełm z tajemniczą przyłbicą“, ale i przy tych słowach nie omieszczał nazwać Wallenroda „prześlicznym ideałem“, a Mickiewicza „nieporównanym wieszczem“. Słowacki w swoim natarciu na wallenrodyzm zwrócił ostrze głównie przeciwko Mickiewiczowi.

Ponieważ „Wallenrodo-mania“ ukazała się w czerwcowym półarkuszu *Pszonki*, przeto pieśń II Beniowskiego, a przynajmniej ów ustęp o wallenrodyzmie i to, co po nim następuje, nie mogło być pisane wcześniej, jak w drugiej połowie 1840.

impetem uderzyć na tego, którego sława, od pierwszych wystąpień Słowackiego na polu poezji, przyćmiewała jego sławę. Ale do zawisłości kóż i kiedy się przyznawał? Tem mniej od innych mógł to uczynić Słowacki, więc za powód do swego uderzenia na Mickiewicza wziął przeciwieństwo zasad. Ale o tem później.

Pierwsza strofa tej monomachii była wyzwaniem:

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył,
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, że skinał Ja — i wieszca wskrzesił.

Ton wyzwania namiętny zapowiadał namiętną walkę. To, co Słowacki mówi o piołunie w ustach było alluzją do pewnych szczegółów improwizacji Mickiewicza, mianowicie do przyznania, że i on nieraz doznaje niewiary ze strony ziomków¹⁾. Przy końcu strofy zaznaczył Słowacki swoją wyższość nad przeciwnikiem, którego natchnienie od kilku lat opuściło; a jeżeli się na chwilę teraz zjawilo, to tylko dzięki Słowackiemu.

W czterech następnych oktawach podany jest obraz walki improwizatorskiej, stoczonej na uczcie. Słowacki „zwolna serca swego rwał kawały, zamieniał w piorun“ i ciskał w przeciwnika, to jest wypowiadał to; co mu od wielu lat nakipiało na sercu przeciw Mickiewiczowi, ale wypowiadał w poetycznych obrazach, których słuchacze pojąć należycie nie byli zdolni, więc choć sam czuł, że pociskami swymi zwyciężył przeciwnika, zwycięstwa tego słuchacze nie zrozumieli.

Za błękitami był bój i zwycięstwo
Ludzie nie widzą we mnie — tylko męstwo.

¹⁾ „Oto niedawno, rzekł on, kiedy miałem mówić przed obcymi, żaden z moich przyjaciół nie miał wiary w słowa moje, wszyscy mnie odbiegli, odstąpili; jedni mówili: skądże mu ta śmiałość w obcym odzywać się języku? Inni obwiniali mnie o miłość własną, a nie widzieli, że oto tu w sercu (i odkrył je) Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszystkie tłómaczyć języki itd.“ (Wyjątek z listu Januszkiewicza, Wł. Mickiewicz Żywot Ad. Mickiewicza T. III, str. 31) Jan Koźmian w cytowanym artykule (Dziennik Narodowy Nr. 16) potwierdza świadectwo Januszkiewicza: „Mówił i o sobie, jak nieraz jeszcze niewiary doznaje“.

Nie dość tego, ci słuchacze, to przyjaciele lub wielbicieli przeciwnika, to w znacznej części jego współkrajowcy, Litwini, już z góry niechętnie usposobieni dla Słowackiego. I poeta czuł tę niechęć ich ku sobie, czuł samotność swoją wśród „tej zgrai ciemnej“, czuł, że daremnie rzuca słowa „pełne łez i krwi i błyskawic świetnych“, na serca dla siebie „wstrętne“. Czemuż, jak Mickiewicz swoich Litwinów, tak on nie ma za sobą swoich Wołyniaków, którzy jako wychowañcy tego samego kraju „pełnego łąk kwiatnych“, wykarmieni przez tę samą ziemię „krwią i mlekiem płynną“, powinni go lepiej rozumieć i kochać?

Słowacki rozczułał się nad sobą i w tem rozczeniu był szczery, ale kiedy potem wołał:

Jeśli wy bez serc! Wy! — to moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.

to był to frazes, w tak rozpaczliwej niezgodzie zostający z całym poematem, że jeśli go Słowacki nie usunął po napisaniu, to można to objaśnić tylko albo pośpiechem w oddaniu poematu do druku, albo co pewniejsza, brakiem zmysłu dla szczeroci uczucia, któryby go ostrzegł o fałszywym akordzie.

Różnica prowincjonalizmów podsunęła Słowackiemu przeciwstawienie rodzinnej, krzemienieckiej Ikwy litewskiemu Niemnowi i tej to allegorii użył poeta do sprostowania fałszu umieszczonego w artykule o improwizatorach, to jest tego szczegółu, że Mickiewicz w swojej improwizacji odmówił mu jakoby prawa do tytułu poety. Nie, tak nie było.

Tys zmusiła Niemen stary
Wyznać, że wielki, że w sławę płyniemy,
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idiemy“.

I tu następują dwie strofy, w których Słowacki chciał swój antagonizm względem Mickiewicza, swój obecny zapęd wojowniczy, oprzeć na różnicy zasad społecznych i wspiąć się wobec narodu na stanowisku wieszcz-przewodnika, równorzędnego stanowisku Mickiewicza, ale wręcz tamtemu przeciwne.

Ha! ha! mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie!
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża,
Piorunem myśli podniesione ściecie...
Gnacie... Znam wasze porty i wybrzeża!

Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej!... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał.
Kiedy kłąć zechce... przezemnie kłąć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Na czymże polegała różnica zasad? Jakąż to drogą Mickiewicz, według rozumienia Słowackiego, chciał prowadzić naród, a jaką drogą on, Słowacki? Autor *Beniowskiego* chciał koniecznie przeciwstawić swoje zasady społeczne zasadom Mickiewicza, ażeby uzasadnić swoją namiętą z nim walkę i swoje pretensje do przewodniczenia narodowi, czyli do pierwszeństwa. Ale nie była to rzecz łatwa, przedewszystkiem dla tego, że kwestye społeczne były dotychczas dla Słowackiego rzeczą obcą, obojętną, że właściwie żadnych zasad społecznych nie miał. Jeżeli chodziło o patryotyzm, to szedł on tak samo w kierunku patryotycznym, jak Mickiewicz, z tą różnicą, że patryotyzm jego w *Kordyanie* przejęty był z drugiej ręki, właśnie z ręki Mickiewicza. Jedną tylko różnicę w patryotyzmie spostrzegał wyraźnie Słowacki między sobą a Mickiewiczem: patryotyzm tego ostatniego opierał się na katolicyzmie, na doskonaleniu się wewnętrznym w duchu ewangelii, a wobec tego Słowacki zachowywał się odpornie i szyderezo, jak np. w Przedmowie do trzeciego tomu poezyj, albo jak w owym wyznaniu wiary, którego analizę już podałem. Otóż tę różnicę Słowacki postanowił uwzględnić teraz, stając przed narodem, jako nowy jego wieszcz-przewodnik, żeby zaś odstręczyć od Mickiewicza tłum emigracyjny, religijności jego nadawał niepopularną barwę ultramontanizmu. Tak trzeba rozumieć zarzut Słowackiego, że portową wieżę dla Mickiewicza i jego przyjaciół jest korona papieża.

Ale ten zarzut zapewne wydawał się niedostatecznym pocie, więc skorzystał z rozmaitych plotek i niedowarzonych sądów emigracyjnych o pierwszych wykładach Mickiewicza w Collège de France, aby do pierwszego zarzutu: ultramontanizmu, dodać drugi: panslawizm. „Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie“.

Żeby zrozumieć, skąd taki zarzut mógł powstać, trzeba wiedzieć, że znaczna część emigracji paryskiej sądziła, że Mickiewicz,

zostawszy profesorem Collège de France, będzie korzystał z tej katedry, ażeby niejako z obowiązku patryotycznego wszystko, co rosyjskie, bez względu na prawdę historyczną, przedstawiać w złym świetle. Tego się też obawiano i ze strony rządu francuskiego. Mickiewicz w pierwszych swoich wykładach rozproszył i nadzieje i obawy, i pokazał, że ani polskość, ani patryotyzm nie odbierają mu bezstronności historycznej. To wywołało w różnych kołach emigracyjnych niezadowolenie, ujemne a nawet obraźliwe sądy. Już w pierwszej prelekcji nie podobało się to niektórym polskim słuchaczom, że Mickiewicz charakteryzując języki słowiańskie, nazwał język rosyjski językiem prawodawstwa i administracji, język polski językiem literatury i rozmowy potocznej. Jeszcze większe niezadowolenie wywołało to, co mówił na drugiej lekcji o zasługach Rusi i Polski względem chrześcijaństwa, przyznając Rusi, a właściwie Rosji zasługę pokonania Tatarów, Polsce zasługę powstrzymania potęgi Turków. Najwięcej wrzawy wywołała trzecia lekcja z powodu słów Mickiewicza o charakterze patryotyzmu polskiego. „Niepodobna jest określić patryotyzmu polskiego wyrazami i zamknąć go w formule sciencey. To pewna, że u poetów, mowców i polityków narodowych polskich, ojczyzna nie jest to miejsce gdzie jest dobrze (ubi bene), nie jest to pewny stan pomyślności, nie jest to pewny kawał ziemi określony granicami, za którymi kończy się byt i działanie narodowe Polaka. Ojczyzna Polaków żyje i działa wszędzie, gdzie biją wierne serca jej synów...”¹⁾ I zacytował w końcu słowa Aleksandra I: „Polacy poświęcają rzeczywistość dla urojenia”, dodawał: „Miał on słuszość, jeżeli jak to dziś bywa, nazwiemy urojeniem wszelką ideę, która jeszcze nie ma władzy na ziemi i jeszcze dąży ku rzeczywistości”.

To idealne pojmowanie patryotyzmu i ojczyzny, w którym się już tał późniejszy mesyanizm, dla większej części emigracji, rozpolitykowanej i płytko rzeczy biorącej, było niezrozumiałem i gorszącem. *Narodowość* wydawana przez niejakiego Słowaczynskiego, odsyłała Mickiewicza do słownika Lindego i kazała mu tam dowiadywać się, co znaczy słowo ojczyzna. *Zjednoczenie* z tego samego powodu wołało: Adamie! — przebóg! niegdyś wielki nasz poeto! Ojczyzna nie jest dla Polaka ni snem, ni marzeniem. Naród, który za swoją wiarę, za swoje swobody, za swoją wolność i nie-

¹⁾ Literatura słowiańska Poznań 1865 T. I str. 21.

podległość przez ośm wieków swą krew przelewał, ten naród wiedział i wie, co jest jego ojczyzną”¹⁾. *Pszonka* dowcipkował: „Emigracya gniewa się za jakieś tam brednie o Polsce i Ojczyźnie. Czy zapomniała, że poecie wszystko wolno?”

Ale wszystkie pisma emigracyjne prześcignęła *Nowa Polska*, wydawana przez osławionego krzykacza J. B. Ostrowskiego, który pierwszym wykładom Mickiewicza poświęcił sążnisty artykuł, na dwa numery rozciągnięty, p. t. „Pan Adam Mickiewicz profesor”. Co on tam naprzd o ucztach dla Mickiewicza, a potem o jego wykładach popisał, przechodzi wszelkie pojęcie: „Ten Polak, ten męczennik, ten pierwszy wieszcz, jako raczy nazywać siebie — przyjmuje szumne wieczory, zachmiela się szampanem — kiedy Polska łyzy i krew wylewa”²⁾. „We swoim umyśle Polski potężnej, zasłużonej, poważnej, przygotowanej na nowe nieograniczone poświęcenia nie znalazł. To był pył dlań. Moskwa zajęła jej miejsce jako najgrubsza, jako najgromniejsza”... W dalszym ciągu J. B. Ostrowski dowodził, że Mickiewicz „rozmyślnie, przez dobrze i spokojnie rozważany i przyjęty zamiar, uczynił to, co dosyć trafnie nazwano zlorzeczeniem narodowym świętościom...”³⁾ Przypomniał przedmowę do pierwszego wydania Wallenroda, gdzie Mikołaj nazwaui był ojcem ludów i twierdził, że uczucia patryotyczne Mickiewicza oziębily się „na salonach moskiewskiej arystokracji i przez lubieżne pieszczoty moskiewek”⁴⁾.

Nie podobało się także wielu słuchaczom, że Mickiewicz w pierwszych swoich wykładach szczególnie się zajmował Ukrainą i jej poezją dawniejszą i współczesną. Z powodu różnych ujemnych sądów, jakie o tem krążyły, pisał Bohdan Zaleski do Goszczyńskiego (29 stycznia 1841): „Nie wierz, mój Sewerynie, co ci piszą o Mickiewiczu. Byłem sam bez wiedzy profesora na jednej lekcji i wyszedłem całkiem rozradowany. Była mowa o charakterze fizycznym różnych miejscowości słowiańskich, a mianowicie Polski, Moskwy, Ukrainy. Oczywiście Ukraina, która ma pieśni ludu, ma piewców swoich dawnych i nowych, najwięcej dostarcza barw poetyckich. To się zaraz nie podobało słuchaczom. „Czy to już w Polsce oprócz Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego nie było i nie ma po-

¹⁾ *Zjednoczenie* z 25 kwietnia 1841 T. I str. 3.

²⁾ *Nowa Polska* T. IV Oddział 3 str. 617.

³⁾ Tamże str. 618.

⁴⁾ Tamże str. 619.

etów?" Sam słyszałem taki wyrzut. Ty wiesz, że u nas wciąż krąży w obiegu pewna masa pospolitych wyobrażeń i, broń Boże, uderzyć na nie... Byle nowszy nieco lub śmielszy pomysł, natychmiast podejrzewają patryotyzm¹⁾.

O podobnych podejrzaniach pisał i zbijał je Bohdan Zaleski w liście do Lucyana Siemieńskiego, o parę miesięcy późniejszym (3 kwietnia 1841). „Czytałem noty stenografów i ani słówka o tem, co mi pisałeś i co czytałem sam po emigranckich żurnalach. Wierzę mi, wszystko to plotki ludzi, nierozumiejących rzeczy sobie nieswojskich, a chcących przecież o nich wyrokować. Mickiewicz, jako Litwin, nie wierzy nawet w Słowiańszczyznę, ale w samą jedną Polskę, z którą zjednoczyli się ongi jego przesławni Olgerdowicze. Ale poradźże Polonii! Dla nich Ruś Kijowska, Nestor i Bojan, to Moskiewszczyzna. Ani chcą wierzyć, że tam wcześniej rozwinęła się poezja samorodna itp. A cóż dopiero mówić im o Czechach i Serbach? Sam to wiesz z własnego doświadczenia. Polityka u nas, przedewszystkiem polityka i dla łada jakiego widzi mi się tej lub owej partii trzebaby wciąż poświęcać prawdę²⁾.

Na takich emigracyjnych plotkach i podejrzaniach opierał Słowacki swoje posądzenie Mickiewicza o panslawizm³⁾, opierał tem

¹⁾ Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego, wydał Dyonizy Zaleski. Lwów 1900. T. I str. 195. Lekcyja, o której Zaleski pisze, był to piąty wykład z d. 12 stycznia 1841.

²⁾ Tamże I, 198.

³⁾ Na obronę Słowackiego można powiedzieć, że wtedy, kiedy pisał *Beniowskiego*, prelekcye Mickiewicza jeszcze nie były ogłaszane drukiem, nie było więc łatwo oceniać wartość podejrzeń i plotek emigracyjnych. Tłomacz wykładów Mickiewicza, Feliks Wrotnowski, w przedmowie do trzeciego wydania *Literatury słowiańskiej* powiada, że nie tylko rodacy rozsypani po Francyi, ale „obecni nawet w Paryżu nie mogli częstokroć zgodzić się o to, co z katedry było powiedziane“, i to właśnie było głównym powodem, że zabrano się do ogłaszania tych prelekcji. Ale z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że gdyby Słowacki pilnie uczęszczał na wykłady Mickiewicza, lub przynajmniej postarał się o przejrzenie stenograficznych zapisków, które już od piątej lekcji się poczęły, to byłby się przekonał, jaki jest prawdziwy pogląd Mickiewicza na panslawizm. Mianowicie przy końcu wykładu dziewiątego (z 26 stycznia 1841) znajdujemy te słowa: „Narzeczania słowianofilów, że wszczęcie się królestw rozerwało jedność Słowiańszczyzny, nie ma żadnej zasady. Jedności tej nigdy nie było. Jedność ludów znajduje się tylko zapisana na pierwszej karcie religijnych podań Biblii i znajdzie się znowu, jak się spodziewamy, na ostatniej stronie filozofii prawdziwej. Przed początkiem historii politycznej żaden węzeł powszechny nie łączył Słowian, a hi-

chętniej, że cytowanie Maleczewskiego, Goszczyńskiego i Zaleskiego (tego ostatniego kilkakrotnie) w pierwszych wykładach Mickiewicza, cytowanie ich, jako poetów ukraińskich, a pomijanie jego, Słowackiego, który jako autor *Zmii* opiewał również Ukrainę i kozaczyznę, mogło mu się wydawać i wydawało się zapewne umyślnem upośledzaniem jego przez Mickiewicza.

Ale wróćmy do pytania, jaką to drogę własną przeciwstawiał Słowacki „kłamnej“, jak ją nazywał, drodze Mickiewicza, dokąd to chciał prowadzić „lud“ za sobą, pewny, że lud za nim pójdzie? Nie chciał prowadzić do Rzymu, ani do roztopienia się w Słowiańszczyźnie, to było wyraźne, ale nie mówiąc już o tem, że przypisywanie Mickiewiczowi ultramontanizmu lub panslawizmu w zwykłym tego słowa znaczeniu było fałszem, sama ta niechęć do obu kierunków nie wskazywała jeszcze, jaką drogą chciał Słowacki lud czy naród prowadzić. W tym względzie poecie, jak już wspomniałem, trudno się było jasno wypowiedzieć, poprostu dla tego, że żadnej takiej jasnej drogi nie miał. Wspaniałe wezwania, które z *Grobu Agamemnona* rzucał Polsce, aby wstała, „nagością żelazną bezczelna... jak wielki posąg z jednej bryły“, zarówno jak i to, co wieszczyl w zakończeniu *Anhellego* o przewadze ludu, o „krwawych rzekach“, o „bladych królach“ i „wicherze zemsty ludzkiej“, świadczyło tylko o tem, że wyobrażenia Słowackiego podobnie jak w „hucznym locie olbrzymich ptaków“ i w widoku „rozhułkanych koni“ lubowała

storia ta pracowała ciągle nad zatarciem plemiennictwa, którego już wszelki ślad zniknął. Polak dzisiaj uważa Rosyanina za człowieka zupełnie innego rodzaju; Serb i Czech nie przyznaje się do wspólnego pochodzenia z ludami północnych krajów słowiańskich. Pojęcie Słowiańszczyzny całkowitej zaświtało dopiero w wieku przeszłym: jest to owoc scienceficznego i literackiego roboty uczonych; ale żeby tę całość kiedyś rzeczywiście otrzymać, podobno chwycono się dróg nie najlepiej prowadzących do celu. Uczni wołają zawsze w imię wspólnego rodzaju, nie pomnąc, że to instytucje religijne i polityczne sprawiły te różnice, któreby oni chcieli zniszczyć, i że nie można zniszczyć całej historii ludu, aby go wrócić do początku fizycznego... „Insi zajmujący się myślą przyszłego odbudowania Słowiańszczyzny, upatrują środek w tej lub owej formie rządu. Ale żaden rząd nigdy nie miał dosyć mocy na spojenie różnych narodowości. Cesarstwo rzymskie, które było ideałem siły materyjalnej, narzuciło swój kształt wielu ludom zachodnim; za pierwszym wszakże ciosem Barbarzyńców, pękła na zawsze ta spojnia martwa. Owoż i Słowianie nie powinni spodziewać się, żeby ich mogła zgromadzić fizyczna skłonność krwi wspólnej, albo ponętna obietnica jakiej upodobanej formy rządu; dokazać tego potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka, idea zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość“. (Lit. Słow. I. str. 79 i 80).

się także w jaskrawych obrazach rewolucyjnych ruchów, ale nie świadczyło o wyrobionych i głęboko odczutyh w sercu przekonaniach społecznych i za wskazanie narodowi drogi do wyzwolenia uważane być nie mogło. Ażeby się wywinąć z tej trudności, skrzytał Słowacki z pewnego przeciwieństwa swego względem Mickiewicza, przeciwieństwa, z którego — dzięki Krasińskiemu — zdawał sobie jasno sprawę, z tego mianowicie, że jego geniusz poetycki był antytezą geniuszu Mickiewicza, że jak tamten, Mickiewicz, miał charakter siły dośrodkowej, tak jego — odśrodkowej. I dla tego to pokazując niby drogę, którą ma prowadzić naród, nie potrafił powiedzieć nic więcej nad ten wiersz, który dobrze odśrodkowość jego ducha malował, ale jako wyraz przekonania politycznych był frazesem bez treści:

Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.

Kto prowadzi wszędzie, ten nie prowadzi nigdzie. Jeżeli jednak Słowacki drogi swojej nie pokazał, bo dla swego antyspołecznego indywidualizmu formuły odpowiedniej jeszcze wtedy nie znajdował, to zato, znalazłszy nową sposobność uwielbienia swojej poezji, znowu, już nie wiem poraz który, uwielbił jej blask i śpiewność i wspaiałym wybuchem samouwielbienia (Gdy zechce kochać, ja mu dam labędzie głosy i t. d.) zakrył nicość głównej myśli.

Po tem samouwielbieniu, zdaje się, że szaleństwo ogarnia poetę. W ostatnich pięciu strofach rzuca się on, niby Orland szalony, z mieczem na swego przeciwnika, szydzi z niego i urąga, mówiąc o jego twarzy „zielonej“ w nocy¹⁾, o „liści dreszczu“, świadczącym „o próchnie duszy“, wieszczu sobie zwycięstwo, grozi mu losem Hektora — zabiciem i włóceniem trupa, wykrzykuje, rzucając hasła, które zdają się coś wielkiego znaczyć („Kocham lud więcej, niż umarłych kości...“ albo „Bóg mi obronę przyszłości poruczył“) a właściwie są tylko teatralnym gestem, wypływającym z chęci podkreślenia swego stanowiska, jako wyższego od stanowiska Mickiewicza, wreszcie wieńczy to całe we wspaiałą szatę swego stylu przybrane szaleństwo pożegnaniem:

Bądź zdrow! — A tak się żegnają — nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

¹⁾ „Zielona“ twarz jest alluzją do bledości, którą się okrywała zwykłe twarz Mickiewicza w chwilach improwizacji.

To pożegnanie jest nowym dowodem, jak na całym poemacie zaciężył wpływ listu Krasińskiego. Wyrażenie: „Dwa bogi na słońcach przeciwnych“ było jakby powtórzeniem wskazanego w liście Krasińskiego przeciwieństwa pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem, przyczem ci, których Krasiński nazywał „wielkimi duchami“, otrzymywali tytuł „bogów“, także pod wpływem Krasińskiego, jego uwielbienia dla poezji Słowackiego; bo to uwielbienie w prywatnym liście zamknięte, a więc światu jeszcze nieznane, w rozdrażnieniu, w jakie popadł wówczas Słowacki w skutek artykułu o improwizatorach, jeszcze więcej go podniecało i ośmielało do samoubóstwienia. A przyznając sobie boskość, dla konsekwencji musiał ją przyznać i drugiemu „wielkiemu duchowi“, swemu poprzednikowi i przeciwnikowi.

Tym sposobem współzawodnictwo względem Mickiewicza, które od lat dzieciennych tlało w sercu Słowackiego, objawiając się na zewnątrz z większą lub mniejszą siłą, teraz w ostatnich strofach *Beniowskiego* dosięgało zenitu, wybuchało wielkim płomieniem, a ten płomień jaskrawo oświecał tragedję życia poety, i tę, co już była za nim, i tę, którą Słowacki miał jeszcze do przebycia.

ROZDZIAŁ IX.

Trwogi i tryumfy.

1841.

Obrona *Nocy letniej* Krasińskiego. — Wyjazd do Frankfurtu i pobudki tego wyjazdu. — Światło, które pada na epizod frankfurcki z korespondencji poety z Niedźwiedzkim, matką i p. Bobrową. — Przestrogi Krasińskiego. — Roznerwowanie Słowackiego. — Miłość ku pani Bobrowej. — Komedia w tragedji życia Słowackiego i moment tragiczny w tej komedji. — Sprawa pojedynku z Ropelewskim. — Jakie wrażenie wywarł *Beniowski* na Bohdanie Zaleskim i Mickiewiczu. — Sądy krytyki emigracyjnej o *Beniowskim* i stosunek trzech głównych stronnictw emigracji do tego poematu. — Tryumfatorski nastrój Słowackiego.

Jeszcze przed ukazaniem się na świat *Beniowskiego* Słowacki znalazł inny sposób pomszczenia krzywdy, którą mu wyrządzono w artykule *Tygodnika* poznańskiego o improwizatorach. Ukazała się była w owym czasie *Noc letnia* Krasińskiego, drukowana jak i poprzednie jego utwory bezimiennie. Powieść ta, trzymana w hyperromantycznym tonie, była jakby cofaniem się Krasińskiego do ma-

niery Agay-chana¹⁾. *Tygodnik literacki*, który tak wysoko wyniósł był Krasińskiego, jako autora Irydyona, nie wiedząc, że i *Noc letnia* jest jego utworem, podał w doniesieniach literackich taką o niej krótką i pogardliwą wiadomość: „W Paryżu wyszło dzieło *Noc letnia*. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego, bez myśli i ładu“²⁾. Słowacki, który wiedział, kto jest autorem *Nocy letniej* i który niedawno otrzymał wiadomość od Krasińskiego, że ten ostatni ma w jego obronie wystąpić w jednym z pism poznańskich³⁾, postanowił wywzajemnić się przyjacielowi i również stanąć w obronie jego utworu, a zarazem skorzystać z tej sposobności, ażeby uderzyć na tych, którzy w tymże Tygodniku tak boleśnie go dotknęli, przekręcając słowa improwizacji Mickiewicza. To też otrzymawszy od redakcyi *Trzeciego Maja* zaproszenie do napisania fejletonu o *Nocy letniej* (a otrzymać takie zaproszenie przy ówczesnych jego dobrych stosunkach z Czartoryszczykami było rzeczą łatwą) podzielił się on z przyjacielem ofiarowaniem sobie miejscem w taki sposób, że niemal połowę obrócił na swoją sprawę, a resztę poświęcił przyjacielowi. Było to zapewne w oczach Słowackiego jakby powtórzenie sceny z *Lilli Wenedy*: Lelum i Polelum, związani z sobą łańcuchem, występowali do walki przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi.

Żeby powiązać swoją sprawę z oceną powieści przyjaciela wystarczyła Słowackiemu gra słów: przeciwstawienie wyrazowi „*Noc letnia*“, wyrazu „*Noc zimowa*“. Oto jest początek owego fejletonu; falują w nim jeszcze te same wzburzone uczucia poety, które się tak piętrzą w ostatnich strofach *Beniowskiego*.

„Chcecie, ażebym wam napisał fejleton o *Nocy letniej*, lekko, zgrabnie i stylem brylantowym. Niestety! niestety! myśl moja zajęta jest pewną nocą zimową, gorzej, dotkliwiej, kwaśniej, niżby

¹⁾ Obszerną i trafną analizę *Nocy letniej* podał Stan. Tarnowski w swojej monografii: „Zygmunt Krasiński“ W Krakowie 1892 str. 322—332.

²⁾ Nr. 14 Tygodnika literackiego z dnia 5 kwietnia 1841.

³⁾ „Jeśli tam macie z księstwa dzienniki, tak koło kwietnia, maja i aż do pół czerwca, pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolnem okapanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam, o tem tylko mowa; ale pomyśl, że w Villi Róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jej, a wtedy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć ludzkich“. List z datą 16 marca 1841. Listy Zyg. Krasińskiego III, str. 20.

na poetę przystało, a właśnie tak, jak przystoi na fejletonistę, który radby się dziennie ścierać i wygrywać bitwy — a ilekroć ukoła go fałszerze, rzuca się jak lew leżący na podstawie dziennika. Słyszeliście zapewne o jednej sławnej nocy zimowej, o improwizujących dwóch poetach — o łzach słuchaczy, o mdleniu krytyków, o ściskaniach się wieszczów, którzy długo rozdwojeni okolicznościami, zbliżyli się duszą nareszcie... a których dusze były tak białe, jak Anhellego cień, idący po sybirskich jeziorach — i miała nawet rozlać się w sali woń konwalii — i rozpromienić się sala jutrenką, dusz różanem światłem... Kłamstwo! Wicież wy, co się działo tej nocy? Oto Adam powiedział Juliuszowi wręcz, że nie jest poetą, oto Tygodnik poznański powtórzył głośno słowa Adama i to nazwał improwizacją. Na Boga!... jeżeli tak było, to przynajmniej wyrok ów improwizacją nie jest, ale długo i dobrze pomyślanym poematem — który to poemat zapewne Grabowski w krytyce za kamień węgielny *Litewskiej szkoły* położy. Cieszymy się, że taka wielka fantazyja przewodniczy tworzeniu się kłamstw — cieszymy się, że improwizacje są jak owe historyczne wypadki, w których Szyler kazał wyszukiwać poezyi — to jest, że zaginawszy w rzeczywistości, już nie mogą zmartwychwstać, ani się bronić — i są jak trupy bez mowy... Cieszymy się, bo zapewne o tego Juliusza nikt dbać nie będzie; a gdyby powiedziano, że owej nocy zimowej Adam oskarżył go o brak honoru w grze — albo o jaki nałóg haniebny, albo inszą rzecz jaką podłą — równieby kłamstwo korespondenta przyjął Tygodnik — równieby echo rozeszło się między czytającymi — wielkie, niezaprzeczone, twarde, kończące się tym: Adam powiedział. O! jakże więc lepiej, że go tylko w osobie poety zabito! Jakże dobrzy są owi litewscy rycerze, że mogą wszystko skłamać — lub kłamać dozwolić — to jedno tylko skłamać pozwolili. Taki jest poemat o nocy zimowej — gwiazdy skrzyły się nad Sekwaną — księżyc świecił — stanęliśmy na mostach nad Sekwaną — rzuciliśmy z bladeścią Lary trupa do Sekwany — tyle razy zmartwychwstawał — może teraz ostatecznie zabity — może już nigdy nie pokaże się na świata widowni — jeżeli nie, jeżeli wstanie — mamy w ręku kamienie kłamstwa, rzucimy wszyscy na niego głazy czerwone — a kysz! a kysz! po co przychodzisz na dziady?...“ — „O nie przyjdzie już więcej — przysięgam!... Nigdy kawałkami serca nie będzie was karmił, nigdy za karm du-

szy nie odbierze od was puharu nalanego goryczą i przykrytego kłamstwa pokrywą — nigdy więcej, przysięgam“.

I tu następowało przejście do oceny albo raczej uwielbienia *Nocy letniej*, ale i w tem przejściu znajdowały się jeszcze nawiasowe pociski wymierzone w stronę „litewskich rycerzy“. „Oto ujrzał nową krainę poezji rosnącej — piękną, szlachetną, wzniosłą, tam usiadł w cieniu pięknych posągów, ten który je budował i krzesał, wielki jest — jeżeli improwizuje, to nie w gronie pół pijanych zwolenników szkoły, ale wśród starych, siwych rycerzy... Wojewodowie zbrojami okryci — z Chrystusowemi wizerunkami na puklerzach, słuchają słów jego — a kiedy śpiewa, to nie mdleją, to nie padają na kolana, ale tylko wychylają czary, dobywają mieczów i wstając — idą walczyć za ojczyznę“¹⁾.

Cały ten ustęp, drukowany na parę tygodni przed pojawieniem się *Beniowskiego*, był jakby przygotowaniem opinii publicznej do niego, jakby komentarzem i uzasadnieniem tej walki, jaką w ostatnich strofach poematu wytoczył poeta Mickiewiczowi i jego litewskim przyjaciołom i wielbicielom. Ażeby uwydatnić winę Mickiewicza, Słowacki odróżniał tych co „skłamlali“, od tych, którzy „skłamać pozwolili“, podsuwając w ten sposób Mickiewiczowi świadomy udział w przekręceniu słów jego. Co jeszcze zwraca uwagę w tym ustępie, to kilkakrotne zaznaczenie, że jego przeciwnicy są Litwinami (litewska szkoła, litewscy rycerze, a kysz! a kysz!), że zatem w walce, którą toczy, gra pewną rolę pierwiastek prowincjonalizmu, co było słusznem nie tylko dla tego, że Litwini tem więcej wielbili Mickiewicza, jako wielkiego poetę, że był Litwinem, ale i dla tego, że bliżsi mu byli od reszty emigracji nastrojem psychicznym.

Dalszy ciąg fejletonu pod niebiosą wynosił *Noc letnią* i jej autora i to w stylu, jakby pożyczonym od Krasińskiego. Stary wojewoda z powieści jest „większy od Leara i straszniejszy — większy król, choć jest tylko polskim szlachcicem“, poemat jest „wysoki jak pierwsza wieża gotyckiej, staropolskiej epopei“, a każdy pomysł autora „widać, jak się wiąże z całym światem Ducha, z jakim krzykiem boleści wyrывa się na świat stworzenia, jak się krwawi odstając od słońca na wysokościach, do których był pierwszymi ćwiekami poczęcia przybity“. Tym razem łańcuchem, wią-

¹⁾ Trzeci Maj Nr. z d. 29 kwietnia 1841 str. 59—60.

żącym dwóch Wenedów, nie była „ateńskość“ ducha, ale barokowy nastrój wyobraźni.

Napisawszy ten fejleton i oddawszy go redakcyi *Trzeciego Maja*, Słowacki, jak się zdaje jeszcze przed jego ogłoszeniem, wyjeżdża z Paryża do Frankfurtu¹⁾. Co go do tego wyjazdu pobudziło? Sprawa nie przedstawia się dość jasno. Wprawdzie ze współczesnych listów Słowackiego można wnioskować, i tak to uczynił p. Hoesick, że Słowackiego pociągnęła do Frankfurtu tylko miłość ku p. Bobrowej, która tam na niedługo przedtem wyjechała z Paryża; ale są względy, które nakazują domyślać się współdziałania innego jeszcze czynnika. Słowacki wiedział dobrze, że naprzód jego fejleton w *Trzecim Maju*, a potem, i jeszcze więcej, *Beniowski*, sprawią wielkie wrażenie w emigracyi i wywołają wielkie oburzenie wśród „Litwy“, przeciw której były głównie wymierzone. Wyobrażenia tego mogła rozmiary i objawy tego spodziewanego oburzenia przesadzać i w jaskrawych barwach przedstawiać niebezpieczeństwo, grożące mu szczególnie w pierwszych chwilach oburzenia ze strony tych, których obrażał. Dlatego czy nie chciał on usunąć się z Paryża na jakiś czas, aż przejdzie pierwsze wrażenie, aż dowie się przez listy, co tam o nim mówią, czem się odgrają? Przypuszczenie to nasuwa się z tego powodu, że w Słowackim żądza sławy górowała nad wszystkimi innymi żądzami, walka o sławę była najważniejszą sprawą jego życia, co tak wyraźnie odzwierciedliło się w *Beniowskim*, więc czy podobna, aby w chwili największego natężenia tej walki sama miłość tylko, która nigdy w życiu Słowackiego wybitnej nie odegrała roli, sama miłość tylko (i to jaka miłość!) mogła go odciągnąć z pola tej walki i spodziewanego tryumfu? Wszakże odjeżdżając, zostawiał za sobą drukujący się poemat, zostawiał go na łaskę niebiegłego w rzeczach korekty przyjaciela Niedźwiedzkiego, wskutek czego poemat zaroił się od błędów drukarskich, które aż sprawiały pocie wrażenie mnóstwa pcheł, skaczących po prześcieradle. Wszakże pani Bobrowa nie uciekała z Frankfurtu, mógł ją tam być znaleźć i o miesiąc później, jeżeli liczył na to, że we Frankfurcie powiedzie się mu lepiej, niż w Paryżu w pozyskaniu jej miłości. Natomiast odwaga jego mogła łatwo

¹⁾ Ta hipoteza chronologiczna, opiera się na tem, że fejleton ukazał się w numerze z d. 29 kwietnia, Słowacki zaś pisząc d. 18 maja do Niedźwiedzkiego z Frankfurtu wspomina już o dwóch listach, które od niego odebrał z Paryża, musiał więc już wtedy sporo czasu bawić we Frankfurcie.

chwiać się w obec niepewności, jakie mu grozić może niebezpieczeństwo ze strony obrażonych, w pierwszej chwili.

Ten nagły jego wyjazd z Paryża przypomina dwa inne dziwne jego wyjazdy: z Warszawy w r. 1831 i z Genewy w r. 1835. W obu pierwszych razach domyślać się trzeba pewnego wyrachowania: czy go nie było i tym razem, i to takiego, jakie zaznaczyłem? Naturalnie jest to tylko przedza domysłów, o tyle usprawiedliwiona, o ile objaśnianie nagłego wyjazdu Słowackiego z Paryża w takiej chwili wyłącznie jakimś miłosnym szaleńcem nie zgadza się z jego temperamentem, z jego całym życiem.

Zobaczmy teraz, jak się przedstawia ta miłość, albo raczej ten frankfurcki okres miłości Słowackiego w jego listach współczesnych do matki, do Niedźwiedzkiego i do p. Bobrowej. Są to jakby trzy zwierciadła dla jednego i tego samego przedmiotu, który w każdym z nich przedstawia się inaczej, a bywa nawet, że i w jednym zwierciadle stosunek ten w rozmaitych występuje barwach. Tak jest mianowicie w listach do matki. Raz Słowacki donosi matce krótko i ogólnikowo, że zna panią Bobrową („pewną damę, która po Czerezy na osiołkach przed dwoma laty jeździła“) i że „bardzo miłe z nią przepędził miesiące“ w Paryżu i Frankfurcie¹⁾. Nieco później tak pisze o tym stosunku: „Serce moje długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że może jeszcze wiosennem oddychać powietrzem, charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płać. Szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się, jak człowiek szczęśliwy, żyłem“²⁾. Ustęp ten przypomina trochę wiadomość, którą poeta przesyłał matce o swoim stosunku z tak zwaną przez siebie Fornariną, przynajmniej o tyle, że matka i tym razem mogła domyślać się powodzenia swego jedynaka w miłości. Ale oto w nieco późniejszym liście (z 10 listop. 1841) znajdujemy wiadomość, że we Frankfurcie, gdzie przepędził wiosnę, był „jak szaleniec, bardzo dręczony przez pewną osobkę“, i że powrócił stamtąd „smutny i rozpaczony łając szalonemu sercu swemu“³⁾. Różnica w przedstawieniu pomiędzy drugim a trzecim listem pochodzi stąd, że w drugim liście poeta chciał udokumentować wiadomość, że „teraz szczęśliwszy jest niż

¹⁾ Listy II, 141.

²⁾ Tamże II, 143.

³⁾ Tamże II, 149.

kiedykolwiek w życiu“, w trzecim zaś chciał u dramatyzyować sytuację, w której, jak zobaczymy niżej, znalazł się po powrocie z Frankfurtu. Dla tego też w listach do matki trudno szukać wiernego odzwierciedlenia tego stosunku miłosnego. Zabarwiał się on stosownie do tego, jak się chciał poeta w danej chwili przedstawić matce.

Listy do Niedźwiedzkiego rzucają nieprzyjemne światło na ten nowy romans Słowackiego, na samego poetę a po części i na przyjaciela, do którego były adresowane. Byłoby daleko przyjemniej nie zajmować się tymi listami, i możnaby było tak zrobić, gdyby znajomość ich nie była niezbędną do zrozumienia tego dziwnego stanu psychicznego, w jaki popadł Słowacki w owym czasie. Pozuje tu on przed swym przyjacielem na jakiegoś Don Juana, popisuje się cynizmem, widocznie gra jakąś niewłaściwą sobie rolę. Właśnie te listy swoim nienaturalnym tonem mogą także budzić podejrzenie, że nie sama miłość dla pani Bobrowej popchnęła Słowackiego do Frankfurtu. A ta miłość wygląda tu tylko jak jakiś zapal zmysłowy, jak chęć zdobycia donżuanowskich laurów; Słowacki nie uczuwa żadnych skrupułów, opisując Niedźwiedzkiemu swoje postępy w zbliżaniu się do tych laurów, traktuje ukochaną swoją wobec niego tylko jako cel pożądania zmysłowego i pozwala sobie przysyłać rady, które tracą knajpą lub biwakiem, a z jakimkolwiek idealizmem w miłości nie mają nic wspólnego.

Znane są trzy listy Słowackiego do Niedźwiedzkiego z Frankfurtu; wszystkie trzy pisane po francusku i bezimiennie lub z wymyślonym nazwiskiem, co było skutkiem jakiejś ostrożności ze strony Słowackiego, trudnej dziś do wyjaśnienia. Oto co w pierwszym z tych listów (18 maja 1841) pisał o swojej miłości i o sobie:

„Je vous ai écrit il y a quelques jours et ma lettre était remplie des plaintes sur l'état malheureux où je me suis placé moi-même, en suivant cette bulle de savon, qui se nomme amour. Mon martyr ne finit pas — cependant j'avance à petits pas, et j'espère que l'habitude fera, ce que n'a pu faire l'amour... Je ne me repens pas cependant d'être venu... mes journées se passent agréablement... je la vois, je sens les battements accélérés de mon cœur et du sien... son visage se colore d'une rougeur qui me rappelle la clarté diaphane de l'aurore en Grèce — j'apprends à parler le langage d'amour, je vis — et je rayonne... que faut-il de plus?...“

„Avant-hier je lui ai lu ma Beatrix C...(enci) et la commotion électrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu'à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte; il est vrai, qu'en lisant je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes les cordes de son âme"... A w dalszym ciągu popisywał się konceptem, którym jakby umyślnie chciał rzucić donżuanowskie światło na swój romans:

„Je ne suis pas tenté de faire connaissance avec les hommes de lettres d'ici... ce sont tous des gens décrépits, usés, et sans aucune force vitale... Hier, quand on m'a parlé d'un savant fort grave, fort maladif — et fort profond penseur, et que des gens qui m'en parlaient croyaient me pénétrer de respect, je leur ai répondu... per Bacco! donnez-lui des cantharides, une jeune fille et qu'il essaye d'être homme! Tu conçois bien, que des preceptes comme celui-la et des doctrines de ce genre, me me font pas de prosélytes..."¹⁾

Ten grymas cyniczny w ustach zakochanego poety, który rościł pretensje do anhellizmu i ateńskości, jest poczwórnie nienaturalnym i niesmacznym i rzuca niepochlebne światło nie tylko na autora listu, ale i na „przyjaciela“, do którego upodobań i poziomu moralnego widocznie był list zastosowany.

W następnym liście (z 22 maja) Słowacki tak opisywał dalszy przebieg swego romansu frankfurckiego: „La dame des mes pensées ne me laisse pas un instant de repos et les calmes sont rares sur la mer où je vogue à pleines voiles... Je souffre et je ronge mon frein en écumant... Votre conseil d'oser et de tout oser n'est pas bon à suivre; je l'ai essayé et j'ai manqué de périr — un instant de plus et tout aurait été fini pour moi. Maintenant je suis plus prudent et elle aussi. Que Dieu nous garde et nous sauve“!

„Il y a des jours où je ne la vois presque pas; ce sont ceux, où sa fille vient à la maison — ces jours-là sont un véritable enfer pour moi — je suis obligé de les passer tout seul avec mes livres allemands et mon piano, qui est tout discord, et une petite servante allemande, qui est amoureuse de moi. Vous sentez bien, que j'enrage et que je ne touche souvent ni à mes livres, ni à mon piano, ni à la petite fille, mais je reste plongé dans mes noires pensées comme Corsaire ou Lara“.

¹⁾ Biblioteka Warszawska 1893. T. I. Listy nieznane Juliusza Słowackiego str. 359—366.

Pisząc ten list miał już Słowacki wiadomość od Niedźwiedzkiego, że jego *Beniowski* jest już wydrukowany, i domagał się, aby mu go co prędzej przysłano do Frankfurtu, a w przypisku żądał od przyjaciela, aby mu doniósł, co mówią o poemacie. W dzień więc dni potem, kiedy pisał list trzeci (1 czerwca), miał już i egzemplarz *Beniowskiego* w rękę i miał już zapewne dokładne wiadomości o wrażeniu, jakie ten poemat w kołach emigracyjnych wywiera, a to tak z listu Niedźwiedzkiego, jak i od pewnego członka klubu polskiego, który w owym czasie przejeżdżał przez Frankfurt. (J'ai vu le vice-directeur de notre cercle, qui passait par Francfort pour se rendre à Posen, toujours gai, rouge et bien portant). I oto w tym samym liście, jakby wskutek otrzymanych wiadomości, Słowacki donosi Niedźwiedzkiemu, że niebawem wróci do Paryża i stara się wyjaśnić przyczynę powrotu, którego widocznie przyjaciel nie spodziewał się prędko. „Je me propose bientôt de revenir à Paris, plusieurs causes m'y obligent. La vie que je mène ici est insupportable; — je suis seul — à sa merci — ayant les entrailles déchirées par elle. Il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille — il faut que je parte; aussi dans dix jours tout au plus — mon petit appartement d'hirondelle me reverra. Oh! qu'il y a de désespoir dans cette pensée“!

Jak przedtem cynizm, tak teraz ta rozpacz nie wydaje się naturalną i szczerą, zwłaszcza, że zaraz po niej następują rozmaite koncepta pod adresem Witwickiego i Januszkiewicza, i że w ogóle w całym tym trzecim liście poeta bardzo żywo jest zajęty swoim nowym poematem, daleko więcej, niż miłością. Martwią go błędy drukarskie; zaledwie otworzył książkę, ujrzał ich mnóstwo: zrobiły mu wrażenie pcheł skaczących po prześcieradle. Za powrotem musi zaraz poprawić drukowane egzemplarze ołówkiem, bo nieraz brak potrzebnej ilości zgłosek, niekiedy nawet myśl zepsuta. Obawia się nawet, żeby krytyka nie przyczepiła się do tych błędów drukarskich, i na karb poety ich nie policzyła. Nie ma innej rady, tylko co najprędzej puścić w obieg pierwsze wydanie i zrobić drugie. Za karę Niedźwiedzki musi zostać powtórnie wydawcą, a to na to, żeby dać od siebie przedmowę, przyznać się w niej do grzechu i wziąć go na swoją odpowiedzialność. Dopiero po tem wszystkim pocieszał Słowacki przyjaciela zapewnieniem, że bierze tę rzecz filoficznie, i nadzieją, że krytyka, dostawszy porządne ciągi od niego, nie tak skora będzie do zaczepiania jego (je ne pense pas, que la

critique soit assez bête pour se frotter à moi après l'échantillon, que je lui ai donné de mon savoir-faire et de ma rage canine).

Przy końcu listu był godny uwagi ustęp, bo wskazujący, jak sobie w danej chwili wyobrażał Słowacki wrażenie, które powinien był wyrzeć *Beniowski*, i którego on pragnął. Przesyłając ukłony Błotnickiemu, kazał go prosić, aby źle poety nie sądził, bo on jest w gruncie dobry, i jego namiętna szczerłość nie powinna mu szkodzić, ilekroć objawia się na wielką skalę i zapala mu gwiazdę na czole (ma franchise passionnée ne doit pas me nuire toutes les fois qu'elle se montre en grand et qu'elle m'allume une étoile au front).

Z tego, co powiedziałem o listach do Niedźwiedzkiego i co z nich przytoczyłem, można sądzić wnioskować, że i w tych listach nie przedstawia się stosunek Słowackiego do p. Bobrowej w świetle naturalnem, ponieważ poeta pozuje przed swoim przyjacielem, jeżeli nawet nie ukrywa przed nim głównego motywu wyjazdu z Paryża.

Pozostaje trzecie zwierciadło, listy do p. Bobrowej. Listy te pochodzą z różnych lat od 1841 do 1845, niektóre z nich zatem pisane już były po wielkiej transfiguracji duchowej Słowackiego, stąd też panuje w nich rozmaity nastrój¹⁾. O pobycie Słowackiego we Frankfurcie nie one nie mówią, żadnych alluzji do tej wycieczki nie zawierają, ale mają tę ważną zaletę, że w nich maluje się stosunek Słowackiego do pani Bobrowej taki, jaki był rzeczywiście, że na ich podstawie można odtworzyć sobie koloryt frankfurckiego epizodu i zrozumieć charakter tej ostatniej miłości Słowackiego.

Tak o rok później od wycieczki do Frankfurtu, poeta, urażony jak się zdaje tem, że p. Bobrowa wybrała się z Paryża do St. Cloud na puszczenie wodotrysków, nie uprzedziwszy jego o tem, pisze do niej list niby pożegnalny²⁾, a w tym liście tak przemawia: „Jam ciągnął za panią dawny jęk przeszłości, za mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna. A ilem ja oświadczył, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zliczyć i tej nuty może nigdy Pani między różnemi tonami wspomnień nie znajdziesz. Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko

¹⁾ Listy J. Słowackiego do pani Joanny Bobrowej, wydane w Dodatkach do trzeciego wydania monografii Małeckiego o Słowackim T. III. 280—308.

²⁾ Tamże 286—288.

się znajdzie w łonie Bożem, ale biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów“. I do listu dodana była prześliczna improwizacja na temat wycieczki do kaskady (O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady), która kończyła się takim żartobliwogorącym oświadczeniem:

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
A taką Ciebie między tłumem zoczył,
Zleciałbym na Cię, jak kaskada, z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

A w miesiąc potem, kiedy p. Bobrowa, znowu już była we Frankfurcie, poeta błagał ją listownie, aby rzuciła błękitnemi oczyma w stronę Paryża, „niech mi tu od tego spojrzenia błysnie i rozwidni się ciemne powietrze“. Połowę tego światła i tej błyskawicy obiecywał oddać, jak zwierciadło wierne, Aleksandrowi Potockiemu, synowi Szczęsnego i sławnej Zofii Greczynki, który także był wielbicielem p. Bobrowej, i z którym Słowacki spotykał się często w jej domu. A nażartowawszy się z dowcipem pełnym dynstynkeyi z tego współzawodnika swego, zwracał znowu westchnienia do pani B. „Gdybyś pani wiedziała, jak oddalenie upieknie każdy ton głosu, jeżeli ten jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny — i zdaleka budzić przychodzi; gdybyś Pani wiedziała, jak mi tu słychać każdy szept w jej domu, każdy szelest jej sukni; jak echo każdego jej kroku dochodzi do mnie uroczyste“...

„Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia i wiem, że próżna. A jednak czuję, że sam winien jestem, że była we mnie jakaś siła nieużyta, jakieś wojsko duchów, niewyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakaś głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać, a czego ja sam lękałem się wyprowadzić na jaw — i część zimna, marmurowa mojej natury zwyciężyła“¹⁾.

Wreszcie z listu, pisanego już po przeobrażeniu duchowem Słowackiego, dowiadujemy się, „że biedna głowa“ jego nie mu dotąd nie zdolna była zdobyć „prócz półurągającego uśmiechu i politowania“ pani Bobrowej. Przyznawał też w tym liście, że jego serce było jak źródło wyschnięte, że nie było w niem szczerych uczuć i że tę martwość uczucia serce pani B. odczuwało i dla tego „lękało się i cofało się z przestrachem“²⁾.

¹⁾ Tamże 292—293.

²⁾ Tamże 294—295.

Jeżeli teraz skupimy rozmaite promienie, padające z korespondencyi poety na ten jego stosunek miłosny, i dołączymy do nich światło, które w tę stronę rzucają listy Krasińskiego, to epizod frankfurecki przedstawi się nam, sądząc, w następującem oświeceniu. Słowacki, jak to już nadmienilem w poprzednim rozdziale, na początku swej znajomości z p. Bobrową, nie wiedział jeszcze, jaką rolę w jej życiu odegrał Krasiński. Z czasem przeniknął tajemnicę i objawił to przyjacielowi, odchylając przytem z lekka zasłonę z własnych uczuć dla p. Bobrowej. Krasiński, odpowiadając na te wynurzenia w dwu listach prędko po sobie następujących (z 16 marca i 10 kwietnia), usprawiedliwiał się z tego, co mu się wydało zarzutem w liście Słowackiego, a jednocześnie przysyłał mu różne rady i przestrogi, owinięte w obfitą a poetyczną szatę filozoficznych rozmyślań. Pomiedzy pierwszym a drugim listem ta zachodzi różnica, że w pierwszym p. B. występuje, jako „najszlachetniejsza z dusz“, której nieszczęściem jest tylko, że „nie umiała nigdy w jedną chwilę skupić wieczności na ziemi“, a w drugim, wskutek zapewne nowych spostrzeżeń Słowackiego, przesłanych przyjacielowi, otrzymuje już nazwę, „anioła obłąkanego“. Dla nas tym razem szczególnie drugi list jest ważny. „Julu, pisał Krasiński, ty broń, co boskiego w niej znajdziesz, od zaguby, broń się od tej kobiety, której nigdy nie widział, ale którą nosilem przeczućiem w duszy, tak jak mi ją postawiłeś przed oczyma. To moje ostatnie słowo do ciebie o przeszłości. I to jeszcze dodam: zapewne nie zawsze po chrześcijańsku lub po katolicku, po stoicku lub po enotliwemu i t. d. postępowałem, miałem straszne chwile egoizmu, dla mojego *Ja* zapominałem, że drudzy mają *Ja* swoje; ale nigdy i nigdzie w niczyjem sercu *wiary* nie zniszczyłem, owszem osłabłąm krzepilem, nieistniejącą stwarzałem i umarłą wskrzeszałem. Kto powie, iż odemnie się nauczył, że człowiek nie winien być aniołem, nie winien być boskim i dążyć, odepchnawszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi; kto powie, że kiedykolwiek przystałem w drugim na jedną chwilę niegodności, niedumy, niepowagi, że kiedykolwiek zalecił brak szlachetności i urody nieśmiertelnej, by stało się zadość chwilowemu chętkom lub namiętnostkom moim: tego powoływam nie przed ludzi sąd, bo ludzie nieby tu nie pojęli — ale przed sąd Boga“¹⁾

¹⁾ Listy Zygm. Krasińskiego III 25—26.

„O Julu, pisał w dalszym ustępie, nie myśl o mnie tego, coś pomyślał, kiedyś mnie w duchu oskarżył, że nie użył, czy użyć nie chciał, czy nie umiał pewnych chwil potęgi nad pewnemi sercami. Taki zarzut mógłby mnie przywieść do szaleństwa. Nie, przez Boga wiekuistego, nigdy i nigdzie natury bliźnich moich o włos jeden nie poniżyłem; wszystką siłą ducha w niebo porywałem ich, przynajmniej pragnąłem ich wnieboporwania. I wiele siły mojej wyszło ze mnie, a im nie pomogłem, owszem wołają na mnie: „tyś zgubił nas“, i przeklinają mnie. Ich nieszczęście biorę na się, jako winę moją i wyrzut nadal; ale tu granica tego, na co mogę przystać, nie więcej, nie więcej mojej barwy nie nosi, z mojego wpływu się nie wywikłało“.

Sam Krasiński, stawiając te słowa, dodawał, że „ciemno pisze“; dla nas naturalnie te słowa są jeszcze bardziej ciemnymi, niż były dla Słowackiego, wszakże jedna rzecz, jak się zdaje, wynika z nich jasno, a mianowicie, że Słowacki przedstawił Krasińskiemu p. Bobrową, jako znajdującą się na niebezpiecznej pochyłości moralnej i gotową stoczyć się po niej, i że w tem tkwił niejako wyrzut dla Krasińskiego. Ale Krasiński dostrzegł także widocznie, czy przeczuł z listu Słowackiego, że i ten, który ostrzegał o pochyłości, miał ochotę znaleźć się na niej razem z tą, nad którą ubolewał, że się na tej pochyłości znajduje, więc do obrony własnej dodał gorące przestrogi dla przyjaciela. Pozwalał mu dawną swoją kochankę pokochać, ale pokochać szczerze i prawdziwie; i jej by nie miał za złe odwzajemnienia takiej miłości; ale potępiał najsurowiej bawienie się w miłość, szukanie w niej tylko zmysłowej rozkoszy. „Poniżeniem nie zowie ja troski serca nieszczęśliwego, szukającego tęskno jeszcze jednej chwili życia i wiosny na ziemi — nie, nie, bom ani pedant, ani ksiądz, ani dziecko, ani młodzieniaszek; ale poniżeniem zowie przystać na *zabawę*, kiedy *szczęście* znikło, poniżeniem zowie cały świat, który krąży koło ciebie, wieszczu, w tem mieście rozblętnionej zabawy, rozdziawiający pyszczyk, jak ostryga, by zachwycić cośkolwiek powietrza smrodliwego. Ty nie jesteś z nich, ty z nich być nie możesz: *non fiunt, sed nascuntur*. Szlachetnąś się duszą urodził, masz kryształową naturę, biały marmur nie, gips wchodzi w skład kości twoich. Ty mnie pojmiesz, ty mnie pojmiesz! A zatem raz jeszcze powiadam ci, zbaw, jeśli możesz niech pająki, ślimaki, szerszenie, węże, skorpiony, niech plugastwo

stworzenia nie przyprzeże się do anioła obłąkanego i nie powiezie go do kałuży piekielnej“.

W końcu listu jeszcze raz ponawiał przestrożę przed robieniem zabawy z miłości i jeszcze raz starał się skierować Słowackiego na dobrą drogę pochlebną ufnością w szlachetność jego natury. „Pytasz się, czego żądam od ciebie? Oto tego, byś się nie bawił, o to jedno cię proszę, a jeśli masz kochać, kochaj, ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje. Zresztą ty nie jesteś z tych którzy mogą się bawić: ty musisz być albo *bogiem* szczęśliwym, albo człowiekiem potępionym i pełnym bólu“.

Jeżeli ten list Krasińskiego zestawimy ze znaną korespondencją Słowackiego z Niedźwiedzkim, to będziemy mieli najjaskrawszy, jaki tylko można sobie wyobrazić, kontrast. Co znaczył ten kontrast? jak go wytłumaczyć? A naprzód, jak to się stało, że Słowacki w tydzień, najwyżej w parę tygodni po odebraniu takiego właśnie listu puszcza się za p. Bobrową do Frankfurtu, i to w tej samej chwili, kiedy się drukuje jego fejtton o *Nocy letniej*, wynoszący pod niebiosa „wzniosłą krainę poezji“ przyjaciela? Jakie kontrasty i niekonsekwencje!

Myślę, że zagadka daje się rozwiązać tylko w taki sposób, że główną przyczyną wyjazdu Słowackiego do Frankfurtu było ogromne roznerwowanie, w które poeta popadł po napisaniu *Beniowskiego*, a które już w ostatnich strofach tego poematu występuje tak wyraźnie. W tem roznerwowaniu czekać w Paryżu na wrażenie, jakie wywrze naprzód jego wojowniczy fejtton, a potem szalejący poemat, a do tego zapewne spotykać się często w klubie z niektórymi przynajmniej Litwinami, których tak miał obrazić, było, sędzę, dla Słowackiego rzeczą nie do zniesienia, zwłaszcza, że podniecona wyobraźnia jego, jak już wyżej wspomniałem, mogła przesadnie przedstawiać mu kształty spodziewanego oburzenia obrażonych w pierwszym jego impecie. Nie darmo Kordyanowi w chwili, gdy miał wykonać zamach, towarzyszyły strach i imaginacja; wiemy, że ten motyw wziął poeta z siebie; o toż teraz on sam miał dokonać wielkiego zamachu, choć w innym rodzaju, i łatwo przypuścić, że te władze duszy do pewnego stopnia analogiczną w nim teraz odegrały rolę.

Wiemy z przeszłości Słowackiego, że w chwilach szczególnego rozdrażnienia lub podniecenia szukał lekarstwa na usunięcie tego stanu w samotności. Tak było zapewne w Szwajcaryi,

gdy się schronił do Veytoux, rozdrażniony niepewnością swego stosunku z Maryą Wodzińską i pragnący w ten sposób rozwiązanie tej niepewności przyspieszyć. Tak było za pierwszego pobytu we Włoszech, gdy po nadzwyczajnem podnieceniu, jakiego tam doznawał, szukał samotności w cichem Sorrento; tak było, gdy po utrudzającej a pełnej nowych wrażeń podróży na Wschód, zamknął się na kilka tygodni w klasztorze na górze Libanu. Teraz w chwili, gdy miał się ukazać *Beniowski*, na użycie tego sposobu, na wyjazd z Paryża do jakiegoś cichego ustronia na jaki miesiąc, nie pozwalał wzgląd jeden: obawa, aby go nie posądzono, że schował się ze strachu przed odpowiedzialnością. Ale tu z pomocą przyszła miłość ku pani Bobrowej.

Miłość! Ten wyraz jest jak szeroki płaszcz, który może okrywać najrozmaitsze postaci, sam nie o nich nie mówiąc. Co okrywa tym razem? Jaką była właściwie miłość Słowackiego ku pani Bobrowej? Że nie była miłością prawdziwą, którą Krasiński określał słowami: „Kto kocha, ten szanuje“, to już można wnioskować z tego, że Krasiński uważał za potrzebne czynić przyjacielowi podobne uwagi, jak wreszcie z korespondencji Słowackiego z Niedźwiedzkim. Że nie była z drugiej strony czysto zmysłową zabawą, jakby można było z tej ostatniej korespondencji wnosić, to wynika to z listów do p. Bobrowej, tak każe zresztą sądzić wszystko, co wiemy o temperamentie poety, w którym zmysłowość bardzo podrzedną odgrywała rolę.

Miłość dla p. Bobrowej w Słowackim była podobną trochę do pierwszej jego miłości dla Ludki, choć naturalnie nie owiana świeżością wrażeń dziecinno-młodzieńczych; podobną dla tego, że jak tamta była potrzebą artystycznej i tylko o sławie rojącej duszy. Naprzód p. Bobrowa pociągała poetę ku sobie swoją pięknoscą, wykwintnością wykształcenia salonowego, artyzmem w stroju i otoczeniu, miała wszystkie zewnętrzne warunki, ażeby na deskach świata odegrywać rolę kochanki; powtóre poeta w swojej karierze poetyckiej czuł brak miłości kobiety, miłości, któraby szczególną aureolą otoczyła jego skronie: wszakże dotychczas nie znalazł ani jednej, któraby jego uczucia i zabiegi miłosne odplaciła wzajemnością. Więc chodziło mu o tę aureolę tem więcej teraz, gdy czuł w sobie nieprzebrane skarby wyobraźni i rzucał niemi pełnemi garściami w *Beniowskim*, gdy dzięki Krasińskiemu nabrał pewności, że jest najwyższym szczytem poezji polskiej, że jest bogiem

poezyi, gdy dzięki tylko tej wyobraźni umiał w tak gorących kolorach odmalować namiętną miłość w *Beatrice Cenci*.

Więc jakże to? Krasiński jeszcze jako młodzieniaszek pozyskał miłość tej kobiety, i po zerwaniu nawet ciągle był w jej pamięci przytomny, a on, który i powierzchownością mógłby go przyćmić, a przedewszystkiem geniuszem poetyckim, czarodziejstwem słowa tak górował nad nim, nie mógłby pociągnąć ku sobie tej, którą dawny kochanek porzucił? To także było zapewne ostrogą, bodźcem do tego, aby rozkochać w sobie panią B. O ożenieniu się z nią naturalnie trudno było myśleć, ale i bez tego mogła się ona dla niego stać taką lilią wodną, o jakiej kiedyś marzył, dokoła której chciał być jak wąż okręcić się i wygrzewać na słońcu sławy, to jest nie tylko kochanką, ale i zakochaną w nim opiekunką. W przestrobach Krasińskiego bodaj czy nie upatrywał tylko zazdrości dawnego kochanka, czy nie podejrzewał, że idealizm jego jest tym razem interesownością podszyty? Zresztą Krasiński pozwalał mu zostać „bogiem szczęśliwym“, a on w swoim rozumieniu właśnie do tego dążył.

Taki, wyobrażam sobie, był nastrój „miłosny“ Słowackiego w chwili, gdy miał się ukazać fejleton *Nocy letniej* a *Beniowski* był już oddany do druku. Na kilka dni przedtem pani Bobrowa wyjechała z Paryża do Frankfurtu i Słowackiemu zabrakło wykwińskiego ogniska domowego, gdzie był na stopie przyjacielskiej, znajdował miły odpoczynek po dziennych zajęciach, mógł igrać i olśniewać iskrzącym dowcipem, pozować na zakochanego i wpatrywać się w „błękit siostrzanej duszy“, czekając, rychłoli zacznie się zorzą miłości powlekać. W rozdrażnieniu, w jakie go wprawiała walka z Litwinami i niepewność, jak będzie przyjęty jego manifest wojenny, brak tego ogniska dawał mu się uczuwać tem silniej. I oto błyska mu myśl, aby pojechać za nią do Frankfurtu. W ten sposób usunie się z Paryża na czas, kiedy pęknie jego bomba, w emigrację polską rzucona, znajdzie ustronność i względną przynajmniej samotność, której natura jego potrzebowała, a wreszcie będzie mógł korzystać z pożądanego sam na sam z panią Bobrową, o co w Paryżu było trudno, aby pozyskać jej miłość. Posądzenia o tchórzostwo nie potrzebuje się obawiać, skoro będzie rzeczą wiadomą, że wyjechał szaleńcem miłosnym ogarnięty; i owszem, autorowi polskiego *Don Juana* ten nagły, romansowy wyjazd powinien być do twarzy. I bodaj czy nie do tego poglądu zastosowany był ów

niesmaczny i nienaturalny ton listów Słowackiego do Niedźwiedźkiego. Bodaj, czy nie dla tego i Krasiński tak wcześniej był o wyjeździe i jego miłosnej pobudce uwiadomiony, że już 21 maja mógł donosić Soltanowi: „Słowacki zakochał się wściekle w pani Bobrowej i polecał za nią do Frankfurtu“. Że to dla niego było rzeczą niespodzianą, dowodzi dalszy wykrzyknik: „Co też to za ogrom dziwactw, szaleństw, głupstw, i ciągłych sprzeczności dzieje się na świecie“¹⁾

To wszystko naturalnie było nie tragedją, ale komedją. Do komedyi należy także i owo czytanie głośne *Beatrice Cenci*, przy którym w scenach miłosnych poeta dobierał akcentów głosu, mających elektrycznie wstrząsać sercem pani Bobrowej. *Beatrice Cenci* miała pokazać tej pani nie tylko, jak pięknie poeta umie malować namiętną miłość, ale i do jakiej sam jest zdolny. Można też zgodzić się na przypuszczenie p. Hoesicka, że Słowackiemu zdawało się, iż będzie to powtórzenie sceny z opowiadania Franczeski da Rimini²⁾. Do komedyi należy i to, jak pani B. traktowała Słowackiego i jak przyjmowała jego uczucia. Widziała naturalnie w Słowackim wielki talent poetycki, podziwiała siłę przedstawienia namiętności w *Beatrice Cenci*, ceniła jego zdolności towarzyskie i dowcip, ale główną miał dla niej wartość, jako przyjaciel Krasińskiego, jako ten, który mógł jej coś nowego o nim powiedzieć, przed którym ona mogła w opowiadaniu coś z dawnej szczęśliwej odnowić przeszłości. Ale gdy chciał wyjść z roli „środkowego kamienia“, gdy sam zaczynał wzdychać ku niej i robić czule oczy, gdy okazywał chęć zastąpienia dawnego kochanka, przyjmowała to z „półurągającym uśmiechem i politowaniem“, albo z całem „szyderstwem“. A czyniła to nie dla tego tylko, że tamtego stawiała nierównie wyżej w sercu swoim, że uważała go za takiego, który zastąpić się nie da, ale i dla tego, że nie wierzyła w szczerość uczuć Juliusza, że odczuwała, jak to on sam później przyznał, martwość jego serca. Przypominam znamienne słowa, które się jej wymknęły w liście o cztery lata późniejszym, gdy donosząc Słowackiemu o poznaniu się z jego matką, pisała: „J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a!

¹⁾ Listy Zygm. Krasińskiego II 235.

²⁾ I. c. III 128. Że tę scenę miał Słowacki dobrze w pamięci, dowodem, że naśladował ją w swojej szwajcarskiej sielance.

quelle sincérité d'esprit et de sentiments!¹⁾ Więc ani serca, ani szczerości nie dostrzegala pani B. w pocie.

Cały tedy epizod frankfurcki wygląda, jak komedia w tragedyi życia Słowackiego. A jednak i w tym epizodzie był moment, przelotny wprawdzie, ale wysoce tragiczny, który i na całą komedię frankfurcką rzuca cień tragiczny. Wiadomość o nim zawdzięczamy późniejszym listom poety do matki, kiedy Słowacki z nowego punktu widzenia spoglądał na swoją przeszłość i podnosił w niej różne znamienne szczegóły, na które przedtem mało zwracał uwagi. Mianowicie w liście z 29 lipca 1845 przesyłając z namaszczeniem rady i przestrogi rodzinie, w szczególności wujowi (ażeby się jego dawna duma szlachetna w próżność jeżdżącą na drynduli nie zamieniła), robił nagły zwrot do siebie i tak pisał: „Jam był już przyszedł do tego stanu, żem był zerwał wszelki związek z duchem piękności na świecie, lat temu pięć nazad²⁾, w jednej chwili, stojąc w ogrodzie Frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, wśród brzozy i drzewek nagle uczulem się martwy, jakby martwą naturą otoczony... te brzozy, które mi dawniej na Podolu tak dziwne rzeczy szeptały, stały przedemną, jak obce figury, myśl zimna poleciała po ich gałązkach — niebo i ziemia zatrwożyły mię, nie nie mówiąc do mnie... Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu... ale mię zaraz Pan Bóg obudził — albowiem tego wieczora wiecher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczął przewiewać przez okna czarne eleganckiego, w którym byłem, salonu — że mi nigdy dawniej niedoznane uczucie strachu — włosy podniosło na głowie i przez to wstrząśnienie obudzona była moja sympatyczna natura duchowa... A to, ci piszę, droga, abym ci pokazał, że są straszne choroby dusz naszych, na które my często nie zwracamy uwagi“...³⁾

Tak, w istocie, moment, opisany przez Słowackiego, był objawem strasznej choroby ducha, oddawna nurtującej w pocie, a teraz zbliżającej się do przesilenia. Tą chorobą była martwość serca przy rozognionej wyobraźni, wszystko pożerająca żądza sławy, która pod wpływem zewnętrznych podmuchów zamieniła się w samoubóstwienie, zupełne zeszytnienie serca w bezwzględny ego-

¹⁾ Listy Jul. Słow. II 219.

²⁾ Słowacki myli się tu w rachubie o rok jeden, a właściwie o dziesięć miesięcy.

³⁾ Listy II str. 237.

izmie. Poeta nigdy, przez całe życie, nie doznawał tych rozkoszy, jakie daje zapomnienie o sobie, zlanie się we wspólnem uczuciu miłości lub przyjaźni, poświęcenie swojego „ja“ na rzecz drugich; nie doznawał dla braku zmysłu społecznego, którego mało dostał od natury, a którego słabym zadatkiem wychowanie pozwoliło zmarnieć. Jak poezya jego dla braku tego zmysłu pomimo swojej świętności nie znajdowała echa w sercach współczesnego pokolenia, tak jego osobistość, pomimo blasku zewnętrznego, dla braku szczerości uczucia nie pociągała ku sobie sere kobiecych, ku którym się zwracał. Jedną tylko, jak wiemy, miał kochankę, która mu wynagradzała obojętność sere współbraci i kobiet, z którą obcowanie było dlań rozkoszą, która mu wszystkie oddawała swoje skarby, przemawiała doń najczulszym, najpieszczotliwszym językiem — to jest przyrodę. Z niej on czerpał swoją potęgę, moc swojej wyobraźni, barwy i blaski swojej poezyi; w niej znajdował jedynie prawdziwą ośłodę w życiu i uspokojenie; ona, rzecby można, była dla niego i siostrą, i matką i kochanką — i ojczyzną.

I oto nagle i ta bezosobowa kochanka, na której wierność i czułość mógł dotąd liczyć bezpiecznie, która mu szeptała do ucha to, co było najpiękniejszego w jego poezyi — nagle i ona odstępowała go, albo raczej zamykała przed nim swoją duszę i spoglądała nań martwo, sucho i bezmownie. Dla poety, w którym prawdziwie szczerem był tylko kult piękności plastycznej, gdy źródło tego kultu nagle wysychało, gdy znikala piękność z przyrody, dla takiego poety w takiej chwili świat musiał się stawać straszną, rozpaczliwą pustką i dla tego to Słowacki nazwał tę chwilę „jedną z najstraszniejszych w życiu.“

Co było przyczyną tego nagłego znieczulenia estetycznego? Nie podejmuję się dokładnego wyjaśnienia tego faktu, w każdym razie sędzę, że był to szczególny objaw roznerwowania, które go już wypchnęło z Paryża, a które w samotności frankfurckiej zamiast ustać, jeszcze się wzmogło wskutek fałszywego położenia, w jakim się znajdował, wskutek nienaturalnej roli Don Juana, którą chciał odgrywać. Była to jakby przestroga dla poety z wnętrza natury jego wychodząca, zarazem jakby wskazówka, że niedalekim był już wielki przełom w duchu poety.

Ale ta straszna chwila trwała krótko, poeta odzyskał swoją „sympatyczną naturę duchową“, jak nazywał stosunek swój do przyrody, choć przyczyny niepokoju, który trapił poetę, nie zaraz

ustać miały. Wiemy już, że zaraz po otrzymaniu wiadomości o wrażeniu, jakie wyrwał *Beniowski* w Paryżu, postanowił Słowacki powrócić do tego miasta. Jakkolwiek uspokajającymi mogły być te wiadomości, wszakże poeta przypuszczał, że ci, których najdotkliwiej obraził, zechcą go, gdy wróci do Paryża, pociągnąć do odpowiedzialności i takie przewidywania wypowiadał przed panią Bobrową, wyjeżdżając z Frankfurtu ¹⁾.

Przewidywania jego sprawdziły się, a ponieważ ten, który miał pomścić obelgi rzucone na *Młodą Polskę*, więcej liczył na tchórzostwo przeciwnika, niż na własną odwagę, cała ta sprawa zakończyła się zupełnym tryumfem Słowackiego. Tryumf ten i cały przebieg sprawy opisał Słowacki bardzo obszernie i dokładnie, z myślą nie tylko o współczesnych, ale i o potomnych, w dwóch listach: do pani Bobrowej i do matki ²⁾. Listy zgodne są w treści, zupełnie tak samo przedstawiają całą sprawę; ta tylko różnica między nimi, że list do p. Bobrowej pisany bezpośrednio po niedoszłym pojedynku szczegółowiej rzecz całą przedstawia, i że w nim Słowacki pozuje przed p. B. na bohatera *sans peur ni reproche* i stara się pokonać niedowierzanie, którego się z jej strony widocznie spodziewa, czego nie ma w liście do matki. Dla charakterystyki Słowackiego w danym okresie oba listy wiele przynoszą, ale pierwszy więcej niż drugi. Wezmę więc opis pojedynkowej sprawy z pierwszego listu, a uzupełnię tylko niektórymi szczegółami z drugiego.

„Pani! Przebyłem nareszcie mój dzień donkiszotowski, nogę silnie postawiłem na szali i podniosłem w górę całą zgraję jezuitów, potem zdjąłem ją i poupadali w błoto, ale w błoto, z którego się już nie wygrzebią tak prędko — niech spoczywają. Gdybym wiedział, że Cię pani opis dnia tego cokolwiek mógłby zabawić, nie lękałbym się pisać, bo wiem, że Pani jesteś szlachetna i nie będziesz wątpiła, że to, co mówię, jest prawdą — staram się nareszcie tak żyć, abym o każdej chwili życia mojego mógł szczerze mówić, a teraz więcej niż kiedykolwiek dbam o to, aby tak było i na Boga tak jest! — Zaledwo przyjechałem do Paryża, wrogi moje wychłostane w pierwszej i w trzeciej pieśni *Beniow-*

¹⁾ Listy do matki II, 149.

²⁾ List pierwszy z datą 16 czerwca 1841 r., drugi z datą 10 listopada tegoż roku.

skiego, wydawcy *Młodej Polski*, jezuickiego dziennika, a obszerniej biorąc jeszcze rzecz, Litwini — postanowili zabić mnie, lub upokorzyć; jakoż na drugi dzień zaraz przysłali mi jednego z eleganckiej litewskiej młodzieży, aby mię wyzwiał. Ten, z miną bardzo dumną, oddał mi bilecik, który tu w liście Pani posyłam, abyś wiedziała, do jakiej otwartej wściekłości przyszli ci jezuici, którzy mnie dotąd bezimiennie po różnych pismach kāsali. Przeczytawszy bilecik, schowałem go do kieszeni i odpowiedziałem, że papieru wzmiankowanego nawet widzieć nie chcę i będę się strzelał, przyjmując wszystkie warunki, które mi podadzą. Jakoż nazajutrz posłałem do nich mojego sekundanta z poleceniem, aby na wszystkie pojedynkowe punkta, przez nich podane, przystał. Przez dni pięć czekałem na ostateczną ich decyzję; w poniedziałek dopiero pod wieczór o jedenastej dowiedziałem się, że pojedynek ma być nie w St. Germain, ale koło Paryża, na placu otoczonym pustymi murami w miejscu zamkniętem; że schodzić się mamy do mety o 20 kroków i strzelać, kiedy się podoba. Dowiedziałem się o tem od mego sekundanta, że mój przeciwnik, ten sam krytyk *Balladyny*, który podczas improwizacji mojej omdlał, przywieziony został z St. Germain, gdzie serce swoje u p. Pauliny Pl... zostawił, przywieziony bez serca, błądy, z czerwonymi obłąkaniami oczyma, bardziej do miłości, niż do strzelania się skłonny. Jest to młody, 28-letni chłopak — ładny, lecz chorowitej i nieco nalanej cery, możebyś go Pani żałowała ¹⁾. Możebyś... sam nie wiem, ale Pani i zawsze Pani mieszasz się teraz do wszystkich spraw moich — myśl o Pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w nim zawsze bez wstydu mógł przejrzeć“.

„Teraz z dziecinnymi szczegółami opiszę Pani ranek wtorkowy. Między 9 a 10 godziną miał być pojedynek, aby zaś w razie napadu przez ludzi sądowych można się było czem od procesu kryminalnego obronić — pojedynki teraz bowiem są zakazane we Francji i chociaż sąd przysięgłych zwykle przez wzgląd na opinię pojedynkowego zabójstwa, tak jak innych morderstw nie karze, zawsze jednak sześciomiesięczne więzienie i kara pieniężna spada na zabójcę i sekundantów — dla zapobieżenia więc temu kupili-

¹⁾ Zdaje się, że w tych słowach jest złośliwie figlarna aluzja do powierzchowności Krasińskiego i do stałości uczuć pani B. dla niego.

śmy królika, który miał nam służyć w razie napadu przez policyę za wymówkę... biedny królik! — on był śmieszno-tragiczną stroną naszego pojedynku. We wtorek więc o godzinie 5-tej rano obudziłem się — przysięgam Pani zupełnie spokojny — spojrzałem na drzewa rosnące pod memi oknami, na słońce złote, zapaliłem cygaro, wypilem szklankę starego wina, zjadłem dwa ciasteczka, i ubrawszy się cały czarno, tak, aby żadnego celu na mojej osobie nie było, wyszedłem sam z domu o 7-ej do ogrodu Luxembourg, gdzie o pół do dziewiątej miał się zejść ze mną Nabelak i zaprowadzić na plac, niedaleko od ogrodu będący. Przechodząc koło kościoła Magdaleny przez targ kwiatów, kupilem za grosz różę, abym ją przez ten ranek w ręku trzymał i mógł potem zwiędłą posłać — komu? Pani to odgadniesz. Idąc dalej, zaszedłem do kościoła Ascension i tam właśnie trafiłem, że ksiądz kończący mszę, żegnał; schyliłem pokornie przed błogosławieństwem głowę — i wyszedłem... W ogrodzie, na który Pani patrzałaś, stanąłem znowu i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znanych oknach; ten dom teraz wala; okna były zamknięte, żaluzje popuszczane — poszedłem dalej. — Pani nie wiesz, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w ręku, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo, w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie? — Dobrze jest jednak użyć takiej przechadzki, uczuć w sercu siłę dumną i niezłamaną, uczuć nawet zachcenie krwi, w ręce czuć broń, na sobie samym oprzeć się i uśmiechnąć się, czując, że dobrą jest podpora. W Luxemburgu o trzy kwadranse na 9-tą ujrzałem zbliżającego się Nabelaka. Tu mi Nabelak donosi, że nowa się rzecz stała: że Ludwik kasztelan Plater — przyjechał z St. Germain za moim przeciwnikiem; że nabożny Cezary Plater mu towarzyszy, że oba są u Ropel... i godzą sprawę; że oba mają natychmiast do mnie z prośbą przyjechać. Zawrzała we mnie krew: postrzegłem, że Jezuiści z rąk mi uciekają — przeczułem, że ten blado-zielony wróg, któryby pod moim pistoletem omdlał, nie pokaże mi się na celu u już zapalonego krwią oka mojego; spokojnie jednak rzekłem do Nabelaka, że jestem na placu boju i nie ulegnę. Nabelak prosił mnie tylko o grzeczne z kasztelanem obejście się i o krew zimną; wkrótce zjawili się pacyfikatorowie. Kasztelan wziął mię pod rękę, Cezar wziął pod rękę sekundanta mojego i tak w głębokim milczeniu szliśmy przez ogrodową aleję. Nareszcie kasztelan zaczął

liśnią przemowę, przeciwnika mego oskarżył o nierozwagę dziecinną, mnie i moje postępowanie zaczął wynosić pod niebiosa, skończył pokorną, ale bardzo podstępą prośbą, abym go upoważnił do medycacji... Tu odbiegła mnie już zupełnie rozważa. — „Nie upoważniam Panów do żadnej medycacji, krzyknąłem, jestem na placu boju; jeżeli przeciwnik, który mnie wyzwiał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mnie każdy błą... wyzywał, zwlekał od dnia do dnia i na plac mnie wyprowadzał napróżno“. Tu obróciwszy się do Nabelaka — Panie Nabelak! — rzekłem — proszę, aby mi była wyznaczona dziś albo jutro godzina pojedynku; ja na nią stanę i będę czekał.“

„Widząc Nabelak, że coraz bardziej w gniew wpadam, wydał nareszcie całą tajemnicę. Z kimże ty się bić chcesz, rzekł do mnie, chyba z wiatrem; oni się już cofnęli. — Czy tak? — A tak, już się cofnęli; — rzekł kasztelan z miną pokorną, spodziewał się albowiem, że jeszcze nie mówiąc mi nic o tem, dla Pana Ropelewskiego wyrobi, że mu dam jaką słowną przynajmniej exkuzę; lecz obaczywszy we mnie wściekłość tygrysią, on i Cezar Pl... zadrżeli o swoją błądą i drżącą lalkę — i prosto mi ją z pod pistoletu uchylili... Wtenczas poznałem, co to są za wrogi ci przyjaciele, którzy więcej dbają o życie, niż o honor człowieka — tryumfowałem! — Chciał mnie jeszcze kasztelan Plater wmówić, że o tak zakończonym pojedynku pod słowem honoru mileczeń należy. Na to mu rzekłem prosto, że słowa honoru na to nie dam, bo do kilku osób o pojedynku już pisałem, więc gdybym dalej mileczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogłyby myśleć, że się ja upokorzyłem i dałem jaką wymówkę słowną lub na piśmie — będę więc mówił i pisał o pojedynku, jak mi się podoba. Kasztelan i to przyjął — i tylko obróciwszy się do Nabelaka i wzniosłszy oczy do nieba, zawołał litośnie: „Jak on mnie traktuje!“ Tu jeszcze nowa przeprawa: Cezar Plater zaprasza na śniadanie, chce koniecznie, abym się tego dnia z przeciwnikiem moim widział, zgodził się i kochał. Na to mu odpowiedziałem, że kochać można tylko człowieka, którego się szanuje, a ja dla pana Rop. jeszcze szacunku mieć nie mogę; że będę z nim grzecznie i nie dam mu uczuć wzgardy, ani go poniżę w towarzystwie, ale z kochaniem wstrzymam się, aż pan Ropelewski co dobrego zrobi. Od śniadania wyrwałem się, lecz Nabelak, który miał, jako sekun-

dant prawo rozporządzać moim czasem i rozkazywać mi, zawiódł mnie koniecznie do Cezarego Platera i tam z moim przeciwnikiem widziałem się. Plater Ludwik miał przemowę, w której dowodził, że do pojedynku racji nie było, że to swoje przekonanie wpoił w serce p. Ropelewskiego, że Pan Ropelewski wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego. Po której to mowie p. Rop. podał mi rękę, ja mu podałem moją, mówiąc mu zimno: „zapomnijmy o tem, ale jeżeli mamy zapomnieć, to zapomnijmy na zawsze!“ Na te słowa, choć nie bardzo czule, p. Rop. rozplakał się, potem dano śniadanie, na którym jeden tylko z sekundantów pana Rop. był przytomny, drugi (Kołysko) przez wstyd został w domu, i teraz z wroga stał się moim, to jest mojego tryumfu rozgłosicielem. Stało się tak, że klub się cały o pojedynku rano dowiedział, wieczorem przyjęli mnie więc wszyscy po bratersku i we wszystkich oczach widziałem błyszczącą przychylność, wszyscy o poemacie się dobijają, wszyscy chcą czytać strofę, którą ja krwią moją pieczętowałem byłem gotowy, wszyscy się dziwią, że widząc mnie przez pięć dni przed moim pojedynkiem, nigdy żadnej zmiany we mnie, nigdy żadnego cienia na czole nie spostrzegli; ten mi przypominał, że mię w poniedziałek wieczór o jakąś książkę prosił, a ja mu ją dać we wtorek obiecałem, drugi, że mi jakąś sztuczkę teatralną chwalił i we wtorek na teatr iść ze mną proponował, — słowem, wszystko się do mnie nawraca...“

„A teraz, choć się tak stało i ludzie mówią, że dobrze się stało, wołałbym był, przysięgam Pani na tego Boga, który wczoraj do mnie przybliżył swoje łono i gotów był mnie wziąć w objęcia swoje, jak dziecko skrwawione, przysięgam, że wołałbym wroga mojego mieć przedemną i tam go nauczyć, co to jest igrać z życiem człowieka temu, który nie gotów jest swoje zupełnie odważyć, ale i tak nauka jest dana, a kara jego może jest gorszą, niż śmierć“¹⁾.

W liście do matki było daleko mniej pozowania. Słowacki, który pisząc do pani Bobrowej przedstawiał się jako żądny pojedynku i żałujący, że do niego nie doszło, w liście do matki przyznawał się, że pięć dni, które dzieliły wyzwanie od pojedynku, przeszły mu w wielkim niepokoju. „Ja przez pięć dni bawiąc się,

¹⁾ Listy J. Słowackiego do p. Joanny Bobrowej, jako dodatek do III tomu monografii Małeckiego o Słowackim (wyd. 3 str. 280—285).

jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem, gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie tego bynajmniej nie spostrzegł. A jednak wyznam ci, że te pięć dni... były mi bardzo gorzkie“. Chciał też, aby ten list jego do matki świadczył o nim przed potomnością: „Chciałbym, ażebyś, droga, chowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerzy ślad życia mego“¹⁾.

Sprawę pojedynkową znamy tylko z listów Słowackiego lub jego przyjaciela Niedźwiedzkiego²⁾, znamy więc ją tylko z jednej strony, nie mamy jednak powodu wątpić, że Słowacki wyszedł z niej z zupełnym tryumfem. Mniej jasno przedstawia się nam postępowanie strony drugiej, Litwinów, a także sekundanta Słowackiego, Nabelaka. Niedźwiedzki donosił Zamojskiemu, że „Litwa nie zdołała strawić nowych poezji Słowackiego, że ją ubodły do żywego i nierozumujący dawnym“³⁾ obyczajem chcą we krwi obmyć obrazę... Były narady, zjazdy i na nich postanowiono, że Ropelewski wyzwie Słowackiego, stanie się ofiarnym kozłem za Litwę całą.“ Z tej i z innych wskazówek można wnioskować, że wśród Litwy, która się naradzała, jak postąpić ze Słowackim wobec ogłoszenia drukiem *Beniowskiego*, zarysowała się różnica zdań, że jedni, jak n. p. Kołysko lub Franciszek Szemioth, widzieli konieczność wyzwania Słowackiego na pojedynek, (byli to ci, których Niedźwiedzki nazywał nierozumującymi), inni jak Platerowie Ludwik i Cezary, a niewątpliwie i Mickiewicz, wychodząc z katolickiego punktu widzenia, byli pojedynkowi przeciwni. Strona gorętsza, jak zwykle bywa w takich razach, wzięła górę i wmówiła w Ropelewskiego, który był najdotkliwiej obrażonym, że powinien krwią zmyć obrazę i pomścić zarazem siebie i Litwę; poważniejsi cofnęli się, ale na to, żeby do pojedynku nie dopuścić, co im niemiętno poszło.

Z przebiegu całej sprawy, jak go przedstawił Słowacki, można przypuszczać, że owi poważniejsi, a w szczególności Platerowie, potrafili zjednać dla swoich starań Nabelaka, sekundanta Słowa-

¹⁾ Listy II, 150—152.

²⁾ Na listach Niedźwiedzkiego do Wład. Zamojskiego z dnia 14 i 21 czerwca 1841 p. Biegeleisen, oparł swój artykuł: „Pojedynek Słowackiego z Ropelewskim“ w Tyg. Powszech. z r. 1884 Nr. 41.

³⁾ W cytowanym wyżej artykule wydrukowano: dziwnym obyczajem, co jest zapewne myłką druku lub przepisywacza.

ckiego. Przeciwnie sekundant Ropelewskiego, Adam Kołysko, zgorzszony był pokojowem zakończeniem sprawy pojedynkowej, skoro Niedźwiedzki powiada o nim, że jakkolwiek „człowiek lubiący cudze śniadania, zwłaszcza kiedy go na nie proszą,“ nie chciał pójść na śniadanie, na którym przeciwnicy mieli sobie podać ręce.

Tryumf Słowackiego był tem większy, że właśnie w owym czasie w *Tygodniku literackim* poznańskim ukazał się ów, na kilka miesięcy przedtem zapowiedziany Słowackiemu, artykuł o nim Krasieńskiego. Ukazał się anonimowo p. t. *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*, a był powtórzeniem, parafrazą tego, cośmy już przedtem poznali w cytowanych wyjątkach z listów Krasieńskiego do Słowackiego i Załuskiego. Słowacki nie znajdował w tym artykule nic dla siebie nowego; ale dla ogółu emigracyi były tam rzeczy zupełnie nowe, sądy wynoszące Słowackiego do równej z Mickiewiczem wysokości i służące poniekąd za komentarz do owej walki bogów, którą się kończy *Beniowski*¹⁾.

Zobaczmy teraz, jakie wrażenie wywarł ten poemat na głównych przedstawicielach poezji emigracyjnej, Bohdanie Zaleskim i Mickiewiczem i jakie sądy publiczne wywołał. Zaleski już w pierwszych dniach czerwca, a więc natychmiast po ukazaniu się *Beniowskiego*, czytał go i tak pisał o nim do Lucyana Siemieńskiego 7 czerwca 1841. „Ale, ale, ma tam dla ciebie Seweryn (Goszczyński) egzemplarz poematu Słowackiego p. t. *Beniowski*. Sam obaczysz. Najlepszy ze wszystkiego, co dotąd napisał. Ogromna fantazyja, a serca ani zdźbła. W nic nie wierzy, nikogo nie miłuje, niczego się nie spodziewa. Siebie uważa za centrum świata i Polski i wszystkich rzeczy, które jeno są; ma się słowem za Boga. Nieznośny pyszałek, zapaleczywszy i złośliwszy stokroć, niż Bajron. Smaga niemiłosiernie biczem, kto mu się nawinie. Zaciął mnie i Seweryna, Mickiewicza ciemieży najstraszliwiej na śmierć... Wpadł jednak na swój rodzaj i dla tego został od razu znamienitym pisarzem; wątpię, czy poetą? Wierszowanie niesłychanie świetne i żwawe. Oktawy jego lepsze niż Ariosta. Język giętki, czysty, ale brakuje mu jakiejś woni poetyckiej, którą daje serce, tego samego, co Ariostowi. Nienawiść — jego Muza; a ja brzydkie —

¹⁾ Ludwik Plater miał usunąć z czytelnicy klubu polskiego numer *Tygodnika*, w którym był ten artykuł, a Feliks Wrotnowski, nie chciał umieścić ogłoszenia płatnego w „Dzienniku Narodowym.“ Patrz Biegeleisen l. c.

Bogiem. Gorączkowy stan duszy odzwierciedla się i w obrazach narodowych obyczajów. Pozorna też to narodowość. Gdzie mu do Soplicy? Zadziwi może blaskiem i naturalnością swoją nową czytelników, ale nie zniewoli serce na długo¹⁾.

Ustęp ten najwymowniej dowodzi, jak olśniewające wrażenie wywarł *Beniowski* na Bohdanie Zaleskim. Doskonale się też zarysowuje w tym ustępie przeciwieństwo pomiędzy poezją Zaleskiego i Słowackiego: z jednej strony pewna jałowość fantazyi przy pełni i świeżości uczucia, z drugiej strony ubóstwo serca przy olśniewającym przepychu i niewyczerpanem bogactwie fantazyi. Jak na antagonistę i to jeszcze zaczepionego w poemacie, sąd Zaleskiego był dość bezstronny. Słuszny był zarzut, że Słowacki uważa się za centrum świata, słusznem i to, że gorączkowy stan duszy poety odzwierciedlił się w obrazach narodowych obyczajów, niesłusznem tylko określenie, że muza jego była nienawiść, niesłusznem powątpiewanie, że był poetą.

W dziesięć dni potem pisząc do Seweryna Goszczyńskiego, Zaleski poddawał się przygnębieniu moralnemu, które widocznie wypływało z wrażenia, jakie wywarł na nim *Beniowski*. On, tak wysoko postawiony przez Mickiewicza w pierwszych wykładach Literatury słowiańskiej, on, któremu Mickiewicz przed rokiem pisał, że mocą swego ducha „ciągnie do siebie całe ciepło i światło poetyczne²⁾“, porównyując swój śpiew i lot skowronka z czardziejstwem słowa w *Beniowskim*, z burzą i błyskawicami fantazyi Słowackiego w tym poemacie, uczuwał nikłość swoją i stąd pochodziło przygnębienie. „Jakiś niesmaczny niepokój trapi mnie wewnątrz, że ustawicznie to tęsknię za czemś, to nudzę się na śmierć. Tęsknię za swobodną miłą pracą, jak to bywało ongi; a nudzę się ze swojej dzisiejszej niemocy. Pospólna to podobno nam choroba, generyczna dla wszystkich poetów. Może my, Sewerynie, dla tego jałowiejem, że inne społeczne nam duchy płodzą. Szczęść im Boże! byle więcej mieli miłości i pokory, niż Słowacki, bo inaczej nie wiele przysporzą dobra i chwały dla Polski. Ej, żeby to rychlej dostać się nam na Ukrainę! Zasadzilibyśmy jeszcze z Pegaza niejednego pyszałka. Ale tak, jak jesteśmy, to i same ręce opadają.

¹⁾ Korespondencya I. B. Zaleskiego T. I, 1900 str. 205.

²⁾ Korespondencya Ad. Mick. T. I, 210—211.

Czużyna trawi nas powoli, jak suchoty; przepadnięm nie wiedzieć po jakimu¹⁾.

W liście do Mickiewicza, o dwa dni późniejszym (19 czerwca 1841 r.), Zaleski inaczej pisał, nie z tą szczerością, co w listach do Siemieńskiego i Goszczyńskiego. Widocznie chciał sobie i Mickiewiczowi dodać ducha.

„Czytałem też tu nieco uważniej *Beniowskiego*. Nie ma co mówić, wiersze zgrabne, ale duch mdły, pomimo pozornej ruchliwości. Poeta buja na płytkich bardzo fluxach i oprócz grubego skandalu nie ułowi ani drobnej perełki, którą godziłoby się zawiesić, choćby na pogańskim ołtarzu lub na szyi jakiegobądź kochanki. Ja taki niepoczesny, a wcale się nie stracham i spodziewam się, że kiedyś po leciech zsadzę go z Pegaza. A cóż dopiero ty, nasz Adamie, taki doświadczony i zawołany jeździec! Skoro nastaną wakacje, weźno się w skok do pióra. Panowie młodszy poeci obrali sobie na Muzy złość i pychę, my przytulmy się jeszcze bliżej ku miłości i pokorze, a obaczysz, kto wygra? kto i jasne i roznośniejsze dźwięki wydobędzie dla narodu, któremu wcale dziś nie do śmiechu. *Wojna Bogów!* głupie cielece, obydwaj ze swoim X. (Kraśińskim)... mniemają, że o taką wojnę chodzi Polsce. Liczę sobie za dobrą kreskę, że cię ongi odstręczał od pokusy poetyckiej à la Słowacki. Mnie samego o mało nie namówił Gurowski, żebym w taki sposób kontynuował mego *Diabła Borutę*. Ale pomiarkowałem się i spaliłem, a wyręczył oto nas obydwóch autor *Beniowskiego*: nie warto dłużej o tem pisać²⁾.

Lekceważenie okazywane tu poezji Słowackiego wydaje się więcej sztucznem niż prawdziwem i bodaj czy nie wypływało z przyjacielskiej chęci zatarcia w Mickiewiczu przykrych wrażeń, wywołanych ostatnimi strofami *Beniowskiego*. Z tem lekceważeniem nie licowało pobudzanie Mickiewicza, aby za nadejściem wakacji wziął się w skok do pióra. Widocznie dolegały Zaleskiemu pociśki, którymi Achilles-Słowacki szturmował w poetykę Troję Mickiewicza, widocznie chodziło mu o przyćmienie sławy, którą sobie autor *Beniowskiego* zdobywał tym utworem, o przyćmienie jej jakimś nowym tryumfem podobnym do tego, który na uczcie odniósł Mickiewicz nad Słowackim.

¹⁾ Korespondencja I. B. Zaleskiego T. I, str. 208.

²⁾ Tamże T. I, str. 214.

Ale Mickiewiczowi, zmęczonemu kursem literatury, a mającemu w perspektywie napisanie a raczej przepisanie z Niemców porównawczej gramatyczki słowiańskiej, ciągle niespokojnemu o zdrowie żony i przygnębionemu smutnymi wiadomościami, jakie nadchodziły z Litwy, nie do poezji było. Więc odpowiedział: „O poezji boję się myśleć. Chybabym gdzieś głęboko na wsi osiadł, tobym może coś wydumał. Nie masz tedy na ten raz współzawodniczących prócz Słowackiego“. Ale wyrzekając się współzawodniczenia ze Słowackim, najzupełniej pochwalał sąd Bohdana o duchu jego poezji. „Dobrze i święcie powiedziałeś, że nam trzeba tulić się ku miłości i pokorze. Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami, pewnieby nas zbudował pokorą. Ale biedne pyszałki, co się im dzieje! Boję się, żeby ich nie spotkał taki los, jakiego doznają dyktatorzy emigranckie, gryzieni troskami władzy najwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli¹⁾.

Sądy dotychczas przytoczone były prywatne, przypadkowo tylko mogły dochodzić uszu Słowackiego: ale nie długo miał czekać na publiczne. *Beniowski* był niezwykle zjawiskiem w literaturze emigracyjnej, nie tylko dla tego, że świetnością formy olśniewał, ale i dla tego, że poruszał mnóstwo ważnych i drobnych spraw i stosunków życia emigracyjnego, że wreszcie wprowadzał ton, nieznany dotychczas w poezji polskiej, ale od początku emigracji rozbrzmiewający w dziennikarstwie emigracyjnym, ton zaciętości polemicznej. Powszechna uwaga emigracji zwróciła się na ten poemat, a trzy główne jej stronnictwa, katolickie, demokratyczne i dynastyczne uczuły potrzebę wydania o nim sądu, zajęcia wobec niego stanowiska.

Najwięcej czuło tego potrzebę stronnictwo katolickie, przeciw któremu ostrze poematu najwyraźniej było wymierzone. Krytyka przytem *Beniowskiego*, ze stanowiska tego stronnictwa wychodząca, powinna była naprawić to, co popsuł śmieszny pojedynek Ropelewskiego ze Słowackim. Myślę, że właśnie owi poważniejsi Litwini, którzy byli przeciwni pojedynkowi, za jedynie godne odparcie obelg rzuconych w *Beniowskim* uznawali rozsądną, spokojną i wyższą nad złość i oburzenie krytykę. Organem stronnictwa, o którym mowa, był niedawno przedtem założony, a przez Wrotnowskiego redagowany *Dziennik Narodowy*, tu więc miała się ukazać

¹⁾ Koresp. A. Mick. T. I, 1880 str. 234.

owa krytyka. Podjął się jej Jan Koźmian, który już przedtem w tem samem piśmie podał rozbiór *Nocy letniej* Krasińskiego i umiał niektóre trafne poczynić uwagi autorowi.

Krytyk na wstępie przyznawał, że nie łatwo mu będzie „spokojnie mówić o utworze, w którym tyle zimnego gniewu i nienawiści, nie łatwo wstrzymać się od odpłacenia uszczypliwością, lekkiem żartem za wyuzdany dowcip“, ale oświadczał, że będzie się starał przy całej surowości sumiennej krytyki zachować miarę i powagę. Tego przyrzeczenia dotrzymał; niektóre zarzuty jego, szczególnie odnoszące się do formy, nie były trafne, były nawet śmieszne, ale nigdzie zjadliwość, nigdzie chęć zemsty z nich nie przebijała. W *Beniowskim* widział naśladownictwo *Don Juana* i to mu dało powód do porównania Słowackiego z Byronem. „Byron miał w sobie ogień niebieski... miał potęgę miłości i tylko w nadużyciu łatwych uciech, w miękkiej pomyślności hart duszy stracił“; nawet w *Don Juanie*, który jest otehląnią sceptycyzmu „często się ocknie dawny ogień; miłość, cześć wolności dźwięczą na strunach poety wzniosłą nutą, nawet szyderstwo jest namiętne“... „Słowacki jest człowiek zimny, cały jego zapal w głowie; wyobraźnię ma bogatą i świetną, ile się zaś razy w uczucia zapuszcza, znać przymus, wysilenie, udaje namiętność, ale w nim nigdzie namiętności nie znajdzie. Indywidualizm Byroński mocno do niego przystał, tylko co w Byronie był tak głęboko ognisty, w Słowackim wziął znamiona ciasnej próżności. Mile czasem z głębi duszy odzywają się rzewność i tęsknota polska, ale i te znać przelotem, i tych dobrych uczuć wstydzić się zdaje“.

Ten sąd porównawczy, najpewniej od Mickiewicza zaczerpnięty, był słuszny. Słuszne też były uwagi, że Słowacki „chętnie się pieści z natchnieniami snu gorączkowego... często nawet jakieś zachcenie za natchnienie biorąc, między nasuwającymi się myślami nie przebiera“, (Chodzi mi o to, żeby język giętki — powiedział wszystko, co pomyśli głowa) i że „należy do rzędu tych, co w obecnej myśli popędu szukają“, że „nie do poety należało polemikę małych dzienników wznosić do powagi poematu epicznego“ i inne. Najmniej szczęśliwym było to, co mówił o stronie zewnętrznej poematu, o strofach, wierszach i rymach, o błędach „przeciw pierwszym zasadom gramatyki.“

Walce Słowackiego z Mickiewiczem poświęcony był osobny ustęp. Była to ze strony wielbicieli autora *Pana Tadeusza* odpo-

wieź na pociski rzucone nań w *Beniowskim*. „Nie widzimy potrzeby stawiać w obronie wielkiego poety, którego bezsilny gniew nie dotyka. W czyich wierszach całe pokolenie uczyło się szukać wyrazu na najwznioślejsze uczucia, czyje śpiewy dziś jeszcze powtarza wszystko, co cierpi i wszystko, co się spodziewa w Polsce, ten żyje i żyć będzie w historii. Choćby do Słowackiego, jak sam wykrzykuje, należała przyszłość, do niego zwycięstwo za grobem, to jeszcze piętnastoletniej nie zatrze chwały. Nienawiść dla autora *Pana Tadeusza* wrzała w Słowackim od dawna; głośna już dzisiaj improwizacya grudniowa przyspieszyła tylko jej wybuch“. I tu Koźmian znajdował sposobność podania opisu walki improwizatorskiej, którą już na właściwem miejscu poznaliśmy.

Zakończenie krytyki było napisane w duchu improwizacyi Mickiewicza, było wezwaniem Słowackiego na drogę wiary i miłości. „Niechaj rozdmucha w sobie iskrę uczucia, tylko się sercem serca rozpalają; niech się uspokoi, trzeba pogody wewnętrznej, żeby wielkie rzeczy pojmować i tworzyć. My nie zwątpiliśmy jeszcze o nim. Wierzmy mu, kiedy mówi o swoim smutku i gorczy... wierzmy, że jeszcze to zmieni...“ niechaj nie woła, że już zapóźno wziąć nową harfę niepokalaną¹⁾. „Nie, nigdy późno: po co schylać czoło pod jakąś fatalnością. Obejrzyj się wkoło, młody poeto, oto jesteś wśród nieszczęśliwego ludu wygnańców; koło ciebie tyle cierpień, cichego poświęcenia, czystych nadziei, sław cierpienie, darz poświęcenie wieniec nagrody, grzmij pieśń nadziei. Obiecujesz wieść naród, śpiewać narodowi. Śpiewaj, chętnie ci wtórować będą, ale weź, jak sam mówisz, lutnię niepokalaną. Gorzycz, nienawiść, nasz codzienny chleb na wygnaniu, już wiele świętych rzeczy, wiele poezyi zwarzyły. Wojując ironią ciężko wykroczyłeś przeciw Bogu, przeciw Polsce, masz przyszłość do poprawy“²⁾.

¹⁾ Słowa te odnoszą się do następującej strofy *Beniowskiego* (Pieśń IV.).

A jednak gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wzięwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

²⁾ Dziennik Narodowy Nr. 14 i 15 z d. 3 i 10 lipca 1841.

Były to słowa z serca płynące, a tem łatwiej mogły pociągać ku sobie Słowackiego, że krytyk chętnie się godził na przewodnicze stanowisko jego, jako poety, w narodzie, byle tylko wziął inną, „niepokalaną“ lutnię. Wogóle krytyka Koźmiana, pomimo swych rozmaitych słuszných i niesłuszných zarzutów, jako pochodząca z obozu, na który Słowacki tyle wyrzucił obelg, i skąd mógł się spodziewać surowego odwetu, musiała wyrzucić na nim dodatnie, uspokajające wrażenie.

W parę tygodni po ukazaniu się krytyki Koźmiana wystąpił z równie obszerną, równie na dwa numery rozciągniętą oceną *Beniowskiego*, przedstawiciel obozu demokratycznego, *Demokrata Polski*, które to pismo na niedługo przedtem, właśnie w czasach wychodzenia *Beniowskiego* z druku, przeniesione było z Poitiers do Paryża i pod nową wychodziło redakcją. W redakcyi brał udział i Seweryn Goszczyński, więc nasuwa się przypuszczenie, że może to on był autorem owej oceny¹⁾. Krytyka *Demokraty* była jakby odpowiedzią na krytykę *Dziennika Narodowego*, i to wszystko, czemu ten ostatni przyganiał w *Beniowskim* ze stanowiska religijnego, brała w obronę — niekiedy dość chaotycznie — Słowackiego zaś przedstawiała, jako prześladowanego przez „pewien polityczno-religijny lub semi-religijny kącik“, który „z trudem podnosił na ramionach Stefana Garczyńskiego, wielką pracą i wysileniem dźwigał Kajsiawicza, może nawet i z autora *Nieboskiej Komedy* za wielkiego zrobił olbrzyma“. Był to pocisk wymierzony głównie przeciw Mickiewiczowi, którego katolickie stanowisko zarysowane w III. części *Dziadów* nie podobalo się autorowi.

¹⁾ W tym samym arkuszyku *Demokraty*, w którym był pierwszy artykuł o *Beniowskim* (z 23 lipca 1841), znajdował się artykuł p. t. *Narodowość*, pisany przez Goszczyńskiego. Bohdan Zaleski we współczesnym liście do niego rozpisuje się o tym ostatnim artykule, chwalać go, o krytyce zaś *Beniowskiego* milczy najzupełniej. To jednak, co mówi z powodu artykułu „*Narodowość*“, jest jakby wymierzone przeciw owej krytyce. „Zgadza się na wszystko, co tam powiedziałem i podkreśliłem tylko jedno miejsce, gdzie podejrzewasz katolicyzm Skargi. Sewerynie! och Sewerynie! nie przyjdziecie wy nigdy do ładu z ludem, póki nie uszanujecie jego wiary i nie roznieście wielkiej miłości w Chrystusie. Bicie na ksieży, na Jezuitów, na wszystko złe w kościele, które takóŜ spłodził ten sam świecki materyalizm, duszący dziś wolność, ale brońcie religii i moralności, dwóch kotwic, na których stoją narody. Dalibóg! Skarga szczerze kochał i Chrystusa i Polskę“. Koresp. I. B. Zaleskiego T. I, str. 216.

Największe wrażenie na krytyku *Demokraty* wywarło wołanie Słowackiego, że poprowadzi „lud“ inną drogą, niż Mickiewicz. Przytoczywszy wiersze: „Ha! ha! mój wieszczu, gdzie to wy idziecie... pójdę gdzie indziej i lud pójdzie za mną“, tak pisał dalej: „Kiedyśmy następne odczytali strofy, dusza nasza uniesiona została całą świętością posłannictwa poezyi w naszym narodzie, myślą sięgnęliśmy cały przestwór, całe gmachy, całe głębie, jakie prawdziwie natchniony duch obudzić i poruszyć może, i w dłoniach takich pieśni, oskrzydłonych archanielskimi piórami, ujrzelismy i miecz archaniola, ale niestety! ta pieśń budząca z grobów dotąd jeszcze nie zabrzmiała. Lud za nią pójdzie i lud jej czeka. Lecz wieszczom że to pokazywać, gdzie podobnego mają szukać natchnienia? niech się wpatrzą z całą miłością w mękę tego ludu, w jego poniżenie i cierpienia, jak się wpatrywali święci w rany i krew Zbawiciela, ażeby w nieskończoności mogli śpiewać hymn wiecznego szczęścia i chwały. Mamyż wyrażenie się poety lud pójdzie za mną za uroczystą uważać obietnicę?“

Loika ostatniego zdania nieco chroma, (bo pewnoś, którą ma poeta, że lud pójdzie za nim, nie może być jeszcze uważana za obietnicę jakąś z jego strony, że poślubi sprawę ludu), ale o co chodziło autorowi krytyki, domysleć się łatwo. Widział on w tem wyrażeniu „lud pójdzie za mną“ jakby oświadczenie, że poeta chce zostać śpiewakiem ludu, wyśpiewać dążenia i ideały demokraty. Ale porównyując dotychczasową twórczość poetycką Słowackiego z tym okrzykiem, tak rozumianym, jak sam rozumiał, widział, że się z nim nie godzi, to też musiał przyznać, że „niestety! ta pieśń budząca z grobów, dotąd jeszcze nie zabrzmiała“. Wszakże co się dotąd nie stało, to stać się może, jeżeli Słowacki przejmie się cierpieniami i nędzą ludu. Rzecz charakterystyczna, że kiedy krytyk *Dziennika Narodowego*, mówiąc o tym okrzyku Słowackiego, brał wyraz lud w znaczeniu narodu, krytyk *Demokraty* nadawał temu słowu znaczenie jednej tylko warstwy społecznej.

W całej tej pochwalnej krytyce dwa tylko były zarzuty uczynione *Beniowskiemu*: jeden dotyczył zamieszania w obrazach, niewykończenia scen, drugi, o wiele ważniejszy, umieszczony na końcu, miał być nauką na pożegnanie daną, odmienną, ale analogiczną do tej, której udzielał Koźmian w swojej krytyce. Przystępował do niej *Demokrata* bardzo czule, chciał z wielką delika-

tnością, „z całym współczuciem braterstwa, z całą zręcznością“... „przyłożyć dłonie do bolesnej i dotkliwej rany“... O cóż chodziło *Demokracie*? Widział i on, pomimo całego współczucia, jakie miał dla walki Słowackiego z katolicyzmem, widział w Słowackim za- nadto wyłączone przejęcie się sprawą osobistą, z drugiej zaś strony brak wiary w naród i nadziei lepszej przyszłości dla niego. „Mo- żeby i silniejszymi były te gromy, które poeta tak słusznie na głowy nieprzyjaciół rzuca, gdyby padały z całej wysokości niczem niezachwianej narodowej wiary, gdyby wieszcz był się okazywał więcej obrońcą prawdy wyższej i niezależnej od niego; niechby spoczywała na jego czole i barkach, czyliż ją nie nadto wcielił i w swą przyszłą chwałę i w swe nieszczęścia minięte i w swą walkę obecną. Kiedy miłość wyższa, kiedy prawda, obiorą sobie kogo za rycerza i obrońcę, wysokiego udzielając mu natchnienia, niechaj zapomni sam siebie, one go pewnie nie zapomną, wzleci na ich skrzydłach, bez znużenia się własnem szamotaniem“. W końcu przypominał *Demokrata* Słowackiemu jego własną strofę z *Beniow- skiego*, w której się podobna przestroga zawierała:

Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa itd.¹⁾

Ostatecznie krytyka *Demokraty* była bardzo pochlebną dla Słowackiego, stawiała stanowczo po jego stronie przeciw Mickiewi- czowi i zapraszała poetę do obozu demokracji emigracyjnej, od którego trzymał się on dotychczas zdaleka.

Teraz przyszła kolej wypowiedzenia sądu o *Beniowskim* na stronnictwo dynastyczne, z którym, jak wiemy, łączyły Słowackiego dość ścisłe stosunki osobiste. Jakież stanowisko miał zająć *Trzeci Maj* wobec tego poematu? W piśmie tem spoglądano na wszystko pod kątem dynastycznym, i jak *Demokrata* znajdował w *Beniow- skim* wyrażenia, w których dosłuchiwał się wyznania wiary demo- kratycznego, tak *Trzeci Maj* mógł łatwo w niektórych zwrotach dopatrzyć sympatyj dynastycznych, (gdzie, to już wiemy,) a im więcej pierwszy starał się poetę dla swego obozu pozyskać, tem więcej drugiemu mogło chodzić o to, ażeby nową sławą poetycką uświetnić swoje stronnictwo. Przytem *Trzeci Maj* ciągle prowadził

¹⁾ *Demokrata Polski* z d. 23 lipca i 5 sierpnia 1841 T. IV, str. 44—47 i 52—54.

polemikę z *Dziennikiem Narodowym*, organem emigracji najbardziej zbliżonej do Mickiewicza, o potrzebę uznania dynastji i skarżył się (w numerze z 3 sierpnia 1841), że „widzi się w każdym niemal numerze *Dziennika Narodowego* wprost i w zelżywych słowach ata- kowanym“. Zelżywych słów nie było, ale było traktowanie organu dynastycznego, jako niedowarzonego, jakim on był niewątpliwie.

Dla takich to względów *Trzeci Maj* umieścił krytykę *Be- niowskiego*, która w uwielbieniu daleko przelicytowała *Demokratę*, bo nie znalazła nic do przygany w poemacie, podobnie jak *Demokrata* brała w obronę poematu od zarzutów *Dzien. Narodowego* i obniżała umyślnie znaczenie Mickiewicza, aby tem wyżej wynieść Słowa- ckiego i otoczyć go gęstemi kłębami kadzidla. Oto jakim pompaty- cznym i zawilim stylem pisał p. Wacław Jabłonowski — autor owej krytyki — o Słowackim.

„Juliusz Słowacki wzrósł nagle w ogromnego olbrzyma, opar- tego silną stopą o piękne, fantastyczne charaktery żywo wyjęte z koła społeczności polskiej ze wszystkimi jej odcieniami, formami i czysto narodowym kolorytem, sięgającego czołem tego autora tylko geniuszowi znanych podniebnych wysokości, które słusznie i głęboko filozoficznie jeden z recenzentów krajowych (Kraśiński) nazwał siłą odśrodkowania — a które, ja, instynktem politycznym wiedziony — słuszniej może językiem zrozumialszym dla masy na- zwę: usiłowaniem polskiej duszy i instynktów czysto narodowych uwolnienia się z więzów form i idei cudzoziemskich — w olbrzyma nacechowanego stąd całą siłą, wypływającą z dwóch wielkich jego własności — narodowości — i misji jej oczyszczenia“.

Cóż znaczyła ta gmatwanina, mająca pretensję, że jest „zro- zumialszą dla masy“ od słów Kraśińskiego? Oto, że poezja polska nie miała dotychczas cech narodowych, że Słowacki dopiero jej te cechy nadawał i że jakoby to miał na myśli Kraśiński, mówiąc o odśrodkowym kierunku poezji Słowackiego. Jak dalece entuzya- styczny krytyk rozmiął się z Kraśińskim, nie potrzeba tego do- wodzić, ale warto pokazać, jak uzasadniał swoje twierdzenia, po- nieważ w tych słowach jego znajdował Słowacki to, co było jego marzeniem od dzieciństwa, to jest przyznanie mu wyższości nad Mickiewiczem.

„Pan Tadeusz, ta głośna epopea narodu polskiego — pisał Jabłonowski — przy Beniowskim dopiero w prawdziwej swej far- bie nagle okazuje się i nawzajem Beniowskiego zachwycające barwy

wydatnemi oku massy czyni — przy Beniowskim to dopiero mocno czuć się daje, że Pana Tadeusza nie koniecznie Polak, ale może i cudzoziemiec, dobrze znający zewnętrzne formy życia i charakteru polskiego, polskim językiem gdzieś w buduarze paryskim, w Berlinie czy Edynburgu napisał... Bo gdzie w Panu Tadeuszu znajdziesz tę polską szlachecką duszę, co w każdej myśli, zwrocie mowy, w każdej osobie poematu Beniowski ciągle wyjawia się; ciągle wre i kipi — znajdziesz tam zimne, piękne posagi mowy i uczucia, ulane na formę bóstw niemieckich lub angielskich i lekko gdzieniedzie okryte, to rogatą czapkę — to jednym (!) butem czerwonym; ale gdzie tam znajdziesz tę duszę tęgą, że tak powiem chwacką, to jest silną, a wesołą, dziką i fantastyczną, pełną prostoty a razem głębokiego uczucia wszelkich odcieni — duszę naszych ojców — dla której plastyczne uczucia piękności form cudzoziemskich, narzucane siłą narodowi w każdej chwili wahania się jego w wyborze drogi ku postępowi — były ogromnemi ciężkami, które zagłuszyły życie i byt narodu“.

Krótko mówiąc, wbrew powszechnie panującemu przekonaniu, że Mickiewicz jest poetą prawdziwie narodowym i oryginalnym, a Słowacki naśladowniczym, krytyk *Trzeciego Maja* przedstawiał ten stosunek odwrotnie, z Mickiewicza robił naśladowcę, w Słowackim widział tego, który pierwszy zrzucił jarzmo naśladownictwa, a na zarzut *Dziennika Narodowego*, że ironia *Beniowskiego* jest naśladowaniem *Don Juana*, odpowiadał długo, zbijając to twierdzenie takimi np. argumentami: „Ironia Bayrona wydobywa nam mimowolnie z piersi śmiech piekielnego zepsucia duszy — w Słowackim przymusza serce, że tak powiem, dowodzić w sobie uczuć cnoty i piękności“. Była w tem odpowiedź na niekorzystne dla Słowackiego zestawienia *Don Juana* z *Beniowskim* w *Dzienniku Narodowym*, jak znów w innym ustępie było odparcie zarzutu tego *Dziennika*, że „Słowacki jest człowiek zimny“, że „cały jego zapal w głowie“, że w nim nie ma prawdziwej namiętności. Oto jak patetycznie przemawiał Jabłonowski o sercu Słowackiego. „Ja kocham i podziwiam silną pasję co w Słowackim ciągle się odbija — boleję nad cierpieniami tego pięknego, silnego serca! — Biedne serce! co ono cierpieć, co ono czuć musi! — Serce wybrane na męczeństwo — bo Bóg widząc, że ani krew ani niedola w sercach Polaków siły obudzić i wydobyć nie mogą — rzucił okiem na Polskę i gdzieś wśród lasów Wołynia — wybrał silne serce, zdolne wy-

trzymać burze i gorące jady, które na przeczyszczenie dusz polskich zgotował, którymi to serce zaprawił — i wychyliło się ono dzisiaj ognistym deszczem mowy, co pożre wszystko, co złe, śmieszne i podle — a z którego wyjdzie całe i nietknięte, wszystko co święte i co prawda“¹⁾.

Cała recenzja Jabłonowskiego była jednym wielkim hymnem uwielbienia dla autora *Beniowskiego*. Na taki akt publiczny długo czekał Słowacki, więc choć zapewne i sam dostrzegał pewnych niedorzeczności w tym hymnie, błogo mu było, gdy się widział tak wysoko wyniesionym, takimi kłębami kadzidla otoczonym. Błogo mu było, gdy tak przeciwne sobie stronnictwa, jak centralizacyi demokratycznej i *Trzeciego Maja* ubiegały się o pozyskanie jego dla siebie, gdy nawet stronnictwo, które najzjadlej szarpał, ofiarowywało mu przymierze i gotowość uznania jego przewodnictwa w poezji, jeżeli weźmie lutnię „niepokalaną“.

Inne go jeszcze spotkało w tym czasie odznaczenie, twarz jego w dwojaki sposób została uwieczniona: raz w stalorycie przez pewnego Anglika (James Hopwood'a według rysunku Józefa Kurońskiego), drugi raz w znakomitym medalionie Władysława Oleśczyńskiego, a pochwalny opis tego medalionu w *Trzecim Maju* (z 11 września 1841) był poniekąd także tryumfem dla poety. „Z siedmioletowej tarczy wystaje pełno-wypukły profil Słowackiego, ze wszystkimi charakterami znamionującymi tę niepospolitą głowę. Widzisz je w dziwnym ścięciu korony głowy; w natężonym, ogniem palającym oku; w wardze dolnej pełnej skargi i niesmaku dla świata; w rozdętym, dziką energią tętnącym nosie; w czole wyniosłym, obarczonym myślami, ciężarem swoim naciskającym oko. Oblicze zionie surową pogodą i otwartością, jaka znamionuje dusze wyższe, zacięte lecz szlachetne. Myśl, jakaś mgła posępna, surowość też pogoda, duch żywy, wyglądają na przemian z tej pięknej, podobnej, miłością snycerską obrobionej, zidealizowanej twarzy“.

Te wszystkie różnego rodzaju tryumfy, które odniósł Słowacki po ukazaniu się *Beniowskiego*, wpłynęły na jego usposobienie, co się odbiło we współczesnych listach do matki. W liście bez daty, ale widocznie pisanym zaraz po niedoszłym pojedynku z Ropelewskim, pisał Słowacki do matki, że teraz szczęśliwszy jest, niż kiedykolwiek w życiu: „Wszystko się tak składa, jakby Bóg nademną

¹⁾ Trzeci Maj z 5 października 1841. Str. 166—169.

czuwał i kochał mnie i błogosławił¹⁾. I tu napomknąwszy w kilku słowach o swojej miłości dla p. Bobrowej i o swoim „lataniu za marą szczęścia“, dodawał: „Z drugiej strony nabierałem także powagi i blasku; tych, co mi byli niechętni, przymusiłem, że otwarcie przedemną stanęli i widząc mnie nieodrżącego, z przed oka mego ustąpili ze wstydem“. Więc wzywał matkę, aby dziękowała Bogu, że go „widocznie broni i niczemu nie pozwala przemódz nad nim“, a ponieważ z jej listu wysnuł nadzieję zobaczenia się z nią w Dreźnie, więc tak pisał o tej nadziei: „Tak teraz wierzę, że jestem w jakiejś dobrej szczęścia epoce, że i ta nadzieja snem mi się nie wydaje“. List kończył się równie wesoło, jak się zaczynał: „Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, i ty się droga uśmiechnij i kochaj mnie wesoło“...²⁾.

W nieco późniejszym liście do matki powtarzał Słowacki te same zapewnienia, że mu „lepiej na tym świecie dziś niż wczora“... „Są lata napelnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię; nie mu wtenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bólu, złe słowem, i bezsenne lata... Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszym... że jedni ludzie zupełnie przeciw nam się deklarują, drudzy są naszymi przyjaciółmi... jest coś w sercu, co nas o tem ostrzega... może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobra ona jest i mnie teraz weselej“... A wiedząc, że matka radaby poznać bliżej przyczynę tej zmiany usposobienia w ukochanym synu, pisał w dalszym ciągu: „Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterowych humoru mego uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków; bo, rozważywszy rzeczy, nie dla mnie bardziej szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem, jak zawsze, dość samotny, pracuję, dumam, ale ta cześć jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydzała, zniknęła... Widzę, że mnie Bóg nie zapomniął w niebie i to mi daje dziwnie dumną spokojność“³⁾.

¹⁾ Listy II. 143—145.

²⁾ Listy IV 139—140. Trzy listy bez wyraźnej daty, oznaczone numerami 74, 75 i 76 p. Meyet ustawił nie w porządku chronologicznym. List nr. 76, pisany

Dla nas, znających wrażenie, jakie wywołał *Beniowski*, powody tej zmiany usposobienia, jaka się malowała w listach, są jasne, ale matka, niewtajemniczona w szczegóły ówczesnego życia swego syna, w szczegóły jego walki o sławę, nie mogła ich zrozumieć. Zdawało się jej, że syn, ciesząc się nowem powodzeniem, mniej dba już o matkę, nie dzieli się z nią ani wrażeniami swego życia, ani swymi utworami, i skarżyła się przed nim na swoje smutne i samotne życie. Odpowiedzią na podobne skargi jest list poety z wyraźną już datą 10 listopada 1841. „Najdroższa moja! Dziś odbieram list, który mnie zasmucił, jest w nim albowiem jakby echo żalostnej skargi, a co okropniej, zdaje się, że udręczonej tyłą cierpieniami, już i syn twój przestał ci być miły. Ilekroć chciałbym się bronić, nie mogę, bo wiem, iż jestem winny względem ciebie, ale ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej zimnej, marmurowej kochance, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy, a za życia z poświęcenia się często uraga: więc się lituj i pomyśl sobie, że już jest późna godzina i już nic się nie odstanie“. Zapewniał matkę, że „nie przez obojętność“ nie posłał jej swoich „dzieci“, to jest

widocznie świeżo pod wrażeniem pojedynku, jest mojem zdaniem wcześniejszy od numeru 74, gdzie jest mowa o liście poprzednim, jako „weselszym niż dawniej“. Co się tyczy Nru 75, ten był pisany na początku wiosny (Zda mi się, że mię promień wracającej wiosny najwięcej cieszy), ale mam pewne wątpliwości, czy przypisana na liście przez matkę data (r. 1841) jest prawdziwa, czy nie odnosi się ten list raczej do wiosny 1842. Do tego przypuszczenia skłaniają mnie następujące względy. W liście Nr. 74, który mógł być pisany nie wcześniej, jak latem 1841, Słowacki pisze o swoich „dzieciach“ t. j. utworach, że je wyprawi do matki, „jak znajdzie człowieka, któryby im za mentora w podróży mógł służyć, bo inaczej nie odważy się ich w podróż wyprawiać“, to znaczy, jak znajdzie kogoś wracającego do kraju, który się podejmie je przewieźć i matce przesłać. Obietnica ta spełnioną została dopiero w listopadzie 1841, bo w liście z 10 listopada t. r. czytamy: „Wysłałem więc wczora pakę maleńką, gdzie znajdziesz wszystko, co ja z siebie i co ze mnie zrobiono. Medalion w ramkach axamitnych i trzy w czerwonych, złotych sukienkach książki do nabożeństwa, także dwa wizerunki na stali“. Książkami do nabożeństwa nazywał poeta przez ostrożność swoje trzy utwory. Otóż w liście Nr. 75 jest widocznie mowa o tych książkach, tylko już pod postacią kwiatów: „Sądziłem, że cię cybulki i nasiona kwiatów moich doszły... Była między niemi georgina koloru brązowego ze złotymi obwódkami (zapewne mowa o medalionie), były także trzy gatunki czerwonych tulipanów (zapewne trzy książeczki w czerwonej oprawie) miałłaby jaki żydek pokwapić się na nie? albo może im zima zaszkodziła?“... A zatem, skoro list nr. 75 pisany był po liście z listopada 1841 i pisany na wiosnę, więc trzeba go koniecznie przenieść na rok 1842.

swoich nowych utworów, ale przez obawę, że to ją może narazić na jaką przykrość, a na skargę jej na rozdział, tak odpowiadał: „I cóżbyśmy dziś robili, siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne małe cierpkie życia trudności... a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem“.

W tym to liście znajdował się obszerny opis pojedynku, o którym przedtem krótka tylko była wzmianka, opis widocznie wywołany uzalaniem się matki na brak szczegółów z życia synowskiego w listach. Słowacki przypuszczając, że jego *Beniowski* nie zupełnie będzie się matce podobał, że poeta nie wyda się jej tam „zupełnym aniołem“ według jej wyrażenia z jakiegoś dawniejszego listu, tak przy tej sposobności pisał o tym swoim poemacie. „Ostatni maleńki zły jest, ale był potrzebny, był konieczny, celu swojego dopiął i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się strażą“. I w dalszym ciągu dodawał: „przed malutkim moim uchylił czoła ci, którzy nigdy przedtem nie oddali mi pokłonu, a mnie smutno, żem zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, że jestem na niej“.

Nie jednak we współczesnych listach Słowackiego do matki nie maluje tak dobrze jego ówczesnego usposobienia, jego wewnętrznego zadowolenia ze zdobycia stanowiska, o które się tak długo dobijał, jak ten oto ustęp z cytowanego listu: „te rzeczy już od kilku miesięcy ucichły w moim sercu i teraz doskonale jestem usadowiony w moim krześle ze słoniowej kości... Rzadko przed śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali, wydrzeć im to siłą jest bardzo miło“¹⁾.

¹⁾ Listy II 145—152.

ROZDZIAŁ X.

Przed transfiguracją.

1841—1842.

Korespondencya z Krasińskim; nowe przestrogi przyjaciela. — Jego nauka o dumie i pokorze. — Niezadowolenie Słowackiego ze swojej twórczości. — Dalszy ciąg *Beniowskiego*; inne zadanie przed poetą. — Dygresye w dalszych pieśniach *Beniowskiego*; sytość zwycięstwa. — Pierwsze dreszcze *Króla Ducha*. — Ówczesny stosunek poety do starszylacheckiej przeszłości. — Wątek epicki w dalszych pieśniach *Beniowskiego*. — Dramat *Fantazy*, jego pokrewieństwo z *Beniowskim*. — Kogo przedstawiał Słowacki w postaci Fantazego? — Krytyka krytyki i literatury. — Hogartowski nastrój Słowackiego. — Niekonsekwencye dramatu i jego melodramatyczność.

Podczas gdy Słowacki był tak dobrze usadowiony w swoim krześle ze słoniowej kości, i nasycony powodzeniem, poraz pierwszy w życiu zażywał tryumfującego pokoju, co też o jego tryumfach i o jego poemacie myślał ten, który mógł się uważać za głównego sprawcę tych tryumfów: i jako taki, który go natchnął myślą napisania polemicznego poematu i jako autor „Kilku słów o Juliuszu Słowackim“? Ten artykuł rozpoczynał szereg głosów publicznych, wielbiących poezję Słowackiego, ale o jego *Beniowskim*, jako pisany przed ukazaniem się poematu, nie jeszcze nie mówił.

Beniowski nie prędko, jak się zdaje, doszedł ręk Krasińskiego. Oznajmiając Słowackiemu, w liście z Rzymu 18 czerwca 1841, że za kilka dni wyjeżdża do Kissingen i prosząc go, aby tam do niego pisał, dodawał, że dotychczas jeszcze *Beniowskiego* nie odebrał. Prawdopodobnie otrzymał go nie wcześniej, jak w lipcu. Czy przeczytał go, przesłał niebawem autorowi swoje wrażenia i sądy o poemacie? Trzeba się tak domyslać, ale listów jego do Słowackiego z lipca, sierpnia i września 1841 nie posiadamy. Tylko z treści jednego późniejszego listu, którą później przedstawię, można przypuszczać, że z różnych rzeczy w poemacie był niezadowolony. Był też niezadowolony i ze stosunku Słowackiego do p. Bobrowej, z jego gwałtownego ubiegania się o jej miłość. Zachował się fragment listu Krasińskiego do Słowackiego, pisanego zapewne w początkach października 1841 w odpowiedzi na jakiś list autora *Beniowskiego*, w którym to liście były dwie strofy, mające widocznie za temat miłość dla pani Bobrowej. O tym liście Słowackiego i o jego strofach tyle tylko wiemy, ile na nie pada światła z fragmentu listu Krasińskiego. Krasiński zapewniał przy-

jaciela, że nie chce się skarżyć na niego, że rozumie i pojmuje „tę rzutną falę krwi, która te dwie strofy, te dwa kwiaty do serca mu przyniosła“, ale jednocześnie nazywał tę falę „nieostrożną, nieprzezorną, ufną w miłosierdzie ludzkie, zatem grubo mylącą się“ i ostrzegał, zaklinał przyjaciela, aby nadal był „jak wąż skryty, jeśli chce być dobrym i czystym i tklwym jak gołębica“.

Z tych słów tyle tylko domyslać się można, że owe dwie strofy niemile dotknąć musiały Krasińskiego swoją zmysłowością. Dalej następowały przestrogi, które były jakby dalszym ciągiem, rozwinięciem przestrogi, przesyłanych przyjacielowi jeszcze przed podróżą frankfurcką. „Wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się jej przyjacielem, a nie chciej, by serce, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem, bo taki los, taka barwa konieczna dusz, które w trumnie już usłyszawszy dźwięk harfy, podnoszą się na chwilę i marzą, marzą, że mogą żyć raz drugi harfowemi dźwięki. One nie wiedzą, że powtórne życie czeka dopiero na nie w niebie. Ale z tego złudzenia wynikają okropne skutki, wierz, wierz mi Julu. Przyjaciel w tej chwili całym sercem się odzywa do ciebie. Chciałbym cię przycisnąć do serca i wlać w ciebie pogrobową mądrość tych piersi moich. W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale miłość taka stanie się goryczą wam obojemu. Czara szczęścia pęknie wam w dłoniach za pierwszym dotknięciem i rozleje się na strugi trucizny! Na przekleństwach kończyć będziecie ten gorzki dramat. Ale czas jeszcze! Możecie wyrobić go sobie pokojem, ciszą, błogością, wspólnym czuciem, wiarą, zaufaniem. Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żadasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, a przestaniesz być samotnym“¹⁾.

List Krasińskiego kończył się słowami: „O żadnych mistycznych waryatach nie słyszałem“, słowami, które wskazywały, że Słowacki musiał już coś donosić Krasińskiemu o pierwszych poruszeniach towianizmu i że wyznawców Towiańskiego, do których szeregu sam niedługo miał wstąpić, nazywał mistycznymi waryatami. W następnym liście Słowackiego, którego także nie mamy, musiały być już obszerniejsze i dokładniejsze wiadomości o Towiańskim i jego wyznawcach, skoro odpowiedź swoją na ten list

¹⁾ Tadeusz Sternal. Kartka ze stosunku Krasińskiego ze Słowackim w Dodatku literackim do Kraju 1890 Nr. 7.

zaczynał Krasiński od tego, że w „cudotwórców“ nigdy nie wierzy, choć w cuda wierzy zawsze i wszędzie.

Ta odpowiedź Krasińskiego, datowana z Monachium 27 października 1841, jest bardzo ważnym dokumentem do historii wzajemnego stosunku dwu tych znakomitych przyjaciół, bo w niej znajdował się sąd autora *Irydyona* o *Beniowskim*, a w szczególności o jego zakończeniu. Sąd to był przysłonięty, nie zwrócony wprost do poematu, niemniej przeto zrozumiały. Krasiński zaczynał swój list od cudotwórców, jakby na to tylko, żeby przejść do ogólnych nauk o dumie i pokorze, które w końcu już bez ogródki zastosowywał do Słowackiego. O cudotwórcach pisał, że nie zna większej próżności nad tę, „która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów“ i takie czynił porównanie stosunków emigracyjnych z dziejami biblijnymi: „W sferze nibyto widomej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt, nazwa miasto rzeczy, blichtr miasto istoty, słowem *królewskość*; w sferze niewidomej, w kościele poezji, awansowano na proroków. Jest to to także stopień, *dignitas*. I znowu tu jak tam tytuł wprost rzecz samą skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści, wyniknęła komiczność“! Była to aluzja do znanego nam ubiegania się Czartoryskiego o tytuł królewski, do sprawy *króla de facto*, i do wystąpienia Towiańskiego.

Bojąc nad tem, że jakkolwiek żył niedługo, doczekał się przecież zbłaźnienia wszystkiego, tem się tylko pocieszał, że odkrył przyczynę tych smutnych zjawisk. I tu było przejście do nauki, którą chciał dać starszemu wiekiem, ale młodszemu dojrzałością ducha przyjacielowi. Przyczyna owa „zowie się brakiem dumy a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym *niepracy* w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki, tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą *chwały* bez pracy; kiedy *duma*, wbrew przeciwnie, jest wieczną żądzą *chwały*, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. Kto *dumny*, ten i *pokorny* zarazem, a *duma* połączona z *pokorą*, stanowi wielkość człowieka. *Duma* bez pokory, to próżność, *pokora* bez dumy to podłość. Na pozór tylko sprzeczne te władze duszy, a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może. *Pokora* powinna zawsze objawiać się w *środkach*, a *duma* w *celu*. Tem, że duch nigdy nie zadowolni się tem, co uczynił już; tem, że dalej iść pragnie i piękniejszego czynu się dorwać; tem, mówię, *pokorę* swoją pokazuje, bo ciągle się ma z niższego do Ideału: skąd tęsknota,

smętek, czasem zwątpienie. Tem zaś, że dalej stapa, że karmi się wiarą urzeczywistnienia w końcu piękna, które pojął, że gardzi wszelką skończonością i poczuwa się do pobratymstwa z nieskończonością, że uznaje się niezwalczonym i wolnym od śmierci, tem jest *dumnym* i *boskim*! Lecz nie mógłby takim być, gdyby zarazem nie był *ludzkim* i *pokornym*, bo bez *pokory* duch stanąłby na pierwszym lepszym stanowisku osiągnięciem i nazwałby to doskonałością wszystkiego, końcem i dopełnieniem, wiecznością, wielkością, pięknem! i zaraz by tem samem okrutnie się zblaznił... Patrz tylko, na co wyszli Lammennais, Lamartine, Sandowa w ostatnich płodach? A wszystko przez próżność, przez *serwilizm* dla ludu lub urzędu, przez chętkę poklaseczków teraźniejszości, niepamiętni o poklasku wieków!

Dotychczas ta nauka o dumie i pokorze nie miała wyraźnego zastosowania do Słowackiego; następowało to w końcu. Za pretekst do tego zwrotu Krasiński brał jakąś skargę Słowackiego, w jego liście ostatnim, skargę na niemoc fantazyi, na to, iż jest już tylko „mozaikowym artystą“. To ostatnie wyrażenie odnosiło się zapewne do *Beniowskiego*, ale co znaczyła powyższa skarga Słowackiego? Można by myśleć, że za pomocą tej skargi chciał Słowacki wydobyc z Krasińskiego sąd o *Beniowskim*, z którym się może dotychczas przyjaciel wstrzymywał, albo przynajmniej którego mu dotychczas zupełnie wyraźnie nie podał.

Bądź co bądź, w taki sposób zwracał się Krasiński ze swoją nauką już wprost do Słowackiego: „Teraz, mój drogi Julu, o tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości: unikaj wszelkiej, nie zapadaj w *niemoc*, bo *niemoc* nie jest *pokorą*; ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić, bo takie przekonanie nie jest *dumą*. Bądź *dumny* a *pokorny*! Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekustym lub przed wszechświata pięknnością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje“. I po kilku uwagach dotyczących owej Madonny-Bobrowej, z których widać, że Słowacki skarżył się także na nią, iż odtrąciła jego uczucie i w niemoc go wprowadziła, Krasiński pisał dalej: „Julu, powtarzam Ci, nieśmiertelność jest w tobie, od ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie kładź się więc na ziemię, *taking the measure of an numade grave*, nie chciej sobie samemu wmawiać, żeś tylko już mozaikowym artystą! Nie, tak nie jest. Artysta z cie-

bie, Mistrz! Lecz nie ufaj nigdy chwilowym ludzi poklaskom. Wszystko co żyć ma i trwać, musi wprzód przejść przez walkę... Co zatem zaraz zyskuje aprobacją gminu, to nie długo pożyje, wierz mi Julu! Tyś przeznaczony żyć, jeśli sam nie wyrzeczesz się wieczności dla znikomych uludek. Bądź *dumny* a *pokorny* a będziesz *wielkim*“¹⁾

Cóż znaczyły i skąd się brały te przestrogi i nauki o dumie i pokorze? To pewna, że nie wywołał ich ani ówczesny stosunek Słowackiego do towianizmu, ani do p. Bobrowej, choć były one zewnętrznie w liście z tymi stosunkami powiązane. Wywołać je mogło tylko wrażenie, jakie wywarł na Krasińskim *Beniowski*, z owem samouwielbieniem poety, z pięciem się jego na stopień bóstwa, z pogardą dla wszelkiej pokory, a także wywołać je mogła krytyka bezwzględnie wielbiąca *Beniowskiego* w *Trzecim Maju*. Krasiński rozumiał dobrze, że *Beniowski* napisany był za jego pobudką, czuł więc poniekąd odpowiedzialność na sobie za ten poemat, za drogę, na którą popchnął przyjaciela, za receptę mieszania żółci do lazurów, wykonaną nie po jego myśli, i tem więcej poczuwał się do obowiązku ostrzegać Słowackiego przed fałszywą dumą, w którą się ten ostatni drapował w swoim poemacie, a także przed nierozumnym szumem takich pochwał, jakimi go *Trzeci Maj* obdarzał. I stąd to pochodziła przestroga, aby Słowacki „nie rósł w dzikie przekonanie, że można jedną strofą świat przewrócić“, stąd wezwanie, aby „nie ufał nigdy chwilowym ludzi oklaskom“, stąd tłumaczenie, że prawdziwa дума i boskość człowieka łączą się z ludzką jego pokorą.

Jak przyjął te nauki i przestrogi przyjaciela Słowacki? Ani w jego, ani w Krasińskiego listach, o ile nam znane, nie znajdujemy nic, co by na to pytanie mogło być odpowiedzią. Z listów Krasińskiego do Słowackiego tyle tylko wywnioskować można, że przestrogi owe nie przerwały korespondencji dwu przyjaciół i nie oziębily ich stosunku, przynajmniej widocznie. Słowacki nie przedstawiał skarżyć się na melancholię, i na brak miłości ze strony madonny Rubensowej, która by go ożywić mogła, Krasiński w którym już dojrzała ta ewolucja wyobrażeń, jakiej wyrazem miał być w krótkie *Przedświt*, ale który był wtedy bardzo chory i miał obok siebie umierającego przyjaciela, najdroższego mu ze wszystkich przyjaciół, Danielewicza, choć ledwie piórem mógł ruszać, odpisy-

¹⁾ Listy Zygmunta Krasińskiego T. III. str. 31–34.

wał Słowackiemu (z Monachium 28 lutego 1842) i chciał mu „wiele rzeczy powiedzieć“, chciał go przedewszystkiem „wyrwać z melancholii, bo nie czas na nią teraz“, a w razie śmierci swojej czynił go opiekunem tego, „co po jego duchu się zostanie“. „A ostatnią moją wolą, pisał w końcu tego listu, jest, byś nie tracił życia na nędzne zgryzoty, ale na wielkie gotował się bole, a po nich na wielkie wzniesienie. Bądź mężem z białego marmuru! zrzuc z piersi nogi Rubensowych Madonn, żyj, a gdy mnie już nie będzie, wspomnij o mnie“¹⁾.

W miesiąc później, odpisując na jakiś nowy list Słowackiego, wśród rozpaczliwych żalów nad stratą Danielewicza, którego agonia lada chwila miała się zakończyć, taki zwrot czynił do stosunku Słowackiego do Bobrowej. „Pytasz, czego żądam od ciebie i od niej: od ciebie, byś mi dotrwał w przyjaźni tak, jak ja tobie, a kiedy chwila *taka* się zdarzy, był *tak*! Od niej zaś, cóż powiem? nie zupełnie, chyba spokoju“! I tu przytaczał jedną ze strof, które jej napisał kiedyś na pożegnanie:

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia!
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie.
Daj mi więc jeszcze tu na żywych świecie,
Co zmarłym dają, pokój zapomnienia!

Czegóżby innego mógł żądać od niej? Dosyć jej już złego mimowoli wyrządził. „Była niegdyś aniołem dobroci dla mnie, lecz szczęścia, podług jej o szczęściu wyobrażenia, nie miałem na podorędziu, ni w losach moich takim pedantem kiedy kogo móż obłogosławić szczęściem. Są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia! Serce kobiece o pioruny nie dba, chce mu się niw tych gładkich, długich, jednakowych, konserwatorskich zawsze! Znajdźże je na ziemi“! W tych wywodach tkwił dawny, romantyczny kochanek Henryety, tak żywo przypominający swoją dyalektyką Hrabiego z *Pana Tadeusza* w ostatniej scenie z Telimeną, kiedy ta również domagała się pedantycznego szczęścia.

Ale list, o którym mowa, skądinąd jeszcze zasługuje na uwagę. Pisany do przyjaciela, poświęcony był głównie innemu przyjacielowi, umierającemu, i wielbił tę przyjaźń i tego przyjaciela w taki sposób, że Słowacki porównyując swoje stanowisko przyjacielskie ze stanowiskiem umierającego Danielewicza, mógł czuć dotkliwie

¹⁾ Listy Zygm. Kras. III 35—36.

niezadowolenie z różnicy, jaka z tego porównania występowała. Krasiński wielbił przedewszystkiem bogactwo idei w Danielewicu. „O Konstanty, Konstanty mój, gdzie ty odszedłeś już? gdzie duch twój ten wielki i pełen idei... Pamiętaj o mnie, Julu, pamiętaj, żem odtąd jak ty bardzo sam na ziemi; bo ci, co ruchy moje naśladowa, nie zapełnią mi serca i wezmą odemnie, lecz nie dadzą, jak on zawsze mi dawał, ducha swego! Tak, on był dobrodziejem moim duchownym, idee jego zstępowały we mnie. Rzadko, myślę, takiej przyjaźni na planecie tym“¹⁾.

Czy uczuwał Słowacki przy czytaniu tych słów, jak różnym był jego stosunek do Krasińskiego? Wszak i on należał do tych, którzy brali od Krasińskiego ducha i ideje, a w zamian dać mu własnych nie byli zdolni. Jakiegokolwiek zresztą refleksyie wywołał ów list w Słowackim, to pewna, że nasz poeta w owym czasie, choć w obec świata „usadowiony na krześle ze słoniowej kości“ odgrywał rolę tryumfatora, uczuwał przecież w sobie jakąś niemoc, jakąś niepewność, jakieś niezadowolenie ze swojej twórczości. Świadczą o tem tylko co przytoczone listy Krasińskiego, w których jest mowa o zapadaniu w niemoc Słowackiego, o tem, że się on uważa już tylko za mozaikowego poetę, o jego melancholii i zgryzotach. Te ostatnie odnosiły się zapewne do miłosnego stosunku, ale i ten stosunek, mojem zdaniem, wiązał się ściśle z owem poczuciem niemocy twórczej, na którą się skarżył Słowacki przed przyjacielem. Poeta pragnął zdobyć serce p. Bobrowej nie tylko dla tego, że czuł samotność w życiu i potrzebę serca, któreby dla niego tylko biło; nie tylko dla tego, że kochankę uważał za drogi klejnot w dyademie sławy poetyckiej, klejnot, którego mu dotąd brakowało — ale i dla tego, że przypisywał tej zdobyczy siłę, zdolną ożywić i wzmoć jego twórczość. Wszakże jeszcze w III pieśni *Beniowskiego* wyrażał nadzieję, że „hymny w nim zmartwychwstaną, jeżeli ona go jak harfę ruszy“.

Żeby lepiej zrozumieć tę niemoc, na którą się skarżył się Słowacki, potrzeba przypatrzeć się jego twórczości z czasów bezpośrednio następujących po ukazaniu się pierwszych pięciu pieśni *Beniowskiego*, to jest od lata 1841 do lata 1842. Owocem tej twórczości jest dalszy ciąg *Beniowskiego* i dramat, przez autora samego nie nazwany, (przynajmniej nie wiemy, jaką mu chciał dać nazwę),

¹⁾ Tamże III str. 37—39.

a w pośmiertnym wydaniu ochrzczony wcale nietrafnie tytułem *Niepoprawni*. Trafniejszą już jest nazwa *Nowej Dejaniry*, którą mu chcą dać niektórzy, ale najtrafniejszą, sędzę, byłaby nazwa *Fantazy*, to jest imię głównej osoby dramatu.

Naprzód o *Beniowskim*. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że do okresu, o który nam teraz chodzi, nie można zaliczyć całego dalszego ciągu *Beniowskiego*, ale co najwyżej sześć dalszych pieśni, dla tego o nich tu tylko będzie teraz mowa. Otóż porównując tych sześć dalszych pieśni *Beniowskiego* z pierwszymi pięciu pieśniami, spotrzegamy odrazu widoczną różnicę w stosunku żywiołu liryczno-polemicznego do epickiego. W pierwszych pieśniach, jak wiemy, żywioł epicki odgrywał podrzędną rolę, był tylko niejako dokumentem dowodowym, na pierwszy zaś plan wysuwał się żywioł polemiczny, indywidualność samego poety. W dalszych pieśniach stosunek zupełnie się zmienia. Wycieczki polemiczne bledną, kwiatów lirycznych daleko mniej, choć niektóre, rzadka rzucone, są bardzo piękne, natomiast żywioł epicki występuje w zwartych massach i ściaga na siebie główną uwagę.

Była to rzecz zupełnie naturalna. Dawszy folgę swojej zemście, swojej drażliwości a zarazem i chępliwości autorskiej w ogłoszonej części poematu i zyskawszy poklask w emigracyi, jeżeli nie powszechny, to przynajmniej bardzo szeroki, poeta nie czuł już potrzeby prowadzenia dalszej walki ze światem. Mógłby już być zupełnie zaniechać dalszego ciągu *Beniowskiego*, bo to, co ogłosił, osiągnęło cel, dla którego zabrał się do pisania swego poematu. I bodaj, czy myślał o dalszym ciągu, dając pierwsze pięć pieśni do druku.

Ale kiedy poemat wywarł wielkie wrażenie, podobał się wielu a zainteresował wszystkich i to nietylko swoją stroną polemiczną, ale także i epicką, wtedy pod bodźcem powodzenia Słowacki nie mógł nie zabrać się do dalszego ciągu. Tylko inne teraz stało zadanie przed poetą. Domagano się od niego narodowej powieści poetyckiej. Nie wypowiadał tego wyraźnie *Demokrata*, ale skarżąc się na zamęt wywołany przez poetę w „uczuciach, myśli i uwadze czytelnika“, i stawiając poecie za wzór opowiadania jegoż własny poemat, *Ojca Zadżumionych*, zwracał go w kierunku owego zadania. Krytyk *Trzeciego Maja*, jak wiemy, namaszczał Słowackiego, jako autora *Beniowskiego*, na pierwszego narodowego poety, pierwszego, który umiał przedstawić „duszę naszych ojców“, i dając mu w tym

względnie wyższość nad Mickiewiczem, pobudzał go naturalnie do dalszego malowania „polskiej, szlacheckiej duszy“.

Ale najwyraźniej to zadanie wskazywał mu ten sam Ropelewski, który się niegdyś tak pastwił nad jego *Balladyną*, a wskazywał w przedmowie do drugiego wydania „*Pamiętek JPana Seweryna Soplicy*“, które wyszło w Paryżu 1841 roku, już po zgodzie zawartej między poetą a krytykiem. Mówiąc o tem, że autor *Pamiętek*, biorąc na siebie postać starego Soplicy, mógł z tego stanowiska dobrze pokazać taką postać jak Radziwiła Panie Kochanku, ale nie mógł przedstawić „w całym blasku“ takiej postaci, jak Kazimierz Puławski, krytyk czynił taki niespodziewany zwrot do Słowackiego: „Gdyby Juliusz Słowacki wyzwolił swojego Beniowskiego ze wspomnień Don Zuanowych i polemikę z rodzajem ludzkim, która mu rwie ośnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał zasnąć jej z Juvenalisem i Byronem, możeby jemu się dostało wskrzesić rycerzy barskich. W pierwszych pieśniach poematu *Beniowski*, wśród rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość, świadczące o jego powołaniu epicznym. To powołanie widne już w pierwszych powieściach... w *Beniowskim* się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli, że przekroczeniem przeciwko niemu były wszystkie wycieczki autora na inne szlaki poezji. Zresztą przez robotę epicznego talentu rozumiemy tu powieść, romans poetycki, nie zaś to wielkie słowo ludzkości *epos*“...

Słowacki pisząc dalej swój poemat, nie uwolnił go wprawdzie od rozmaitych dygresyj, ale je znacznie ograniczył i o wiele więcej niż przedtem dbał o wątek epicki. Jeszcze we fragmentach pieśni VI i w pieśni VII-ej jest ich sporo, w następnych pieśniach ich liczba i znaczenie bardzo się zmniejsza, wskutek czego pierwiastek epicki stanowczo góruje nad niemi. Dygresye polemiczne tracą tu swój dawniejszy ostry charakter. Tak np. potracając zarzut, który go spotkał ze strony *Dziennika Narodowego*, że naśladuje Byrona, Słowacki w żart go obracał, i żartował tylko ze swojej muzy (Mówią, że już raz była za milordem — Tak mówi *Dziennik Narodowy* — przecze! — Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewicą). W najobszerniejszej dygresyi, zwróconej do Bohdana Zaleskiego, którego poezye oddawna zapowiadane i przed ogłoszeniem jeszcze wielbione, ukazały się w czasie pisania dalszego ciągu *Beniowskiego*, i bardzo pochlebnie ocenione były przez *Dziennik Narodowy*, w tej

dygresji Słowacki nie szturmował już do Troi poetyckiej, nie potrzasał mieczem, ale pobłażliwie i lekceważąco traktował współzawodnika, wiersze jego nazywał „katolicką wodą“, ubolewał nad jego „prostotą gołębia“ i „niewinnością dziecka“, a tak czuł się silnie usadowionym w swoim krześle ze słoniowej kości, że znalazł nawet pochwałę dla jego wiersza, „gdzie w ciągłym przymusie — Pała różowy brylant na turkusie“¹⁾.

Ale najlepiej ta sytość zwycięstwa uwydatniła się w dygresji, dotyczącej Mickiewicza i jego *Pana Tadeusza*. Chwalca Słowackiego w *Trzecim Maju* poniżał ten poemat, odmawiając mu cech narodowych, aby tem wyżej podnieść *Beniowskiego*. I oto Słowacki zdaje się wspaniałomyślnie brać w obronę od swoich chwalców tego, któremu tak niedawno groził śmiercią i włóceniem trupa. Nazwawszy Homera i Mickiewicza bratnimi śpiewakami i dotknawszy nieco „dzisiejszych Litwinów“, mówiąc, iż są „troszeczkę lepsi“ od Greków Homera, „ale mniejsi“ taką aureolę roztaczał nad epopeją Mickiewicza:

Jednak w tej cudnej epopei żyją:
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;

¹⁾ Do tych czasów odnosi się i krytyczny artykuł Słowackiego o nowych poezjach Bohdana, w szczególności o *Duchu od stepu* i kilku sonetach, artykuł widocznie przeznaczony do jakiegoś pisma peryodycznego, ale nie drukowany za życia poety i dopiero w *Kraju* 1892 Nr. 5 wydany przez p. Biegeleisena p. t. „Sąd J. Słowackiego o poezjach B. Zaleskiego“. Krytyka jest surowa, w wielu rzeczach trafna (wiadomo, że *Duch od stepu* należy do słabszych utworów Zaleskiego), w niektórych złośliwie świdrująca i niesłuszna, jak np. w rozbiórce gramatycznym jednego z piękniejszych ustępów tego poematu, gdzie jest obraz pochodu barbarzyńców na Rzym. Niektóre z zarzutów, odnoszących się do tego ustępu, wydają się na pierwszy rzut oka słusznymi, przy głębszym wnikięciu okazują się bezzasadnymi.

Wogóle Słowacki krytykował poezję Zaleskiego przeważnie ze stanowiska wirtuoza. Uwielbiwszy własne wirtuowstwo w *Beniowskim*, chciał w tej krytyce pokazać, o ile niższym jest w tym względzie od niego Zaleski. Bardzo dobrze charakteryzuje Słowackiego, szczególnie w ówczesnym okresie, następująca refleksja jego: „Bez wielkiej ambicyi poetyckiej dojść do niczego w poezji nie można“. Tak, właśnie w tym względzie — jak zresztą i w różnych innych — wielka różnica zachodziła między Słowackim a Zaleskim, ale mylił się genialny współzawodnik *Mickiewicza*, gdy sądził, że ambicya mogłaby podnieść wyżej poezję Zaleskiego. Właśnie ona to w *Duchu od stepu* uniosła słowika ukraińskiego na zupełnie dlań niewłaściwe pole historyzoficzne.

Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się; patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewczęły;
Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie
Litwa ubrana w tęczowe promienie

Wychodzi oto z lasu. — Z taką chwałą
Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
Chociaż Gofredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżycą z wież krzyżowych strącić:

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali;
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takimi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy — znów czasu bóg postąpił krokiem.

Z tak poetycznem uwielbieniem odświeżał wrażenie, jakie na nim wywarł *Pan Tadeusz* przy pierwszym jego odczytaniu i chciał niewątpliwie w tych strofach dać dowód bezstronności. Ale ci, co tak wysoko bezstronność Słowackiego w tych strofach wynoszą, nie zwracają uwagi na strofę bezpośrednio po tamtych następującą, która tę bezstronność w nieco odmiennem stawia świetle: jako akt wspaniałomyślności ze strony zwycięzcy, akt służący niejako do stwierdzenia zwycięstwa.

Ale ten napis łatwo startej kredy
Niechaj zostanie! a ten, co przeczyta,
Niech sobie wspomni, żem na piramidy
Wchodził i deptał to, na czym czas zgrzyta;
Że nieraz końcem Polidowej dzidy
Zrobiona trumna jest — albo rozbita.
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,
Syty — wlaźł znowu pod tarczę Minerwy.

Cóż znaczyła ta przestroga poety, z której krytyka dotychczas nie korzystała? Oto, że czuł się on sytym zemsty i zwycięstwa i dlatego pozwalał sobie na wspaniałomyślność.

Inne strzały polemiczne tak w tych sześciu pieśniach, jak i w dalszych fragmentach puszczone w stronę Trentowskiego, Hegla,

dzienników poznańskich, poetów rosyjskich i czeskiego uczonego Hanki, nie mają już charakteru osobistego. Najdowcipniej zaostrzoną jest ta ostatnia strzała, wymierzona w pieczętkę Hanki z wyobrażeniem dwóch kozaków.

Co się tyczy lirycznych wynurzeń poety, to dwa z pomiędzy nich na szczególną zasługują uwagę, tem więcej, że poniekąd zdają się być sprzeczne z sobą. W jednym (z pieśni VII) objawia się samouwielbienie poety, poprzedzone demokratycznym proroctwem, które tak wygląda, jakby było napisane pod wpływem wezwań *Demokraty polskiego* i jego krytyki, ukazującej poecie nowe zadanie dla jego muzy.

Jest jakieś dziwne, ciągle, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.
W północy wstają mi włosy na głowie,
I zadziwiony słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie —
Jakąś okropność przyszłą — co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie, jak bogi.

Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,
To rozwiązaniem będzie już na wieki.
A kto odejdzie od was, gdzie się schroni?
Z was będą góry doliny i rzeki
I morza...
Czujcie! bo tętno już waszego chodu
W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.

Jakaż rolę odegra sam poeta w tej nadchodzącej przyszłości ludów?

Ja jestem gwiazdą życia — co o świecie
Skąpana w krwawej jutrzence wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czem śnię... niech przy mnie stanie!

Jeżeli porównamy samouwielbienie poety w pierwszych pięciu pieśniach *Beniowskiego*, z tem, które w tym ustępie się objawia,

to dostrzeżemy, że tamto miało przedewszystkiem za przedmiot wirtuozostwo, cudowność słowa poetyckiego, tu zaś poecie o coś innego chodzi, tu chce on być „gwiazdą życia“ dla nowej epoki, gromem i błyskawicą, wiodącą, jak chorągiew, zwycięskie szeregi ludów. Nastręcza się tu godne uwagi porównanie z *Anhellim*. W końcu tego poematu, jak wiemy, jest także przepowiednia krwawego zwycięstwa ludów, ale jak różne wobec tej przepowiedni zakreślał sobie poeta stanowisko. *Anhelli*, przeznaczony na cichą ofiarę serca, nie rzuca gromów i błyskawic, powołujących do walki, nie budzi się nawet na głos rycerza, zwiastującego zwycięstwo ludów. Tu jest inaczej; tu już tai się początek, albo raczej przygotowanie do tej roli, którą Słowacki potem miał odgrywać, tąją się pierwsze dreszcze *Króla-Ducha*.

Drugie wynurzenie liryczne poety, na które chcę zwrócić uwagę, zawarte jest we fragmentach, z których Małeckie złożył pieśń szóstą. Niewszystkie one, co prawda, dadzą się zaliczyć do czasów, o których mowa, ale ustęp, o który mi chodzi, prawdopodobnie z tych datuje czasów. Zarysowuje się w nim ówczesny stosunek Słowackiego do starszylacheckiej przeszłości. On, który w *Grobie Agamemnona* symbolizując ją w czerepie rubasznym, w złotym pasie i czerwonym kontuszu, patrzył na nią z pogardą i rzucał na nią przekleństwo, teraz miał dla niej pobrażanie z miłością skojarzone.

... w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serca miłuję nad własne.
Dalej więc! — mówcie mi znów serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne,
Odwińcie srebrną trumienną czamarrę,
Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące.

Skądże pochodziła ta zmiana w usposobieniu Słowackiego dla „rubasznych czerepów“ przeszłości? Dwojakie jej było źródło. Naprzód wyobrażenia poety, która tak długo zamieszkiwała sfery fantastyczne lub exotyczne i napojona była tych sfer obrazami, pociągnięta barwnością pamiętnikowych utworów, które się w owym czasie ukazały, zaczęła sobie podobać w tej nowej sferze, znajdując w niej dużo dla siebie żywiołu i cieszyła się, gdy w jej bengalskim oświeceniu ten świat zapadły, który się jej dawniej tak prozaicznie przedstawiał, teraz w tak poetycznych występował barwach. Przytem konfederacya barska była tym momentem dziejowym, który

swoją awanturniczością, rozproszeniem walki, bogactwem epizodów, przewagą indywidualizmu, szczególną mógł stanowić ponętą dla wyobraźni Słowackiego. Z drugiej strony do zmiany usposobienia w poecie jeszcze więcej może przyczyniła się ta okoliczność, że muza jego dopiero wtedy znalazła oddźwięk w narodzie, gdy porzuciwszy szlaki fantastyczne i egzotyczne, zaczęła opiewać staroszlachecką sferę, owe „szczere polskie dusze“, które jeszcze u wstępu do Beniowskiego, umieszczone obok „pijących gardel, wąsów, psów, kontuszów“, mają trochę ironiczne oświecenie.

Kiedy napisał fantastyczną *Balladynę*, powiedziano mu, że szlachta tego nie zrozumie, i proroctwo się spełniło; jak tonący w mgłach *Anhelli*, tak i egzotyczne poematy „*W Szwajcaryi*“ i „*Ojciec Zadźmionych*“, na które tyle liczył, przyjęte były obojętnie, mimo całej doskonałości formy. A oto fragmentaryczny początek powieści staroszlacheckiej z dziejów barskich, z ledwie naszkicowanymi kilkoma postaciami, wszystkich poruszył, prawie wszystkim się podobał. Słowacki, rzeczyby można, przez wdzięczność poczuwał miłość dla tematu, który mu czynił wstęp do serca słuchaczy i zjednywał dawno upragnioną sławę, i stąd to po części poszło, że „rubaszny czerep staroszlachecki“, tak pogardliwie przedtem traktowany, obudzał teraz w poecie tylko żal i współczucie.

Tyle o dygresjach. Co się tyczy wątku powieściowego, to ten jeszcze w pierwszych pieśniach, wskutek wprowadzenia do powieści Sawy, który się wydał Słowackiemu „ogromnym skarbem dla pisarza“, rozdzielił się na dwa pasma. Sawa wystąpił w powieści jako drugi bohater, a jako kozak, wprowadzał za sobą cały świat kozacko-hajdacki do poematu, z pełnym efektem, ogniem i krwawym tłem rzezi i pożarów. A jak obok Beniowskiego stał ksiądz Marek, cudotwórca patron konfederacji barskiej, tak obok Sawy wystąpiła niemniej cudowna postać Wernyhory, proroczego przedstawiciela idealnej zgody między szlachtą polską a ludem ruskim, postać, która dla fantazyi Słowackiego stała się jeszcze większym skarbem, niżeli Sawa.

Rozpoczynając tedy pieśń szóstą, poeta znajdował się na rozstajnej drodze, którą sam sobie przedtem zakreslił: albo miał opowiadać dzieje Sawy, albo iść z Beniowskim wysłanym przez księdza Marka do Krymu. Wybrał pierwszą drogę i opowiadał mowienie się Sawy z kozactwem, które go pociągnęło do połączenia się z hajdamakami przeciw szlachcie, a które on chciał pociągnąć

do uderzenia na hajdamaków, spętanie Sawy przez kozaków, a potem wyzwolenie jego przez Wernyhore, bitwę szlachty pod wodzą podczaszego Potockiego z hajdamakami, którymi dowodził Żeleźniak, przyczem poeta znalazł sposobność wyprowadzić na scenę jaskrawo a świetnie odmalowany typ kobiecy, rozbójniczkę Hudymę, tak do pary postawioną przy Żeleźniaku, jak Aniela przy Beniowskim, a Swentyna przy Sawie. Te wypadki miały stanowić treść pieśni VI-tej, ale pieśń ta doszła do nas w urywkach, na luźnych kartkach, i nie wiemy napewno czy była tak wykończoną, jak cztery następne pieśni, od VII do X, które się przechowały spisane w dwu brulionowych zeszytach. Jakkolwiekby to było, jest fakt, że poeta prędko porzucił tę drogę obrazów walki z hajdamactwem, ażeby wkrótce po rozpoczęciu pieśni VII zwrócić się do Beniowskiego i bardzo długo i szczegółowo opowiadać jego przygody w Krymie.

Myszę, że nie można tego uważać za rzecz jedynie przypadku, że pieśni zawierające podróż krymską zachowały się w całości, a inne we fragmentach tylko, i że były na zeszytach spisane, podczas gdy inne zachowały się na luźnych arkuszach i kartach. Myszę, że owe cztery pieśni zachowały się w całości dla tego, że były wykończone, tamte zaś dla tego we fragmentach do nas doszły, że nie były jeszcze ostatecznie ułożone, że miały ulegać różnym przemianom.

Kiedy pisane były fragmenta, ułożone przez Małeckiego w pieśń XI-tą, dokładnie określić nie można, nie jednak nie przeszkadza przypuszczeniu, że odnoszą się jeszcze do r. 1842. Natomiast fragmenta następnych pieśni trzeba koniecznie przenieść na czasy późniejsze, ponieważ — jak to już w wskazał Małecki — w XII pieśni znajdujemy wzmiankę o *Cybernetyce* Trentowskiego, która dopiero w r. 1843 wyszła na świat. Są przytem inne wskazówki późniejszego tworzenia fragmentów tej pieśni¹⁾.

Z tego wszystkiego, co się powiedziało o dalszym ciągu *Be-*

¹⁾ We fragmentach pieśni XII znajdujemy takie wiersze:

Nad morza teraz uciekam i blade
Tęczę nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
Depcę

Otóż nad morze zaczął poeta jeździć dopiero od r. 1843; że przytoczony ustęp odnosi się nie do pierwszego pobytu nad morzem w r. 1843, ale do następnego roku, bardzo wyraźnym na to dowodem jest list poety do matki (z 12 sierpnia 1844), gdzie znajdujemy wyrażenia, jakby wzięte z przytoczonej strofy: „z tym listem (matki) poszedłem na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczę nad-

niowskiego, można wyprowadzić wniosek, że grunt orientalny, na którym się poeta obracał w czterech pieśniach, od VII do X, lepiej odpowiadał jego fantazyi, jego ówczesnemu usposobieniu od tła ukraińskiego, ponieważ powieść jego w dalszym ciągu o tyle tylko wiązała się w całość, o ile trzymała się tego gruntu. Dla czego tak było? Czy dla tego, że tło orientalne więcej dostarczyło awanturniczych i komicznych przygód? Czy że mniej krępowało poetę, mniej wymagało historyczności? Czy wreszcie, że łatwiej było iść utorowaną przez Byrona drogą? Nie rozstrzygając tych pytań, na to tylko chcę zwrócić uwagę, że jeśli poeta po napisaniu wyprawy krymskiej oglądał się za siebie, to musiał spostrzedz niezgodność pomiędzy zamiarem a wykonaniem. W pieśni szóstej zapowiadał, iż chce „na mogiłach stanąć“ i śpiewać „ludzi złotej wiary i złotych serc“, a oto ledwie dotknąwszy tych mogił i tych ludzi, przeniósł się w sferę exotyczną i tam zamiast złotych serc malował dziwne i komiczne przygody swego bohatera i jego przypadkowego towarzysza. Wirtuozostwo w malowaniu tych przygód było wielkie i to, co pisał przed samem rozpoczęciem opowiadania podróży do Krymu (Każda z tych moich strof, jak błąd topaz — Oszlifowany w różne kostki rymu) dawało się najzupełniej stosować do tego opowiadania, ale poecie, o coś więcej teraz chodziło, niż o samo wirtuozostwo i dlatego właśnie uczuwał niezadowolenie, że nie może sprostać zadaniu, które mu głosy krytyki i własna ambicja wytykała, zadaniu napisania bohaterskiej powieści poetyckiej na tle konfederacji barskiej, jakiejś Iliady barskiej, jak sam nazywał swój poemat w jednym z późniejszych fragmentów.

Sadzę, że w taki to sposób należy rozumieć skargi Słowackiego, zawarte w listach do przyjaciela, na swoją niemoc, na swoją mozaikowość. A teraz rozważmy pytanie, czy mógł być zadowolony z napisanego w owym czasie dramatu, którego bohaterem jest Fantazy?

Dramat ten różni się od wszystkich utworów dramatycznych Słowackiego, które kiedykolwiek napisał lub próbował pisać, tem, że osnuty jest na stosunkach współczesnych, że najświeższą teraźniejszość stara się wyprowadzić na scenę. Można by powiedzieć, że odbił się na nim wpływ *Beniowskiego*, że to *Beniowski*, który swoją stroną satyryczno-polemiczną dotykał najrozmaitszych stosunków współczesnych, zachęcił, pociągnął poetę do utworzenia dramatu na

morskich kwiatów malowane“ (Listy II 204). W wydaniu *Pośmiertnych pism Słowackiego* (T. II str. 126) wydrukowano błędnie „wieczne pola“ zamiast „wietrzne“.

tle współczesnem. A pokrewieństwo między dygresjami *Beniowskiego* a *Fantazym* (niech mi wolno będzie nazywać tak ten dramat wobec braku ustalonej nazwy) zachodzi nie tylko we wprowadzeniu współczesności do poezji, ale i w satyrycznem jej traktowaniu, w wirtuozostwie dowcipu, którem Słowacki odznaczał się oddawna, które wyostrzył na salonach księżnej Surveilliers, a potem w salonie p. Bobrowej, a które starał się okazać w całym blasku tak w *Beniowskim*, jak i w *Fantazym*. Ten ostatni utwór przeciążony jest dowcipem, a raczej dowcipkowaniem, niemal wszyscy tam dowcipkują, czyni to nieustannie Fantazy w swoich rozmowach z Rzecznikiem, czyni to Rzeczniki, drwiąc z Idalii z powodu jej mniemanego porwania, odpłaca mu się tą samą monetą hrabina Idalia, zanim się odpłaci — ni w pięć ni w dziewięć — poświęceniem, dowcipkuje hrabia Respekt, a nawet scena gotowania się na śmierć Fantazego i Idalii na cmentarzu nie jest wolną od dowcipkowania i to ciągle na ten sam mizerny temat porwania *Nowej Dejaniry*, pani Rzecznickiej, jakiegoś słomianego straszdyła, niepokazanego nawet na scenie¹⁾.

Jest też inne jeszcze pokrewieństwo z *Beniowskim* i to już nie z dygresjami, ale z powieścią, a to mianowicie w postaci i sytuacji Dyany, jednej z tych dziewiczych postaci, które Słowacki takim urokiem i blaskiem poezji umiał otaczać. Jest to rodzona siostra panny Anieli z *Beniowskiego*, jest w niej ten sam hart i ta sama czułość i sytuacja jej podobna: jak tam ojciec, tak tu oboje rodzice chcą ją wydać za mąż nie za tego, kogo ona kocha.

Tyle jest wyraźniejszego pokrewieństwa między *Fantazym* a *Beniowskim*. Najważniejszą z cech wspólnych jest dowcip satyryczny i tę to wspólność uważam za nic, która nas może zaprowa-

¹⁾ Już z tego chociażby powodu, że właściwą Nową Dejanirą jest pani Rzecznicka, która się wcale nie pokazuje się na scenie, trudno dramatowi temu dawać nazwę *Nowej Dejaniry*. Za tą nazwą przemawia tylko to, że tak nazywa ten dramat w swojej broszurce o Słowackim (Juliusz Słowacki Paryż 1862 str. 18) Reitzenheim, przyjaciel poety z ostatnich lat życia. W autografie nie dał poeta na czele żadnej nazwy, ale na ostatniej stronie pod ołówkowym napisem, nie z ręki poety pochodzącym: *Nowa Dejanira*, wypisano atramentem, wielkiem starannem pismem tytuł: *Fantazy*. Czy ten napis pochodzi z ręki Słowackiego? Być może, bo pismo jest podobne do jego zwykłego, drobnego pisma, ale gdyby nawet tak nie było, to zawsze napis ten wskazuje, że w otoczeniu poety dramat ten znany był i pod nazwą *Fantazego*. Zdaje się, że Słowacki, nie mając zamiaru wydawać dramatu, nie ustalił był jego tytułu i rozmaicie go nazywał. Dziś chcąc go ustalić racjonalnie, trzeba dramat nazywać *Fantazym*.

dzie do genezy dramatu. W Słowackim w owych czasach było w wysokim stopniu wyostrzone i rozmachane narzędzie dowcipu. Świadczy o tem nie tylko *Beniowski*, ale i artykuł jego p. t. „Krytyka krytyki i literatury“, pisany we wrześniu 1841 i przesłany *Oredownikowi*, który jednak z niego nie korzystał. Artykuł ten, w którym Słowacki występował pod nazwą Szekspira a miał za towarzysza Hogartha, rysującego karykatury na paznogciu, był jakby prozaicznym uzupełnieniem tego, co się dostało poznańskim krytykom w *Beniowskim*; prócz tego przedrwiwał rozmaitych poetów, którzy płody swoje składali w poznańskich pismach¹⁾. Otoż jak niegdyś chwilowy przypływ dziarskości w Słowackim wywołał pomysł *Mazepy*, tak teraz hogartowskie usposobienie poety domagało się ujścia w jakimś dramacie i znalazło je w *Fantazym*.

Czy Fantazy miał być satyrycznym wizerunkiem Krasińskiego, a Idalia pani Bobrowej, jak chcą niektórzy, np. p. Hoesick? Bardzo to rzecz podobna do prawdy, że Słowacki w owych czasach hogartowskim spojrzeniem obejmował i swego przyjaciela i swoją ukochaną i łatwo znaleźć w *Fantazym* ustępy doskonale charakteryzujące stosunek Krasińskiego do p. Bobrowej i jej pretensje do niego²⁾. Ale jakkolwiek do postaci Fantazego wciągnął Słowacki

¹⁾ Krytyka krytyki i literatury. Nieznany utwór Juliusza Słowackiego z autografu poety wydał dr. Bolesław Erzepki. Poznań 1891.

²⁾ Takim np. ustępem jest to, co mówi Idalia w monologowej pierwszej scenie aktu II:

Tak się kręci
Świat — tak tańczy każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnej pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...

Jeszcze lepiej charakteryzują stosunek Krasińskiego do p. Bobrowej te ustępy z innego monologu Idalii (akt IV scena V).

Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mnie ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy na kształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?

O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów...

wiele rysów, wziętych z Krasińskiego, poczynawszy od tak zewnętrznych, jak tytuł hrabiowski i bogactwo, a kończąc na marzycielskiej wyobraźni, rycerskich popędach i szlachetnej ofiarności, to jednak nie chodziło mu o to, aby dać wierny portret przyjaciela, ponieważ do postaci Fantazego wprowadził także część swojego ja, sobie tylko właściwą, a wówczas w nim górującą, owo hogartowskie usposobienie, chęć szermowania wyostrzonym dowcipem, a nawet swój już (nie Krasińskiego) stosunek do pani Bobrowej. Tym sposobem, jak w falującym zwierciadle wody zlewać się mogą dwie postacie nad nią obok siebie stojące, tak w Fantazym zlały się duchowe oblicza dwu poetów i mimo woli Słowackiego utworzyła się parodia dwu Wenedów, połączonych łańcuchem, którego rolę tym razem pełniła miłość dla p. Bobrowej.

Fantazy tedy jest to Słowacki, przenoszący się w sytuację Krasińskiego, poszukiwanego, tytułem, złotem i fantazyą od losu obdarzonego młodzieńca, a gonionego widmem dawnej miłości. Wraz z sytuacją przybiera on pewne cechy jego charakteru, ale dzieje się to przeważnie dopiero w drugiej połowie sztuki; w pierwszej hrabia Fantazy Dafnicki jest wcieleniem ówczesnego nastroju Słowackiego. Żeby uzasadnić to twierdzenie, przypominam rozmowy Fantazego z Rzecznikiem, charakteryzujące tak dobrze ówczesny popęd Słowackiego do wywijania stałą dowcipu, albo jeszcze bardziej charakterystyczne w tym względzie opowiadanie Fantazego przy herbacie o polskich gościach w Rzymie, utkane z samych drwin. Oto np. co mówi Fantazy o hrabinie Idalii:

... dałaby dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.
Jej trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce i sumienie,
Do miesięcznego modląc się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.

Takie drwiny z kochanki w ustach Krasińskiego byłyby najwyższem nieprawdopodobieństwem, w ustach zaś Słowackiego są w zupełnej zgodzie z tem, co wiemy o jego traktowaniu Ludwiki Śniadeckiej albo Anieli Moszczeńskiej. A teraz posłuchajmy, co dalej mówi Fantazy o swoim stosunku do Idalii:

Gdym przybył, chciała mię poznać: ja służę
 Chętnie kobietom, ale się nie godzę
 Być Danaidy beczką, w którą leją
 Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy.
 Przychodzę: — była zajęta ideją
 Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
 Była święconą, bo w treści jest wiara
 I jedynie się zasadza na wierze. —
 Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!”
 I powiedziałem mojej pani szczerze,
 Że miłość nie jest taką narkotyczną
 Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
 Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
 Przez alabastry płci jakiego Feba
 Świecącą, w oczu skrze lub na koralu
 Ust gorączkowych...

.....
 Myślała, że szydę

Z początku; ale widząc, że ja na tem
 Stałem, jako okręt na kotwicy,
 Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
 Pan jeden — w jednej czucia błyskawicy
 Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
 Na jaką jestem samotność wskazana...
 Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
 Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
 Jak rękawiczce nieparzystej druga
 Z tej samej pary i z tego numeru.

Cały ten ustęp nie może mieć nic wspólnego ze stosunkiem Krasińskiego do pani Bobrowej, ale za to wiernie, dowcipnie i złośliwie charakteryzuje współczesny stosunek do niej Słowackiego, któremu się dostała rola beczki Danaid, podczas gdy on chciał być dającym i biorącym miłość Febem. Nie przytaczam innych ustępów, bo sądzę, że przytoczone aż nadto wyraźnie dowodzą, że w Fantazym oprócz Krasińskiego trzeba szukać Słowackiego, zwrócę jeszcze tylko na to uwagę, że nawet pod koniec dramatu, kiedy Fantazy staje się podobniejszym do twórcy *Nieboskiej komedii* niż do autora *Beniowskiego*, nawet i wtedy wyskakuje z niego hogartowskie usposobienie poety. Tak jest w scenie na cmentarzu, kiedy w obliczu śmierci Fantazy dowiaduje się, że to nie Idalia, ale Rzecznicka była porwaną przez Kałmuka. Ten, który w obronie honoru Idalii gotów był narazić się na śmierć, na tę wiadomość zanosi się od śmiechu:

Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
 Zejść się na ziemi i w tym famulusie
 Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
 Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
 Na moim grobie. Cha! cha! cha! Utonę
 We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archanioł
 Porywający z ręki Jezuitom
 Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
 Cha! cha! cha! śmiech mój gwiazdom i błękitom...
 Wiwat typ wszystkich dewotek i salop,
 Pani Rzecznicka, która była duchem
 W pielgrzymce!! Dyabli! dyabli! cha! cha! cha! cha!

To pokładanie się ze śmiechu w takiej chwili musi się nam wydać bardzo dziwnem, zwłaszcza, że osoba, która ten śmiech wywołuje, jest nam zupełnie nieznana i obojętna. Ale jeżeli się na to zgodzimy, że w Fantazego włożył poeta część swojego ja, swoje współczesne usposobienie, to ten cmentarny wybuch śmiechu stanie się zrozumialszym dla nas, usłyszymy w nim echo *Beniowskiego*, a w pani Rzecznickiej, nad którą się tak pastwi poeta, znajdziemy pokrewieństwo z panną Praksedą. Nawet wzmianka o Faustyzmie Fantazego wskaże nam pokrewieństwo dramatu — prawda, że tym razem bardzo dalekie — z poematem, w którym poeta zapowiadał, że „jak się rozogni myśl, napisze Fausta“, i którego bohater miał pierwotnie w twórczej fantazyi poety wystąpić jako Faust polski.

Ale jeżeli Fantazy, jak to wykazałem, jest zlanieciem w jedno dwóch mało podobnych, pod niektórymi względami wręcz sprzecznych z sobą charakterów, to muszą w nim zachodzić sprzeczności i niekonsekwencje. I rzeczywiście zachodzą. Dość jest zwrócić uwagę na to, że ten sam, który najzłośliwiej publicznie wyśmiewa swoją kochankę, broni potem jej czci, jak rycerz i chce umrzeć z nią razem. Możliwość myśleć, że Słowacki chciał się z góry zasłonić od tego zarzutu, nadając bohaterowi imię Fantazego, które miało zapewne oznaczać człowieka rządzącego się jedynie kaprysem fantazyi¹⁾. Ale czy taka zasłona dostateczna? Sądzę, że nie, bo i w kapryśnych postaciach, jeśli mają być prawdziwymi, musi być pewna konsekwencja, i nie mogą się kojarzyć rzeczy, wzajem wyłączające. Zresztą nie tylko w Fantazym tkwi niekonsekwencja; można po-

¹⁾ Prawdopodobnie nazwę bohatera podsunął Słowackiemu Musset swoim *Fantasio*.

wiedzieć, że cały dramat, pomimo rozrzuconych w nim skarbów poezji, jest jedną wielką niekonsekwencją.

Początek jego jest wyborny: charaktery narysowane wyraziście i śmiało, ustawione kontrastowo, dyalog zajmujący, dowcipem uiskrzony, węzeł dramatyczny zawiązany żywo i silnie, ale niedaremnie skarżył się poeta w dalszych pieśniach *Beniowskiego*, mniej więcej współczesnych *Fantazemu*, że „sztuka rozwiązań jest niełatwa“, bo nigdzie mu tak ciężko nie poszło rozwiązanie, jak w tym dramacie. W tragediach, osnutych na tle fantastycznym, można było piętrzyć jedno na drugich zawiązania, bo przywołana na pomoc cudowność potrafiła najtrudniejsze węzły porozcinać, to też piorunami kończyły się *Balladyna* i *Lilla Weneda*. W tragediach, osnutych na tle historycznym, już sama historia lub podanie wytykało kierunek rozwiązaniu. Ale dramat osnuty na tle realnym i współczesnym nie miał ani jednej, ani drugiej dogodności.

W dramatach, na dnie których spoczywa jakaś idea, ona poniekąd może wskazywać rozwiązanie, ale czy jest jaka idea w *Fantazym*? Prof. Małecki upatrzył ją i wyraził tytułem, który nadał dramatowi: *Niepoprawni*. Że tytuł niestosowny, że taka idea nie da się w dramacie wykazać, to już inni to objaśnili¹⁾, co do mnie chcę tu zwrócić uwagę na współczesne poglądy Słowackiego na twórczość poetycką w ogóle, a w szczególności dramatyczną, wyrażone we wspomnianej już „*Krytyce krytyki i literatury*“. Szekspir-Słowacki w rozmowie z redaktorami *Oredownika* i *Tygodnika* (Pan Or. i Pan. Tyg.) takie wypowiada zdanie: „Aby pisać, trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacyi — rzecz rozwidniającą się stopniami, obszerną jak świat, pełną ruchu i życia...“

Pan Tyg. Idei...

Szekspir. Idei?... ja nie wiem... ale ja bez żadnej idei piszę... Rzecz stworzoną nazywam pomysłem... z pomysłu wynikają naturalnie figury i charaktery — charaktery znów oddziałują na pomysł... jest zaś jakieś monotonne usposobienie duszy, które to wszystko harmonizuje i jedną barwą oblewa...

W dalszym ciągu Słowacki wyśmiewał, podobnie jak w *Beniowskim*, poznańskich krytyków, upatrujących wszędzie w kształtach poetyckich symbolikę i allegoryę, i wyszukujących idei. Pan

¹⁾ Prof. St. Tarnowski w studium „O Niepoprawnych Juliusza Słowackiego“. Przegląd Polski 1875.

Tyg. tak mówi do Szekspira: „wszędzie panie jest u wielkich poetów idea... np. wybierzmy najmniejszą rzecz: *farysa* przez jednego z naszych Arcy-mistrzów napisanego... farys jest to myśl... a priori rzucająca się w świat nieznany sobie empiryzmu, a stopniowe wymijanie... etc... lecz wróćmy do Makbeta... zdaje mi się, że Makbet wystawia *wiedzę* a jego żona jest uosobieniem *woli*... dwie te skojarzone władze... przez świat empiryzmu dążąc... do osiągnięcia ostatniego końca przeznaczeń... zakrwawić się muszą... lecz nie krwią cielesną, ale krwią ducha i t. d.“¹⁾

Te i inne szyderstwa Słowackiego z krytyków godziły przede wszystkim w autora krytyki *Anhellego*, więcej niż przed półtora roku umieszczonej w *Tygodniku literackim*; Słowacki przedrzeźniał nawet rozmaite jego wyrażenia, aby nie było wątpliwości, kogo ma na myśli, komu się chce odplacić. Widocznie uważał odprawę daną w *Beniowskim* za zbyt lekką i niedostateczną. Przypominam, że w krytyce swojej Sadowski wyznaczał jakby hołdownicze stanowisko poezji Słowackiego z powodu, że czerpie ona idee z zewnątrz, nie z wnętrza samego poety, że każdą nową myśl chwyta i w osobny sposób rozwija, ale własnej myśli nie daje, i dla tego twierdził, że „Słowacki nie jest arcy-poetą“. Otoż na ten zarzut nie było w *Beniowskim* odpowiedzi, ale widać, że on głęboko tkwił w pamięci poety, skoro chciało mu się we dwa lata potem na niego odpowiadać i wkładać nawet w usta Panu Tyg. te słowa: „Nie jest to Arcypoeeta... żadnej nowej drogi nie otworzył“.

Cóż znaczyła odpowiedź Słowackiego? Oto, że jeśli Szekspir nie potrzebuje idei, aby tworzyć arcydzieła i być „arcy-poetą“, to i on Słowacki, który jest Szekspirem polskim, może tak samo tworzyć arcydzieła i mieć prawo do tytułu, którego mu poznański krytyk odmawiał. Ale przytoczyłem ustęp z satyry Słowackiego nie na to głównie, aby pokazać, jak pomimo usadowienia się w krześle ze słoniowej kości Słowacki niepokojony był pamięcią dawniejszych zarzutów, ani na to, aby się zastanawiać, o ile słusznym był pogląd jego na Szekspira, tylko aby zaczerpnąć stamtąd objaśnienia dla genezy *Fantazego*. Na mocy własnych słów poety, współczesnych układaniu tego dramatu, możemy stwierdzić, że żadna idea nie przewodniczyła tworzeniu pomysłu jego. Miał on „przed oczyma wyobraźni“ kilka typów, hogartowskim okiem uchwyconych, jeden

¹⁾ Krytyka krytyki i literatury 16—18.

z tych typów napelnił sobą, swoim ówczesnem usposobieniem — przynajmniej do połowy, i ustawił te postacie w zajmującej, dramatycznej sytuacji. Bogaty i dowcipny fantastyk chce złotem kupić sobie u rodziców rękę pięknej panny, pomimo iż wie, że ona kocha kogo innego; w tej sprawie jest mu pośrednikiem wieszający się przy nim przyjaciel-faktor; rodzice panny z powodu złego stanu interesów gotowi sprzedać córkę, ale na układy rzuca cień zjawiająca się niespodzianie dawna kochanka bogatego i kapryśnego konkurenta. Dotąd było wszystko szczęśliwie utworzone i świetnie wykonane. Potrzeba było znaleźć rozwiązanie dla tej dramatycznej sytuacji i tutaj wyobraźnia poety poszła w kierunku jego hogartowskiego usposobienia: ono to jej nastroczyło ów dziwaczny, karykaturalny motyw porwania Dejaniry, który widocznie przypadłał bardzo do smaku poecie, ale który stał się przyczyną mnóstwa niekonsekwencji w dramacie i z tego, co się tak pięknie zapowiadało, jako dzieło wyższej sztuki, uczynił melodramat.

Ów motyw, to istny *Deus ex machina*. Dla ustawienia jego i puszczenia w ruch poeta musiał wielkim kosztem sprowadzać aż z Sybryi majora z Baszkirem i Kałmukiem, a dla naprawienia tego wszystkiego, co ten *Deus* wyrządził, zmuszony był pod koniec awansować majora na głównego bohatera sztuki, skąd poszło, że sztuka mogła się wydawać tendencyjną i że prof. Małecki mógł upatrywać sens moralny „w przeciwstawieniu półdzikiej bezpośredniości Czerkiesa wykrintowi naszej rzekomej cywilizacji“¹⁾.

Ten major jest stekiem niekonsekwencji i pomimo pozorów prawdy człowiekiem zupełnie sztucznym. Słowacki modelował go potrosze z kapitana Rykowa, tylko zapomniał, że ten ostatni był żołnierzem z czasów Suworowa, a nie jednym z dekabrystów, którzy należeli do najoświecieńszych i najbardziej ucywilizowanych ludzi swego czasu w Rosyi, więc coby może mniej raziło w Rykowie, owa naiwność w pomysle ratowania przyjaciół za pomocą porwania kobiety, w majorze Słowackiego staje się krzywą niekonsekwencją. Słowacki chciał, jak się zdaje, ten wybryk uzasadnić atawistycznym usposobieniem majora, Czerkieskiem jego pochodzeniem, ale w tym pomysle bierze udział także i Jan, kochanek Dyany, i to przez poświęcenie się dla niej! więc tu już i tej wymówki nie ma, i nieprawdopodobieństwo wydaje się jeszcze dzikszem.

¹⁾ Małecki I. c. II 276.

Zresztą nie wiemy, kiedy się więcej dziwować: czy wtedy, kiedy major-liberał chce dzikiem bezprawiem przysłużyć się dawnym przyjaciółom; czy kiedy hrabia Fantazy, natrząsający się z Idalii, na pierwszą wiadomość o jej zjawieniu się, zamiast jej unikać, bieży do niej? czy kiedy dowiadujemy się, że pani Rzecznicka przebiera się w kapelusz i szal Idalii, rzekomo ażeby sprawić niespodziankę swemu mężowi, tak mało do tej czułości dobranemu, a właściwie, ażeby wprowadzić w błąd Kałmuka? czy kiedy Idalia chce się poświęcić dla Rzecznickiego, którym pogardza i dla jego żony, którą nazywa łachmanem, furą i dziwolągiem? Czy kiedy Jan, dawny ułan polski, szuka ulgi dla serca w piosence soldackiej o „matee gorzałce“ i o „kochance pałce“? Czy kiedy major na jedno skrzywienie się hrabiego Respekta poświęca życie dla ocalenia człowieka, który go śmiertelnie obraził? Czy wreszcie kiedy niespodziewanie na końcu dowiadujemy się, że ten liberał-dekabrysta, „przepuszczał kiedyś okręt przez nogi“ i „chwycił za worek“, i z tego powodu jest bardzo majątny a majątkiem swoim chce uszczęśliwić ukochanego Jana, któremu dotychczas pozwalał chodzić w dziurawych butach?¹⁾

Ale wyjdźmy z tego lasu niekonsekwencji, ażeby odpowiedzieć na pytanie, postawione na początku tego ustępu o *Fantazym*: czy mógł Słowacki być zadowolonym ze swego nowego dramatu? Myślę — na podstawie uwag wypowiedzianych o nim — że jeżeli nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze wszystkich niekonsekwencji dramatu, to przecież cała sztuczność jego rozwiązania musiała ciążyć na jego sumieniu artystycznym i jak z dalszego ciągu *Beniowskiego*, który nie odpowiadał nowemu zadaniu, obmyślonemu dlań przez poetę, tak i z *Fantazego*, na którym przekonywał się, że „sztuka rozwiązań jest niełatwa“, nie był zapewne zadowolony.

W końcu jeszcze na jedno charakterystyczne podobieństwo między *Beniowskim* a *Fantazym* chcę zwrócić uwagę. W cytowanym ustępie artykułu Słowackiego *Krytyka krytyki i literatury* Szekspir-Słowacki mówi o „monotonnem usposobieniu duszy“ poety, które wszystkie szczegóły danego dzieła sztuki „harmonizuje i jedną bar-

¹⁾ Na obronę Słowackiego trzeba powiedzieć, że dramat jego przechował się tylko na brulionie, i że przynajmniej niektóre sprzeczności tak rażące a łatwe do usunięcia, jak np. to, że Jan oddaje księdzu Łodze pierścionek zaręczynowy, którego już nie powinien mieć przy sobie, bo go oddał przedtem Stelce, byłby Słowacki niewątpliwie usunął przy ostatecznem wygotowaniu do druku.

wą oblewa". Usposobieniem, które bardzo silne piętno wycisnęło na *Fantazym*, było to, które nazwałem hogartowskim, ale nie można powiedzieć, aby ono zharmonizowało i jedną barwą oblało wszystkie sceny i wszystkie postacie dramatu. Poeta wbrew panującemu w sobie usposobieniu nastrojał się niekiedy na ton inny, patetyczny, patryotyczno-demokratyczny, co właśnie nadało melodramatyczny charakter utworowi.

Ton ten w szczególności odzywa się w postaciach Dyany, Jana i majora. To, co Dyana w rozmowie z *Fantazym* mówi o swojej miłości dla chłopów i gotowości poświęcenia się dla nich, nosi na sobie widoczne ślady wpływu *Demokraty polskiego* i tego przyjęcia, jakie on zgotował *Beniowskiemu*, bo zresztą zostaje w dyzharmonii z tem, co potem Stelka o awanturach domowych opowiada Janowi. Jan „mieści w sobie Polskę” i jest czemś w rodzaju zgorzkniałego i zdzieczalego Kordyana, major jest Rykowem podniesionym do potęgi bohaterstwa. Między temi postaciami a tłem ogólnem nie ma zestrojenia, zharmonizowania, podobnie jak go nie było w dalszym ciągu *Beniowskiego*, pomiędzy poważnym tonem i uroczystemi zapowiedziami pieśni szóstej, a komicznym traktowaniem krymskich przygód bohatera w czterech dalszych pieśniach.

Na str.	7 wiersz	2 z dołu zamiast „Tamże I, 282”	czytaj „Listy do matki I, 282,”
„ „ 19	„ 3 z góry	„ „swem”	„ owem
„ „ 63	„ 11	„ „poetycznych	„ patryotycznych
„ „ 106	„ 10	„ „pochylił	„ pochylał
„ „ 110	„ 6	„ „artyzm	„ egzotyzm
„ „ 128	„ 9	„ „rinami	„ ruinami
„ „ 206	„ 2	„ „wstępu	„ ustępu
„ „ 216	„ 8 z dołu	„ „na stanowisku	„ na stanowisko
„ „ 235	„ 4	„ „biały marmur nie	„ biały marmur, nie
„ „ 272	„ 9	„ „wirtuowstwo	„ wirtuozowstwo.

Treść.

SŁOWO WSTĘPNE Str. 1

CZEŚĆ I. W drodze do sławy.

ROZDZIAŁ I. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości. 1809—1831.
Rodzina poety i miasto rodzinne. — Charakterystyka ojca i matki. — Charakterystyka samego poety: stosunek jego do ludzi, stosunek do przyrody. — Wpływy wychowania. — Ewolucja marzeń dziecinnych. — Początek anhelizmu Słowackiego. — Wpływ *Konrada Wallenroda* na jego młodzieńczą poezję. — Szukanie kariery cywilnej w Warszawie. — *Hugo* i *Mindowe*. — Stanowisko poety w listopadowym powstaniu. — Podróż do Londynu. 3

ROZDZIAŁ II. Początek zatargu z Mickiewiczem. 1832.

Wydanie dwu pierwszych tomów poezji i przyjaźń z Michałem Skibińskim. — Przelotna chwila powodzenia. — Oczekiwanie przyjazdu Mickiewicza. — Krytyka *Wallenroda*. — Przyjazd Mickiewicza. — Jego sąd o poezji Słowackiego. — Przedmowa Słowackiego do tragedii *Mindowe*. — Jak Słowacki zrozumiał sąd Mickiewicza. — Ukazanie się trzeciej części *Dziadów*. — Co sądzić o wprowadzeniu doktora Bécu do *Dziadów*. — Część winy Odyńca. — Zaostrzenie się antagonizmu. — Poemat *Lambro* i jego stosunek do *Wallenroda*. — Zatknięcie bandery patryotycznej. — Przedmowa do *Lambra*. — *Godzina myśli*; prawda i zmyślenie w tym poemacie. — Odpowiedź Mickiewicza na wyzwanie. 28

ROZDZIAŁ III. W Szwajcaryi. 1833—1836.

Chęć zmierzenia się z nowym utworem Mickiewicza. — Stosunek *Kordyana* do *Dziadów* trzeciej części i do *Wacława* Garczyńskiego. — Co znaczy prolog w tym dramacie. — Słowacki nastroja się patryotycznie. — Recenzja *Kordyana* w dzienniku *Le Polonais*; jak ją przyjął Słowacki. — Wrażenie, jakie sprawił na nim *Pan Tadeusz*. — *Balladyna*. — Znaczenie epilogu. — Myśli matrymonialne Słowackiego; stosunek z Maryą Wodzińską. — Pragnienie większej doskonałości poetyckiej. . . . 53

ROZDZIAŁ IV. Wschód i Włochy. 1836—1838.

Stosunek do wujostwa w Rzymie. — Znajomość z Zygmuntem Krasińskim i jej wpływ na Słowackiego. — Podróż na Wschód. — Nastrój poety, jak się objawił w poemacie opisującym podróż. — *Grób Agamemnona*. — Czego Słowacki żądał od narodu. — U grobu Chrystusa. — Geneza i znaczenie *Anhellego*. — Pobyt we Florencji. — Życie salonowe. — Próby miłości w celach artystycznych: Amerykanka, stosunek z Fornariną. — Aniela Moszczeńska. — Nadzieje pokładane w *Anhellim*. 77



ROZDZIAŁ V. Walka o sławę. 1838—1839.

Str.

Przyjazd do Paryża. — *Poemat o Piaście Dantyszku*. — *Poemat W Szwej-caryi*. — *Ojciec Zadżumionych*. — *Wacław*. — Sąd Krasińskiego o *Wacławie*. — Pierwsze głosy krytyki o *Anhellim*. — *Młoda Polska* o Trzech poematach i Dantyszku. — Odpowiedź Słowackiego. — O ile słuszne były załe Słowackiego. — Kosmopolityczny estetyzm Słowackiego i Krasińskiego. — Sadowskiego recenzja *Anhellego*. — Nadzieja wystąpienia na widowni europejskiej. 104

ROZDZIAŁ VI. Dwaj Wenedzi. 1839—1840.

Przedmowa do *Balladyny*. — Recenzja *Balladyny* w *Młodej Polsce*. — Współczesne usposobienie i twórczość Słowackiego. — Nowy głos krytyki w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego*. — List Krasińskiego, dający ducha Słowackiemu. — Krasiński o Słowackim w liście do Załuskiego. — Porównanie sądów Krasińskiego o Słowackim z sądem Mickiewicza. — Niekonsekwencja w radach Krasińskiego. — *Lilla Weneda*, żywioł osobisty w tej tragedii. — Sąd Krasińskiego o niej. — Wpływ Słowackiego na przedmowę do *Trzech myśli Ligenzy*. 127

CZĘŚĆ II. Zdobyć sławy.

ROZDZIAŁ VII. Beniowski. 1840—1841.

Geneza poematu. — Zamiar stworzenia polskiego Fausta. — Co było zadaniem poematu. — Uczucia miłosne Słowackiego dla Anieli Moszczeńskiej, p. Bobrowej i Ludwiki Śniadeckiej i ich odzwierciedlenie w poemacie. — Stosunek Słowackiego do Mickiewicza. — Pierwsza uczta na cześć Mickiewicza w Paryżu. — Walka na improwizacye. — Pomysł drugiej uczty. — Drażliwość Słowackiego. — Artykuł „Improwizatorowie”. — Oburzenie Słowackiego. — Epicki wątek poematu. — Swentyna jako muza poety. 152

ROZDZIAŁ VIII. Beniowski. (Ciąg dalszy). 1840—1841.

Liryczno-polemiczna stroza poematu. — Uwielbienie własnej poezji. — Walka poety z krytyką. — Sprawa króla *de facto*. — Jak się odzwierciedliło w poemacie stanowisko Słowackiego w walce stronnictw emigracyjnych. — Credo religijne. — Religijność Słowackiego i Mickiewicza. — Walka z Mickiewiczem w ostatnich strofach. — Zarzut ultramontanizmu i panslawizmu. — Dokąd to Słowacki chciał prowadzić naród. — Szaleństwo gniewu. — Wpływ Krasińskiego. 187

ROZDZIAŁ IX. Trwogi i tryumfy. 1841.

Obrona *Nocy letniej* Krasińskiego. — Wyjazd do Frankfurtu i pobudki tego wyjazdu. — Światło, które pada na epizod frankfurcki z korespondencji poety z Niedźwiedzkim, matką i p. Bobrową. — Przestrogi Krasińskiego. — Roznerwowanie Słowackiego. — Miłość ku p. Bobrowej. — Komedya w tragedii życia Słowackiego i moment tragiczny w tej komedii. — Sprawa pojedynku z Ropelewskim. — Jakie wrażenie wywarł

Str.

Beniowski na Bohdanie Zaleskim i Mickiewiczu. — Sądy krytyki emigracyjnej o *Beniowskim* i stosunek trzech głównych stronnictw emigracji do tego poematu. — Tryumfatorski nastrój Słowackiego. 223

ROZDZIAŁ X. Przed transfiguracją. 1841—1842.

Korespondencya z Krasińskim; nowe przestrogi przyjaciela. — Jego nauka o dumie i pokorze. — Niezadowolenie Słowackiego ze swojej twórczości. — Dalszy ciąg *Beniowskiego*; inne zadanie przed poetą. — Dygresye w dalszych pieśniach *Beniowskiego*; sytość zwycięstwa. — Pierwsze dreszcze *Króla Ducha*. — Owczesny stosunek poety do starszszlacheckiej przeszłości. — Wątek epicki w dalszych pieśniach *Beniowskiego*. — Dramat *Fantazy*, jego pokrewieństwo z *Beniowskim*. — Kogo przedstawiał Słowacki w postaci Fantazego? — *Krytyka krytyki i literatury*. — Hogartowski nastrój Słowackiego. — Niekonsekwencje dramatu i jego melodramatyczność. 263

Pedagogiczna
Biblioteka Wojewódzka
w Białymstoku

52542